Anne B.

Ragde

Ziemia kłamstw

smak słowa

Saga rodziny Neshov 1

Anne B. Ragde

Ziemia kłamstw

przekład z języka norweskiego
Ewa M. Bilińska

smak słowa
2017

PROLOG

Chodź – wyszeptała. – Przyjdź już, proszę...

Stała tuż przed drzwiami szopy na nabrzeżu, zaciskając dłonie w kieszeni fartucha, co będzie, jeśli ktoś się do niego przyłączy. Już tak bywało. Bo kto mógłby przypuszczać, że wyprawa na wybrzeże to coś więcej niż tylko wyprawa na wybrzeże, mogliby pomyśleć, że może pragnie towarzystwa. Ale gdyby nie przyszedł sam, a ona tu była, to zawsze mogła powiedzieć, że chciała tylko nabrać z fiordu zimnej wody do zalania śledzi. Właśnie z myślą o takim wytłumaczeniu zabrała ze sobą ceberek.

W domku gorące powietrze stało w miejscu, pasiaste promienie słońca kładły się między deskami na ścianach, a tam gdzie słoneczne blaski wytyczały swój szlak, pośród kamieni, rosły kępki krótkiej, zielonej trawy. Najchętniej rozebrałaby się teraz do naga i poszła, brodząc przez lodowatą jeszcze wodę fiordu, chciałaby poczuć ostry piasek pod stopami i wodorosty, ocierające się gładko o łydki i uda, zapomnieć o nim na chwilę, zapomnieć i tym bardziej się cieszyć, gdy znów do niej w myślach powróci.

– Chodź, teraz... Proszę...

Drzwi do szopy były uchylone i mogła wszystko śledzić. Na zewnątrz widać było otwartą starą łódź, wyciągniętą na ląd, na wpół przechyloną. Dziób tkwił w wodzie, drobne fale rozbijały się o jego smołowaną powierzchnię. Ostrygojady, wyglądające jak czarno-białe kulki z jaskrawymi czerwonymi paskami dookoła źrenic, ganiały się po tafli wody, oszołomione słońcem i nagłym gorącem. Wszyscy rozmawiali o upale, te ciepłe wiosny nadeszły razem z pokojem. Dwa lata pokoju w kraju i nagle ciepło powróciło. Pola nabrzmiały od kiełkujących zbóż i posadzonych ziemniaków, krzewy i drzewa owocowe stały pełne świeżych przyrostów, nawet niemieckie drzewa rosły jak szalone. Tej wiosny, gdy przyszli i rozgościli się Niemcy, było tak zimno, że w głębi fiordu lód leżał na ziemi prawie do końca maja.

Nadal radowała się pokojem i zastanawiała, ile czasu musi minąć, zanim stanie się on czymś oczywistym, tak jak przecież powinno być. Ale może ta radość pochodziła też z innego źródła, od niego. Od niego – spotkanego tego pierwszego lata pokoju. Zaraz spotkanego...

Od zawsze przecież wiedziała, kim on jest, nawet rozmawiała z nim kilkakrotnie o jakichś zwykłych sprawach, odwiedzał wszak wszystkie gospodarstwa w okolicy, tak jak to jest w zwyczaju wśród sąsiadów. Ale nagle tamtego letniego wieczoru na Snarli, gdy po skończeniu całodziennej pracy przy torfie siedzieli na leśnej polanie, spoceni i otumanieni gorącem i pracą, on nadszedł powoli od strony Neshov i natychmiast dostrzegła, że to do niej właśnie przyszedł. Zrozumiała to całą sobą, że każdy

najdrobniejszy fragment jej ciała został przez niego zauważony, szyja, przepocone loki opadające na czoło, dłonie oparte z tyłu na trawie, brązowe i lśniące nogi, wystające z butów tuż przed nim, których istnienia była świadoma. Ktoś przyniósł dzbanek piwa, od piwa chciało jej się śmiać, on też się śmiał, próbował śmiać się głównie do innych, ale jego wzrok stale wędrował ku niej i czynił ją piękną, a gdy poczuła, jak brzeg jej sukienki przesuwa się nieco nad kolana, w miejsce, gdzie zaczynała się stromość ud, pozwoliła, aby przesunął się jeszcze odrobinę wyżej, i jeszcze trochę, rozchyliła troszeczkę kolana, śmiejąc się głośniej i przeczuwając narastanie w dole pleców jakby bólu, tak że prawie musiała jęknąć.

Ruszyła ku domowi, a on stał tam w cienistym lesie i czekał, położyła dłonie na jego skórze i napotkała spojrzenie, zrozumiała, że od teraz wszystko jest inaczej. Nie tylko zapanował pokój, a ona w ciągu lat wojny stała się dorosła, ale też świat był nowy, tworzyli go, stojąc tutaj, oni we dwoje, drzewa i wzgórza były nowe, i fiord tam w dole, i letnie niebo z latającymi jaskółkami, gdy on pochylił głowę i bez wahania oczekiwał na spotkanie jej ust.

Temu, co było potworne w tym wszystkim, nie poświęciła ani jednej myśli.

Przyszedł! Sam, dzięki Bogu na wysokościach.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i poczuła narastające drżenie, włoski na jej nogach najeżyły się w stojącym upale, usta zaschły. Jego ręce zwisały swobodnie, czoło błyszczało brązem, gdy spoglądał na swoje drewniaki, planując kolejny krok na

kamienistej, nierównej ścieżce. Pod ciężkim roboczym ubraniem był cały jej, za zapachem morderczej pracy ukrywały się jej zapachy, chciała polizać jego oczy tak, żeby mieściły tylko jej obraz, chociaż dobrze wiedziała, że tak już się stało. Jej miejsce było teraz w Neshov, tam miało być, załatwił to tak, aby mogła pozostać tam na zawsze. A czasami uciekali i przychodzili tutaj albo szli do stodoły lub do lasu, z dala od cienkich ścian sypialni i wszędzie obecnych uszu.

Jego drewniaki chrzęściły na wyschniętych wodorostach. Zatrzymał się przed szopą.

– Anno? – zapytał cicho w ciemną szczelinę w drzwiach.

– Jestem tutaj – wyszeptała i leciutko popchnęła drzwi.

C Z Ę Ś Ć 1

ROZDZIAŁ 1

Gdy telefon zadzwonił o godzinie wpół do jedenastej w niedzielny wieczór, wiedział oczywiście, o co chodzi. Chwycił pilota i ściszył telewizor, na ekranie przewijał się reportaż o Al-Kaidzie.

– Halo, tutaj Margido Neshov.

Pomyślał: Mam nadzieję, że to nie wypadek drogowy, tylko stary człowiek umarł w łóżku.

Okazało się, że to żadna z tych spraw, powiesił się młody chłopiec. Dzwonił jego ojciec, Lars Kotum, Margido doskonale wiedział, gdzie w Byneset leżało wielkie gospodarstwo Kotumów.

W tle słychać było głośny krzyk, zwierzęcy, przejmujący. Krzyk, z którym na swój sposób był zaznajomiony: krzyk matki. Zapytał ojca, czy powiadomił już policję i lekarza. Nie, zadzwonił natychmiast do Margido, wiedział przecież, kim jest, czym się zajmuje.

– Musi pan jednak zadzwonić na policję i do lekarza również, a może woli pan, żebym ja to zrobił?

– On nie powiesił się w... zwykły sposób. Raczej... udusił się. To coś potwornego. Tak, proszę zadzwonić. I przyjechać. Po prostu przyjechać.

Zamiast wziąć czarny karawan, wsiadł do citroena. Niech policja zamówi raczej karetkę ze szpitala Świętego Olava.

Zadzwonił z komórki, przekrzykując hałas pracującego na pełnych obrotach wentylatora, skierowanego na przednią szybę, na dworze był silny mróz, trzecia niedziela adwentu. Udało mu się zastać zarówno lekarkę, jak i komendanta policji, niedzielne wieczory zawsze bywały spokojne. W ten zimny, cichy zmrok na podjeździe gospodarstwa miało się wkrótce zaroić od samochodów, ludzie w sąsiednich obejściach będą stali przy oknach, dziwiąc się zamieszaniu. Zobaczą karetkę, samochód policyjny, pojazd lekarki i białego citroena CX kombi, którego niektórzy zapewne już skądś znali. Zauważą światła w oknach gospodarstwa zapalone dużo dłużej niż zazwyczaj, ale nie będą mieli śmiałości tak późno zadzwonić, zamiast tego będą długo leżeć bezsennie i cicho szeptać w mroku o wszystkim, co i któremu z sąsiadów mogło się przydarzyć, czując jednocześnie w środku tajemną, wstydliwą radość, że to nie ich spotkało.

Ojciec wyszedł mu na spotkanie do drzwi. Policjant i lekarka byli już na miejscu, mieli bliżej. Siedzieli w kuchni, z kawą stojącą w kubkach na stole, w towarzystwie matki, spoglądającej na nich poczerniałymi, suchymi oczami. Margido przedstawił się jej, chociaż wiedział, że ona wie, kim jest. Nigdy jednak się ze sobą wcześniej nie witali.

– Kto by pomyślał, że tu przyjedziesz. Ty. Z jego powodu – powiedziała.

Głos zabrzmiał monotonnie i nieco ochryple.

Elektryczny świecznik adwentowy stał na parapecie okna, skierowany na podwórze. Policjant podniósł się i poszedł w stronę sypialni, mijając Margida. Lekarka wyszła na ganek, gdy zadzwonił jej telefon. W małym oknie w korytarzu wisiała żółta papierowa gwiazda z żarówką w środku, elektryczne światło przedzierało się przez otworki w papierze – jasnożółtym pośrodku i przechodzącym w coraz ciemniejszy kolor pomarańczowy na gwiezdnych ramionach. Ojciec pozostał w kuchni. Wyglądał bezmyślnie przez okno i nie sprawiał wrażenia zainteresowanego matką chłopca, siedzącą tam tak po prostu, nagle obojętną na wszystko, z rękoma złożonymi na kolanach, ze stopami na podłodze, ze swoim oddechem, filiżankami stojącymi przed nią na stole, godziną, rachunkami na półce, krowami w oborze, mężem przy oknie, pogodą i mrozem, świątecznymi wypiekami, dniami mającymi dopiero nadejść, zupełnie same z siebie. Siedziała tam, dziwiąc się tylko, że jeszcze oddycha, że płuca nadal działają, całkiem same. Jeszcze nie wiedziała, czym jest smutek, siedziała tam szczerze zadziwiona, że wskazówka zegara ciągle jeszcze wędruje do przodu.

Margido po prostu obserwował wszystko. Skąd miał wiedzieć, jak to jest stracić syna – on, który nie wiedział nawet, jak to jest go mieć. Poza tym nie mógł pozwolić sobie na odczuwanie czegokolwiek, jego praca polegała na obserwowaniu, jakie uczucia dochodzą do głosu u osieroconych, musiał bowiem skłonić ich do zajęcia stanowiska w różnych sprawach praktycznych. Współczucie i smutek, ukrywające się za profesjonalizmem, próbował wyrazić poprzez wykonywanie wszystkiego dokładnie

tak, jak sobie tego życzyli żałobnicy, i poprzez spełnianie wszelkich ich oczekiwań.

Był nieprzygotowany na taki widok, chociaż ojciec uprzedził go, że to nie było zwykłe powieszenie się. Mówiąc tak, miał zapewne na myśli sznur zwisający z belki sufitowej, przewrócony stołek i trupa obracającego się wolno wokół własnej osi albo wiszącego zupełnie nieruchomo. Klasyczny scenariusz, który każdy zna z filmów, ze wszystkimi szczegółami, z wyjątkiem kału spływającego zazwyczaj w takich wypadkach wzdłuż nogawki spodni i tworzącego plamę na podłodze. Teraz nie wyglądało to wcale w ten sposób, chłopiec nie wisiał swobodnie w powietrzu. Klęczał pochylony na łóżku, poza czerwonymi bokserkami całkowicie nagi. Sznur przywiązany był do wezgłowia, napięty od karku do łóżka. Twarz była bladoniebieska, oczy otwarte i wytrzeszczone – język suchy i opuchnięty – wystawał spomiędzy warg. Policjant zamknął za sobą drzwi i rzekł: – Mógł zmienić zdanie w każdej chwili.

Margido przytaknął, nie spuszczając oczu z trupa.

– Jak długo pracuje pan w tej branży? – zapytał policjant.

– Wkrótce będzie trzydzieści lat.

– Czy widział pan już kiedyś coś podobnego?

– Tak.

– A coś jeszcze gorszego?

– Może jedną dziewczynę na drzwiach. Nie było dostatecznie daleko do podłogi i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej.

– Kurwa. Czyli oni naprawdę tego chcą.

– Chcą. Nie widzą innego wyjścia. Pewnie są zbyt młodzi, aby dostrzec inne wyjście, biedacy.

Skłamał policjantowi, nigdy wcześniej nie widział samobójstwa akurat w takim wydaniu, był jednak zmuszony okazywać zblazowany spokój, wtedy pracowało mu się najlepiej, miał warunki, patrzono na niego jak na profesjonalnego eksperta i nic ponadto. Tak, często oczekiwano od niego większego zawodowego dystansu niż na przykład od policjanta. Zakładano zapewne, że skoro codziennie ma do czynienia ze śmiercią, to nic nie jest w stanie go poruszyć. Wielokrotnie wspólnie z sanitariuszami i policjantami zbierał z asfaltu rozrzucone części ciała po wypadkach samochodowych, innym oferowano później pomoc kryzysową – jemu nigdy.

Przyglądał się chłopcu. Chociaż widok go zaszokował, jednocześnie w makabryczny sposób zaimponowało mu, że młody chłopak tak po prostu położył się w łóżku, oparł na kolanach i udach, pozwalając, aby sznur zacisnął mu tętnicę i unerwienie, i czekał na mrok. A gdy ten mrok zaczął już nadciągać, najpierw w postaci czerwonych plam przed oczami, nie wyciągnął rąk przed siebie i nie oparł się o materac. Nie zrobił tego. Udało mu się tego nie zrobić. Był zdecydowany.

– Czytałem o czymś w rodzaju zabawy seksualnej – wyszeptał policjant i przestąpił z nogi na nogę.

Margido rzucił mu szybkie spojrzenie, a potem znów popatrzył na trupa.

– Nie wiem, co ma pan na myśli – powiedział.

– Coś w tym stylu, że trzeba prawie się udusić, żeby...

– Przecież on ma na sobie majtki.

– Tak. Ma pan rację. Tak tylko sobie pomyślałem. Wszystko jest przecież oczywiste. Nie ma podejrzeń, żeby zaszło coś... kryminalnego. Zostawił nawet list. Tylko kilka słów, przeprosiny. Rodzice byli na poprawinach u znajomych nowożeńców. Chłopak wiedział, że ma kilka godzin. Właściwie to miał iść z nimi. To ich najmłodszy syn. Mają dwie córki, jedna studiuje jakieś dziwactwo w Trondheim, najstarsza na szczęście chodzi do szkoły w Ås. Ale on... Yngve, mieszkał jeszcze w domu, zupełnie nie wiedział, czego chce. Widywałem go często, jak na rowerze zjeżdżał nad deltę rzeki Gauli, z lornetką na ramieniu, podglądał ptaki, strasznie dużo ptaków ma tam swój przystanek, wie pan. Ale dla ojca posiadanie syna-podglądacza ptaków musiało być męczące, tyle jest roboty w gospodarstwie, nawet jeśli to nie Yngve miał je przejąć. Ale powiesić się, i to na kolanach! Przecież tego, do cholery, normalny człowiek nie idzie i nie robi...

Margido przyniósł z samochodu pojemnik na odpady specjalne. Karetka jeszcze nie przyjechała. Lekarka siedziała w kuchni razem z rodzicami. Słyszał ich głosy, mijając otwarte drzwi w drodze powrotnej. Zdania o niewielu słowach i długie przerwy pomiędzy nimi. Lekarka weszła tuż za nim do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

– Musimy go odciąć – powiedział policjant. Lekarka przyniosła domowe nożyczki, z uchwytem z pomarańczowego plastiku, i wręczyła je policjantowi. Odciął. Głowa opadła na kołdrę. Margido odwiązał końcówkę sznura od wezgłowia łóżka.

– Zaraz będzie tu karetka – powiedział policjant. – Resztę załatwi pan jutro? W szpitalu?

– Oczywiście – odrzekł Margido.

– No cóż, z tym pacjentem nie mogę już nic więcej zrobić – powiedziała lekarka.

Margida zdziwił nieco ten brak ludzkiego komentarza z jej strony. Była w końcu kobietą, nawet jeśli z zawodu lekarzem. A jednak rozmawiała w taki sposób, jakby codziennie znajdowała martwych młodych chłopców, powieszonych na kolanach we własnym łóżku. Poczuł ulgę, gdy lekarka poszła z powrotem do kuchni.

Usłyszał na podwórku dźwięk ambulansu, wyszedł więc do korytarza i już w drzwiach zewnętrznych pochwyciwszy spojrzenie kierowcy, skinął głową. Margido zdecydowanie wolałby, żeby trup leżał na noszach w karetce przed przyjściem matki lub ojca. Tak było lepiej. Wtedy wszystko wyglądało bardziej jak wypadek, jak coś, za co nikt nie mógł być odpowiedzialny.

– Wolałbym go trochę oporządzić. To okropne wysyłać go w tym stanie, ze sznurem zwisającym z szyi – powiedział cicho Margido.

– Tak to przecież wygląda przy samobójstwach – odparł policjant. – To oczywista sprawa.

Personel karetki zablokował rozłożone nosze, przykrywając je czarną folią. Byli to dwaj młodzi mężczyźni. Nie więcej niż kilka lat starsi od chłopca leżącego na kolanach w łóżku. Włożyli jednorazowe rękawiczki i chwycili chłopca pod pachy i za kostki, wspólnie policzyli cicho do trzech i jednym szybkim ruchem przełożyli go na folię, a następnie szczelnie go nią owinęli. Pusty już materac nie przedstawiał ładnego widoku.

– Przyniosłem pojemnik – powiedział Margido. – Czy mogę przynajmniej zdjąć prześcieradło? Żeby rodzice nie musieli na nie patrzeć?

– Tak, proszę – odrzekł policjant.

Przed przyjściem matki zdążył jeszcze rozłożyć kołdrę i zasłonić nią dużą, wilgotną plamę na materacu. Materac i tak zostanie wyrzucony, zawsze tak się działo, ale dodatkowe przykre uczucia i niepokój rodziny, którym musiał sprostać, były tym większe, im więcej ona zobaczyła. O uświadomieniu sobie przez bliskich prawdziwości tragedii często decydowały szczegóły, które wpychały osieroconych w nagłą realność, histerię; mogło to być cokolwiek, począwszy od opróżnionego do połowy kubka z herbatą na nocnym stoliku, poprzez brudnego misia na podłodze, aż po termos i kanapki, które Margido musiał oddać rodzinie zmarłego, gdy do wypadku doszło w pracy.

– Ależ co wyście z nim zrobili! – krzyknęła matka. – Zapakowaliście go w folię? Przecież on nie da rady... nie da rady oddychać! Chcę go zobaczyć!

– Nie można – powiedział policjant. – Ale jutro, jak Margido już...

– Nie! Chcę go zobaczyć teraz!

– Muszę najpierw go trochę oporządzić – rzekł Margido.

Matka rzuciła się na nosze i zaczęła rozdzierać czarny plastik. Lepiej byłoby, gdyby jej mąż teraz przyszedł. Ale jego nie było. W końcu to kierowca karetki musiał złapać kobietę za ramiona i unieruchomić.

– Tylko spokojnie, zaraz...

– ON NIE MOŻE ODDYCHAĆ! YNGVE! Mój synku...

Mąż wreszcie się pojawił. Przejął od kierowcy łkającą kobietę, wpatrując się przy tym nieobecnym wzrokiem w ładunek na noszach, otulony czarnym plastikiem, zawierający jego jedynego syna. Zdawało się, że cała energia z pomieszczenia została wessana w ten widok, w tę potworność, wynikającą z faktu, że dawniejszy mieszkaniec pokoju leżał teraz zapakowany w ten sposób, większy i bardziej dominujący, niż kiedykolwiek był za życia.

– Ale dlaczego... – powiedział. – Sądziłem, że go zobaczymy, zanim go zabierzecie. Nie wiedziałem, że... Myślałem, że Margido...

– Trzeba przeprowadzić sekcję – rzekł policjant, patrząc w podłogę. – To zwykła procedura przy samobójstwach.

– Ale po co? Chyba nie ma wątpliwości, że zrobił to sam!

Ojciec tak bardzo próbował wziąć się w garść, że jego głos stał się nagle ochrypły i napięty. Matka chłopca zwisała bezradnie w jego ramionach i z zamkniętymi oczami cicho płakała.

– Nie chodzi o to, że uważam inaczej – powiedział policjant i chrząknął, przestępując z nogi na nogę.

– Czy mogę się nie zgodzić? Nie zgodzić się na krojenie naszego synka?

Matką wstrząsnął dreszcz, ale jej oczy pozostały zamknięte, a łzy nadal ciekły po policzkach.

Nagle policjant spojrzał prosto na ojca chłopca i powiedział:

– W porządku. Nie będę wnioskował o sekcję. Dobrze, Lars. Ale i tak nie pozwolę wam zobaczyć go jeszcze raz dziś wieczorem. Niech karetka go zabierze. Ale gdy Margido już się nim zajmie...

Ojciec powoli skinął głową.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. Turid, teraz muszą go zabrać. Chodź.

W zamieszaniu spowodowanym wynoszeniem zwłok z domu Margido zdołał przenieść pojemnik na odpady do swojego samochodu i zabrać dokumenty. Karetka powoli zjechała w dół podjazdu, bez włączonego sygnału alarmowego i niebieskich świateł, teraz wszyscy sąsiedzi wiedzieli już, że ktoś umarł. Samochód policyjny stał przy drodze.

Drzwi zewnętrzne nadal były szeroko otwarte, żółte światło padało na śnieg na ganku i na wzgórze przed nim, złotożółte światło, które łatwo można było wziąć za żar domowego ogniska, za ciepło rozpalonego pieca i dzbanka z kawą, za normalność. Margido nigdy nie zdołał nadziwić się kontrastom, śmierć w zasadzie nigdzie nie pasowała, może z wyjątkiem placu bitwy – pomyślał. Księżyc wisiał dość wysoko nad polami, była prawie pełnia, wokół miał słabą poświatę, cienie drzew rysowały pęknięcia w świeżym śniegu, przyglądał się im, planując jednocześnie kolejny dzień. Musiał wrócić tu przed południem, potem miał pogrzeb w kościele w Strindzie o godzinie drugiej, następnie należało oporządzić ciało, żeby można je było pokazać, również siostrom. Może też będą chcieli mieć chwilę czuwania przy zwłokach jutro wieczorem w kaplicy szpitalnej. Będzie musiał uzgodnić szczegóły ze swoimi paniami jutro rano. Nie wszystko musi przecież załatwiać sam. Dobrze było mieć świadomość, że panie Gabrielsen i Marstad kontrolują swój zakres prac. Ale mimo że było ich w sumie troje, to zawsze on sam

jeździł na wizyty domowe. A jeżeli nie miał na to czasu, odsyłał klienta do innego biura. Panie nie chciały tego robić, wiedziały aż nadto dobrze, że chodzi o coś zupełnie innego niż wkładanie prześcieradeł do specjalnego pojemnika.

Lekarka dała matce tabletkę uspokajającą, ojciec odmówił. Pełna klasyka: mężczyźni muszą sobie poradzić bez pomocy, muszą zachować jasność umysłu, nie mogą załamać się, stracić kontroli. Zamiast tego chodził z rękami założonymi na plecy tam i z powrotem po kuchni, Margido nie zazdrościł mu nadchodzącej nocy.

– Może weźmie pan chociaż lekarstwo nasenne? – zapytała lekarka, najwyraźniej pomyślawszy sobie to samo co Margido.

– Nie.

– Zostawiam na wszelki wypadek listek tabletek. To nie są żadne... przestarzałe środki nasenne. Pomagają jedynie na zaśnięcie w spokoju.

Margido rzucił jej krótkie spojrzenie, ale nie zdradziła się niczym, czy zwróciła uwagę na własny dobór słów, pozostali dwoje też najwyraźniej tego nie uchwycili.

– Nie będziemy go kremować – powiedział ojciec i wyprostował szyję, patrząc na swoje odbicie w szybie.

– Oczywiście, że nie, jeśli tego nie chcecie – rzekł Margido.

– Ależ tak! – krzyknęła matka. – Nie zamierzam mieć go gdzieś pod ziemią! Nie pozwolę, żeby tam leżał i gnił, zjadany przez robaki! On... on zostanie...

– Nie będzie się spalał w ogniu, dopóki ja mogę temu przeszkodzić – powiedział cicho ojciec. Matka zamilkła i podniosła

rękę do oczu.

– Nie rozumiem – wyszeptała. – Dlaczego on... Miało nas nie być tylko przez kilka godzin. Czemu nie poczekał, aż z nim porozmawiam, pomogę, pomogłabym swojemu synkowi. Jak bardzo musiał cierpieć...

– Myślę, że powinnaś teraz pójść się położyć – powiedział ojciec. Podniosła się natychmiast, zagubiona, i wyszła chwiejnym krokiem. Mąż odprowadził ją do korytarza. Lekarka i Margido siedzieli w milczeniu, słuchając monotonnych, powolnych kroków na górę. Spojrzeli na siebie. Jej wzrok napełnił się nagle ogromnym smutkiem, ale nic nie powiedziała.

Po odjeździe lekarki został w kuchni sam z ojcem, który w końcu usiadł na prostym, drewnianym krześle, z pochyloną głową i pięściami wspartymi o uda. Chłopskie ręce, czarne obwódki wokół paznokci, brud w każdej bruździe i zmarszczce. Ale jego najstarsza córka uczyła się w Ås. I to nie jego główny dziedzic w tę przedświąteczną noc był w drodze do szpitalnej chłodni. Zupełnie jakby to była jakaś pociecha. Najwyraźniej takiego zdania był policjant.

– Mogę udzielić wam wszelkiej pomocy, jakiej potrzebujecie – zaczął Margido. – To wy decydujecie.

– Proszę załatwiać wszystko. Ja nie dam rady nawet... Pogrzeb. Pogrzebać Yngve, przecież to jest zupełnie niewiarygodne. To całkowicie bez sensu.

– Czy powiadomiliście jego siostry?

Ojciec uniósł twarz. – Nie.

– Chyba pan powinien. I resztę rodziny także.

– Jutro rano.

– No tak, może teraz lepiej nie za dużo naraz – rzekł Margido głosem, w który włożył pełne współczucie, wiedział dobrze, jak to się robi. – Najpierw nekrolog. Mógłby ukazać się we wtorek.

– Nie mam siły, żeby...

– Oczywiście, że nie. Dlatego zostawiam wam broszurkę do obejrzenia i wrócę tutaj jutro przed południem. Tak około dziesiątej, może być?

– Wszystko jedno, kiedy pan...

– Wobec tego pojawię się w okolicach dziesiątej.

Ojciec wziął broszurę do ręki i otworzył ją w przypadkowym miejscu. – Symbole śmierci – przeczytał. – Symbol śmierci. Symbol śmierci? To dziwne określenie.

– Chodzi o symbol umieszczony na górze nekrologu.

– Rozumiem. Nie wiedziałem tylko, że to... ma nazwę. Gdy zmarł ojciec, matka załatwiła wszystko, a gdy umarła ona, wszystkim zajęła się moja siostra. Muszę chyba... zadzwonić też i do niej. Byliśmy wspólnie dziś wieczorem na tych poprawinach, w tym samym miejscu. Składaliśmy się na prezent. Zdaje się, że to był lniany obrus. Markowy, wykonany w Røros. Albo raczej... utkany... w Røros. Przez kogoś.

– Na pewno był ładny.

– Tak. Na pewno był – powiedział ojciec. Siedział i kołysał się na krześle z broszurą w rękach. Margido był świadom, że siedział tam, szukając wyjaśnienia. Wyjaśnienia, którego Margido już dawno przestał poszukiwać, chociaż bez przerwy był o nie pytany. W śmierci zapisana była niemożliwość, która nigdy nie przestała

go fascynować, ale nie potrafił jej wyjaśnić. Prawdy nie można było odnaleźć nigdzie poza rytuałami.

– Czy nie mógłby pan po prostu wybrać... symbolu śmierci? – zapytał ojciec.

– Naturalnie, że mogę. Ale to mogłoby być... dobre dla was. Wybrać samemu. Będziecie pamiętali pogrzeb. Później. Wtedy może stać się ważne to, że był... właściwy według was.

Miał zwyczaj robić krótkie przerwy między słowami, tak jakby nie mógł znaleźć właściwych. Nie widział nic cynicznego w tym obyczaju, był świadom, że dla ludzi, z którymi rozmawiał, sytuacja była jedyna na całym świecie, jedyna w całym ich życiu. Dlatego nie zamierzał nigdy wylewać z siebie potoku słów, dając im w ten sposób odczuć, że robi to często, że ma w głowie coś na kształt wzorca, co należy powiedzieć w każdej sytuacji. A przynajmniej w prawie każdej sytuacji.

– Policjant wspomniał, że Yngve bardzo lubił ptaki – rzekł.

– Tak.

– Może jaskółka – powiedział Margido. – Na górze nekrologu.

– On ma zupełnego fioła na punkcie jaskółek tu w gospodarstwie. Zapisuje... zapisywał w kalendarzu ich przyloty z południa, to ostatnie ptaki wędrowne, które tu przylatują. Często nie wcześniej niż dopiero z początkiem czerwca. A to, zdaje się, późno, jak na ptaki wędrowne. Potrafił siedzieć godzinami i obserwować ich pokazy lotnicze nad stodołą.

– Może zatem jaskółka. W nekrologu.

– Tak bardzo lubił przyrodę. Tak bardzo. Człowiek mógłby pomyśleć, że to oczywiste, że chłopski syn lubił naturę, ale u niego miało to inny charakter. Ja nie rozmyślam specjalnie

o przyrodzie, jeśli mnie pan rozumie, to moja praca, jest wszędzie wokół mnie, to oczywistość. Ale Yngve interesował się wszelką odmiennością, marudził o sortowanie śmieci, o przywrócenie pierwotnego wyglądu krajobrazu, narzekał, że gospodarstwa zanikają. Jasne, że czasem myślę o takich rzeczach, ale dla niego to było... ważne! Ja nie mam przecież czasu, żeby... Nie rozumiem, czemu on... Zaledwie siedemnaście lat. Chodził na naukę jazdy. W stodole stoi samochód, stara toyota. Ale nie był zainteresowany nawet tym, żeby coś przy niej naprawić, to nie był ten typ człowieka. Zapewne sądził, że w dniu, w którym mając prawo jazdy w kieszeni, przekręci kluczyk w stacyjce, samochód jakoś sam się potoczy. A my siedzieliśmy tam, żując ciasta, pijąc kawę i oglądając zdjęcia, ględząc o tym cholernym ślubie, podczas gdy on...

– Myślę, że powinien pan teraz trochę odpocząć, jest późno, a jutro czeka pana długi dzień.

Ojciec zamilkł, schylił głowę, spojrzał na swoje ręce i powiedział cicho: – Jaskółka. Niech zatem będzie to jaskółka. Dziękuję.

– Nie ma za co dziękować. Jasne, że nie. I proszę pamiętać, tam leżą te tabletki.

– Nie chcę niczego brać. Jutro rano trzeba zrobić obrządek. Muszę być trzeźwy.

Ruch był nieduży. Nad fiordem unosiła się mroźna mgiełka, przetykana frędzlami księżycowej poświaty. Samochód zdążył się całkowicie wychłodzić. Gdy w chwilę później mijał wysadzany długą klonową aleją podjazd do Neshov, wzrok miał utkwiony nieruchomo w przestrzeni. Wiedział przecież, że okna zazwyczaj

są ciemne o tej porze, paliły się tylko światła na zewnątrz, a te widział już wcześniej.

Włączył radio w samochodzie, podjazd pozostał już w tyle, słuchał teraz wesołej muzyki wygrywanej na akordeonie. Nagle poczuł się zaskakująco odprężony i zadowolony, choć nie do końca wiedział, dlaczego. To było dziwne uczucie. Może chodziło o ulgę z tego powodu, że dostrzegł smutek w spojrzeniu lekarki.

Gdy następnego przedpołudnia przyjechał do gospodarstwa Kotumów, dom wypełniony był ludźmi. Przy stole kuchennym siedział ksiądz z kościoła w Byneset. Nazywał się Fosse. Był to starszy mężczyzna mniej więcej w wieku Margida. Chudy i przykurczony w swoim ubraniu, ale z ciepłym i mocnym uściskiem ręki, Margido bardzo go lubił. Zawsze zorganizowany, punktualny i profesjonalny, nie wszyscy księża tacy byli; niektórzy marudzili i rządzili ludźmi z zakładu pogrzebowego, tak jakby ci ostatni mieli za zadanie zadowolić księdza, a nie rodzinę.

Kuchnia stała się terytorium kobiet, mężczyźni zostali skierowani do jednego z salonów w wielkim, tradycyjnym domu, typowym dla okolic Trondheim. Matka chłopca siedziała w kuchni na stołku i ze zdumieniem przyglądała się wszystkiemu, co działo się dookoła niej. Pięć kobiet o zaczerwienionych oczach, prawdopodobnie wśród nich jedna z sióstr zmarłego i jego ciotka, ciężko pracowało, przygotowując jedzenie, kawę, kubki, półmiski, serwetki, cukiernice. Kobiety miały pod tym względem szczęście, zawsze mogły zająć się przyrządzaniem i podawaniem jedzenia, mężczyźni natomiast musieli uporać się ze smutkiem

w bezczynności. Zostałoby to źle odebrane, gdyby ojciec rozpoczął dziś pracę na dworze, za to matka mogła spokojnie rozmieszać dziesięć litrów ciasta na naleśniki i nikt nie uznałby tego za niestosowne. Gdyby w nocy spadł śnieg na wysokość metra, mężczyzna mógłby co najwyżej odśnieżyć, ale raczej nic ponadto, a najlepiej, gdyby przyszedł sąsiad i go w tym wyręczył.

Ojciec zamknął drzwi do kuchni, oddzielając w ten sposób zewnętrzne zabieganie, i jeszcze zanim puścił na dobre klamkę, powiedział, zwracając się do Margida: – Dziewczyna go rzuciła. W sobotę wieczorem. A my nawet nie wiedzieliśmy o jej istnieniu.

Ojciec osunął się na skórzaną sofę, jego ciało zapadło się w sobie, obojczyki wyraźnie odcinały się wewnątrz kraciastej flanelowej koszuli.

– Smutek zawiedzionej miłości – wyszeptał. – Proszę pomyśleć, że on odebrał sobie życie z powodu zawodu miłosnego. Zabrał sobie sam... całe swoje życie. Bo jakaś dziewczyna go nie chciała. Jedna dziewczyna.

Margido zrozumiał, że nikt nie przejrzał broszury, którą wczoraj zostawił. A dzisiaj miał ze sobą kolejną, z różnymi rodzajami trumien. Kolejna bariera do pokonania. Ale dziś trumna musiała już być wybrana dla oporządzonych zwłok, przed wieczornym czuwaniem w kaplicy.

– Kiedy przyjeżdża najstarsza siostra Yngve? – zapytał.

– Ingebjørg? Sądzę, że za kilka godzin.

Margido skinął głową. Musiał teraz wyjaśnić kwestię trumny.

– Czy chcecie zobaczyć go wieczorem? Wszyscy razem? – zapytał Margido.

– Zapewne tak.

– Zróbcie to – powiedział ksiądz i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Dziewczęta powinny go zobaczyć. A przynajmniej mieć taką możliwość. Jeśli nie będą chciały, to w porządku. Ale Margido robi to tak pięknie. Będzie dobrze, Lars, postąpicie krok naprzód w żałobie, w tym szoku dla wszystkich.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

– Musimy chyba omówić sprawę nekrologu – rzekł Margido.

– Jaskółka – odparł ojciec.

Margido wyciągnął z torby notatnik. Był zadowolony z obecności księdza, który pomógł ojcu podjąć decyzję, że nad nazwiskiem, Yngve Kotum, napisane będzie tylko „nasz nieodżałowany" oraz pod spodem „odszedł nagle". Ksiądz nalegał, aby ojciec zawołał żonę, która siedziała na stołku w kuchni do wspólnego podjęcia decyzji, ale nic z tego nie wyszło. Ksiądz sam pomógł Margidowi rozmieścić odpowiednio wszystkie nazwiska, coś w rodzaju odwróconego drzewa genealogicznego, pod nazwiskiem chłopca, jego datą urodzenia i śmierci.

– Wiersz. Czy chciałby pan umieścić wiersz? – zapytał Margido.

– Wiersz? – ojciec spojrzał na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Wielu ludzi tak robi, Lars – powiedział ksiądz. – Margido na pewno ma wiele tekstów, które by pasowały.

Margido sięgnął po broszurę. Tutaj miał zebranych kilka wierszy, które mogły zainteresować klientów. Otworzył na właściwej stronie i wręczył ją ojcu, który przyjął broszurę z pełnym rozpaczy oporem. Zagłębił się w teksty, analizując każdy wiersz przez dłuższą chwilę.

– Różne rzeczy pasują tutaj do starych ludzi albo do tych, którzy długo chorowali – powiedział ojciec i odchrząknął. – Ale może kilka... Może ten. – Wskazał palcem, podając broszurę księdzu, który wziął ją i przeczytał na głos: – A więc zamykamy cię w naszych sercach, chowając głęboko w środku. Będziesz mieszkał w pokoju w naszych duszach, ukochane i cenne wspomnienie.

Ojciec zacisnął dłonie i zgiął się w pół, prawie jak płód w pozycji embrionalnej, jego stopy napięły się i uniosły z podłogi; wydał kilka piskliwych, świszczących dźwięków z głębi krtani. Niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszły dwie kobiety, niosąc kubki z kawą i półmisek oraz wielką tacę z kanapkami i pokrojonym ciastem. Stanęły i znieruchomiały. Ojciec zapanował nad sobą, dźwięk przełykanej przez niego śliny był nagle jedynym odgłosem słyszalnym w tym pomieszczeniu.

– Dobrze nam zrobi teraz kubek kawy – powiedział ksiądz, skinął głową w stronę kobiet i uśmiechnął się, a potem wstał, obszedł stół dookoła i położył rękę na ramieniu ojca. Kobiety odebrały sygnał i szybkimi ruchami nakryły do stołu, pozornie nie zauważając tej chwili bezradności ani nie przyjmując za nią odpowiedzialności. Najpierw zdjęły ze stołu tkany bieżnik, zastępując go bawełnianym, haftowanym, kwadratowym obrusem, następnie starannie rozstawiły filiżanki, kładąc przy nich złożone w trójkąt serwetki, a na końcu na środku postawiły półmisek z kanapkami i ciastem, a obok cukiernicę i dzbanek ze śmietanką.

Margido i ksiądz zostali sami, gdy ojciec zniknął na chwilę, tłumacząc, że musi tylko na moment wyjść do toalety. W tej samej chwili, gdy drzwi się za nim zamknęły, pozostali dwaj rozpoczęli cichą i konkretną rozmowę.

– W czwartek o pierwszej – powiedział ksiądz. – Chcą mieć zwykły pogrzeb.

– Nie matka – rzekł Margido, notując przy tym datę i godzinę. – Powiedziała dziś w nocy, że...

– Dzisiaj już chce – odpowiedział ksiądz. – Rozmawiałem z nią. Yngve zostanie pochowany obok swojej babki i dziadka ze strony ojca. Z tą myślą jakoś się pogodziła. To jasne, że chłopiec musi być pochowany w ziemi. To chłopskie dziecko.

– Czy może mu ksiądz pomóc w wyborze psalmów i muzyki? I zadzwonić później do mnie?

– Oczywiście.

Wręczył księdzu kartkę i powiedział: – Wymienione tu psalmy mamy gotowe w drukarni.

Ksiądz skinął głową i rzekł: – Załatwi pan sprawę dzisiejszego wieczoru? Może będą chcieli krótkiej chwili modlitwy przy zmarłym, nie tylko pokazania zwłok.

– Muszę zadzwonić do szpitala Świętego Olava i zamówić kaplicę. I skłonić go do wyboru trumny. Zostanie ksiądz tutaj?

Ksiądz spojrzał na zegarek i skinął głową.

Margido był przyzwyczajony, że każdy kolejny krok procedury wywoływał szok i nową falę smutku. Nekrolog powoli czynił niemożliwe rzeczywistością, kolorowe zdjęcia rozmaitych trumien podkręcały ból o jeszcze jeden stopień wyżej. Ojciec siedział,

trzymając broszurę z trumnami, i wpatrywał się w zdjęcia tak, jakby oglądał coś całkowicie niepojętego.

– Wszystkie są piękne – powiedział ksiądz.

Większość ludzi bezradnie wskazywała na białą. Model Nordica. Tych trumien miał u siebie najwięcej, w magazynie w Fossegrenda. Ale człowiek na sofie zaskoczył go.

– Ta – powiedział i stuknął palcem w zdjęcie sosnowej trumny, model Natura, dostępnej w trzech wersjach: gładka lakierowana sosna, sosna surowa oraz sosna bejcowana.

– Surowa – powiedział ojciec. – I model nazywa się Natura. To pasuje.

Margido chrząknął. – Mam kilka w magazynie, ale są z bejcowanej sosny. Surową musiałbym zamówić, zajmie to kilka dni.

– To weźmiemy bejcowaną. Może nawet jest ładniejsza. Ale taka biała nadaje się tylko dla starych ludzi. Tak jak te wiersze.

Rzucił broszurę na stół, a Margido szybko schował ją do torby. – To niech tak będzie – rzekł.

Poczuł ulgę, że wszystko poszło dość sprawnie i że ojciec nie angażował całej rodziny w wybór trumny. Niektórzy tak robili, chcieli też zobaczyć i przeanalizować cennik, przyglądanie się temu zawsze sprawiało mu przykrość, chociaż logicznie rzecz biorąc, rozumiał to doskonale. Pogrzeb stanowił spory wydatek, szczególnie teraz, kiedy zlikwidowano zasiłek przyznawany wcześniej w takiej sytuacji. Niektórzy traktowali trumnę tylko jako niezbędny szczegół, dla innych był to ostatni dom, pojazd albo łóżko dla zmarłego. Doskonale pamiętał matkę, która straciła

trzymiesięczne dziecko, zmarłe z niewyjaśnionych powodów w kołysce. Kobieta położyła rękę na małej, czterdziestocentymetrowej trumience i powiedziała: „Od teraz to twoja kołyska, kochanie, tu będziesz spała na zawsze, a ja będę o tobie myślała, jak tam leżysz”.

– Później nic więcej nie będzie – powiedział ojciec. – I żadnych kwiatów.

– Czasami proponuje się datki pieniężne – rzekł Margido.

– I kto niby miałby otrzymać te pieniądze? – zapytał gwałtownie ojciec podniesionym głosem. – Norweski związek samobójców? Towarzystwo ornitologiczne? Związek chłopski?

– Nikt nie miał niczego takiego na myśli, Lars – powiedział łagodnie ksiądz. – Równie dobrze mógłby to być... Na przykład klub młodzieżowy albo... ktoś inny, komu można by przekazać dar pieniężny, w imieniu Yngve. Zamiast kwiatów.

Ojciec odchylił się w fotelu, odetchnął jak po długim marszu, a jego spojrzenie powędrowało ku belkom na suficie.

– No tak. Tak, klub młodzieżowy to może nie jest taki zły pomysł. Chociaż rzadko tam bywał i nie miał zbyt wielu przyjaciół. W gruncie rzeczy w ogóle mnie to nie obchodzi, ale dobrze, niech dadzą parę koron na ten klub. Proszę tak napisać. Czy to już wszystko? Teraz wypijemy kawę, na więcej nie mam już siły.

Trumna, która stała na zielonym katafalku na środku kościoła w Strindzie już o godzinie wpół do pierwszej, półtorej godziny przed rozpoczęciem pogrzebu, była modelem białym Nordica, przywiezionym karawanem do kościoła przez panią Marstad.

Zarówno pani Marstad, jak i pani Gabrielsen należały do silnych kobiet, w przeciwnym wypadku Margido musiałby zatrudnić mężczyznę. Postawienie trumny na miejscu należało do ciężkich zadań. Często trzeba było robić to w trójkę albo prosić o pomoc kościelnego.

W trumnie leżała pięćdziesięcioczteroletnia kobieta, zmarła podczas napadu astmy. Osierociła dwudziestodwuletnią córkę i dwóch byłych małżonków, zaangażowanych teraz na równi w przygotowania do pogrzebu.

Kościelny krzątał się, pomagając zapalać świece i wykonując inne drobne czynności, krążąc cały czas między zakrystią a prezbiterium. W tym czasie Margido i pani Marstad wnosili stojaki, walizki wypełnione nowymi świecami i wazonami na kwiaty. W kościołach zazwyczaj nie było niczego, co jest potrzebne przy pogrzebie, w niektórych brakowało nawet szpadla.

Posłaniec z kwiaciarni wnosił kolejne bukiety, wieńce i ozdoby, które Margido uważnie oglądał i w końcu układał. Bardzo ważne było zachowanie symetrii po obu stronach trumny. Wieńce żałobne trzeba było starannie ułożyć, poza tym lubił, jeśli przed frontem trumny jeden lub dwa bukiety leżały na podłodze. Napełniał kwiatami wysokie wazony i dokładnie rozkładał między nimi drukowane jedwabne wstęgi, tak aby słowa pamięci mogły zostać odczytane z kościelnych ławek.

Stół przy wejściu był gotowy, pozostawało tylko zapalić gromnice. Świece były błękitne, dość niezwykłe zjawisko, ale takie było życzenie córki, był to bowiem ulubiony kolor zmarłej kobiety. Księga kondolencyjna została wyłożona i otwarta, na niej, na

pierwszej liniowanej stronie, położono ukośnie wieczne pióro. Oprawione zdjęcie zmarłej ukazywało ją w stroju sportowym na kamienistej plaży, w ręce trzymała szary korzeń do złudzenia przypominający łabędzia.

Śmiała się na tym zdjęciu, a jej włosy rozwiewał morski wiatr. Szary korzeń stanowił obecnie główną dekorację na jej trumnie, otoczony świerkowymi gałązkami, ozdobnymi porostami oraz gatunkiem pewnej rośliny przypominającej wrzosy, ponieważ zdobycie prawdziwych wrzosów w grudniu było zupełnie niemożliwe, a także szyszkami rozmaitej wielkości. Ozdoba była rzadkiej urody i bardzo oryginalna, Margido podziwiał ją od chwili umieszczenia jej na trumnie.

Obok zdjęcia leżał stos śpiewników, które Margido miał rozdać przychodzącym na pogrzeb ludziom. Na okładkach śpiewników widniało to samo zdjęcie zmarłej kobiety. Na końcu stołu stała urna na datki pieniężne. Pani Marstad umieściła na niej kartkę, na której napisała: „W imieniu rodziny dziękujemy za dary pieniężne na rzecz Stowarzyszenia Chorych na Astmę".

– Panie, z pokolenia na pokolenie jesteś naszym schronieniem. Zanim nastały góry, zanim powstał świat i cała ziemia, od wieczności aż po wieczność wszędzie jesteś ty, o Boże. Pozwalasz ludziom obrócić się w proch i mówisz: „Wróćcie, człowiecze dzieci!" Bo tysiąc lat znaczy dla ciebie tyle samo, co wczorajszy dzień, który nie wiadomo kiedy przeminął, albo tyle, co nocne czuwanie. Naucz nas liczyć swoje dni, abyśmy posiedli mądrość w naszych sercach!

Margido słuchał tych słów jak znajomej fali docierającej do uszu, nie odczuwając ich jednak prawdziwie. Jedyne, co do niego jeszcze przemawiało w kazaniach kościelnych, to obecne niekiedy w głosie księży autentyczne oddanie i szczerość. Siedział, myśląc o wszystkim, co jeszcze musiał zdążyć zrobić po powrocie do biura. Pani Marstad pojechała już z powrotem, przekazując mu imienną listę ofiarodawców kwiatów na wypadek, gdyby ktoś z przybyłych w ostatniej chwili miał ze sobą bukiet. Było to niezwykle ważne, żeby każdy, kto składał kondolencje, przesyłając kwiaty, figurował na tej liście. Kartki zbierał później do jednego pamiątkowego albumu i wręczał rodzinie. Następnie dostarczał gotowe, wydrukowane już kartki z podziękowaniami. Wiedział, że rodzina zawsze dokładnie studiuje zarówno tę listę nazwisk, jak i album pamiątkowy wraz z księgą kondolencyjną; obie te rzeczy stanowiły dowód tego, jak bardzo kochany przez innych ludzi i znaczący w ich oczach był zmarły, a to pomagało rodzinie w smutku. Pociechę stanowiły też słowa: „To był przepiękny pogrzeb, naprawdę przepiękny".

A to była jego praca, aby uczynić pogrzeb przepięknym. Jego i księdza. Ale najbardziej jego.

Gdy po ceremonii ponownie włączył telefon komórkowy, znalazł w nim wiadomość od Selmy Vanvik, żeby „bardzo-proszę-oddzwonił".

Odłożył telefon na siedzenie pasażera, otworzył okno i pozwolił, aby owiał go strumień lodowatego zimowego powietrza. Nagle poczuł, że duszą go te wszystkie mocne kwiatowe zapachy, wypełniające jego samochód, i o mało nie zwymiotował. Żadne

cięte kwiaty nie zagościły nigdy w jego dwupokojowym mieszkaniu w bloku we Flatåsen. Na niedużej werandzie hodował jedynie w ceramicznej donicy małego cyprysa. Dobrze było patrzeć na niego zimą, przykrytego śniegiem. Malutki widoczek, jego własny, i zupełnie wystarczający. Wcale nie potrzebował oglądać ze swego okna fiordu. Tuż nad sobą miał kolejny nowy blok, betonową powierzchnię pełną okien zasłoniętych firankami i kwiatami doniczkowymi i ozdobionych wiszącymi bibelotami, znał twarze i ruchy ludzi za niektórymi oknami, prawie we wszystkich oknach stały w tej chwili elektryczne świeczniki adwentowe, nieomal rzędem, bez większych różnic, małe piramidy składające się z siedmiu świetlnych punktów, z najwyższym pośrodku. Symetria. Życie miejskie. Tak odległe od prawdziwego, jak to tylko możliwe, dokładnie tak, jak chciał.

Równie dobrze mógł kupić sobie dom. Miał wystarczającą ilość pieniędzy, ale na co byłby mu dom. Dom spowodowałby jedynie, że zacząłby sobie wyobrażać różne rzeczy. Ostatnio zaczął jednak intensywnie myśleć o dobrej saunie. Móc posiedzieć w gorącu i wilgoci, wypocić z siebie całodniową pracę, zapachy całego dnia, wszystkie łzy, których był świadkiem, całą rozpacz i niewiarę. A w jego malutkim mieszkanku nie było miejsca na saunę. Ale może mógłby kupić nowe mieszkanie, nowiusieńkie, z miejscem na saunę, albo może z gotową już sauną. Mieszkanie o wysokim standardzie, odpowiednie na całe życie, z szerokimi futrynami, na jednym poziomie, bez progów, nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się to, co i tak nas czeka. I z windą. I wygodną łazienką. Z dostatecznie długą wanną, przestronną kabiną prysznicową,

wyłożoną solidnymi, lekko chropowatymi kafelkami, mógłby to być jasny kamień.

Selma Vanvik po pogrzebie swojego męża, który zmarł na raka prostaty, nie pogodziła się tak łatwo z nieobecnością Margida w swoim świecie.

Jechał teraz w stronę Fossegrenda, żeby odebrać bejcowany model trumny Natura dla Yngve Kotuma. Powinien do niej oddzwonić, tak nakazywała zwykła uprzejmość, ale nie zrobił tego. Minął już ponad tydzień od czasu, gdy był ostatni raz u niej i należało się spodziewać, że wkrótce znów będzie go poszukiwać.

Ciasto na półmisku, dźwięczące filiżanki do kawy, aksamitna sofa w kolorze butelkowej zieleni, jej przyprószone pudrem zmarszczki pod oczami oraz na podbródku, zwisającym nad bluzką, zapach ciężkich perfum, odpowiednich raczej na inną okazję.

Świeżo upieczone wdowy w jego wieku to nic niezwykłego. Otwierały się przed nim i zwierzały się mu ze swojego smutku. Mrugały do niego przez łzy. Były przygotowane, pławiły się w jego współczuciu i uwadze. Dużą część smutku przeżyły niejako z góry, chociaż niektórym wydawało się to niemożliwe, ale w wypadku kobiet było inaczej. Na mężczyzn śmierć spadała zawsze jak bomba. Nawet jeśli kobiety powoli odchodziły na ich oczach, chowali zazwyczaj głowy w piasek i doznawali szoku, gdy ostatecznie zostawali sami. Ale kobiety wiedziały. Selma wiedziała. I już przy pierwszej wizycie swoim uszminkowanym uśmiechem i tymi perfumami bardzo gorąco zaprosiła Margida. Ukrywając się za alibi ze smutku, zwierzała się mu ze

wszystkiego. Opowiadała mu rzeczy, których – jak twierdziła – „nigdy nikomu nie mówiła", nawet córkom. O smutnym małżeństwie, o tajemnych sprawach finansowych, o piciu i innych kobietach, wszystko w czasie, gdy on tam siedział i chciał tylko ułożyć wreszcie nekrolog i wybrać trumnę.

– Jest pan moim spowiednikiem – powiedziała. – Nie chciałabym prosić o taką przysługę księdza. Jestem mianowicie ateistką. Czy wierzy pan w Boga?

Słowo „ateistka" wypluła z siebie tak, jakby była to nazwa partii politycznej, na którą głosowała, albo sieć sklepów, którą wolała od innych.

– Zapewne nie jestem spowiednikiem w tym sensie – odparł. – Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, aby pogrzeb pani męża...

– Musi pan wszystko za mnie załatwić. Arve nie dopuszczał mnie do żadnych spraw, nie wiem nawet, jak wygląda zeznanie podatkowe. Czy przyjdą tutaj rachunki na jego nazwisko? Jak mogę temu zapobiec? Czuję się dość bezradna, muszę to panu powiedzieć, panie Margido!

– Wszystko będzie dobrze. Mamy zaświadczenie od lekarza, z tym wystarczy pójść już tylko do sądu. Potem trzeba zgłosić to do ewidencji ludności oraz w ubezpieczalni, no i musi pani sama porozmawiać z bankiem. Mają państwo przecież wspólne dzieci, które na pewno będą pomocne.

– Wspólne? Oczywiście, że są wspólne. Ale ja przecież nie będę im opowiadać tego wszystkiego. Są przyzwyczajone, że wszystko załatwialiśmy... my. On.

– Wobec tego może adwokat?

Nic nie odpowiedziała. Zamiast tego założyła nogę na nogę, pochyliła się nad stołem, zaglądając do jego filiżanki z kawą. Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania, bo filiżanka Margida była nadal prawie pełna.

Trzykrotnie po pogrzebie błagała go o odwiedziny, a on się zgodził. Nie wiedział, co mógłby zrobić innego, w końcu dopiero co została wdową, kobietą pogrążoną w smutku, taki człowiek podlegał jego zawodowej opiece, taką kobietę należało traktować ze współczuciem.

Nie, nie miał ochoty oddzwaniać. Lepiej niech już zadzwoni drugi raz albo – daj Boże – zrezygnuje. Nie miał pojęcia, czego od niego chce, chociaż to intuicyjnie rozumiał. Ale nie czuł tego zupełnie. Nigdy nie był w związku z kobietą, nigdy nie miał kobiety, po prostu nigdy tak się nie złożyło, i śmiesznie byłoby zaczynać teraz, w jego wieku, mając tylko małego cyprysa na werandzie i marzenia o saunie. Jednocześnie wbrew własnej woli był mile połechtany całą uwagą, jaką mu okazywała, przypisując mu zarazem taką nadludzką moc; że wszystkie problemy znikną, jeśli tylko on w pełni zaangażuje się w ich rozwiązanie, jeśli będzie częstował się ciastem z półmiska, położy się na sofie i zdrzemnie, jak to zaproponowała przy jego ostatniej wizycie, bo wyglądał na takiego przemęczonego. A gdy powiedział do widzenia, obdarzyła go uściskiem, nieprzyzwoitym w jego odczuciu. Oparła się o niego przesadnie mocno i ciężko, w dodatku skubiąc go przy tym za włoski na karku. Włosy porastały jego głowę znacznie niżej, niż był skłonny to zaakceptować, a włosy na karku rosły dużo szybciej niż włosy na głowie. Dwa tygodnie po każdej wizycie u fryzjera

miał już zawsze dwa rządki loków po obu stronach szyi. Starał się pamiętać o goleniu ich, ale nie zawsze mu się to udawało, podobnie jak zapominał o włosach w nosie i uszach. W te właśnie loki na jego karku pani Selma wczepiła się palcami, dosyć mocno, ściskając go na pożegnanie, a jego jedynym odruchem było w jak najuprzejmiejszy sposób opuścić to miejsce.

W magazynie znalazł bejcowaną wersję trumny Natura, zabrał ją, a także koc, poduszkę, koszulę i całun. Wstawił to wszystko na tył samochodu i przykrył kocem. Z citroenem wszystko szło znacznie szybciej, karawan z krzyżem na dachu nie mógł przejechać na żółtym świetle ani ścinać zakrętów. Zadzwonił do pani Marstad i zapytał, czy pamięta, że musi odebrać później cały sprzęt z kościoła w Strindzie. Pani Marstad potwierdziła, lecz jej ton zdradzał lekką irytację, dodała też, że pani Gabrielsen jest już w drodze do niego, aby wspólnie przygotować Yngve Kotuma. Głupio to wyszło z jego strony, pomyślał sobie później, pani Marstad zawsze o wszystkim pamiętała. Co się z nim działo, skąd brał się ten niepokój? Zdaje się, że to zdarzenie z Selmą Vanvik wytrąciło go z równowagi. Ile czasu musiało jeszcze minąć, żeby mógł przestać być taki współczująco uprzejmy? Zmusił umysł do zajęcia się sprawami praktycznymi. Po zakończeniu ubierania syna Kotuma, a przed nabożeństwem przy zwłokach, należało wydrukować dwa dodatkowe śpiewniki potrzebne na następny dzień.

Pani Gabrielsen przyjechała równo z nim. W chłodni wielokrotnie sprawdzono nazwisko, datę urodzenia oraz datę śmierci, zanim przywieziono nosze z nieboszczykiem opakowanym szczelnie

w czarny plastik. Chociaż dla Margida było oczywiste, kto tam leży, jednak takie obowiązywały procedury. A do procedur Margido stosował się zawsze niezwykle dokładnie, ponieważ robienie tego dawało mu poczucie wolności. Wyzwalało w nim bowiem inne myśli.

– Ojciec odmówił obdukcji – powiedział Margido, wyjaśniając w ten sposób, dlaczego trup nie leży tutaj umyty do czysta i starannie zaszyty przez patologa.

Nałożyli gumowe rękawiczki i przezroczyste fartuchy wiązane z tyłu. Trzeba było wiązać ostrożnie, bo cienkie plastikowe sznurki łatwo się rwały.

Wypakowali trupa. Uderzył ich nagły zapach i oboje automatycznie zaczęli oddychać ustami.

– Biedni rodzice – powiedziała pani Gabrielsen. – Czy to oni go znaleźli?

– Tak.

Pani Gabrielsen ściągnęła chłopcu majtki, otworzyła przyniesiony wcześniej z samochodu pojemnik na odpady specjalne i wrzuciła je tam. Margido usunął resztki sznura z szyi. Wysunęli spod chłopca pobrudzoną folię i zastąpili ją papierem. Następnie odwrócili nieboszczyka na bok, ułożyli w stabilnej pozycji, po czym Margido zmoczył w wodzie kawałek gazy i rozpoczął mycie. Pani Gabrielsen myła pozostałe części ciała chłopca.

Wykonywał swoją pracę starannie. Wszyscy musieli być pochowani lub spopieleni w stanie jak najczystszym, do jakiego on zdołał ich doprowadzić. Rodzinie w żałobie można było oszczędzić

przypomnienia, jak wydala ciało albo co się z nim dzieje, gdy ustaje praca mięśni.

Gdy chłopiec był już czysty na dole, Margido włożył mu korek ze zwiniętej gazy, zapobiegający dalszemu wyciekowi. Następnie zajął się językiem chłopca. Wetknął palce głęboko do gardła i próbował wcisnąć z powrotem język u nasady. Udało się to tylko częściowo, a potem zawiązał szczękę podwiązką z gazy w zwykły sposób. Próbował też zamknąć chłopcu oczy, jednak gałki oczne były tak wytrzeszczone, że powieki pokrywały je tylko w trzech czwartych. Nasmarował twarz zmarłego jasnym, prawie beżowym kremem, który przytłumił nieco kolor niebieski, szczególnie na wargach. Uczesał mu włosy na bok, na pewno będzie źle, ale zawsze trudno było zgadnąć, jaką młody chłopak mógł mieć fryzurę.

– Zostawiamy podwiązkę pod brodą do wieczora – powiedział Margido. – Rodzina przyjdzie go zobaczyć o szóstej.

Złapali ciało chłopca, aby przełożyć je do trumny. Margido schwycił najwyżej. W tym samym momencie z ust chłopca wydostało się odbite powietrze, ale Margido był na to przygotowany i miał już odwróconą twarz. Automatycznie stosował się do wszystkich obowiązujących zasad sanitarnych, chociaż chłopiec zapewne nie zagrażał niczyjemu zdrowiu. Jednak człowiek może zarażać drogą kropelkową również po śmierci. O ile Margido był dobrze zorientowany, w gardle chłopca mógł na przykład nadal szaleć gronkowiec złocisty. Poza tym ten trup miał dopiero dobę.

Wspólnie włożyli mu koszulę. Zimne ręce zostały złożone na piersi, na całunie. Na prawej dłoni miał sygnet, najprawdopodobniej prezent z okazji konfirmacji. Włosy zostały uczesane, a biały kawałek jedwabiu złożony i umieszczony na poduszce tuż przy twarzy. Torebkę ze śrubami do zamknięcia wieka pani Gabrielsen położyła w nogach zmarłego, a potem wspólnie umieścili luźno na trumnie wieko i wstawili ją z powrotem do chłodni.

Tam nie było już prawie miejsca. Yngve Kotum był dziewiąty, a w pomieszczeniu miejsca było tylko dla dziesięciu. Margido obiecał, że zabierze go najpóźniej jutro wieczorem i przewiezie do kaplicy przy kościele w Byneset, gdzie trumna miała być wystawiona aż do pogrzebu.

Wrócił o wpół do szóstej. Zaparkował i chwilę pozostał w samochodzie, nie wyłączając silnika. Zamiast tego pochylił się i włączył na moment ogrzewanie na pełną moc. Gorące, suche powietrze owiało mu dłonie. Obiad z torebki, podgrzany w aneksie kuchennym w biurze podczas poprawiania obu śpiewników, nie napełnił jego żołądka w dostatecznym stopniu i nadal był głodny. Albo... może nawet nie tyle głodny, ile raczej pusty. Za oknami samochodu rozpościerał się czarny jak smoła wieczór, dobrze było siedzieć w środku, taka ciepła wysepka, samochód otaczał go jak szczelna kapsuła. Selma Vanvik nie zadzwoniła już po raz drugi, gdyby tylko to było w stanie go jakoś uspokoić. Przez całe popołudnie padał śnieg, na pewno napadało go w tym czasie ze trzydzieści centymetrów. Wkrótce zamierzał leżeć w salonie wyciągnięty na swoim wygodnym fotelu z podnóżkiem i zerkać na

śnieg na werandzie, na malutkie, gęste gałązki cyprysika przyozdobione bielą.

Ręce udało mu się ogrzać z zewnątrz, ale nie w środku. Chwilę pocierał je o siebie, wciągnął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze, a potem zgasił silnik.

– Módlmy się. Ojcze niebieski, oddajemy się pod Twoją wszechmocną opiekę i dziękujemy ci za to, co nam dałeś poprzez tego oto Yngve, który właśnie nas opuścił. Wzmocnij i pociesz tych, którzy siedzą tutaj nieutuleni w smutku i tęsknocie. Pomóż nam żyć w pokoju z Tobą, tak abyśmy pewnego dnia mogli opuścić ten padół w Jezusie Chrystusie, Twoim Synu, a naszym Panu. Amen. Posłuchajmy teraz słowa Bożego.

Podniósł wzrok na skromne zgromadzenie osób, stojących w pewnym oddaleniu od siebie u stóp trumny. Przed ich przyjściem przetoczył trumnę do kaplicy, zapalił białe, gromniczne świece, zdjął z trumny wieko i usunął opaskę podtrzymującą szczękę Yngve. Czerwona róża na długiej łodydze spoczywała teraz w złożonych rękach zmarłego chłopca, a matka nie okazała ani cienia wczorajszej histerii na widok własnego syna w trumiennej koszuli. Po wejściu do kaplicy podeszła do trumny z wyrazem niedowierzania malującym się na twarzy, nie odrywając wzroku od głowy chłopca, złożonej na białym jedwabiu. Sztywnymi palcami dotknęła obu powiek syna, jakby musiała poczuć nieruchomość śmierci, żeby w nią uwierzyć.

Margido stał spokojnie i czekał na reakcję. Szczerze nienawidził tych chwil, nigdy nie był w stanie ich kontrolować, ludzie reagowali tak odmiennie. Niektórzy w ogóle, inni gwałtownie,

czasami irracjonalnie, ze śmiechem albo niezrozumiałymi uwagami, albo też z wściekłością, często z wściekłością, zwłaszcza w przypadku nagłych zgonów.

Ale ona położyła tylko dłoń na czole chłopca, jakby chciała go ogrzać. Chłód zwłok przywiezionych z kostnicy dla wielu osób był trudny do zniesienia, ale ona pozwoliła dłoni leżeć tam długo, nic nie mówiąc, nie płacząc, dłoń leciutko tylko drżała. Siostry zmarłego stały obok, tuląc się do siebie, miały czerwone i błyszczące twarze. Ojciec i jego siostra stali sztywni jak kołki, z twarzami pozbawionymi wyrazu, prawdopodobnie tak zostali wychowani, pomyślał Margido, a zanim rozpoczęła się chwila skupienia przy trumnie, matka chłopca usiadła na jednym z krzeseł stojących pod ścianą. Siedziała tam całkiem sama, z pochyloną głową.

– Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza[1]...

Zanim dotarł do kończącego czuwanie błogosławieństwa, w pomieszczeniu zapadła szczególna cisza, pokój. Nikt już nie płakał, każdy zapadł się w siebie, na własne oczy zobaczyli, że leży tam martwy, on, który zaledwie poprzedniego dnia był przy życiu, był dla nich dostępny, miał głos i ruchy, miał życie. Było tak, jakby śmierć naznaczyła ich rodzajem piętna, a wszelkie przebrania zostały odłożone na bok.

– Niech łaska Pana naszego, Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i jedność w Duchu Świętym będą z wami wszystkimi.

Margido przykrył twarz chłopca całunem, a potem wspólnie z ojcem umieścili pokrywę na trumnie. Wieko spadło dokładnie na swoje miejsce, zawsze tak się działo.

– Czy ktoś może mi pomóc dokręcić śruby?

Przenosił spojrzenie z twarzy na twarz. Matka nadal siedziała zgięta wpół na tym samym krześle przy ścianie i nie zareagowała na pytanie. Wzrok ojca wbity był w podłogę, może stał tam i myślał nieśmiało o całym tym śniegu, jaki w tym czasie napadał, i miał nadzieję, że sąsiad się tym nie zajmie i będzie powód, aby nie iść po powrocie od razu do domu. Siostry natomiast skinęły głowami i wzięły każda po dwie śruby, pokazał im, jak należy je założyć i docisnąć. Podczas wykonywania tej czynności w pomieszczeniu panowała całkowita cisza. Świece dopalały się, jak małe nieruchome kolumny, z czymś na kształt obojętności, która niekiedy doprowadzała Margida do szału.

Gdy później już sam wtoczył trumnę z powrotem do chłodni, dziesiąte miejsce też było już zajęte i w chłodni był komplet.

Zgasił świece, splunął w palce i starannie zdusił każdy knot. Zapach świeżo zgaszonych świec był dla niego chyba najgorszym z możliwych, gorszym nawet od zapachu ciętych kwiatów. Ale kłamstwo, które czuł w ustach, było za każdym razem coraz słabsze, malało z każdą kolejną modlitwą, jaką prowadził przy trumnie.

Zawsze sądzili, że ma na myśli dokładnie to, co mówi, dlaczego niby mieliby go podejrzewać o coś innego. I jeszcze raz musiał

sam sobie przypomnieć, że efekt wypowiadanych przez niego słów jest taki sam, niezależnie od tego, czy w nie wierzy, czy nie. Nie przebywał nad wodami, gdzie mógłby odpocząć. Ale to w gruncie rzeczy nie było żadne kłamstwo, właśnie dlatego, że nie wierzył już we wszystkie te zaklęcia. Ten wniosek zazwyczaj go uspokajał. To były tylko słowa.

A jednak czuł smak kłamstwa, jeszcze czuł.

Siedział w tym samym miejscu, które zajmował poprzedniego wieczoru, gdy około jedenastej zadzwonił telefon. Myślał to samo, co wtedy: mam nadzieję, że to stary człowiek umarł w swoim łóżku, a nie wydarzył się wypadek. Tak czy owak, nie miał siły na nową sprawę przez dzień lub dwa i odesłałby klienta do jednego z większych biur. Zjadł grzankę z serem, podgrzaną na patelni pod przykrywką, wykąpał się, ogolił sobie kark, użył małej golarki na baterie do przycięcia włosów w uszach i nozdrzach i włożył szlafrok, obejrzał program przyrodniczy o pogłowiu rosomaków w norweskich górach, przejrzał machinalnie aktualną gazetę.

W głowie miał już przygotowany numer telefonu do konkurencyjnej firmy pogrzebowej, gdy po trzecim sygnale wcisnął mały guziczek z wizerunkiem zielonej słuchawki.

To był jego starszy brat, Tor. Gospodarz w Neshov. Margido położył rękę na oparciu fotela i zacisnął ją. To było nieprawdopodobne, żeby tutaj dzwonił, a jednak Margido siedział tam przecież, słysząc w słuchawce jego głos. Wkrótce święta, czyżby matka coś próbowała robić, zdążył pomyśleć, a potem starszy brat powiedział:

– Chodzi o matkę. Jest w szpitalu.

– Co się stało?

– Wylew.

– Poważny?

– Chyba tak. Ale mówią, że nie umrze dziś w nocy. O ile nie będzie drugiego wylewu.

– Dzwonisz ze Świętego Olava?

– Tak.

– Wobec tego... ja przyjadę.

– To my tu czekamy.

– My?

– Ojciec też tu jest.

– Dlaczego?

– Pomógł zapakować ją do samochodu. Nie mogłem czekać na karetkę. I przyjechał tu ze mną.

– Będzie tam siedział całą noc?

– Jesteśmy jednym samochodem. Ale na mnie w domu czeka robota. Mam maciorę, która...

– Macie teraz świnie?

– Tak.

– Zabierz go ze sobą do domu. A ja pojadę do matki.

– No dobrze.

– Tyle przecież możesz.

– Tak, powiedziałem już.

– Czy możesz do mnie zadzwonić? Jak przyjedziecie do domu? Wtedy ja wyruszę stąd.

– Tak.

– Czy skontaktowałeś się z... Erlendem?

– Jeszcze nie. Nie mam numeru.

– Informacja zagraniczna na pewno ma.

– Przecież nie wiemy nawet, gdzie on...

– Dostałem kartkę kilka lat temu, stempel był z Kopenhagi.

– Naprawdę? – zapytał Tor.

– Tak. Zadzwoń do informacji zagranicznej.

– Ty jesteś lepszy w takich sprawach, Margido. Może mógłbyś to zrobić?

– Dobrze. Ale zadzwoń, jak już będziecie w domu. Nawet gdyby to był środek nocy.

Pozostał w pozycji siedzącej z telefonem na kolanach. Jego myśli błąkały się luźno, a stopy były całkiem odrętwiałe, gdy telefon zadzwonił ponownie. Zobaczył, że wskazówki zegara ściennego pokazują dziesięć po dwunastej.

---

[1] Ps. 23, 1–4. Cyt za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1983 (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 2

Ależ to będzie piękne! Kurna mania!

– To niełądnie tak się wyrażać. Ludzie się tak nazywają. Wy, górale, nie potraficie nawet...

– Wobec tego powiemy „do diabła". Po duńsku, przez „d". Ze względu na ciebie, rozumiesz, i twoją wrażliwą duszyczkę. Potrzymaj to, skarbie.

W gruncie rzeczy to chyba opatrzność boża sprawiła, że biuro przysłało mu tego młodego głupka do wspólnego wykończenia okna wystawowego. Młodziutki chłopiec pozbawiony odwagi twórczej, niezbędnej do przeforsowania własnych pomysłów albo zmian. Był z Jutlandii. Słodziutki, z cudownym, ciemnym, prawie kobiecym puszkiem nad górną wargą i bardzo wyraźnie zaznaczoną górną linią ust. Jego uszy również były pokryte tym ciemnym, lekko przykurzonym puchem. Do tego wszystkiego zdjął sweter i pracował w obcisłej koszulce w kolorze miodowej żółci oraz w nisko opadających biodrówkach, ukazujących spory kawałek czarnego futerka, które śmiało i bezczelnie zbiegało, wskazując w dół, ku klejnotom. Plecy chłopca pokryte były

wilgocią potu, skóra złota jak crème brûlée. Wszystko to razem stanowiło duże plusy, a już szczególnie fakt, że słuchał każdego najdrobniejszego polecenia i nie czepiał się niczego poza słowami ciężkiego kalibru, chociaż był tylko praktykantem i miał się uczyć, zadając pytania o celowość każdego ruchu.

To okno skomponował już wcześniej w głowie, w mroku sypialni, z Krumme pochrapującym tuż przy swoim boku, i wiedział, że będzie doskonałe. Niestety zmuszony był wykonać szkice na użytek właściciela, a to nieco przyćmiło jego radość płynącą z realizacji projektu. Nie było jednak innego sposobu zważywszy, że to właściciel miał wybrać wszystkie ozdoby. Najchętniej zrobiłby wszystko sam, zakrywając wielką płachtą szybę przed ciekawskimi, bez ludzi w sklepie, aby później odsłonić okno w całej jego wspaniałości dla rozemocjonowanej publiczności, oczekującej w śniegu na chodniku. Wstrzymaliby oddech w jednogłośnym podziwie w chwili, gdy odsłaniałby płachtę, wznosząc w jego stronę kieliszki z szampanem i wyrażając pełne zachwytu uznanie. To było marzenie, którym przed wykończeniem każdego kolejnego okna wystawowego mógł bawić się w wyobraźni godzinami.

Teraz jednak w środku siedziało dwóch strażników i pilnowało kosztowności. Pili kwaśną kawę i ukradkiem palili papierosy, wychylając się przez tylne drzwi, jednocześnie gapiąc się na wszystko, co działo się w oknie wystawowym wychodzącym na małą, boczną uliczkę od Strøget. Nigdy nie zdarzyło się tak, jak w jego fantazjach. A on sam był jedynie człowiekiem, wyposażonym niestety w zaledwie dwie ręce i dlatego zależnym od pomocy asystenta.

– A więc już tylko trochę ponad tydzień zostało do świąt. Że też im się chce – powiedział młody chłopak i podniósł wysoko w powietrze rolkę folii aluminiowej tak, jak go o to poprosił; z jego dłoni spłynęła fala odbitego światła, gdy stał tam, jak lekko obrażony Atlas, ze światem trzymanym nad głową.

– To przecież są najlepsze dni! Do jubilera przyjdą wszyscy mężczyźni, którzy w ostatniej chwili będą chcieli kupić prezent dla żony. Mężczyźni pełni poczucia winy za całoroczną pracę w nadgodzinach i niezliczone skoki w bok, którzy wyciągają swoje karty płatnicze i przesuwają je przez terminal, wydając kwoty tak niebotyczne, że karty prawie kurczą się od gorąca spowodowanego tarciem! Właśnie, i to nie tylko dla żon, ale również dla kochanek, szczególnie dla kochanek! A poza tym ta wystawa może stać do okresu po świętach, właśnie to jest w niej piękne. A przynajmniej trochę, może nawet do stycznia. Nie ma tu przecież nic czerwonego. Żadnego aniołka, ani jednego Mikołaja. Bez płatków śniegu i bez kokardek świątecznych. Słuchaj i się ucz. Wkrótce nowy rok, nieprawdaż? To jest prawie wystawa noworoczna! I nowa wystawa roczna. Carlsbergowi naprawdę należą się podziękowania za promocję dobrego gustu!

Dwa dni wcześniej samochód dostawczy Carlsberga, cofając, uderzył prosto w okno jubilera i zamienił całą wystawę świąteczną w ruinę. W chaosie, który potem nastał, zaginęło kilka diamentowych pierścionków i bransoletka ze szmaragdami. Zlecenie na zrobienie tego okna otrzymał jako superpilne. Tak tuż przed samymi świętami nie chcieli dokładnie kopiować poprzedniej świątecznej wystawy. Zapłacono mu sowicie, właśnie

dlatego, że było mało czasu, chociaż grudzień był dla niego prawie martwym sezonem, bo wszyscy chcieli mieć wystawy gotowe najpóźniej w połowie listopada.

Odbudował ją ze srebra, złota i szkła. Zdobył różne przywieszki z kryształu szlifowanego jak diament. Gwiazdy, oszczepy, krople, serca. Zwieszały się z sufitu na różnych wysokościach na niewidzialnych nitkach, precyzyjnie oświetlone światłem punktowym, które przy najmniejszym poruszeniu, nawet o milimetr, wydobywało z nich eksplozję barw szlifu fasetkowego. Były oszlifowane na kształt pryzmatu, ale w sposób znacznie bardziej wymyślny niż zwykłe stożki szklane i sygnalizowały klasę. Boczne ściany wystawy pokryte były srebrną tkaniną, złoty materiał wyścielał spód, a schodki ze szkieł i luster tworzyły na różnej wysokości półeczki. Za szkłem znajdowały się torsy manekinów zawinięte w folię aluminiową, z pominięciem miejsc strategicznych. Zachował głowy, bez peruk, ale usunął ręce. A folia aluminiowa była owinięta wokół torsów w taki sposób, że na jednym z nich pozostawały odkryte uszy, i na nich można było podziwiać kolczyki; a na drugim odsłonięta została szyja, na której prezentował się szeroki srebrny naszyjnik, ozdobiony wzdłuż brzegu perełkami. W prawej części okna wystawowego stały równym rzędem srebrne przedramiona, dwanaście sztuk, z pierścionkami na każdym palcu i bransoletką na przegubie dłoni. To było proste, ale efektowne zagranie, tak jakby zgraja kobiet wystawiła ręce z dziury w podłodze i żarłocznie machała do białego złota i diamentów. Ten pomysł przyszedł mu do głowy po obejrzeniu wystawy poświęconej sztuce ciał w Galerii Metalu.

W tle chciał zrobić zwisające długie welony z folii, rzucające światło, osiągnąłby w ten sposób efekt bomby świetlnej, ze źródłem intensywnego blasku i refleksów w środku, jak w lodowym zamku. Tuż przy przedniej szybie, przed rzędem wyciągniętych srebrnych rąk, zamierzał postawić dwa napełnione w połowie kieliszki do szampana i prawie pustą butelkę Bollingera, rozłożyć nieco podartego świątecznego papieru i bransoletkę, tak jakby ktoś właśnie odpakował prezent, małe otwarte pudełeczko z pierścionkiem z wielokaratowym diamentem i małe, seksowne majteczki z surowego jedwabiu, rzucone niedbale obok butelki szampana. Czerwone wino odpadało, w ciągu kilku dni zwietrzałoby w kieliszkach, pozostawiając na nich wyschnięte ślady, a szampan zawsze dobrze komponował się z kosztowną biżuterią. Nie wspomniał ani słowem właścicielowi o tych majteczkach, ale to była Kopenhaga, facetowi na pewno spodoba się taka sugestia rewanżu ze strony wdzięcznej kobiety.

Pracował, czując w środku coś na podobieństwo ciepłej, przedłużonej w czasie szczęśliwości. Taki rodzaj szczęścia, które od czasu do czasu powoduje przyspieszenie oddechu i małe uderzenia adrenaliny w splot słoneczny. Otworzył butelkę szampana i przytknął ją do ust.

– A ja?

Ech, ten obrzydliwy jutlandzki dialekt. Prawie jak z okolic Trondheim. „A ja?”

Odbeknął i powiedział: – Jesteś uczniem. A ta butelka stanowi część dekoracji. I dlatego musi nosić pieczęć z mojej śliny, moje

DNA, mój stempel.

Chłopak nawet się nie uśmiechnął. Zupełnie na nic zda się posiadanie miodowozłotej skóry na brzuchu, jeśli się nie ma poczucia humoru – pomyślał.

Stał tam z ciałem oszołomionym lekko szampanem i oglądał gotową wystawę z zewnątrz. Nie czuł zimna mimo pięciu stopni mrozu i faktu, że był spocony i bez ubrania wierzchniego, a może jednak było mu zimno, ale kompletnie go to w tym momencie nie interesowało. Wystawa wyróżniała się wśród innych okien sklepowych jak pulsujący punkt, jak cios światła w mrok wieczoru, jak wizualny magnes, jak fizyczna, kwadratowa presja zakupu. Poczucie szczęścia znów na niego spłynęło niczym uderzenie, pojawiła się myśl o prezencie, jaki dostał dziś rano od Krumme, o prezencie przedświątecznym, który może dziś wieczorem będzie miał swoją premierę.

Podskoczył znów do wystawy.

– Stoi jak malowanie. Jak kurna mania.

– Fajnie. To idę.

– „Pewnego razu prawdziwy, wielki Jutlandczyk wycelował strzelbę w faceta z Trondheim, chcąc go zastrzelić, ale czoło, w które celował, było zbyt twarde. Na człowieka z Trondheim nie ma kuli". Słyszałeś to?

– Człowiek z Trondheim? A co to?

– Pokazałbym ci to dość dokładnie, gdyby nie to, że zostałem monogamicznym facetem z alergią na prezerwatywy. Wesołych Świąt, skarbie. Mam nadzieję, że dostaniesz coś, czego naprawdę pragniesz. Najlepiej od tyłu.

Chłopiec wciągnął sweter. Przekładając głowę przez dekolt, z włosami niezbyt twarzowo przyklejonymi do czaszki, bo naelektryzowanymi, powiedział: – Nie wpuszczam w siebie takich starych kołków jak ty. Wolę zapleśnieć.

Erlend roześmiał się głośno. – Widział to kto! Widział to kto! I tak masz ten kołek w sobie! Ciesz się tym! Zanim zapleśniejesz. Przedwcześnie.

– Co, do kurwy nędzy, masz na myśli?

– Co „do kurrrwy nędzy" mam na myśli? Wesołych Świąt! I jebanego Nowego Roku, chłopcze!

Lato też było cudowne. Miało w sobie lekkość, dużo nagiej skóry, pokrytego rosą szkła, śmiechu w błękitnych nocach, spoconych pach, nagich palców wystających z sandałów, zapachu wodorostów, zawsze przypominającego mu o wilgotnym spełnieniu. A wiosna była piękna. Wiosna ze wszystkim, co właśnie uchylało się i odsłaniało, z zaczynaniem od nowa, tym razem całkiem inaczej, może po raz pierwszy, nigdy nic nie wiadomo, przecież było się tylko człowiekiem, który nigdy nie tracił nadziei. I jesień. Druga w kolejności najlepsza pora. Ostre powietrze, liście na ziemi tak piękne, że nie sposób było pojąć, iż nie są rękodziełem, gorąca czekolada z odrobiną bitej śmietany, wysokie chmury, oczekiwanie. Jednak najlepsza była zima. A w środku zimy były święta, leżały na najwyższej półce, rozgwieżdżone.

Ruszył w stronę domu przez Gråbrødretorv z rękami głęboko schowanymi w kieszeniach kurtki z owczej skóry, wzdłuż świątecznie przyozdobionych ulic, drzewa obsypane masą

elektrycznych lampek wyglądały jak w filmach Disneya, niebo o barwie głębokiej czerni z prawdziwymi gwiezdnymi ozdobami przyćmiewało wszystko, co sztuczne. Wzdłuż Strøget kłębił się tłum ludzi. Na ich twarzach wypisane były święta. Oczywiście również pośpiech i stres, ale też i piękno, i wszystkie tajemne radości, jakie nosili w sobie. Niespodzianki schowane głęboko w szafie, całkiem z tyłu, posiłki starannie zaplanowane, podobnie jak rytuały, ozdoby, pragnienia i cała ta przesada. Dla niego święta były centralnym punktem roku, od którego wszystko symetrycznie promieniowało, zamknięte po przeciwnej stronie nocy świętojańskiej.

Przemokły mu nogi, ale w niczym absolutnie to nie przeszkadzało. Marzył o wejściu do jacuzzi, postawieniu sobie na brzegu wanny kieliszka szampana, o chwili, gdy wejdzie do mieszkania i zamknie za sobą drzwi, zdaje się, że mieli jeszcze w zapasie cztery–pięć butelek Bollingera. Tuż obok niego przemknęła dorożka, z dziećmi siedzącymi w mikołajowych strojach na tylnej ławce, z pochodniami uroczyście trzymanymi w dłoniach. Coś gdzieś musiało się odbywać, w Kopenhadze zawsze coś się działo, we wszystkich miejscach, w tym samym czasie, a człowiek o tym nie wiedział, nie dało się wszystkiego wiedzieć, to miasto mieściło w sobie tysiąc razy więcej, niż pojedynczy człowiek zdołał przyswoić. Nigdy nie chciałby się stąd wyprowadzić, nigdy, cała ta kopenhaskość stała się jego domem, to było królewskie miasto, miasto królów, jego i Krumme. Wciągnął powietrze głęboko w płuca, smakując jego chłód, otworzył szeroko oczy na wszystkie światła i ruchy i poczuł nagły przypływ pożądania. Jutro będzie piekł chleb, na przedświąteczne

spotkanie za trzy dni. Ciemny żytni chleb, który pakował potem szczelnie w folię i chował do lodówki, aby móc następnie odkrawać cieniutkie, wilgotne kromki, gdyby ktoś wieczorem miał ochotę na kanapkę ze śledziem. Chciał też przygotować już w foremkach kruche ciasto na deser jabłkowy, tak żeby włożyć nadzienie i zapiec je tuż przed przyjściem gości. Krumme na pewno pamiętał o wyjęciu drzewka, które miało stać na tarasie na dachu, ozdobione setką światełek oraz złotymi i czerwonymi koszyczkami świątecznymi, obsypane sztucznym śniegiem na wypadek, gdyby padał deszcz. I z nieodłączną gwiazdą od Georga Jensena na szczycie, rzecz jasna. Na choince w domu chcieli mieć prawdziwe świeczki. Tylko piętnaście, to zupełnie dosyć, gdy trzeba pilnować, żeby któraś nie upadła i nie zapaliła choinki, obracając święta w popiół.

Świąteczna kolejka przejechała obok. Akurat bez tego spokojnie mógłby się obejść. Kolejka i święta, co to właściwie miało ze sobą wspólnego. Ten element zakłócał i niszczył całość, jak nieestetyczny plakat z przeceną w centrum pięknej poza tym wystawy. Ciepło ubrane rodziny z małymi dziećmi i turyści siedzieli w wagonikach i niemrawo kręcili na wszystkie strony głowami, transportowani w ten upokarzający sposób od rynku Kongens Nytorv do choinki na placu Ratuszowym.

Zajrzał do Madam Celle i kupił sobie kawę o smaku czekoladowym, wciągał nosem zapachy z półek, podczas gdy młoda dziewczyna stała w oczekiwaniu przy młynku do kawy z przygotowaną złotą torebką. Piskliwy, gorączkowy dźwięk przypomniał mu nagle młynek do kawy w składzie handlowym w Spongdal, gdzie matka pozwalała mu czasem, gdy był małym

chłopcem, potrzymać torebkę pod wylotem młynka. Pamiętał rosnący mu w rękach ciężar ciepłej, świeżo zmielonej kawy i metalowy pasek na brzegu papierowej torebki, który przed zagięciem boków do środka zawijał dwa razy, żeby zamknąć w ten sposób torebkę jak najszczelniej. Wtedy matka go chwaliła, szybkim ruchem gładząc po włosach, a następnie wkładała torebkę z kawą do swojego koszyka.

Żeby przegonić z głowy wspomnienie, zaczął gawędzić z dziewczyną, a ona chętnie opowiadała mu różne rzeczy, między innymi o nowej kawie o smaku karmelowym, którą właśnie dostali, oczywiście wszystko tylko po to, żeby miał chęć ją kupić, ale nie miał już siły, żeby jeszcze raz słuchać dźwięku tego młynka. Razem z resztą dostał do ręki plastikowy kubek z grogiem.

– Wesołych Świąt – powiedziała z uśmiechem. Wśród zapachów kawy poczuł słaby aromat cygara; ktoś siedział na zapleczu i palił, może to jej chłopak czekał na zamknięcie sklepu.

Pił małymi łykami grog, podążając dalej. Gdy kubek był pusty, wybrał palcami z dna kawałki migdałów i rodzynki i pomyślał o prezencie od Krumme. Albo nie, właściwie to nie będzie go otwierał dziś wieczorem, chciał być wtedy sam. Pragnął się nim napawać, nic nie mówiąc, w samotności. Postał chwilę na rynku Amagertorv, podziwiając światła, największy na świecie kalendarz adwentowy, który dopalał się nieskończenie powoli. Nie był już taki wysoki; gdy Mikołaj zapalił świecę pierwszego grudnia, miała sześć metrów wysokości i ponad pół metra szerokości, on i Krumme stali i patrzyli, ramię w ramię, jak

dzieci, wypełnieni jagnięcym stekiem i czerwonym winem po wizycie w Bagatellen.

Krumme spotkał go w windzie, w drodze po cygara.

– Mogłeś przecież po prostu do mnie zadzwonić! – powiedział Erlend, pochylił się szybko i na kilka sekund wziął do ust koniuszek jego ucha, zasysając go lekko. Krumme miał grube i przyjemne małżowiny, miękkie jak aksamit i zawsze ciepłe.

– Nie chciałem przeszkadzać artyście. Czy wyszło nieskończenie pięknie? Tak jak chciałeś? – zapytał Krumme.

– Lepiej. Musisz pójść ze mną jutro to zobaczyć. Teraz się pospiesz. Chcę się wykąpać.

– Kupić ci coś, myszko?

– Nie. Kupiłem kawę.

Wejście do mieszkania po długim dniu spędzonym w wielkim świecie było jak wejście w futerał, jak ubranie się w miękkie futro spowijające ciało i myśli. Zaplanowany przez Krumme obiad leżał pięknie rozłożony na blacie kuchennym, kawałki jagnięciny błyszczały na czarnej kamiennej płycie, warzywa były już pokrojone w paski, ryż odmierzony, papryczki chili oczyszczone z pestek, kolendra posiekana na zieloną masę, noszącą wyraźne ślady noża, mleczko kokosowe przelane z puszki do dzbanka dla nadania mu pokojowej temperatury. Dwie otwarte butelki wina stały na blacie przy piekarniku i miały się dobrze. W jednej z lodówek znalazł butelkę Bollingera, ostrożnie odwinął z niej koszyczek i powolnym, okręcającym ruchem wyciągnął korek, unikając zalania i utraty bąbelków. Z szyjki butelki wydostał się mały, biały dymek. Poszedł do salonu po kieliszek. W kominku

gazowym paliło się, w powietrzu unosiła się dyskretna muzyka, tak cicha, że nie do końca był pewien, jaka, ale prawdopodobnie był to Brahms. Krumme uwielbiał słuchać Brahmsa przy gotowaniu, mówił zawsze, że to mu przypomina niedzielne obiady z dzieciństwa, we wspaniałej willi w Klampenborg.

W kąpieli, ze szklanką w ręce, zaczął myśleć o świątecznym życzeniu numer jeden Krumme i roześmiał się głośno. Gdyby Krumme stanął tam nagle i zapytał, z czego się śmieje, to opowiedziałby mu o tym jutlandzkim księciu, który bał się zapleśnieć. Krumme chciał dostać strój z *Matrixa*. Czarny skórzany płaszcz do kostek, z wcięciem w talii. Erlenda zawsze nieco zdumiewał i wprawiał w pewną zazdrość całkowity brak samokrytycyzmu u Krumme w kwestii własnego wyglądu. Krumme w stroju z *Matrixu* to mniej więcej tak, jakby nałożyć ciasną, skórzaną mufkę na piłkę plażową – powietrze w piłce wypychałoby mufkę na wszystkie strony. Facet miał sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, nieznaną wagę i nagi przypominał wielką kulę na dwóch patykach, przyozdobioną mniejszą kulą na szczycie. Gdyby do szyszki doczepić dwie zapałki, a na czubku dać orzech laskowy, to byłby właśnie cały Krumme. On sam jednak chwalił się, że jest tego samego wzrostu, co Robert Redford i Tom Cruise.

Zamknął oczy i opróżnił kieliszek do dna. Od szmeru dysz i pieniącej się wody poczuł się senny. Zmusił się do otwarcia oczu i podziwiał ryby pływające w słonowodnym akwarium, ciągnącym się przez całą długość łazienki. Te dwie turkusowe były najpiękniejsze, Tristan i Izolda, napełnił ponownie kieliszek

i wzniósł w ich stronę toast. Oczywiście, że Krumme dostanie swój płaszcz, pojutrze miał go odebrać od krawca, który prawdopodobnie w sztuce dopasowywania wykonał właśnie dzieło życia, mając za podstawę dokładne wymiary ukradkiem wzięte z innych ubrań Krumme. Ale ten widok...

Sama myśl o tym sprawiała, że cieszył się niepomiernie na Wigilię.

– Chcesz pofiglować?

– O, jesteś, skarbie. Nie, jestem za bardzo zmęczony...

– To usiądę sobie tutaj.

Krumme opadł na biały fotel w rogu przy palmach i ściągnął skarpetki, a potem przytknął palce stóp do ciepłej podłogi z terakoty.

– Przynieś sobie kieliszek, jeszcze trochę zostało – powiedział Erlend. – A jeśli przyniesiesz kolejną butelkę, to może jednak będę miał chęć na zabawę. O! Zapomniałem obejrzeć drzewko! Przyniosłeś je?

– Oczywiście. Stoi na tarasie.

– Nieprzystrojone, mam nadzieję? Chcę sam to zrobić!

– Oczywiście, że ty to zrobisz. Ale czy nie mógłbyś wyłączyć tego cholernego atlantyckiego orkanu, nic tu kompletnie nie słychać. A ja przyniosę bąbelki.

Wrócił nagi, kołysząc ciężko swoim okrągłym ciałem, z kieliszkiem i nową butelką. Usiadł w wannie po drugiej stronie i woda się przelała. Wkrótce jego twarz pokryła się potem.

– To jest właśnie szczęście. Lej do pełna – powiedział, wyciągając kieliszek w stronę Erlenda.

Zachichotali, pociągając łyk szampana z uniesionymi w górę podbródkami i zamkniętymi oczami. Krumme chciał wiedzieć wszystko o wystawie, a zamiast tego usłyszał wszystko o jutlandzkim sztywniaku. Wystawę będzie musiał obejrzeć sobie sam.

– Nie da się tego opisać – powiedział Erlend. – Jak pracujesz jutro?

– Od piątej i dalej. I jakby mało było wszystkiego, musieliśmy wstrzymać reportaż o świętach w zamku Amalienborg – powiedział Krumme.

– Dlaczego, na miłość boską?

– Królowa miała go zatwierdzić i nie uwierzysz, kurwa, postanowiła wykluczyć jedno zdjęcie, było zbyt prywatne, jej zdaniem. A wtedy oczywiście wszystko trzeba przerobić, cały layout i tekst również.

– A co było nie tak na tym zdjęciu?

– W tle widać otwarte drzwi do kuchni, gdzie coś wisi na krześle. Te drzwi miały być zamknięte. To wina tego idioty fotografa.

Pociągnął z kieliszka głęboki łyk. Erlend gapił się na niego przez chwilę, po czym wykrzyknął: – Ale co wisi na tym krześle? Powiedz to w końcu! Na Boga Ojca, jaki ty potrafisz być czasem irytujący, Krumme!

– Marynarka. Brązowa marynarka.

– Ale co...

– Nie mam pojęcia. Naprawdę nie mam pojęcia. Może to zapomniane okrycie wierzchnie kochanka.

– Na pewno! Jak się ma za męża takiego zgorzkniałego, rozpieszczonego hrabiego. Wino. To wszystko, co go obchodzi. Wino i winogrona, i francuskie zamki.

– To i tak nie najgorzej. Na zdrowie!

– Porozmawiajmy o przyjęciu! Tak się cieszę, Krumme! Ze stołem zaczniemy pojutrze, prawda? Mamy wtedy na to cały dzień, zanim przywiozą kwiaty. I à propos stołu! Nie widzieliśmy jeszcze stołów z czekolady!

– Ja widziałem. Robiliśmy przecież duży reportaż z Kongelig Dansk w drugą sobotę adwentu, pamiętasz przecież.

– No tak, na zdjęciach. Ale tam nie byłeś. Tylko posłałeś fotografa. Ja chcę je powąchać, Krumme! Jeden stół został zrobiony ze stu kilo czystej czekolady, i zastawiony czekoladowym półmiskiem wyglądającym jak malowana porcelana!

– Wiem o tym.

– Wiem, że wiesz! Nie bądź głupi! Ale jutro tam pójdziemy. Najpierw moja wystawa, potem Kongelig Dansk. To dobra kolejność...

– Chodź tutaj.

– Po co? Pożądasz mojego ciała?

– Tak.

– Ups. Woda się przelewa.

Po tym, jak skończyli się kochać tak, że aż podłogę w łazience zalała woda, po zapaleniu trzech świeczek na lichtarzu adwentowym, po wspólnym zrobieniu obiadu i zjedzeniu go, Erlend zauważył skrzynkę stojącą przy garderobie. Rozpoznał ją natychmiast. W zeszłym roku przysięgał sobie, że znajdzie ją

z odpowiednim wyprzedzeniem i odda śmieciarzom, a następnie okłamie Krumme, mówiąc, że zaginęła, prawdopodobnie bezczelnie skradziona z komórki w piwnicy. Mimo że na komórce wisiała wielka kłódka. Albo... może w sumie nie zaplanował w szczegółach, co powiedziałby Krumme, ale teraz skrzynka już tam stała. Było za późno.

– Nie będziemy tego wyciągać, lepiej zapomnij – powiedział do Krumme rozwalonego na sofie z szlafrokiem rozchylonym na brzuchu. Jego pępek przypominał zaciśnięte oko.

Krumme westchnął. – Mówisz tak co roku.

– Nienawidzę tego gówna! Wywalę tę całą skrzynkę przez okno! Teraz, w tej chwili!

– Nie zrobisz tego. Żłóbek będzie stał tam, gdzie zawsze od jedenastu lat. Że też można być tak niewdzięcznym. To był prezent ode mnie dla ciebie. Prezent dany z miłości.

– A to z kolei ty mówisz mi co roku – rzekł Erlend i gniewnymi krokami podszedł do baru, nalał sobie szybko kieliszek koniaku, który opróżnił jednym haustem, potem nalał również taki sam kieliszek dla Krumme i kolejny dla siebie. – Nic nie pomoże, że to był prezent dany z miłości, skoro go nienawidzę z całego serca!

– Nie pojmuję, dlaczego.

– Po prostu jest brzydki. Brudna stajnia, bezbarwne ubrania, bieda! I ten idiotyczny mały gówniarz leżący w oślim żłobie, z gwiazdą wiszącą nad głową, to już w ogóle szczyt wszelkiej śmieszności! Kłamstwo i obłuda! Obrzydliwość!

– W zasadzie nikt nie zrobił tego w taki sposób po to, żeby cię irytować. Józef i Maria nie posiadali kompletnie niczego,

a stajenka nie została uprzednio ze smakiem urządzona przez artystę dlatego, że Zbawiciel miał się w niej narodzić.

– Tak, gdyby to jeszcze była prawda. Potworne ubrania tego całego ojca...

– Biednego cieśli z Nazaretu, myszko. Miejże trochę zrozumienia dla historii, jaka się za tym kryje, i dla tradycji, zanim...

– Nie cierpię tej historii i tej tradycji. I ci trzej królowie! Przecież... oni są królami! Czytałem gdzieś, że byli bogaci!

– Może czytałeś o tym w Biblii. Trochę tam jest o nich napisane.

– Ale oni byli bogaci! Na pewno ubierali się w purpurę i jedwab, i gronostaje! A w naszej stajence stoją ubrani w jakąś prostacką bawełnę! W bezpłciowych kolorach i brzydkich koronach, których nie da się doczyścić! Z każdym rokiem są coraz bardziej czarne. Nie! Nie chcę tego wyciągać! To zniszczy całość! Zniszczy mój świąteczny nastrój!

– Kupiłem ten żłóbek w Oslo, jeśli jeszcze pamiętasz. Jest norweski. Dlatego go nienawidzisz.

– Norwegowie uwielbiają takie gówna. Siedzą, gapiąc się na biedę, i w samozadowoleniu cieszą się swoim umiarkowaniem, wstydzą się głośno śmiać, wstydzą się radować z dobrego jedzenia i ze wszystkiego, co wnosi w życie trochę przepychu i przyjemności.

– Sądzę, że znalazłoby się kilku Norwegów, którzy nie myślą akurat w ten sposób. Ty, na przykład.

– Ja jestem Duńczykiem. Stałem się Duńczykiem.

– Ale nigdy mi niczego nie opowiadasz.

– Nie ma co opowiadać. Jestem sobą. Jestem tutaj. Razem z tobą. To takie proste. A żłóbka nie będziemy wyciągać.

– Będziemy. Ja go uwielbiam. Jest taki prosty i piękny. Dokładnie jak świąteczne przesłanie.

Erlend ryknął śmiechem. – No, teraz już mówisz to tylko po to, żeby mnie drażnić! Zupełnie jakbyś był wierzący? Jeśli jeszcze nie zapomniałeś, to tu, w tym domu, obchodzimy sobie święta, ale nie odprawiamy żadnej chrześcijańskiej mszy. Święta to pogańskie obchody, skupione wokół krwi zwierząt ofiarnych oraz słońca, które zawraca swój bieg, a nie wokół źle ubranej rodziny z małym dzieckiem, pochodzącej ze Środkowego Wschodu!

– A jednak.

– To wstaw sobie ten żłóbek do toalety dla gości. Nasi goście będą mogli siedzieć tam i srać, patrząc Józefowi w oczy, czując wdzięczność za to, że nikt z nich nie musiał zostać ojcem zbawiciela świata.

– Niezupełnie całego świata, zdaje mi się. W innych miejscach na ziemi wierzą w innych fajnych chłopaków. Mahometa i Buddę, i...

– Nie zbaczaj z tematu! Żłóbek idzie do sracza!

– Będzie stał tam, gdzie zawsze. Chodź i usiądź tu przy mnie, myszko.

– Nie. Chcę wstawić choinkę na jej miejsce na tarasie. Na statyw. Założyć lampki. I powiesić koszyczki.

– Teraz? Akurat teraz?

Tupnął nogą w podłogę. – Teraz! W tej chwili!

Krumme wytoczył się z sofy, zawiązał dokładnie szlafrok, przyniósł buty dla nich obu i posłusznie wyszedł na taras, żeby

przywrócić *status quo*.

I gdy w chwilę potem – oraz sporo kieliszków koniaku później – drzewko stało już na środku sześćdziesięciometrowego tarasu, z zapalonymi lampkami i złotymi koszyczkami napełnionymi sztucznym śniegiem, obaj opadli na sofę, podziwiając choinkę przez przesuwane szklane drzwi.

– Kocham cię – szepnął Krumme. – Tworzysz wokół siebie magię, oddajesz własne piękno ku radości wszystkich innych.

– Ładnie powiedziane. Ale to zapewne tylko egoizm. Nie robię tego dla innych, tylko dla siebie. I trochę dla ciebie.

– Zimno mi – powiedział Krumme i położył mu głowę na ramieniu. – Na dworze jest prawie zero stopni, a ja pracowałem jak zwykły robol, ubrany tylko w jedwabny szlafrok.

– Ale to jednak Armani. Więc chyba trochę grzeje. Wstawię teraz kawę. Wypicie prawie całej butelki koniaku bez kawy oznacza, że jesteśmy alkoholikami. Masz tutaj, okryj się wełnianym pledem.

– Świetnie – rzekł Krumme. – Może stać w toalecie dla gości. A ja chcę kawę ze śmietanką.

Właściciel sklepu zostawił na wystawie damskie majteczki. I nie tylko je zostawił, ale też wychwalał pomysł pod niebiosa, nazywając Erlenda geniuszem. Krumme czekał na zewnątrz, paląc cygaro, i wielkimi okrągłymi oczami patrzył na machające kobiece przedramiona, wystające znikąd.

– Aż mam ochotę coś tu kupić – powiedział do Erlenda, gdy ten znów wyszedł.

– Niczego stąd nie chcę poza ozdobami. Te pryzmaty. Ale one nie są na sprzedaż.

– Swarovski?

– Jasne.

– Będziesz miał dziś miły wieczór, jak rozumiem. Samotny.

– Tak. To był cudowny podarunek, Krumme. Cieszę się niepomiernie na tę chwilę.

– Będzie więcej. Mikołaj już o to zadba.

– Idziemy teraz obejrzeć te stoły. A zdążymy wpaść do wesołego miasteczka, zanim pójdziesz do redakcji?

Od chwili otwarcia świątecznego kiermaszu już pięć razy byli w wesołym miasteczku. Wiedział, że to dziecinne, ale nie był w stanie nic z tym zrobić. Umrze pewnie dziecinny i przekaże w testamencie wszystkie swoje filmy Disneya Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Trochę więcej Disneya, a świat stanie się spokojniejszym miejscem. I nie można było przecież odczuwać niczego innego niż szczęścia, przechodząc przez świat Mikołajów, gdzie sto pięćdziesiąt mechanicznych świątecznych figurek pakowało prezenty, machało do publiczności, jeździło na nartach i robiło inne dziwne rzeczy. Znajdowali się w samym środku świątecznej bajki i Erlend przeczytał, że do wszystkich dekoracji w tym roku wykorzystano czterysta pięćdziesiąt żarówek, a do oświetlenia punktowego złotej wieży – dwieście dwadzieścia cztery halogeny, które gładkimi przejściami zmieniały kolory, symbolizując różne pory roku. I te malutkie wioski! Ciągnął Krumme za sobą, nawet jeśli miałoby nie starczyć im później czasu na spokojny posiłek.

– Wschód! Tego jeszcze nie widzieliśmy! – powiedział.

Pierwszym, co napotkali, był żłóbek i Erlend zatriumfował: – Tak to ma wyglądać! A nie jakieś smutasy w zszarganych ubraniach! Popatrz tylko na tych królów!

Królowie z darami dla Zbawiciela siedzieli na czterometrowych, metalowych wielbłądach, Erlend podskakiwał i klaskał w dłonie. Również Dzieciątko Jezus było nieprawdopodobnie piękne i naturalnej wielkości.

– Przecież ty nie wierzysz w takie świąteczne żłóbki – rzekł Krumme i uszczypnął go z tyłu, wysoko pod owczym futrem.

– Trochę wierzę. Właśnie teraz. Ale nie w domu.

Nie zdążyli zjeść nic poza sałatką śledziową, zapijaną piwem i czerwoną okowitą w małych, mrożonych kieliszkach, rozmawiając przy tym o czekoladowych stołach na Kongelig Dansk i o tym, kto będzie mógł je zjeść po świętach.

– Biedne dzieci w Afryce – powiedział Erlend. – Pomyśl, jakie byłyby zaskoczone, gdyby coś takiego postawiono im przed nosem.

– Albo biedne dzieci w Danii.

– One już nie byłyby tak bardzo zaskoczone. Na pewno widziały fotografie w twojej gazecie. I sprawdź, czy uda się dowiedzieć czegoś o tej marynarce na krześle. W końcu równie dobrze mógł to być kochanek Henryka, pomyśl, co za skandal! Co za obłędna plota! Po prostu musisz się tego dowiedzieć! Kiedy będziesz w domu?

– Jak już skończysz świąteczne mycie swoich skarbów.

– O tym zapomniałem – powiedział Erlend.

– Kłamca. Wcale nie zapomniałeś. To jest przecież jedyne, o czym myślisz, siedząc tutaj.

– Wcale nie. Siedziałem i zastanawiałem się, czy nasz żłóbek można by nieco podrasować za pomocą metalowych wielbłądów.

Jednak Krumme miał oczywiście rację. Zostać samemu przed szklaną witrynką – to było wszystko, o czym myślał.

Otworzył i starannie zamknął za sobą drzwi. Czy miał najpierw upiec chleb, tak jak to sobie zaplanował poprzedniego dnia? Nie, nie chciał teraz wkładać rąk w klejące się ciasto, było na to dość czasu jutro – i na pieczenie chleba, i na pieczenie kruchych ciasteczek w foremkach. Wyłączył komórkę i włączył bezdźwięczną sekretarkę na telefonie stacjonarnym. Przekręcił maksymalnie gałkę kominka gazowego i postał chwilę, wpatrując się w błękitne płomienie szalejące wokół wiecznych polan i tworzące żółte jak jajko, iluzoryczne ognisko. Zaraz po przybyciu do Kopenhagi nie miał ani kominka, ani pieca, i bardzo mu tego brakowało. Poprosił przyjaciela, żeby nagrał mu swój kominek na trzygodzinną kasetę wideo, i włączał ją sobie wieczorami. To naprawdę było realistyczne, nawet ogień strzelał i tak dalej, prawie czuł jego ciepło na skórze. Jedyny minus polegał na tym, że nie mógł jednocześnie patrzeć na kominek i oglądać telewizji.

Teraz, kiedy już nie mieszkał beznadziejnie i samotnie w wynajętym mieszkanku, najchętniej sprawiłby sobie prawdziwy kominek, a nie gazowy, ale nie pozwalały na to przepisy przeciwpożarowe w budynku. Nie przeszkodziło mu to w zakupie prawdziwych drewnianych polan i położeniu ich na lewo od kominka gazowego w koszu na drewno z polerowanej stali. Iluzja stała się tym samym doskonała, tak doskonała, że jeden z gości na wieczornej kolacji próbował kiedyś opróżnić do kominka

popielniczkę pełną niedopałków z takim skutkiem, że trafił w ognioodporne szkło i na wszystkie strony rozrzucił burzę popiołu.

Widok płomieni uspokajał go, wszystko wracało na swoje miejsce. Puste mieszkanie wokół niego, dobry dzień za nim, święta przed nim. Czy można było być jeszcze szczęśliwszym? I czy w gruncie rzeczy nie powinien się wstydzić? Biedne dzieci w Afryce bez stołów z czekolady, wszystkie wojny, o których Krumme tyle wiedział, i od czasu do czasu chciał na ten temat podyskutować. Okropność.

Nie miał siły o tym myśleć, nie chciał nic o tym wiedzieć! Ciągle zdumiewali go ludzie, którzy dobrowolnie zatapiali się w najgorszych sprawach i celem życia czynili opowiadanie innym o złej kondycji tego świata. Czy od tego działo się lepiej? Ci zacięci ludzie, brodzący po ulicach z plakatami obwieszczającymi to lub owo za pomocą wielu wykrzykników, czy naprawdę wierzyli, że coś zmieniają? Czy nie lepiej byłoby, gdyby poszli do domu, zapalili swoim dzieciom świeczki, upiekli chleb i zaśpiewali razem z nimi i cieszyli się? Czy tak nie byłoby lepiej, niż żeby dzieci miały złych i toksycznych rodziców, wciskających im ciężkie, politycznie słuszne książki i żądających, aby zagłębiały się w różne sprawy, pchając je w ten sposób wprost w narkomanię, jako formę ucieczki przed polityczną agitacją we własnym domu.

Brak ci zdolności do solidaryzowania się z najsłabszymi, mawiał Krumme i od czasu do czasu potrafił się na niego z tego powodu zirytować. Pewnego razu Krumme nazwał go nawet powierzchownym, ale po pięciu dniach milczenia i separacji

w łóżku zmuszony był cofnąć te słowa. Poza tym Krumme nie wiedział. Nie rozumiał. I to nie była jego wina. Cholera, że też nie udało mu się wyrzucić tego przeklętego żłóbka w porę.

Nie, tak się nie dało. Myśli przeszkadzały. Nie mógł myśleć. Zaczynając, chciał być w środku czysty. Rozwiązaniem mógł być alkohol. Odkażająca myśli wódka z limonką na przykład. Włączył U2 i pomalutku powędrował do kuchni, zawsze miał wrażenie, że będąc sam w domu, widzi ją po raz pierwszy, wkrótce ogarnie go lekki rausz i radość. Kochał tę kuchnię, tę obłędnie drogą, niemiecką kuchnię, z jej ciężarem i precyzją wykonania drzwiczek, to było jak otwieranie i zamykanie drzwi od mercedesa. Kochał ekskluzywne szafki z dżunglą pojemniczków z ziołami oraz chropowate szkła, które zawsze świeciły neonową zielenią, a ich wnętrze zdobiła rosa, stojak do wina wypełniony okrągłymi, krwistoczerwonymi kształtami, długie blaty, wbudowany ekspres do kawy, designerskie krzesła wokół małego stołu śniadaniowego, wystarczająco dużego, aby pomieścić dwie rozłożone gazety, dwie filiżanki kawy i croissanty z prawdziwym masłem i francuskim brie. Kuchnia wielkości przeciętnego duńskiego salonu. Luksus. Luksus! Dlaczego tak wiele osób uważało, że należy się tego wstydzić? Cholerny, obrzydliwy, kurewski żłóbek. Może powinien po prostu wypieprzyć go z tarasu? Znieść jakoś tę kłótnię, która po tym nastąpi?

Zirytowało go znów, że jest tak niespokojny, przecież cieszył się tak na powrót do domu, to nie było do niego podobne. Ruszył, żeby zmieszać sobie w obszernej szklance wódkę z limonką, słuchając przy tym, jak kostki lodu trzaskają niczym biegun południowy pod wpływem efektu cieplarnianego. Akurat o tym czytywał

czasem po kryjomu, nie przyznając się Krumme, że ta sprawa go zaprząta. Kopenhaga leży tak blisko morza, prawie jak Wenecja, co będzie, jeśli fale przedrą się przez nabrzeże Langelinje i całe miasto oraz wszystkie wystawy sklepowe nagle znajdą się pod wodą. To było coś, co dotyczyło go bezpośrednio i osobiście. Potwornie było o czymś takim myśleć, widział sam siebie, jak brodzi po kolana w wodzie w ohydnych gumiakach, trzymając w ramionach piękne przedmioty, których nie można zamoczyć, całkowicie przestał już z tego powodu używać do pracy dekoratorskiej sprayów zawierających freon.

Wyjął prezent. W lewej ręce trzymał drinka i go popijał, drugą podniósł wieczko ciemnego pudełka. W salonie Bono wyciągał głosem górne tony, a tam leżało wszystko: szczoteczka z włosia jenota ze szklaną rączką, szmatka do polerowania, owinięta wokół szczotki jak wokół niemowlęcia, białe bawełniane rękawiczki, mała książeczka z instrukcjami na temat konserwacji i czyszczenia, aksamitny woreczek z prostymi, szlifowanymi na kształt diamentów kryształami, przeznaczonymi na ozdoby wokół figurek. Nie sądził, żeby miał ich użyć właśnie do tego celu. Nie, to nie będą ozdoby. Chciał je zostawić w aksamitnym woreczku i wysypywać je sobie na dłoń zawsze, gdy będzie czuł potrzebę popatrzenia na świetlne punkty, błyszczące jak gwiezdny pył rozsypany przez wróżkę, specjalnie dla niego, i tylko dla niego.

Szkło pokryło się rosą. Nie było sensu wkładać rękawiczek i jednocześnie pić. Przyniósł słomkę i wetknął ją do szklanki, którą następnie postawił na stole, włożył rękawiczki i otworzył drzwi do witrynki ze skarbami. Sto trzy figurki z kryształów

Swarovskiego. Wstrzymał oddech i wyszeptał kilka czułych słów, których sam dokładnie nie usłyszał, a potem zaczął przenosić figurki na stół jadalny stojący tuż obok. Małe, doskonałe cudeńka, mierzące tylko kilka centymetrów. Miniaturki wszystkiego, od łabędzia po baletki. Można było je badać przez szkło powiększające, co robił już wiele razy wcześniej, i nigdy nie znalazło się najmniejszej skazy. Były magiczne, wypełnione marzeniami i tęsknotą, opętywały swoim pięknem, bo jeśli się je miało, to myśl o śmierci, która nadejdzie pewnego dnia, nigdy już nie była przerażająca, posiadało się bowiem to, co najbardziej wyszukane, przeżyło się coś najbardziej wyrafinowanego, było się tam obecnym.

Wcześniej do pielęgnacji figurek używał zawsze brzydkich, lateksowych rękawiczek kupionych w aptece. I pomyśleć, że Swarovski stworzył specjalny zestaw do czyszczenia dla swoich kolekcjonerów, dzięki któremu można uniknąć niesmacznych, prowizorycznych rozwiązań. I pomyśleć też, że Krumme kupił ten zestaw dla niego.

Nagle poczuł nieprzepartą chęć na papierosa, mimo że prawie nie palił. Rozumiał jednak, że ta chęć wzięła się stąd, że przecież nie mógł zapalić w tych rękawiczkach, substancje smoliste zostawiłyby na nich ślady jak po oleju. Zawsze nachodziła go ochota na zrobienie tego, czego właśnie nie mógł, przeszkody doprowadzały go do frustracji, która powodowała mdłości. Gdy wszystkie figurki stały już na stole, zdjął rękawiczki i wziął sobie papierosa z podajnika w barku. Zaciągnął się tak, że zakręciło mu się w głowie, i opróżnił szklankę z drinkiem. Teraz i tak musiał

umyć szafkę, a tego nie mógł zrobić w białych, bawełnianych rękawiczkach.

Zupełnie nie rozumiał, skąd brał się kurz na szklanych półkach, witrynka była praktycznie całkowicie szczelna. Kurz był jasnoszary, delikatny jak puder. Oświetlenie witryny od dołu i z góry uwidoczniało najmniejszą drobinę pyłu i każdy ślad zostawiony przez irchę. Odkurzył starannie każdą z pięciu półek od góry i od dołu, w międzyczasie zmieszał sobie nowego drinka i zmienił muzykę z U2 na Chopina. Zawsze gdy miał zająć się swoimi figurkami w ostatniej już, dekoracyjnej fazie, nachodziło go poczucie odświętności. Witrynkę za każdym razem trzeba było skomponować od nowa. A teraz były święta i ozdoby świąteczne miały stać na najwyższej półce, na specjalnym miejscu.

Na wszelki wypadek wziął sobie jeszcze jednego papierosa i spalił go przed nałożeniem rękawiczek. Jego wzrok prześlizgiwał się po skarbach na stole. To intensywnie niebieskie lustro postawi na najwyższej półce po prawej stronie. Tak. Razem z trzycentymetrowym cackiem przedstawiającym prezent świąteczny, ze wstążką i tak dalej. Pudełko od prezentu tworzyła masywna kryształowa kostka z czterema szlifowanymi fasetkowo rogami, dzięki czemu światło wpadało do środka bryły. Kryształowa wstążka na szczycie rozsyłała promienie światła wokół siebie i na lustro poniżej. Trzymając figurkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, oczyścił ją ostrożnie szczoteczką z włosia jenota, a następnie odstawił na miejsce. Potem wyczyścił też gwiazdy i umieścił je obok.

Nie mógł złapać oddechu. Zrobił kilka kroków do tyłu, podziwiając zalążek nowej witrynki. Poczuł, jak łzy napływają mu

do oczu. Kochał swoją kolekcję figurek Swarovskiego w taki sam sposób, w jaki niektórzy kochają własne dzieci i ulubione zwierzęta, ale jego miłość była prawdopodobnie silniejsza, czystsza i pozbawiona sprzeciwu. A przecież ledwie zaczął. Jeszcze tyle półek było do zapełnienia. Teraz był artystą, nawet jeśli sam nie zrobił tych figurek. To sposób ich wystawienia decydował o wszystkim! Nawet Brahms i Chopin sprawialiby wrażenie bezmyślnych głupków, gdyby ich interpretatorzy, muzycy, nie potrafili odtworzyć nut z pietyzmem i twórczą starannością. A obrazy Muncha powieszone w ciasnym mieszkaniu spółdzielczym, pozbawione właściwego oświetlenia, zostałyby w oczywisty sposób pozbawione swojej siły. I pomyśleć, jak wielu ludzi sądzi, że piękna wystawa to coś, co stwarza się samo! Nie rozumieją, że za nią kryje się głęboka miłość i wgląd. Weźmy na przykład dzisiejszych malarzy, którzy uważają za oczywiste, że wystawa jest niejako w pakiecie, podana na srebrnej tacy, bez kogokolwiek, kto by ją wstępnie przemyślał. Bez mrugnięcia okiem żądali wielu setek metrów kwadratowych ściany, stali tam i krzywili się, jeśli ściana nie była wystarczająco duża. Rozpieszczeni gówniarze. Serce bolało go na myśl o figurkach Swarovskiego kupionych pod wpływem impulsu w jakimś przygodnym sklepie na lotnisku i podarowanych osobom, które w ogóle ich nie doceniały. I potem stały tam, porozstawiane po świecie, na brzydkich drewnianych półkach, same w ciemności, obok prostackich przedmiotów albo jakiejś oprawionej w ramki obrzydliwej fotografii, przedstawiającej obleśną scenkę rodzinną, stały tam małe i niezauważone i pokrywały się kurzem w pozbawionym miłości otoczeniu. Nie

były dostrzegane i nie stały między swymi. Krumme kiedyś, dawno temu, opowiadał mu o czasach Oświecenia, nie pamiętał ani słowa z tego, co mówił Krumme, bo jedyne, o czym myślał przez całą tę rozmowę, to figurki Swarovskiego będące w posiadaniu nieoświeconych ludzi, nierozumiejących, że takie cacka wymagają podświetlenia od spodu przez szklane szyby.

Zwierzęta i ptaki miały tak jak zawsze stać na osobnej półce, ale na flakoniki i pudełka musiało się znaleźć miejsce na najwyższej. I ta czterocentymetrowa buteleczka szampana, z dwoma kieliszkami wysokimi na zaledwie odrobinę ponad centymetr. I korkociąg: kryształowy cud wielkości połowy małego paznokcia! Musiał nalać sobie czegoś więcej do picia. Za jednym zamachem poszedł też do toalety i wracając do salonu, zauważył, że automatyczna sekretarka miga. To na pewno ktoś z przyjaciół chciał porozmawiać o przyjęciu, co ma ze sobą wziąć, ciasto czy coś do picia, albo może muzykę, a jednocześnie powiedzieć mu, jak bardzo się cieszy. Będzie ich przy stole razem szesnaścioro, nastrój jak zwykle będzie wspaniały, na szczęście napoje zostały już kupione i stały w skrzynkach w sypialni, nadal jednak zostało jeszcze sporo do zrobienia. Krumme miał zająć się najważniejszymi pracami i daniem głównym, a on tylko postawić kropkę nad i. Ozdoby, deser, to wszystko, co wymagało nieco czasu i co podnosiło rangę posiłku, zmieniając zwykłą wyżerkę w coś bardziej wykwintnego. W zamrażarce miał już kilka pojemników z kostkami lodu, a w każdej kostce był zamrożony świeży liść mięty. Korzystał z przegotowanej, ostudzonej wody, bo była bardziej klarowna, a kostki lodu miały być do powitalnych

drinków, do mieszanki wytrawnego martini, a wytrawne martini nie przewidywało kostek lodu, więc żeby wyglądało szczególnie, do każdego kieliszka należało dodać kroplę niebieskiego curaçao. Błękit i zieleń. Może jeszcze coś srebrnego, pomyślał nagle, a gdyby tak owinąć trochę folii aluminiowej wokół nóżki każdego kieliszka? Zarzucić ją tylko w lekko niedbały, pop-artowski sposób? Pobiegł do kuchni, oderwał pasek folii i owinął go wokół przypadkowego, zwykłego kieliszka na nóżce. Chociaż kieliszek był pusty, Erlend zobaczył od razu, że to doskonałe rozwiązanie. Jeszcze jeden krok bliżej doskonałego wieczoru. Wciągnął powietrze głęboko do brzucha, poszedł do salonu, wziął kieliszek w dłoń i oddał się obserwacji drzewka na tarasie. Nieśmiało padał śnieg, w oddali widział samoloty startujące i lądujące na lotnisku Kastrup, błyskające czerwone i zielone światła. Zapowiadano mróz, prawie nie miał odwagi w to wierzyć. Śnieg i święta były nierozłączne, ale zawsze miał wrażenie, że to zbyt dużo oczekiwać tyle w tym mieście, w tym kraju. I przez resztę roku wcale za tym nie tęsknił. Ale śnieg świąteczny, ta myśl nigdy go nie opuszczała. Optymalny składnik Świąt. Coś, co przykrywało i ukrywało, i nawet brak świątecznego nastroju czyniło nieważnym, było czymś symbolicznym i właściwym, i ważnym samo dla siebie, chociaż była to tylko inna postać wody, jak zwykł mawiać Krumme. Zamarznięte gwiazdki, poprawiał go Erlend. To nie był przypadek, że woda zamarzała w symetryczne gwiazdy, to przyroda chciała uradować człowieka. Nawet woda pragnęła być piękniejsza niż zwykła kula i szukała formy kropli. Och, Krumme w płaszczu z *Matrixu*, nie mógł się już doczekać, jak miał wytrzymać oczekiwanie na ten widok jeszcze przez tyle dni!

Przerwał płytę Chopina w połowie walca numer 7 i włączył koncert fortepianowy Mozarta, aby zwiększyć dramaturgię i koncentrację. Teraz witrynkę należało zapełnić. Wszystko wyszczotkowane i odświętnie błyszczące. Witrynka miała stać się promieniejącą kaskadą światła, stworzoną przez mężczyznę w białych rękawiczkach i ze szczęściem we krwi. Właśnie ustawiał półkę ze zwierzętami i ptakami, miał akurat postawić jednorożca na miejsce, gdy ten wymknął mu się z rąk i upadł na podłogę. Z krzykiem opadł na kolana i podniósł figurkę. Róg odpadł z czoła, ale poza tym figurka była nienaruszona. Była cała, ale tylko jako koń. Cała jej magia leżała na parkiecie. Ostrożnie podniósł malutki, spiralnie skręcony róg i szybko odrzucił myśl o skorzystaniu z kropli superkleju. To byłoby oszustwo. Poczuł łzy napływające mu do oczu. I to właśnie on, ze wszystkich figurek! Jednorożec był jednym z pierwszych prezentów od Krumme i ciągle miał w pamięci wszystko, co Krumme opowiedział mu o jednorożcu, baśniowym zwierzęciu, które było symbolem dziewiczości i które można było schwytać tylko wtedy, gdy odpoczywało na łonie dziewicy. A teraz stało się koniem, zwykłym koniem, który nie symbolizował niczego poza prostacką, prymitywną witalnością. W sypialni również mieli ogromny, na wpół surrealistyczny obraz jednorożca. Krumme nazywał go cudownym zwierzęciem.

Postawił uszkodzonego jednorożca jak najdalej z tyłu, za innymi zwierzętami. Róg położył ostrożnie obok, nie mógł zmusić się do wyrzucenia go, bo jak tu wyrzucić coś takiego? Wszystko jedno, czy z tarasu, czy do kubła na śmieci, to było nie do pomyślenia.

Gdy Krumme przyszedł do domu, wszystko stało już na miejscu w witrynce, a Erlend spał na sofie w rękawiczkach. Krumme zdjął mu je, ostrożnie chwytając za koniuszek każdego palca. Złożył je starannie, schował ściereczkę, rękawiczki oraz szczotkę z powrotem do pudełka, przez chwilę z podziwem patrzył na witrynkę, nie dostrzegał w zasadzie większej różnicy, może z wyjątkiem najwyższej półki, gdzie świąteczne gwiazdki otaczały błękitne lustro, to chyba on sam kupił większość tych figurek w prezencie. Poszedł do lodówki i wyjął z niej butelkę wody, zamknął drzwi do salonu i odsłuchał wiadomości na sekretarce, zapisując je, to wszyscy goście zaproszeni na przyjęcie dzwonili z pytaniem, czy mają przynieść ciasta, czy napoje, i chcieli powiedzieć, jak bardzo się cieszą. Zapisał wiadomości w pamięci telefonu po to, aby Erlend mógł się do nich odnieść jutro, to on zajmował się bowiem wszystkimi szczegółami, do niego należało pilnowanie infrastruktury w kręgu przyjaciół. On sam byłby szczęśliwy, żyjąc tylko po prostu z tym mężczyzną-dzieckiem, z tym talizmanem radości życia, nie spotykając się poza tym z nikim, oprócz pracy, gdzie i tak był kimś innym niż Krumme. Tam nazywał się Carl Thomsen i był szefem. To, że Erlend, z radości, że okruszek chleba nazywa się po duńsku *krumme,* nadał mu to przezwisko, stanowiło początek miłości, miłości, która nigdy nie miała się skończyć; bo gdyby miała, to stałoby się to już dawno temu, teraz był bezpieczny i pewny co do tego, tylko ich dwóch razem do końca życia. Niczego już się nie bał, nigdy.

Było późno, czuł się zmęczony. Niczego więcej się nie dowiedział o marynarce wiszącej na krześle w tle, trzeba będzie wymyślić

jakąś historię. Poszedł oporządzić się trochę w łazience, pogasił wszystkie światła, a następnie poprowadził za sobą zamroczonego od snu Erlenda, mówiącego coś o szachownicy Swarovskiego z kryształowymi pionkami, którą wprost fanatycznie chciał mieć. Krumme już ją kupił, kosztowała prawie dwanaście tysięcy koron, ale oglądanie dzikiej ekstazy Erlenda przy odpakowywaniu prezentu warte było każdej korony. Rozebrał go i położył pod kołdrę, a potem przytulił się, wtulając nos w ramię Erlenda, było takie gładkie i ciepłe, i takie jego.

Erlend obudził się około piątej następnego ranka. Ciało miał ociężałe, tak jakby leżąc tam, dźwigał jednocześnie jakiś ból, którego jeszcze nie pamiętał. Światło w szparze pomiędzy firankami było szare i nie zapowiadało śniegu. Wiedział dokładnie, jak wygląda światło, jeśli na dworze leży śnieg. Wtedy przypomniał sobie, jak udawał śpiącego, gdy Krumme przyszedł do domu, i jak po raz enty bredził o tych szachach tylko po to, aby nie mówić Krumme o jednorożcu.

Wyślizgnął się cicho spod kołdry, zatoczył się na lodowatej podłodze, gdyż nawrócił Krumme na norweski zwyczaj spania przy otwartym oknie, i przemknął do ciepłego przedpokoju.

Witrynka stała tam nieoświetlona. Ale choinka na tarasie jaśniała.

Deszcz padał równo i mocno ze stalowoszarych chmur. Śnieg w koszyczkach leżał tam jakby na przekór. Przeszedł nagi przez salony i kuchnię do łazienki. Czuł, jak stopy równo i rytmicznie uderzają o podłogi. Parkiet. Terakota. Kamień. W łazience stanął przed jednym z luster i przyjrzał się swojej twarzy. Wkrótce

będzie starym człowiekiem, za trzy miesiące kończy czterdzieści lat. Co by było, gdyby nie spotkał Krumme. Już kończący trzydziestkę samotny gej łatwo może stać się gejem żałosnym. A zatem już dawno temu mógł stać się patetycznym homoseksualistą na wieki wieków. Dzięki Bogu, że spotkał Krumme jako dwudziestoparolatek. Ale mimo że miał przy sobie Krumme, myśl o zbliżającej się czterdziestce nie była miła. Nadchodził już najwyższy czas, żeby zacząć kłamać na temat swojego wieku. Oznaczało to jednak również rezygnację z wielkiej imprezy urodzinowej, a przecież już rozpoczął jej planowanie. Oczywiście można było zakończyć balowanie na czterdziestce.

Urósł mu nieco brzuszek, pogłaskał się po nim delikatnie. Był miękki jak chlebowe ciasto. Skóra na ramionach też mu trochę zwiotczała. Czy można było wierzyć w to, co ciągle słyszał, a mianowicie, że ma cudowne ciało? Dlaczego miłość zawsze była uzależniona od stale powtarzanych kłamstw?

Wrócił do przesuwanych drzwi tarasowych i ponownie przyjrzał się choince, to tego widoku chciał się trzymać, a nie przeczuć pojawiających się nie wiadomo skąd. Nie udało mu się jednak powstrzymać ich napływu, w tej płaskiej i bezczasowej godzinie pomiędzy nocą a dniem nie było to możliwe, powinien porozmawiać o tym z Krumme, może nawet zbudzić go, aby uzyskać pociechę, bez wyjaśniania przyczyny. Ale zamiast tego otworzył przeszklone drzwi i wyszedł na mokrą i zimną terakotę. Chłód odczuwany pod stopami i krople deszczu padające na ramiona spowodowały, że się obudził, wpełzając z powrotem na bezpieczniejszy grunt, znów ku normalności i radości. Krumme dałby mu nowego jednorożca, gdyby mu o wszystkim opowiedział,

ale nie chciał tego robić. Nie wiedział dokładnie, dlaczego, ale wydawało mu się to niebezpiecznie niewłaściwe. Będzie musiał sam kupić nowego, postawić go na miejscu, a następnie zapomnieć, ile dla niego znaczył, nawet gdyby obraz w sypialni miałby mu o tym stale przypominać.

Ani jednej syreny alarmowej, niczego. Śpiące miasto. Powinna przynajmniej zabrzmieć jakaś syrena, ludzie o tej porze doby umierali jak muchy. Ten jutlandzki idiota bał się zapleśnieć, to już wcale nie była zabawna myśl. Cała ta jazda, od której geje byli teraz zależni, odsysanie tłuszczu, lifting i ciągłe solarium, sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy i ulgę jednocześnie. Wygląd znaczył wszystko dla gejów w tym mieście, a jemu i Krumme wystarczało tylko to, że byli szczęśliwi. Nie musieli nawet urządzać mieszkania według gejowskich zasad feng shui, i mieszkać potem w nim jak w modnym więzieniu; kupowali wszystko i urządzali dom wedle własnego uznania, i w cudownie niezamierzony sposób wszystko w nim do siebie pasowało.

Skąd więc ten niepokój, przecież nie tylko stąd, że stał się właścicielem dodatkowego kryształowego konia. Chciał odzyskać swoją świąteczną radość! To było nie do wytrzymania! On, przyzwyczajony do bycia szczęśliwym! Wręcz nieprzyzwoicie rozpieszczony byciem szczęśliwym!

Wskoczył z powrotem na parkiet i zamknął drzwi tarasowe, zapalił wszystkie światła w salonach i w kuchni, przyniósł szlafrok i pantofle i przechodząc przez hol, kopnął żłóbek, zamknął drzwi, żeby nie przeszkadzać Krumme, włączył bożonarodzeniową płytę i wyciągnął na blat kuchenny mąkę,

drożdże i miskę. Dean Martin śpiewał wesoło o Rudolfie Czerwononosym, a on w tym czasie wsypał do miski mąkę żytnią i pszenną, sól ziołową i szczyptę mielonych goździków, pestki słonecznika i odrobinę siemienia lnianego. Drożdże rozmieszał w letniej wodzie razem z palonym cukrem, miało to nadać chlebowi soczysty, ciemny kolor. W chirurgicznych lateksowych rękawiczkach wyrabiał chleb, aż się spocił, poły szlafroka rozchyliły mu się przy tym wysiłku, a fiut podskakiwał wesoło w takt poruszeń ramion.

– O świąteczna radości! – wykrzyknął w głąb pokoju. Zbliżało się wpół do szóstej. Ale gdzieś na świecie był wieczór i najwyższy czas na bąbelki. Nakrył folią miskę z ciastem, zdarł z siebie rękawiczki i otworzył lodowatą butelkę Bollingera. Jim Reeves męczył się właśnie z piosenką *Jingle Bells*. Nie chciało mu się szukać kieliszka, przytknął więc butelkę do ust, pił długo i głębokimi łykami, aż dwutlenek węgla szczypał go w podniebienie i przełyk, a z oczu leciały mu łzy. Powoli robiło się lepiej, to rzeczywiście był cholernie słodki poranek, złotousty poranek, jak w tym powiedzeniu. Przeszukał trzy szafy, zanim udało mu się znaleźć foremki do ciastek, wymieszał miękkie masło z mąką, dodał trochę zimnej wody i uformował gładkie ciasto, jak to się zawsze określało w przepisach kulinarnych. Następnie ciasto musiało trochę odpocząć w lodówce, tak też zawsze było napisane. Zachichotał. Odpocząć przed tym wielkim wysiłkiem, jakim było dać się pokroić na małe kawałki i wcisnąć do foremek. Posmarował ciastka dokładnie pędzelkiem, we wszystkich zakamarkach, aż do samej góry. Eartha Kitt ciągnęła kwestię Santa Baby; nucił i pociągał sobie przy tym z buteleczki.

Santa Baby to ja, pomyślał. Może papieroska? Nie, chyba nie powinien przesadzać. Dlatego nie jest też wskazane, aby poszedł teraz do salonu, wyszperał mały kryształowy róg, tylko po to, aby zalać smutek dodatkową porcją szampana. Teraz tu się piecze ciasta i szykuje święta! A ten pomysł z folią owiniętą wokół nóżki kieliszka jest po prostu genialny!

Gdy dochodziła siódma i chleby były już prawie upieczone, poczuł tak ogromne zmęczenie, że zupełnie na serio rozważał obudzenie Krumme, żeby czuwał nad chlebami przez ostatni kwadrans. Odrzucił jednak ten pomysł, Krumme musiał się wyspać, szedł do pracy, miał stałą posadę, zarabiał mnóstwo, nie był artystą, tylko po prostu sobą, ciężko pracującym w gazecie człowiekiem. Ale na szczęście ciasteczek w foremkach nie musiał piec, przed wstawieniem ich do piekarnika trzeba było napełnić je jabłkami i pokryć marcepanem, i to już w czasie, gdy goście delektowali się obiadem. Teraz stały na tacy na samym dole lodówki, wyrobione, gotowe i gładkie. Butelka była prawie pusta, miasto się obudziło, gdyby tylko chciało mu się wyjrzeć, to pod drzwiami leżała już pewnie gazeta. Zupełnie tak, jakby udało mu się ukraść dodatkowy dzień pomiędzy wczoraj a dziś, kieszeń czasu, napełnioną świąteczną radością i domowymi wypiekami. Mimo spowijającego go ołowianego zmęczenia był z siebie bardzo zadowolony. Krumme dostanie na śniadanie świeżo upieczony chleb, Erlend nie wierzył w to, żeby tak zaraz miał zostać samotnym gejem, dopóki bladym świtem występował z tego rodzaju popisami gastronomicznymi na rzecz domowego ciepełka.

Wyjął chleby i opróżnił do końca butelkę, cicho wślizgnął się do sypialni i ledwo zdążył położyć głowę na poduszce, już spał.

Obudził się w chwili, gdy Krumme stał pochylony nad nim z telefonem w ręce, w pokoju było już dosyć jasno.

– Erlend, obudź się. Jesteś przytomny?

– Nie wiem.

Krumme odszukał jego lewą dłoń, zacisnął mu palce wokół słuchawki telefonicznej i wyszeptał: – To Norweg. Mówi, że jest twoim bratem. Nie wiedziałem nawet, że masz brata.

ROZDZIAŁ 3

Półtorej doby przed tym, gdy na serio musiał oswoić się z myślą, że nie będzie żyła wiecznie, przechadzał się po podwórku, czując, jak burczy mu w brzuchu. Słyszał dzwony z kościoła w Byneset nawołujące do niedzielnego nabożeństwa. Dla niego dzwony oznaczały śniadanie i niewiele miały wspólnego ze słowem Bożym. Błękitne grudniowe światło rozpościerało się nad przysypanymi śniegiem polami i czarnym fiordem, powietrze było czyste, widać było pojedyncze gwiazdy. Nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby padał śnieg, lubił siedzieć na traktorze i pozostawiać za sobą czyste, białe linie, z ostrymi brzegami od pługa po każdej stronie klonowej alejki. Drzewa sterczały ku niebu jak czarne, wyciągnięte ręce, posadzone starannie w równych odstępach tak dawno temu, że można było sobie łatwo wyobrazić, jak zaplanowano elegancję na wjeździe do Neshov, sygnalizującą coś w rodzaju dobrobytu i gościnności. Jego zdaniem, aleja sprawiała wrażenie rozpaczliwie pompatycznej i kłamliwej, najchętniej ściąłby każde z tych cholernych drzew, ale to nie on o tym decydował.

Już od wielu godzin był w chlewie, a teraz chciał zjeść o zwykłej porze, zanim tam znów pójdzie. Miał maciorę, która mogła oprosić się w każdej chwili. Wtedy zauważył, że zasłony w pokoju matki na piętrze nadal były zaciągnięte.

Zazwyczaj wstawała wówczas, gdy szedł do chlewu o godzinie siódmej, żeby przygotować śniadanie na jego powrót.

W korytarzu nie pachniało kawą. Kuchnia była pusta i zimna, gdy otworzył do niej drzwi. Mimo wszystko zamknął te drzwi szybko, tak jakby chroniąc ją przed większym mrozem z zewnątrz.

W starym piecu na drzewo nie palił się ogień, z radia stojącego na końcu blatu pod kalendarzem firmy Coop nie dobiegał żaden dźwięk. Stół nie był nakryty, jak to zawsze miało miejsce w niedzielę, z kieliszkami do jajek i łyżeczkami, z kawałkiem zwiniętego papieru toaletowego przy nakryciu ojca, gdyż ojciec zawsze brudził sobie żółtkiem zarost na brodzie. Nagle kuchnia była tylko pomieszczeniem, jakby nigdy nie widział go wcześniej, żarówka pod wyciągiem umieszczonym nad kuchenką stanowiła jedyne źródło światła, mały trójkątny promień przeznaczony dla palników i garnków, i dzbanka z kawą, i życia. Serce zabiło mu szybciej. Stał chwilę bezradnie, przyglądając się piecykowi na drewno, próbując to wszystko jakoś uporządkować. Zauważył, że drżą mu ręce, gdy napełniał wodą dzbanek, zalewając stare fusy, i kroił sobie kromkę chleba, następnie posmarował ją margaryną i położył na niej kilka plastrów sera z kminkiem. Ser starannie potem zapakował. Gdy plastikowa torebka była już kilkakrotnie zawinięta na końcu, przyniósł dodatkowo gumkę zdjętą z gwoździa, na którym wisiał kalendarz, i okręcił nią ser jeszcze

raz, zanim odłożył go z powrotem do lodówki. Czekał, aż kawa się zagotuje, i nadsłuchując narastającego szumu imbryka, starał się nie myśleć zbyt wiele. Nalał kawę do kubka, machinalnie wyjętego z szafki, to nie był jego kubek, ale jeden z tych, których prawie nigdy nie używali, z różowym kwiatkiem na czymś w rodzaju kratkowanego nadruku. Fusy nie opadły, kawa pełna była pływających czarnych kropek, ale i tak wypił łyk, mając nadzieję, że fusy się jednak poddadzą. Poczuł, jak ciepło z kubka przepływa do jego dłoni. Stojąc przy blacie, zjadł kromkę chleba, obserwując przy tym przez okno sikorkę, która pracowała nad kawałkiem słoniny, owiniętej sznurkiem i zawieszonej na jednej z niższych gałęzi podwórkowego drzewa. Słonina dyndała tam już długo. Kręciła się teraz wokół własnej osi, a sikorka, wisząc do góry nogami, dziobała ją zajadle, w tym przyspieszonym tempie, jakie zazwyczaj cechuje małe ptaki. Do pnia drzewa nieco powyżej przymocowany był kawałek deski. Tam wylądowały trzy kruki i dziobały w pusty kawałek drewna. Deska była pusta od dawna. Nadstawił ucho w stronę piętra, ale nie dobiegł go żaden dźwięk. Ani jeden. Termometr za oknem kuchennym wskazywał minus dziewięć stopni. Wczoraj było plus dwa. Dziadek Tallak prowadził dziennik pogody przez sześćdziesiąt lat, siadywał wieczorami przy stole kuchennym i notował, a później robił konkursy z pytaniami o pogodę w określonych dniach albo donośnym głosem deklamował coś z dziennika pogody z czasów wojny, z gorącego czasu wiosny i lata, gdy Niemcy zostali przepędzeni z kraju jak psy.

Miał w gruncie rzeczy zamiar kontynuować to, co przerwał dziadek Tallak. Ale gdy on odszedł, znikła również radość i ten

nieco chłopięcy zapał do gromadzenia tych raczej niepotrzebnych informacji. A teraz trochę późno było zaczynać dziennik pogody.

Ta myśl, że jest za późno, prześladowała go poza tym od lat. Teraz znów go nawiedziła i refleksja o dzienniku pogody zmieszała się z myślami o matce i zasłonach, nie może przecież wiedzieć, jaka jest pogoda, jeśli zasłony są nadal zaciągnięte.

Popił kawałek chleba kawą, była gęsta i gorzka, smakowała i pachniała jak gotowana smoła. To nie była żadna niedziela. Stanie przy kuchennej ladzie i wrzucanie w siebie przypadkowego jedzenia, a przy tym nadsłuchiwanie dzwonów z oddali. Wypłukał kubek po kawie i na sztywnych nogach podszedł do elektrycznego lichtarza adwentowego stojącego na parapecie. Przekręcił w prawo środkową, najwyżej położoną żaróweczkę. Lichtarz nigdy nie zostawał zapalony na noc, z takich ozdobnych dupereli łatwo mógł powstać pożar, to śmieszne, że lichtarz w ogóle tam stał, ale to chyba głównie dla sąsiadów z gospodarstwa obok, żeby wyobrażali sobie, że w Neshov panuje adwentowy nastrój.

Gdy zapalił lichtarz, dzień stał się jakoś bardziej naturalny. W końcu wczoraj czuła się całkiem dobrze. Narzekała odrobinę na ból głowy i na swoje zwykłe dolegliwości gośćcowe w kolanach, z którymi nigdy nie chciała pójść do lekarza. Wyszedł ponownie na podwórko, stanął i długo przyglądał się zasłonom. Wisiały prosto w dół, bez ruchu, niebieskie. U ojca też były zasłonięte, ale to nikogo nie obchodziło. To było zupełnie nieinteresujące, co robił ten człowiek, ale Tor wolał zawsze wiedzieć, gdzie się znajduje, żeby zbyt często na niego nie wpadać. Wystarczyło aż nadto, że

trzeba było siadać razem z nim do stołu przy posiłkach. Ale ten człowiek też musi dostać jeść, jak mawiała matka. Musi? Gdyby przestała stawiać dla niego nakrycie, to może by zniknął.

Jej okno było zamknięte, nigdy go nie zamykała, zawsze chciała mieć świeże powietrze. Czy zamknęła je dlatego, że zmarzła? Nigdy przecież nie marzła, mówiła, że ludzie z Trondheim nie marzną, a jeśli tak, to są tylko bękartami z płaskich wiosek na południu. Czy powinien do niej pójść? Na górę, do jej pokoju, i otworzyć drzwi. Czy to wypadało? Najpierw musiał zajrzeć do maciory. Sara. To jej pierwszy miot.

Ambulans powietrzny nadleciał nisko i ukośnie nad fiord. Tor poczuł wdzięczność za ten dźwięk, wszystko było lepsze od dzwonów kościelnych. Gdy zauważył, że kurs helikoptera prowadzi prosto do ich gospodarstwa, poczuł jednak pewien niepokój. Może to był jakiś znak. Nie, to bzdura, teraz już naprawdę powinien wziąć się w garść. Tylko dlatego, że nie odsłoniła zasłon, że kuchni nie wypełniał zapach kawy i dźwięk radia, a kieliszki do jajek nie stały na swoich miejscach. Nie mógł łazić tu i tak myśleć. Nawet jeśli miała osiemdziesiąt lat, była przecież zdrowa i krzepka jak zawsze, na pewno tylko się przeziębiła. Odwrócił się gwałtownie i zdecydowanie od okien, jedna wełniana skarpeta obsunęła mu się w drewniaku i potknął się tak, że prawie upadł. Adrenalina uderzyła go w żołądek ciepłym strumieniem.

– Kurwa – powiedział i usłyszał własny głos, napięty i zdyszany.

Helikopter był coraz bliżej i dudniący dźwięk zamienił się w huk, leciał nisko nad polami i nad stodołą w kierunku szpitala Świętego Olava po drugiej stronie góry. Nagle zrobiło się za głośno, zbyt nagle. Kadłub helikoptera wisiał jak błyszcząca kula pod niewyraźnym talerzem wirujących śmigieł. Za tym metalem leżał ktoś chory, w środku tego całego hałasu, prawdopodobnie rozlegał się tam płacz i lament, plastikowe rurki i maski tlenowe, i szybkie ruchy rąk, dokładnie tak jak w telewizji. Widział to wszystko wyraźnie, zamykając starannie za sobą drzwi i wciągając w płuca dobrze znany, ostry zapach chlewu. Teraz trzeba było tylko zapomnieć o wszystkim, co zostało za drzwiami, postanowił sobie, że o tym zapomni, chociaż zazwyczaj działo się to automatycznie, bez wysiłku. Skinął kilkakrotnie głową sam do siebie, tak, tylko trochę się przeziębiła, jasne, że musiała sobie poleżeć chwilę dłużej, żeby dojść do siebie, nie było o czym więcej myśleć, tutaj w środku inne myśli miały pierwszeństwo.

Poszedł do umywalni, zrzucił ze stóp drewniaki i wciągnął kombinezon, a potem wsunął nogi w wysokie, gumowe buty. Myśli ciągle jakby kontrolnie wędrowały to tu, to tam, ale teraz trzymały się po wewnętrznej stronie drzwi, tutaj, gdzie zapachy i dźwięki były jego i niczyje inne. Tutaj, gdzie odbywało się najważniejsze, a on i zwierzęta dbali o to, aby czas i dni toczyły się naprzód. Właśnie przeczytał w piśmie „Nationen”, że pewien rolnik z Hardanger nie dostał pozwolenia na budowę chlewu, bo sąsiedzi nie tolerowali zapachu. Sami uprawiali owoce i bali się, że przesiąkną zapachem. Obawiali się też, że rolnik będzie nawoził świńskim gnojem i w ten sposób zniszczy im całą jabłkową idyllę.

Rozumiał plantatora jabłek. Zapach jabłek to w końcu coś innego niż zapach świńskiego gnoju. A jednak ta woń chlewu to było coś, na spotkanie z czym radował się każdego dnia tuż po przebudzeniu. Po prostu chyba lubił zapachy, pomyślał sobie, wiedział poza tym, że zapachy zawsze oznaczały coś więcej niż zwykłe kręcenie w nosie czy smak w ustach. Cieszył się na wejście w wonie chlewu, na bycie tam, na bycie ważnym, na bycie tym jedynym dla tych zwierząt, dla których nabrał tyle szacunku.

Nie zapomniał o swoich krowach mlecznych. A jednak to zdumiewające, jak szybko przestawił się z hodowli krów na hodowlę świń, gdy pięć lat temu zdecydowali się na sprzedaż limitu mlecznego z Neshov. Matka przeczytała w „Nationen" i „Bondebladet" o hodowli świń, z czasem czytała wszystko, co tylko znalazła na ten temat, i powoli przekonała go, że to oznacza mniej pracy. Przypomniała mu, że jest zdany sam na siebie, jeśli chodzi o obrządek zwierząt, w tym nie była już w stanie mu pomóc, a świnie były lepsze dla samotnego rolnika niż krowy mleczne. Poza tym on też miał czasami dosyć i frustrowało go bycie producentem mleka, gdy mleczarnia Tine rządziła się w kwestii cudzego zarobku i ustalała dopuszczalną ilość mleka od krowy. W tym punkcie on i matka zgadzali się w pełni. Kary finansowe za to, że krowy dawały więcej mleka, niż się spodziewano, były bolesne i bezsensowne, zupełnie jakby to doskonałe mleko było czymś, co wyciekało z czystej złośliwości.

A dzisiaj podziwiał sam siebie, jak elegancko zniósł tę zmianę, stając się świniarzem, chociaż stara piosenka Prøysena w gruncie rzeczy dodała mu otuchy tuż przed zmianą. A za pieniądze otrzymane z limitu mlecznego przebudowali oborę,

kupili starego pikapa i zwierzęta rozpłodowe. Ale czego mu brakowało po sprzedaży krów mlecznych? Bo czegoś mu na pewno brakowało, choć nie na tyle, żeby chciał wrócić do tamtej codzienności. Nie tęsknił na przykład za całym tym zamieszaniem z paszą dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Włażenie do silosu, potem skierowanie chwytaka w odpowiednie miejsce, podniesienie młota i wbicie pazurów chwytaka w gęstą masę sfermentowanej trawy, podniesienie całego kłębu do góry, wygramolenie się samemu na zewnątrz i skierowanie wysięgnika silosu wzdłuż szyny w stronę dziury w podłodze strychowej, pod którą dwa poziomy niżej stał gotowy podajnik do paszy. Rano i wieczorem, latem i zimą, chociaż latem zdarzało mu się pominąć karmienie poranne, bo krowy wychodziły i wtedy dostawały tylko trochę paszy tuż przed dojeniem.

Przenikliwe zimno albo obezwładniający upał. Całkowite ciemności albo słońce. Rano i wieczorem, każdego dnia przez całą wieczność, w dni powszednie i świąteczne, w święto narodowe Norwegii i w Wigilię, zwierzęta stały tam, stały niezależnie od tego, co działo się na kręcącej się kuli ziemskiej, niezależnie od tego, czy człowiek, do którego należały, miał siłę do nich przyjść, czy robił to tylko, bo musiał. Stały tam i czekały. A krowy czekały z niezachwianą wiarą w to, że porcja paszy wysunie się z otworu w suficie i wyląduje w dozowniku, a te, co stoją najbliżej, będą mogły wyciągnąć szyje i nabrać pełen pysk karmy. A potem trzeba było jeszcze zamieść podłogę. A następnie znów do obory i rozrzucić całe siano na miejsca, przechodząc między żarłocznymi głowami, wyciągniętymi w stronę jedzenia. Jasne, że dozownik był urządzeniem pozwalającym zaoszczędzić trochę czasu, i na

początku, jako młody rolnik, po latach chodzenia z taczką, bardzo się nim cieszył. Ale ten kłopot z wyciąganiem porcji paszy objętościowej z silosu... W pierwszym okresie po uboju mlecznego stada, który odbył się za jednym dużym, bolesnym transportem do rzeźni Eidsmo, brak tej codziennej pracy stanowił pewną pociechę. Świnie miały dostawać tylko paszę treściwą i trochę słomy do pogrzebania w niej oraz kilka garści brunatnej ziemi torfowej rano i wieczorem. Silosy stały teraz puste. Sam najchętniej wynająłby je komuś z sąsiednich gospodarstw, niechby skorzystali z takiej możliwości, a on zarobiłby parę koron, ale matka nie chciała mieć związanych z tym kłopotów.

Nie tęsknił również za dojeniem. Nie tyle nawet za samym dojeniem, mlekiem wysoko tryskającym z plastikowych rurek od każdej z krów, ile za całym tym zamieszaniem z myciem i sprzątaniem. Cholerny kłopot. W mleczarni Tine siedzieli tam chyba i ręcznie liczyli bakterie, tak ich sobie od czasu do czasu wyobrażał. „Ach tak, chłop z Neshov nie użył dziś wieczorem ściereczki. Ach tak, chłop z Neshov ma krowę z zapaleniem wymienia i wydaje mu się, że może nas oszukać, przywożąc nam jej mleko, zanim skończyła kurację antybiotykową...”

Rozumiał oczywiście, że ludzie chcą mieć czyste mleko, sam też tego oczekiwał, gdy otwierał kartonik. Ale cały ten brud i stres. Nie lubił myć wymion, nigdy tego nie znosił. Jakoś siedziało w nim, że to babska robota, chociaż mył wymiona od czasu, gdy był małym chłopcem i pomagał matce. Dowiedział się wtedy, że widoczny u niektórych krów mały dodatkowy piąty strzyk, który nie dawał mleka, nazywał się Marysiek. Matka nie wiedziała, czemu tak, nie wyjaśniła mu tego w żaden sposób. W jego klasie

była dziewczynka o imieniu Mari, często po kryjomu przyglądał się jej, tak jakby ona powinna to wiedzieć i powiedziałaby mu, gdyby ją zapytał.

Jednak wielu rzeczy brakowało mu po sprzedaży krów. Nawet tego, żeby do nich chodzić, tak jak teraz chodził do świń. Wchodzić w zapachy i dźwięki krów. Brakowało mu głębokich, gardłowych odgłosów wydawanych przez młode byczki, niecierpliwych, głośnych porykiwań, ciepłych pysków cielaków przysysających się do jego palców, ufnych i zachłannych. I oczu najstarszych krów mlecznych; tak bardzo lubił sposób, w jaki na niego patrzyły, szeroko otwarte, błyszczące i brązowe oczy pod grzywką; pyski ciepłe i chropowate w dotyku, zawsze robił po dojeniu obchód i zatrzymywał się przy każdej z osobna, a potem dopiero rozpoczynał pracę w umywalni. Odczuwał to tak, jakby chciał im się jakoś odwdzięczyć za to, że tyle z siebie dawały. Stały tam i niczego nie były świadome, stały tam i na swój sposób promieniowały głupawym spokojem, chociaż wcale nie uważał ich za głupie. Czasami na letnim pastwisku zdarzało się, że jakaś krowa chciała pójść za cielakami i odszukać wśród nich swojego. Bojąc się śmiertelnie elektrycznego pastucha, krowa ryzykowała jednak i nacierała na niego, torując sobie drogę przez płot, wyrywając słupki i druty. Imponowało mu, że w ten sposób krowa odkładała na bok własny strach, że jej instynkt macierzyński był tak silny, iż gotowa była w imię tego przejść przez ogień i wodę. Czy jego własna matka zrobiłaby coś takiego, gdyby ktoś go jej odebrał, kiedy był mały? Tak, pewnie zrobiłaby to, ale nigdy nie była do tego zmuszona. A teraz miała go przez cały czas. Ale gdy pomyślał o krowie... Wiele osób powiedziałoby zapewne, że

instynkty to nie uczucia, a jednak. Poruszało go to w niezwykły sposób, chociaż miał potem mnóstwo kłopotu ze sprowadzeniem krowy z powrotem i naprawą płotu. Taka świadoma nieustraszoność, chociaż tego nie chciał, imponowała mu nieco, a jednocześnie powodowała, że nie był w stanie myśleć o krowach jako głupich.

Poza tym brakowało mu czegoś jeszcze, był to widok krów pasących się latem. Wielkie, proste ciała, tak doskonale spoczywające same w sobie. Małe, długonogie cielaki z kosmatym futrem, kanciaste, błyszczące jałówki, pyski i jęzory pracujące nad ziemią, krowie zady machające wciąż ogonami w wiecznym trudzie utrzymania much z daleka, wolny chód ku większym kawałkom ziemi pokrytym zieleńszą trawą.

Teraz nigdy już nie przebywał w oborze. W okolicznych gospodarstwach nie bywał, nie znał nikogo aż tak dobrze, żeby móc wejść, zajrzeć, porozmawiać. Chętnie przeszedłby się wzdłuż żłobów, obok wystających z obu stron krowich łbów, kopniakiem podrzucił im nieco trawy z silosu, popatrzył, jak jedzą, przestępując z nogi na nogę, przyjrzał się, jak z wielką przyjemnością piją, jak zwieszają język raz z jednej, raz z drugiej strony pyska, obserwował, jak wystawiają ku sobie głowy, żeby trochę się nawzajem poczochrać, albo po prostu poczuć tylko bliskość innej istoty. Chciałby ich dotknąć, porozmawiać z nimi. Chciałby.

Ale nie chciałby tej całej pracy z nimi związanej.

Świnie to było coś zupełnie innego niż krowy. Świnie były mądre w zupełnie inny niż one sposób, musiał to po prostu przyznać.

Niektóre świnie były mądrzejsze od pozostałych. Ale żadna nie była głupia. Absolutnie żadna. Polubił te zwierzęta, pod każdym względem tak odmienne od krów. Nie istniała żadna sprzeczność w lubieniu ich i zabijaniu zarazem. W dawnych czasach każdy hodował w gospodarstwie świnię, którą zabijało się na święta. Ale matka opowiadała mu, jak niektórzy sąsiedzi wymieniali świnię, bo mieli tylko jedną i zawsze zanadto polubili właśnie tę konkretną. I żeby uniknąć zjadania jej, robili konkurs na najbardziej wypasioną świnię, tak żeby sąsiad nie mógł powiedzieć, że żałowano jedzenia w tym gospodarstwie, z którego dostał świnię. W ostatnich tygodniach przed przybyciem rzeźnika świnie były tuczone do granic możliwości za pomocą owsianych bułeczek i innych pyszności.

W owych czasach świnie miały być tłuste. Teraz ludzie, kupując mięso, patrzyli, czy jest czerwone, i żądali takich świń, które zakrawały na kulturystki. Procent mięsa był w rzeźni starannie mierzony. A jeśli ten procent był zbyt niski, cena spadała, jak poziom wody w delcie Gauli przy odpływie.

Wszedł do chlewu i zbliżył się do boksu Sary. Przez krótką chwilę stał tam z ramionami zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała i narastającym w gardle uczuciem, które rozpoznał jako początek dawniejszego płaczu. Cała słoma w boksie porodowym była zakrwawiona. Trzy żywe prosięta leżały za plecami matki i otwierały pyszczki, próbując dostać się do jej sutków, cztery martwe leżały przed nią, trzy z rozdartymi brzuszkami, jeden z przegryzionym karkiem. Czerwona masakra. Kolejny prosiak wyślizgnął się z matki.

Pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł, wyłączył główne światło i złapał za szpadel. Maciora była teraz śmiertelnie niebezpieczna. Lęk zamienił ją w drapieżnika – błyskawicznego zwierza, który nie chciałby przyjąć od niego pomocy, wejście do boksu było teraz wykluczone, mimo że Sara doskonale go znała. W półmroku przy użyciu szpadla podsunął żywe prosięta w swoją stronę i przełożył je do skrzynki, musiał zrobić to bardzo szybko, a zarazem ostrożnie, żeby ich nie uszkodzić. Z najmłodszym prosiakiem postąpił tak samo, a potem nad ruchliwym stosem nowo narodzonych włączył lampę grzewczą. A przy wyłączonym świetle górnym maciora miała mniej powodów do lęku, mniej poruszeń, mniej zagrożeń.

Martwe prosiaki przyciągnął ku sobie i wyrzucił do przejścia. Maciora odwróciła się i chrząknęła.

– Dobrze, dobrze, spokojnie, Sara. Tylko spokojnie... Grzeczna z ciebie dziewczynka.

Kolejny prosiak przyszedł na świat, cienkie nóżki zwisały z worka płodowego, bez przerwy otwierał i zamykał pyszczek, mrugał oczkami pod wpływem czerwonego światła lampy grzewczej. Złapał go i umieścił razem z innymi. Poczekał jeszcze chwilę, ale to już był koniec. Pięć żywych prosiąt. Ale mogło być dziewięć, w sumie to i tak dobrze, jak na pierwszy miot. Mogło być dziewięć, gdyby przyszedł trochę wcześniej, a nie stał jak głupek, gapiąc się na zasłony. A ten helikopter prawie zdjął dach z domu.

Sara oddychała ciężko, a jej niebieskie, okrągłe oczka wyrażały coś, co każdy nazwałby rozpaczą, gdyby oczy te były osadzone

w ludzkiej twarzy. Ale on nazwał to rozpaczą. A może bezradnością. Tak jakby coś innego, obcego wzięło ją w posiadanie, a ona to rozumiała. To był przecież jej pierwszy miot. Zawsze była troszkę nerwowa z natury, powinien był wziąć pod uwagę swoje pierwsze przeczucie i nie przeznaczać jej do hodowli. Ale była taka wspaniała poza tym i miała tak doskonałe kształty. Stale obserwowany przez maciorę pochylił się i przez barierkę zaczął mocno masować jej wymię, kilka razy tam i z powrotem, tak jak to często robił w ostatnich dniach, żeby pobudzić produkcję mleka, przypomnieć ciału i jej instynktom, co ją czeka. Nie odwrócił wzroku od maciory, słuchał wydawanych przez nią dźwięków, wszystkie zmysły przy masowaniu wymienia miał wyostrzone. Po chwili wyprostował plecy i napotkał wzrok młodej lochy leżącej i wypoczywającej w sąsiednim boksie. Odpowiedział jej spojrzeniem posłanym w półmrok, jej oczy żywo błyszczały. Na imię miała Siri, wyszeptał jej imię:

– Siri... Och, Siri. Po prostu tam leż. Wszystko będzie w porządku.

Siri była najmądrzejszą z dziewięciu macior hodowlanych, jakie obecnie posiadał. Miała właśnie urodzić swój trzeci miot. Nauczył ją różnych sztuczek za pomocą przysmaków i pieszczotliwych słów. Podniosła ku niemu ryj, wysoko w powietrze.

– Tak. Cztery młode martwe. Ty byś tak nie zrobiła, Siri. Nawet gdyby helikopter wylądował tutaj na dachu. Jesteś dzielna. Dzielna i ładna. Tak właśnie jest. Dzielna i ładna. Teraz je wyniosę. Nie chcemy przecież, żeby coś takiego tu leżało.

Przyniósł pusty worek po paszy i włożył do niego małe trupki. Doskonałe, małe prosięta, srebrzystoróżowe i czyste, z malutkimi

błyszczącymi ryjkami. Kurwa, może powinien był trzymać się krów mlecznych, zamiast hodować świnie. Myć wymiona i szarpać się z dźwignią silosu rano i wieczorem, zamiast przeżywać coś takiego. Takie straszne niepowodzenie.

Zwiotczałe, zakrwawione prosięta trzymane w rękach ważyły tyle co nic.

Wyprostował plecy i spojrzał na Sarę. Siedziała na środku pustego boksu ze zwieszoną głową i drgającymi uszami, z zakrwawionym pyskiem i szyją. I pomyśleć, że można było odczuwać miłość podszytą takim strachem o to, iż coś złego spotka jej dzieci, że postanowiła sama wyręczyć los.

– Przestraszyłaś się. Ja też. Przez te helikoptery można było sądzić, że to wojna.

Pośpiesznie wyniósł zwłoki i wziął miotłę. Schylony nad boksem wyczyścił go w miarę dokładnie z zakrwawionej ściółki. Później przyniósł czystą słomę i wiadro trocin i rozrzucił to wszystko w boksie. Wciągnie wilgoć i zapachy. Wetknął dłoń do skrzynki z noworodkami, którą zrobił sam ze starego pojemnika na dynamit. Tak, ciepło, chociaż to ciepło pochodziło tylko z góry. Nie miał pieniędzy na zainstalowanie ogrzewania w podłodze. Przebudowa obory sprowadziła się w zasadzie do likwidacji stanowisk dla krów i wstawienia boksów dla świń.

Nowo narodzone prosięta tuliły się do siebie i wydając ciche, żałosne dźwięki, szukały sutków. Musiał je nakarmić. I musiał namówić do tego maciorę. Ale nie mógł zadzwonić po weterynarza, nikt nie powinien teraz tu przyjeżdżać, kiedy wszystko po tamtej stronie drzwi do chlewu było nie tak, i nie

dałoby się nawet zaprosić weterynarza na filiżankę kawy do kuchni. Wyniósł worek po paszy do umywalni i rzucił go w kąt. W boksie było mokro, a teraz płyn zaczął przeciekać przez szary papier na dnie worka. Wypłukał buty pod strumieniem zimnej wody, zdjął je i zamienił na chodaki, ale nie zawracał już sobie głowy ściąganiem kombinezonu. Gdyby była na dole i zauważyła, że wszedł do domu w roboczym ubraniu, to lepiej zrobi, nic jej nie wyjaśniając albo mówiąc, że jedna z młodych macior trochę się skaleczyła i musi wziąć coś do dezynfekcji.

Niebo na południu rozjaśniała łuna światła. Zasłony nadal były zaciągnięte. Wszedł do domu i pierwsze, co usłyszał, to kaszel ojca na korytarzu u góry, jego kroki zbliżały się teraz do schodów. Kaszel jak zawsze brzmiał jak wymuszony i niepewny, ojciec kaszlał w ten sposób, żeby powiadomić, że nadchodzi.

Tor wszedł do kuchni, była pusta, ale teraz był na to przygotowany. Podszedł do najniższej półki w spiżarni, gdzie – jak sądził – mogło stać jeszcze coś starego w jednej z butelek. Pogrzebał ręką za termosami i wazonami, dotykając kolejno rozmaitych flaszek i sprawdzając, czy coś w nich jest. Matka na wszelki wypadek nigdy nie wyrzucała pustych butelek, zawsze mogły się przydać pewnego dnia przy robieniu soku. Nigdy nie wyrzucała żadnego opakowania, które mogło zostać ponownie użyte, szafki pełne były pojemników po śmietanie i plastikowych pudełek, wymytych puszek, z których usunęła papier i do których wsadzała odnóżki roślin domowych, po owinięciu ich folią aluminiową i wełną.

Coś tam było. Wyciągnął półlitrową butelkę sherry, na dnie jeszcze całkiem sporo zostało. Zakrętka siedziała bardzo mocno, a wokół szyjki zastygły żółte strużki cukru. Musiał powąchać zawartość, sprawdzić, czy w środku naprawdę jest sherry, kiedyś znalazł w szafce butelkę po likierze napełnioną olejem silnikowym. Przez chwilę trzymał szyjkę butelki pod strumieniem ciepłej wody, potem ponownie obrócił zakrętkę, korek puścił, a on wciągnął w płuca aromat sherry, mocny, korzenny zapach, który uderzył go w nozdrza, tak że na chwilę stracił równowagę. Przymknął oczy i przez ulotny moment delektował się smakiem sherry na podniebieniu. Ślina napłynęła mu do ust, drzwi za nim otworzyły się. Umieścił zakrętkę z powrotem na miejscu i odwrócił się ku drzwiom, robiąc krok w ich kierunku. Nawet przez zapach chlewu, który przyniósł na sobie, poczuł odór ojca, niemytego ciała, zmierzwionych włosów i słodkawy smród oddechu ze sztucznej szczęki. Nie starał się schować butelki za plecami.

– Twoja matka – powiedział ojciec i odsunął się na bok.

– Tak?

Tor, nie patrząc w stronę mężczyzny, zatrzymał się na krótką chwilę.

– Leży – rzekł ojciec.

– Czy... coś słyszałeś?

– Tak. Słyszałem, jak trochę kaszlała.

Sara nadal siedziała na zadzie, krew i łożysko rozlały się wszędzie i ubrudziły jej pośladki. Do mokrego cielska przykleiło się źdźbło słomy. Uszy zwisały jej smutno, ale spojrzenie było ciągle takie samo, błękitne i bezsilne. Sprawiała wrażenie zmęczonej

i oszołomionej. Nagle poczuł dla niej gwałtowne współczucie, swoją bezradność, porażkę.

– Twoje dzieci muszą dostać jeść, teraz musisz się uspokoić i położyć – wyszeptał.

Przyniósł w miarce odrobinę paszy treściwej i wlał do niej sherry, zamieszał palcami i podał świni do boksu. Powąchała, zanim zaczęła jeść, najpierw wolno, potem coraz szybciej.

– Dobre było. Tak, myślę, że to było dobre. Tylko spokojnie, teraz musisz się uspokoić, to wszystko przejdzie, masz piękne dzieci, rozumiesz, piękne dzieci, teraz trzeba już być całkiem spokojną. Ale więcej młodych nie będziesz już miała, nie, lepiej nie...

Podszedł szybko do kącika z prosiętami, a w tym czasie jej powieki stały się cięższe, wciągnęła głęboko powietrze i zadrżała. W kieszeni na piersi miał gotowe nieduże obcęgi do usuwania kłów.

Podniósł pierwszego prosiaka, przytrzymał go mocno między kolanami i zmusił do otwarcia pyszczka, a potem szybko wyłamał kolejno osiem zębów. Były ostre jak szpilki i lepiej było nie łudzić się, że Sara zaakceptuje stosowanie takich narzędzi tortur na swoim wymieniu, nawet gdyby napoił ją całą butelką wódki. Odłożył młodego z powrotem, podniósł ze skrzynki następnego i poddał go tej samej procedurze. Na szczęście był tylko jeden mały knur, dzięki temu zaoszczędzi parę koron na kastracji.

Pochylił się mocno do przodu i zaczął ponownie masować wymię świni, próbowała położyć się, odwrócić na bok, oszołomiona i niepewna, ale instynkty wzięły górę, zwłaszcza gdy sherry rozpięła nad nią parasol ochronny przed lękiem.

Przystawił młode. Sara leżała nadal, patrząc przed siebie tępym wzrokiem, nie podnosząc głowy. W każdym razie miała dostatecznie dużo sutków, o dziewięć więcej niż trzeba. Młode rozpychały się, przez pierwsze dni zawsze trwała walka, a potem ustalała się między nimi hierarchia i każdy miał swój własny sutek, którego nikomu innemu nie wolno było dotykać.

Wszystkie były na swoich miejscach, widział to, mleko popłynęło i przez dziesięć gorączkowych sekund prosięta ssały, jakby ich życie od tego zależało, mleko nie płynęło dłużej niż przez dziesięć sekund. Wypuścił powietrze z płuc, nawet nie będąc świadomy tego, że wstrzymał oddech od chwili, gdy położyła się przepisowo na boku. Zabrał prosiaki z powrotem do skrzynki i nie pozwolił im baraszkować wokół głowy matki. Zobaczymy, jak pójdzie następnym razem, czy instynkty wychylą się we właściwą stronę. Póki prosięta były takie małe, potrzebowały jedzenia co godzinę, to dopiero będzie cyrk, jak okaże się, że musi postępować w ten sposób za każdym razem, a nie wiadomo było, czy w szafce kuchennej stało więcej sherry.

Pozostawało mieć nadzieję, że ambulans powietrzny czekają spokojne dni, a przynajmniej że nie będzie przewoził pacjentów nad Neshov. Jeśli tylko maciora przetrwa najbliższe godziny, nie próbując ponownie zaatakować, prosięta będą żyły. Data uboju świń wypadała pierwszego stycznia, nie do pomyślenia było wysłanie świeżo oprosionej maciory z konieczności do rzeźni.

Stanie i patrzenie, jak młode uspokajają się pod czerwoną, ciepłą lampą, było prawdziwym błogosławieństwem. Zrobił krok w stronę komory z paszą, podniósł pustą butelkę, dotknął

czubkiem języka zakrętki, którą potem włożył do kieszeni na piersiach. W chlewie panował teraz spokój, dźwięki i zapachy, i poruszenia tworzyły zestrojoną, przewidywalną całość, spokój, w który pozwolił sobie zapaść na kilka łatwo zdobytych dzięki smakowi domowej wódki sekund.

Poszedł do Siri. Leżała, ale gdy kucnął przed nią, chrząknęła w jego stronę we właściwy sobie, nieco pytający i bulgotliwy sposób. Zaczął ją drapać po twardej szczecinie, dziwne było przyzwyczajanie się do dotykania tych zwierząt. Miękkie krowy, a teraz ta naga skóra z rzadkimi, białymi włoskami.

– Nie mam dla ciebie nic dobrego. Nie miałem głowy.

Świnia popychała go ryjem w kierunku kieszeni w kombinezonie. Ale on nadal trzymał w ręce butelkę, odkręcił zakrętkę i pozwolił jej powąchać.

– Sherry. Ty nie potrzebujesz takich rzeczy.

Jej płaski i wilgotny ryj był wielkości spodka. Ruszała nim, wąchając, a potem nagle spróbowała zjeść zakrętkę.

Musiał się jednak troszkę uśmiechnąć, zabrał jej zakrętkę. – Nie. Tego nie będziesz miała w żołądku. Wiesz, następnym razem przyniosę ci coś dobrego. Teraz muszę iść do środka. Naprawdę muszę. Dowiedzieć się, o co tu chodzi.

Jej ciało piętrzyło się przed nim jak wielka góra, coraz bardziej stroma, im bliżej szczytu. Gdyby tylko mógł tu zostać. Przyłożył do niej rękę. Pod skórą na brzuchu kłębiło się życie. Za kilka dni miała być jej kolej. Już zaczęła zawlekać słomę na gniazdo. Jeśli pozwoliło się świniom swobodnie poruszać w boksie i rządzić się tak, jak chciały, do głosu dochodziły instynkty. Korzystając z dodatkowej słomy, którą wrzucał im zawsze w okresie

poprzedzającym poród, starały się zbudować prawdziwe gniazdo. Fascynowało go to i imponowało mu. A gniazdo było najwyższe z tej strony, gdzie spoczywał zad. Jego zdaniem, wynikało to z faktu, że w ten sposób nieczystości łatwiej odpływały. Wszystko działo się przecież po to, żeby mogły przeżyć i odchować potomstwo. Za drugim razem, gdy się oprosiła, urodziła piętnaście młodych i wszystkie przeżyły. To dopiero była dzielna dziewczyna. Odepchnął jej ryj od swoich kieszeni, wybierając jednocześnie kawałek słomy z jej wielkiego nozdrza. Jeszcze nie wydawała się jakoś szczególnie niespokojna, to chyba nie będzie dziś, takie przynajmniej miał wrażenie. Tuż przed porodem świnie między innymi opróżniały zazwyczaj w gwałtowny sposób pęcherz, a to póki co też na razie nie nastąpiło. Wówczas w boksie robiło się tak mokro, że musiał zawsze szybko go umyć i przynieść suchą słomę, zanim pojawią się młode. Hodowla świń nie była czymś takim, czym można zajmować się przez chwilę w przerwie między dobranocką a dziennikiem telewizyjnym. Dostarczał dwieście świń rzeźnych rocznie i sam musiał wykonać wszelkie prace po tej stronie drzwi do chlewu, a więc zwierzęta zajmowały miejsce w jego głowie o każdej porze doby. Poza tym miały mieć dobrze, więcej niż dobrze, z dużym obrzydzeniem czytał w prasie o chłopach zaniedbujących prace gospodarskie. I zupełnie nie obchodziło go to, czy tłumaczyli się problemami nerwowymi lub podobnymi bzdurami, nie cierpiał uzewnętrzniania osobistych tragedii, choćby nie wiem co, mieli pójść do chlewów do swoich zwierząt, a na załamania nerwowe zostawić sobie czas pomiędzy północą a godziną siódmą rano. Ale on sam musiał teraz podnieść się i zapomnieć o swoich zwierzętach na małą chwilę, po prostu

musiał. Oparł tył głowy o stalową rurę i zamknął oczy, słuchając świńskiego oddechu. Był głodny, mdliło go, miał chęć na gotowane jajko, na ścięcie jego czubka, na słuchanie jednocześnie na cały regulator sumy, nadawanej w programie pierwszym radia, tak robili zawsze, żeby jakoś zatuszować brak rozmowy, gdy ojciec siedział tam i tarł zarost swoim papierem toaletowym. Wszystko byłoby lepsze od tych zasłonek. Kiedy był tam ostatnio? Chyba wtedy, gdy hodowali jeszcze krowy mleczne i w jej pokoju zrobiło się zwarcie w lampie, i przyszedł elektryk, który musiał obejrzeć przewody. Duże skrzyniowe łóżko, jej kołdra przykryta ciemną, ręcznie robioną narzutą, poduszka wystająca z jednego końca, zmęczona po tylu nocach podtrzymywania jej głowy, mały nocny stolik z szydełkową serwetką, pustym futerałem na okulary oraz szklanką wody, w której prawdopodobnie spoczywała sztuczna szczęka, komoda nakryta obrusem i z postawionym na niej lichtarzem, a nad nią lustro. Elektryk hałasował narzędziami i różnymi urządzeniami pomiarowymi, a on stał tam i gadał o wszystkim i o niczym, chłonąc każdy szczegół tego pokoju, w którym był ostatnio jako mały chłopiec. Szafa na ubrania, z malutkim mosiężnym kluczykiem w dziurce. Pełna sukienek, fartuszków, rozpoznawał wśród nich każdy kolor, każdy wzór. Ale co też zawierały szuflady w komodzie? Prawdopodobnie bieliznę, w końcu widział kiedyś jej majtki suszące się na sznurze, obszerne i białe. Widział również, jak wieczorami w kuchni wciągała do nich nowe gumki, słyszał, jak narzekała, jak to w obecnych czasach szybko parcieją gumki w majtkach, często już po kilku praniach. Zazwyczaj przyczepiała gumkę do agrafki,

a następnie przesuwała ją w środku wzdłuż brzegu przez cały szew.

Szmaciany dywanik na podłodze, tak, na to też był przygotowany. Wydawało mu się, że jest szary i różowy, w paski. Teraz, kiedy musiał tam wejść, nic nie powinno go zdziwić. Czy ona kiedykolwiek leżała chora? Otworzył oczy i zastanowił się. Siri ciągle go popychała.

– Nic nie mam. Spokój.

Nie. Przeziębienie i podobne sprawy – tak, ale nigdy nie była chora. Czytał kiedyś w gazecie, że matki mające wiele dzieci chorowały rzadziej niż kobiety samotne. Jak człowiek musiał, to jakoś sobie radził. I chociaż matka nie miała już małych dzieci do doglądania, to jej stosunek do obowiązków i pracy był ciągle taki sam. Chodziło o to, żeby zawsze wziąć się w garść, a nie kłaść do łóżka. Matka nigdy się nie kładła. Kręciła się wokół z chusteczką przy nosie i robiła to, co do niej należało, smażyła płucka i gotowała ziemniaki, czyściła ryby, gotowała konfitury, prasowała ręczniki, myła podłogi, sprzątała ze stołu, płukała imbryk po kawie, krzątała się po domu, nawet jeśli leciało jej i z oczu, i z nosa. Nigdy nie leżała. Kiedyś zachorowała na żołądek, ale wtedy po prostu siedziała w łazience i też nie położyła się do łóżka. On i ojciec musieli przez kilka dni korzystać ze starego wychodka na podwórku, a myć się w kuchni. Jedyne, co sobie przypomniał, to że gdy dziadek Tallak zmarł, zamknęła się w swoim pokoju na dwa dni, ale to już było dwadzieścia lat temu.

Wyprostował się i stanął. Siri śledziła go wzrokiem. Pochylił się ku niej i pociągnął za jedno ucho, chwytając je między palcami. Sara w sąsiednim boksie chrapała głośno. Nowo narodzone

prosięta za chwilę trzeba będzie znów karmić, musiał teraz wejść do domu i pójść na górę.

Ojciec siedział przy kuchennym stole. W chwili, gdy Tor wszedł do środka, wyglądał przez okno. Przed sobą miał kubek z kawą, ale nic do jedzenia. Nie potrafił tak jak inni ludzie ukroić sobie kromki chleba, gdyby nikt nie przygotował mu jedzenia, zagłodziłby się na śmierć, siedząc przed pojemnikiem z pieczywem. Nawet nie napalił w piecu, siedział tu po prostu, gapił się i czekał. Tor kucnął przed piecem na drewno i otworzył drzwiczki. W środku wszystko było gotowe. Matka poprzedniego wieczoru przygotowała piec do rozpalenia, układając szczapy i korę, pustą rolkę po papierze toaletowym, a całkiem na dole zgniecione gazety. Na szczycie stosu leżały na krzyż dwa kawałki drewna. Widok tego starannie zaplanowanego stosu, z papierem i szczapami, wzbudził w nim nagłą wściekłość, ale udało mu się powstrzymać od zerwania się, nawet nie odwrócił twarzy w stronę stołu, nic nie powiedział, tylko wskoczył w znany sobie schemat intrygi, którą obmyślał, żeby położyć ręce na tym brudnym, starym gardle i mocno je zacisnąć. Nawet zmusiłby się do dotknięcia jego skóry na szyi, gdyby potem miało nastąpić wyzwolenie. Albo użyć poduszki w nocy. Wtedy mógłby go nawet nie dotykać. Wiedział dokładnie, w jaki sposób stanąłby przy wezgłowiu łóżka, prawie przyduszony do ściany, tak żeby bijące na oślep ręce ojca nie mogły go dosięgnąć. Przystawił zapałkę do stosu, zamknął drzwiczki i ustawił przewiew. Potem do czystego kubka nalał sobie kawy. Wpadło mu sporo fusów, imbryk był

prawie pusty, nawet już nie parował, ale trudno, potrzebny był mu kubek, którego mógłby się trzymać.

W pomieszczeniu unosiła się słaba woń ciała i oddechu, dobrze znanych mu zapachów. Było lodowato zimno.

– Odsłonię ci zasłony – powiedział i postawił kubek z kawą na komodzie – i mam tu kawę.

Światło z zewnątrz było o wiele za słabe i do niczego nieprzydatne, wpłynęło tylko do pokoju jak stara owsianka i owinęło się wokół jego szyi.

– Mamo... – podszedł bliżej do łóżka. – Chcesz kawy?

– Trochę dziwnie się dzisiaj czuję.

– Czy mam zadzwonić po lekarza?

– Głupstwa opowiadasz.

– Na dworze jest dziewięć stopni mrozu. Piękna pogoda.

Nie odpowiedziała. Zanim zapalił jej lampkę do czytania, odwrócił ją nieco w drugą stronę, tak żeby nie raziła jej w oczy.

Znad brzegu kołdry i narzuty wystawała tylko jej głowa, ramiona i ręce były schowane. Oczy miała zamknięte. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział ją w takim stanie, leżącą w taki sposób. To było dziwne. Nagle wydała mu się taka mała. Siwe włosy były nieosłonięte, zawsze nosiła chustkę wiązaną na karku, brązową w czerwone paski albo jednokolorową ciemnozieloną. Jej włosy były tak przerzedzone, że mógł przez nie dokładnie zobaczyć skórę głowy, błyszczącą i żółtawą.

– Czy masz... gorączkę?

Takiego pytania nigdy w życiu nie zadał matce, to ona zawsze o to pytała, gdy był małym dzieckiem i miał odrę albo różyczkę.

Nigdy nie był pewien, co ma jej w takiej sytuacji odpowiedzieć, w końcu to do niej należało wtykanie mu zaopatrzonego w szczyptę wazeliny termometru w pupę i odczytywanie wyniku. Jeśli mówiła, że termometr pokazuje więcej niż trzydzieści siedem i pół stopnia, to odpowiadał: „Tak, chyba mam gorączkę". Trudno jednak było rozeznać się w tym. Rzeczywistość stawała się od razu inna, człowiek ją natychmiast akceptował i szybko zapominał, jak to jest nie mieć gorączki. Jako mały chłopiec uwielbiał mieć gorączkę, ale w dorosłym wieku prawie mu się to nie zdarzało. Pamiętał jednak, jakie wszystko wydawało mu się wtedy swobodne i obojętne, a sny nadpływały do niego mimo otwartych oczu.

Otworzyła oczy. Napotkał jej spojrzenie. Ku swojej ogromnej uldze nie zobaczył w nich choroby ani strachu przed chorobą, ani bólu. Gorączki też nie było w nich widać, bo wtedy byłyby błyszczące, wiedział to z opieki nad zwierzętami. W jej spojrzeniu była tylko zwyczajność, i może odrobina pytającego zdumienia. Zamknęła znów oczy. Poza tym żadnego ruchu. Pokryte żyłami, błękitne powieki były jedynym poruszającym się elementem i miał ochotę nią po prostu potrząsnąć. Ale nie mógł jej dotknąć, pogłaskać dłonią policzka, ze względu na siebie samego.

– Czy coś cię boli?

– Nie – odparła tak, jak oczekiwał. Ale nie podobał mu się jej głos, zupełnie mu się nie podobał, było w nim coś płaskiego, pełnego powietrza.

– Czy nie chcesz... Czy nie chcesz wstać, mamo?

– Nie. Może później. Jestem zmęczona.

– To pewnie grypa.

Nie odpowiedziała ani nie otwarła oczu, przestawił jej filiżankę z kawą na nocny stolik. Być może już na nowo zasnęła.

– Sara się oprosiła. Dziewięć prosiąt – wyszeptał, wyłączył lampkę nocną i cicho wymknął się z pokoju. Po drugiej stronie drzwi zatrzymał się przez dłuższą chwilę. Ściany trochę skrzypiały, wokół domu unosił się mróz, wdzierał się w drewno, zastępując wczorajsze ciepło, poza tym panowała cisza. Trzecia niedziela adwentu, pomyślał, i to była dziwna myśl, której zaraz, zdumiony, uczepił się, tak jakby święta miały jakieś znaczenie, w Wigilię zawsze jedli żeberka, gotowanego łososia na obiad w pierwszy dzień Świąt, a w drugi dzień Świąt – resztki; czerwone świeczki na stole, czerwone serwetki, on i ojciec, każdy ze swoją jedną szklanką piwa do posiłku, to było wszystko. Przedstawienie, które odgrywali. W zeszłym roku udało mu się namówić Arnego ze spichlerzy w Trondheim, żeby kupił mu półlitrówkę okowity. Trzymał ją w chlewie i pijał zmieszaną z zimną wodą z kranu w umywalni. Tłumacząc się chorą maciorą, wrócił po wieczerzy wigilijnej do chlewu, matka już się położyła, kiedy pojawił się z powrotem, i niczego nie zauważyła, długą chwilę spędził ze zwierzętami i w upojeniu, w dzikim upojeniu, płakał wtedy i płakał, nagle, stojąc tam, o tym wszystkim pomyślał, że dzisiaj jest trzecia niedziela adwentu i że płakał tak okropnie, nie wiedząc nawet, dlaczego, ale jutro zamierzał zadzwonić do Arnego i poprosić go o to samo, i tak musiał do niego zadzwonić, bo silosy z paszą były już prawie puste.

Ojciec siedział nadal w tym samym miejscu. Jego łokcie oparte o stół wystawały ze swetra jak cienkie patyki, najwyraźniej zamierzał siedzieć tam i czekać, aż śniadanie wyląduje tuż przed jego nosem. W niedziele nie rąbał drewna ani nie pracował w stodole. Dlatego w niedziele zawsze już od rana palili w piecu w tym salonie, gdzie stał telewizor, i w ten sposób mieli ojca z dala, siedzącego tam z gazetami i książkami o wojnie. On i matka zazwyczaj siadywali w kuchni, rozmawiając, albo on czasem porządkował swoje segregatory w biurze, żeby być na bieżąco z pracą papierkową i z zawiłymi formularzami jakości KSL[2].

Wiedział, że ojciec zaczął się teraz zastanawiać, słyszał przecież, że Tor był już na górze. Tor wyjął chleb i margarynę, ukroił dwie kromki, znalazł w lodówce ser i odwiązał z niego gumkę, przygotował kilka plastrów, położył wszystko na talerzu i z trzaskiem postawił go przed ojcem. Potem poszedł do salonu i rozpalił w piecu. Zanim wróci z chlewu, ojciec już – daj Boże – pójdzie siedzieć tam i wtedy będzie można w spokoju pobyć tutaj.

Sara nadal spała. Młode były niespokojne. Sprawdził je wszystkie po kolei, jak oddychają i reagują, czy wszystkie kończyny funkcjonują normalnie. Niektóre nadal miały przyklejoną do skóry błonę płodową, przypominało to przezroczyste plamy z zaschniętego kleju, oderwał je ostrożnie. W skrzynce było przytulnie i ciepło, a młode były doskonałe, pięć doskonałych prosiąt, tak trzeba było myśleć, i cieszyć się z okowity, którą miał dostać, i że matka stanie z powrotem na nogi jutro rano, a może jeszcze dziś wieczorem. Będzie musiała przecież pójść do toalety,

tego się nie da uniknąć, i wtedy na pewno zauważy, że wcale nie jest chora, że tylko trochę dziwnie się czuje.

Schylił się do boksu i zaczął mocno i zdecydowanie ugniatać maciorze wymię. Zamrugała oczami. Białe, sztywne rzęsy nad błękitem.

– Teraz musisz znów się postarać. Zrobić swoją robotę. Dzieci są głodne, rozumiesz. Nie możesz leżeć tutaj i przeciągać się przez cały dzień!

Podszedł do kąta z prosiętami i przyniósł dzieci. Gdy tylko pierwszy z młodych zaczął szukać sutka, oddech maciory natychmiast zrobił się cięższy, ale pozostała w pozycji leżącej. Dokładnie widział, jak jej spojrzenie przeszukuje półmrok, tak jakby wypatrując ukrytych zagrożeń.

Zaśmiał się lekko. – Zapomniałaś, że urodziłaś dzieci. No tak, to pijaństwo. Leż wobec tego grzecznie, aż ci się wszystko przypomni!

Młode kłóciły się, przepychały i dopominały o swoje prawa. Leżały tuż obok siebie, jak różowe i błyszczące małe kiełbaski przy brudnoszarym podbrzuszu i trącały je w poszukiwaniu sutków. Wtedy mleko poleciało i cała piątka ssała jak oszalała, tak jakby przez dziesięć gorączkowych sekund ssały całe ich małe ciałka. Po raz kolejny poczuł ulgę. Jeszcze jeden posiłek, następna porcja odżywczego płynu, odsuwającego ich wszystkich o krok dalej od katastrofy. Maciora podniosła głowę, pozwolił jej na to. Chciała na nie popatrzeć, ale nie miała siły się odwrócić. Przeniósł cztery młode do skrzynki, a piątego podniósł tuż przed nią. Stał w gotowości, wiedząc że ryzykuje życie młodego, ale ona tylko

intensywnie go wąchała przez kilka sekund, po czym prawie bezsilnie opuściła głowę.

– Świetnie, Sara – wyszeptał. – Jesteś dzielna, naprawdę. Ładne dzieci ci się urodziły. Piękne, tak, a ty jesteś taka dzielna.

Położył młodego do pozostałej czwórki, w jego dłoniach wydawał się najedzony i rozleniwiony, przyczołgał się blisko rodzeństwa, leżącego pod czerwoną lampą grzewczą. Pozwolił maciorze zasnąć tam, gdzie leżała.

Teraz ukroił kromkę chleba dla Siri i znalazł w lodówce dwa gotowane ziemniaki. Świnia karmiona tylko paszą treściwą gotowa była oddać wszystko za smak kawałka ziemniaka i chleba w ryju. Nauczył ją ładnie siedzieć i stukać prawą nogą, zanim dostanie coś do jedzenia, ale teraz nie zamierzał o to prosić, tak bardzo była już ciężarna. Najchętniej leżałaby cały czas, dlatego dał jej łakocie od razu po przyjściu. Chrząknęła z zadowoleniem, potrafiła wydawać różne, niezliczone dźwięki, a on wiedział dokładnie, co które z nich oznaczały. Poczochrał ją chwilę za uchem, potem poszedł do umywalni, zdjął kombinezon i buty i z powrotem udał się do domu.

Ojciec przeniósł się do salonu, rozumiał dobrze, czego od niego oczekiwano w imię domowego spokoju. Właśnie, spokój domowy. Pojęcie to niekoniecznie oznaczało, że nikt ze sobą nie rozmawiał. Chętnie porozmawiałby z matką, wolałby, żeby tam była. Poszedł ponownie do niej na górę, tym razem z pustymi rękami. Powinien skłonić ją do zjedzenia czegoś, wcisnąć jej coś ciepłego, zapytać, co chciałaby zjeść, może na coś miała ochotę, może na zupę, był przecież w stanie znaleźć jakąś torebkę i zastosować się do

instrukcji na odwrocie. Nie pukał przed wejściem. Zrobił tak poprzednim razem, ale i tak nie odpowiedziała. Cicho wsunął się do środka, w pokoju było teraz nieco jaśniej, nie całkiem jasno, ale na tyle, że mógł zobaczyć, że leży tak samo jak przedtem. Otworzyła oczy.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

Uśmiechnęła się blado, on odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

– To do ciebie zupełnie niepodobne! – rzekł, próbując w ten sposób zażartować.

– To okropne – odpowiedziała. – Jestem po prostu taka słaba.

– Jesteś pewna, że nie powinienem zadzwonić po lekarza? Przecież przyjeżdżają do domu, gdy...

– Nie. To przejdzie.

– Czy nie chcesz pójść do... Czy ci pomóc w...

– Nie.

– Włączę na trochę grzejnik. Żebyś tu nie zamarzła. I zejdę na dół zrobić ci odrobinę zupy.

Nie odpowiedziała, uznał to za zgodę.

Proszek należało rozmieszać w litrze wody. Z napisu na torebce wynikało, że była to szwedzka grochówka. Trochę go to zastanowiło, co też takiego jest w niej szwedzkiego. Włączył płytkę na pełne grzanie. Garnek był nieco za mały, musiał mieszać ostrożnie. Zamknął drzwi prowadzące do salonu. Ojciec nie musiał widzieć, że stoi tutaj i miesza w garnku. Uzyskał rzadką, żółtą zawiesinę. Włączył radio, czekając, aż zupa zagotuje się, a następnie dojdzie na wolnym ogniu, jak było napisane na

torebce. Spróbował jej małą łyżeczką, smakowała nijak, chyba to właśnie było w niej takie szwedzkie. Posolił zupę dość obficie, ukroił kilka pasków jagnięciny i wrzucił do garnka, a potem spróbował ponownie. Teraz smakowała lepiej.

Nie chciała jeść. Trzymał przed nią duży kubek parującej zupy i łyżkę.

– Nie – rzekła powtórnie.

– Mogłabyś chociaż spróbować mojej sztuki kulinarnej.

– Nie. Chcę spać.

W pokoju śmierdziało starym grzejnikiem, taki sam zapach unosił się w domu jesienią, gdy po długim lecie znów włączali mały kaloryfer w łazience. Kurz, spalony w cieple grzejnika.

Gdy nadszedł wieczór, a on rozpoczął w chlewie zwykły obrządek wieczorny, Sara wydawała się znacznie spokojniejsza. W pierwszych dniach nie powinna dostawać za dużo jedzenia, ale za to zachłannie piła wodę. Wstawił do jej boksu dodatkowe wiadro.

– Skacowana? – zapytał.

Gdy w chlewie panował już spokój po karmieniu i sprzątaniu boksów, przystawił do niej ponownie dzieci, podając im najpierw dawkę żelaza w płynie. Wierzył, że teraz wszystko się uda, i w związku z tym mogły już dostać tę potrzebną dawkę żelaza. Młode wydzierały się i prężyły z powodu przymusowego przytrzymania. Nikt nie podnosił takiego rwetesu jak świnie, zupełnie jakby każda najmniejsza przykrość stanowiła dla nich zagrożenie życia.

Usiadł w kuchni w taki sposób, żeby przez drzwi do salonu widzieć ekran telewizora, nie wchodząc jednocześnie do środka. Ojciec miał w zwyczaju kłaść się około dziewiątej, najczęściej w porze wiadomości nadawanych na kanale drugim. Tego wieczoru zrobił tak samo, a Tor przeniósł się wówczas do salonu. Unosił się w nim zapach ojca. Siedział, analizując woń rozprzestrzeniającą się w powietrzu, gdy nagle uświadomił sobie, że wczoraj wieczorem ojciec nie brał prysznica i nie zmieniał ubrań. Natychmiast poczuł, jak serce znów zaczęło mu mocno walić, bo to oznaczało, że matka musiała zasłabnąć już poprzedniego dnia. Każdej soboty wieczorem wykładała czyste ubrania i ręczniki w łazience. Prawdopodobnie głównie ze względu na siebie samą, chroniąc się przed zapachem rozchodzącym się wokół wspólnego stołu. A jednak wczoraj tego najwyraźniej nie zrobiła.

Wpatrywał się w ekran całkowicie bez zrozumienia. Już wczoraj sprawy przybrały niewłaściwy obrót, a on niczego nie zauważył. Czyżby zrobił się ślepy i głuchy?

Wyszedł do kuchni i poszukał czystego garnka. Ojciec zjadł grochówkę, brudny garnek nadal stał na kuchence, a głęboki talerz z łyżką na stole kuchennym. Resztki zupy zaschły na kształt żółtej, suchej piany. Wstawił brudny rondel do zlewu i zalał go zimną wodą, spłukał też talerz. Wszystko to robił dla matki, pomyślał, nie dla ojca, ważne było, aby się tego trzymać. Sam nie jadł niczego oprócz kawałka chleba na śniadanie, to dziwne, w ogóle nie był głodny – on, który zawsze był głodny i nigdy nie czuł się najedzony. Podgrzał mleko i zaczął szukać

miodu, ale niczego nie znalazł. Wlał do mleka łyżkę syropu i zamieszał.

Na korytarzu u góry było zimno, ale ciepło z jej pokoju uderzyło go po otwarciu drzwi. Oraz zapach, lekki, słodkawy zapach, którego postanowił nie wyczuwać. Zapalił lampkę nocną i postawił mleko na stoliku, zasunął zasłony i nieco zmniejszył ogrzewanie. Matka leżała i śledziła go wzrokiem, gdy do niej podszedł, stąpając po szmacianym dywaniku w kolorach dokładnie takich, jak zapamiętał.

– Jak z tobą?

– Lepiej.

– To udowodnij mi to, pijąc choć trochę ciepłego mleka.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób wszedł w tę władczą rolę, nigdy wcześniej tak do niej nie mówił, nie rozkazywał jej, co ma robić.

– Ach, tak – powiedziała.

Jej głowa leżała zbyt płasko, tym razem nie wziął ze sobą łyżeczki. Nie wyglądało na to, aby zamierzała usiąść na łóżku albo wyciągnąć ręce. Tak samo jak przedtem spoczywały pod narzutą. Przez kilka niepewnych sekund trzymał kubek w powietrzu nad jej twarzą, zanim zrozumiał, że będzie zmuszony podnieść jej głowę jedną ręką.

Jej czaszka w dotyku sprawiała wrażenie idealnej kuli, okrytej ciepłymi i lekko wilgotnymi włosami, przez co jego ręka nieco się ślizgała. Włosy z tyłu głowy leżały całkiem płasko, wystając jedynie między jego palcami. Ta kula była taka mała, w zdumieniu trzymał ją w rękach, a jej usta w tym czasie ułożyły się w dzióbek i siorbnęły w stronę mleka. Mięśnie jej karku

drżały. Po dwóch drobnych łykach kula w jego dłoni zrobiła się ciężka i spokojna i ostrożnie ją wypuścił.

– Tyle – wyszeptała.

– Więcej nie?

– Nie.

Po ponownym przystawieniu pięciu prosiąt do mleka położył się i długo nie mógł zasnąć. Czuł się śmiertelnie zmęczony, a mimo to leżał i wpatrywał się w mrok, mieląc w myślach cały dzień. Wydawało mu się, że tydzień minął od czasu, gdy wstał z łóżka. Trzeba będzie zadzwonić do lekarza niezależnie od tego, co ona mówi. I gdy tylko podjął taką decyzję, zasnął.

Zajrzał do niej na chwilę przed pójściem do chlewu. Otworzył okno i trochę przewietrzył pokój. Było pochmurno i niezbyt zimno. Dzisiaj będzie padał śnieg.

– Czy to ty?

Zapalił lampę. – Tak.

– Nie dzwoń po lekarza.

– Zadzwonię.

– Lepiej mi dzisiaj.

– Ale czy wstaniesz?

– Jeszcze nie. Ale nie dzwoń.

– Jesteś chora.

– Nie taka znów chora.

– Chcesz czegoś?

– Później. Trochę kawy. Jak zrobisz w chlewie.

Zamknął okno i zszedł do kuchni, rozpalił tam ogień. Ojciec jeszcze leżał, jak zwykle. On nie ma żadnego powodu, by wstawać.

Ulga, że matka chce kawy, spowodowała, że postanowił zaufać Sarze. Gdy już mocno wymasował jej wymię, otworzył dół skrzynki z noworodkami. Światło było włączone, mogła widzieć swoje młode. Od teraz droga i dla matki, i dla dzieci była otwarta. Przydreptała kilka kroków w stronę skrzynki, ogromne cielsko na czterech krótkich nóżkach, wydając jednocześnie charakterystyczne chrząknięcia, jakie wydaje maciora, gdy wzywa prosięta na jedzenie. Położyła się na przednich nogach. Stos młodych zaczął przepychać się, kwicząc, wspinając się na siebie nawzajem, żeby wyjść na spotkanie matce. Opuściła tylną część ciała i podała do przodu wymię. Trzymał szpadel w gotowości, śledząc każdy jej ruch, nadsłuchując każdego dźwięku, który mógłby wskazywać na to, że znów oszaleje. Niech tylko spróbuje, a zobaczy, kto tu jest najsilniejszy. Wetknęła ryj w kłębowisko różowych, dziecięcych ciał i chrząkała z zadowoleniem. Młode leżały przy wymieniu, sapały, poszturchiwały się i kłóciły.

Gdy prosięta się najadły, pokręciły się chwilę wokół głowy maciory. Obserwował każdy ruch, ale nie wyglądało na to, aby miała im coś zrobić. Wszystkie dokładnie przebadała, przewracając je na plecy i wąchając, aż znów udało im się podnieść na nogi. Zostawił ją i poszedł do Siri.

– Niebezpieczeństwo minęło – rzekł. – A jak tam z tobą? Czy zaraz będzie twoja kolej? Żebym miał się czym zająć tutaj w chlewie, gdy nadejdą już święta? Bez tego będzie nudno.

Chrząknęła z zadowoleniem, a on dał jej skórkę od chleba trzymaną w jednej z kieszeni.

Resztę obchodu zrobił szybciej niż zwykle i był szczodry przy rozdzielaniu słomy, torfu i paszy. Każdą prośną maciorę

poskrobał za uchem, również Surę, która dziś była jeszcze bardziej zła niż zwykle i rzucała mu spod oka podejrzliwe, wodnistoniebieskie spojrzenia. Ale dawała duże mioty, nawet po pięciu ciążach, a jej racice były w porządku, nie widział więc żadnego powodu, żeby już teraz robić z niej salami. A obrządzanie odstawionych prosiąt zawsze było zabawne, jak przeszukiwały jego kombinezon, popychając się nawzajem, niczym szczenięta, zadowolone z życia i rozkoszne, chociaż otaczały je tylko stalowe rury i twarda podłoga. Weźmie ze sobą na górę także swój kubek z kawą, pomyślał, i kilka kromek chleba, i zje śniadanie wspólnie z nią. Musi też pojechać do spółdzielni w Spongdal i zrobić małe zakupy. Miód, mleko i coś na obiad. Zamierzał sam zdecydować, co będą jedli i co da radę samodzielnie przygotować. Zaskoczy ją. Jasne, że może sobie pochorować przez kilka dni, jeśli to jest konieczne, świat się nie zawali z tego powodu, z pracami domowymi też sobie poradzi, a jakże. Przecież nie była już młoda i powinna mieć prawo raz na jakiś czas przekazać komuś całą odpowiedzialność.

Nie zostało już za wiele chleba, znalazł jeszcze jeden bochenek w zamrażarce w korytarzu i wyłożył go na blat kuchenny. Stary chleb pokroił na cztery małe kromki i piętkę. Ojciec mógł poczekać, aż kolejny chleb się rozmrozi, usłyszał go na górze w toalecie. Ugotował świeżej kawy i włączył radio. Mówili o potrawach świątecznych. O tym, czego pełno miał w chlewie. Na początku grudnia dostarczył do skupu trzydzieści świń rzeźnych i to o tym właśnie mięsie mówili, wieczne narzekania, żeby boczek był kruchy, zupełnie jakby to było trudne. Problem polegał

na tym, żeby uzyskać ten boczek nad warstwą tłuszczu, która nie mogła być zbyt gruba, a nie żeby był kruchy! Nigdy w życiu nie jadł gumiastego boczku, a matka nie stawała przecież na głowie, żeby specjalnie zrobić kruchy. Beznadziejne mieszczuchy. Płomień gazowy, teraz mówili o tym, nie do pojęcia po prostu. Matka przy każdych świętach komentowała takie nowomodne pomysły i twierdziła, że wystarczy włożyć żeberka z boczkiem do lodówki na dwa dni przed pieczeniem, odparować w ciepłym piekarniku pod folią, następnie zdjąć folię i piec tak, jak zawsze. Wyciągnął tacę z szydełkowego uchwytu na ścianie i postawił na niej filiżanki i półmisek. W korytarzu spotkał ojca. Ojciec przez ułamek sekundy wpatrywał się w tacę, a potem podreptał do kuchni.

– Idź się umyć, bo śmierdzisz – powiedział Tor, a potem kopniakiem zamknął mocno za sobą kuchenne drzwi.

– Nie chcesz usiąść?

– Chyba nie.

– Dobra kawa, mamo. Będzie ci smakowała.

– Nie za ciepła?

– No, świeżo gotowana.

– Odrobinę zimnej wody.

Zabrał filiżankę ze sobą do łazienki i od razu przypomniał sobie o braku czystych ubrań w sobotę. Nie chciał wspominać o tym matce, wolał w ogóle nie wspominać o nim. Wolał też nie myśleć o słodkawym zapachu w jej pokoju, nie pytać, nie wychodziła z łóżka od soboty wieczór, gdy się położyła, a teraz był poniedziałek. Wetknął koniec palca do kawy, żeby sprawdzić

temperaturę, ale twarda skóra nie przepuszczała ani zimna, ani ciepła. Zamiast tego wsadził więc do kawy koniuszek języka. Tak, była akurat do picia.

– Proszę – powiedział.

Podniósł okrągłą czaszkę na dłoni, a ona wypiła spory łyk.

– Dobra.

– I małą kanapkę.

– Nie sądzę...

– Ależ tak. Jak nie, to zadzwonię po lekarza! – powiedział i zaśmiał się lekko. Chętnie opowiedziałby jej o Sarze, jak wszystko dobrze poszło, ale teraz już było za późno, bez tuszowania klęski za pomocą wątpliwego zwycięstwa.

Zjadła wszystkiego razem trzy kęsy kromki chleba, którą przytrzymywał jej w ustach, nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego w stosunku do drugiego człowieka. Posmarował kromkę słodkim serkiem, wiedział, że go lubi, i dodatkowo posypał cynamonem.

– Nie jestem szczególnie głodna z rana – powiedziała i zamknęła oczy.

Przyglądał się jej krtani ukrytej w zmarszczkach, poruszała się w górę i w dół przy przełykaniu, uśmiechnął się tak, że tego nie widziała, rozbawił go sposób, w jaki krtań się poruszała, i to, że nigdy wcześniej tego nie zauważył, nie miał okazji studiować jej niezauważony. Uśmiechnął się, chociaż nie zrobiła żadnej uwagi na temat jego starannego wyboru dodatku do chleba.

Została jedna kromka z jagnięciną. Włożył ją do kieszeni. Lepiej Sara niż ojciec.

– Co masz ochotę zjeść na obiad? – zapytał.

– Ech... obiad.

– W moim silosie zaczyna być widoczne dno, wybiorę się do was w ciągu kilku dni – powiedział do słuchawki, prostując jednocześnie prawą ręką spinacz do papierów. Trochę się obawiał wspomnieć o okowicie, nie chciał, żeby ludzie o tym gadali, ale Arne był w porządku i rzecz jasna wybierał się do monopolowego przed Świętami. Zastanawiał się, czy wystarczy mu pół litra.

– Wystarczy aż nadto – odrzekł Tor. – I jeszcze proszę o paszę dla prosiąt.

Chciał przyjechać i samemu odebrać paszę, nie zamierzał im płacić dodatkowo za transport – zawsze tyle samo, niezależnie od tego, jak daleko musieli pojechać.

Wziął traktor do sklepu. Diesla mógł odliczyć sobie od podatku. Starego, białego volvo kombi rzadko używał, stało w stodole, z pełnym bakiem, żeby nie musiał wyrzucać pieniędzy na usuwanie wody z układu paliwowego. Jeżeli bak nie był pełny, a pogoda stale się zmieniała z ciepłej na mroźną, we wnętrzu baku bardzo łatwo tworzyła się rosa.

Chodził między półkami i przestępował z nogi na nogę, myśląc o obiedzie. Stał długo przed ladą z mięsem. Niewiele wiedział o zawartości domowej zamrażarki poza tym, że był w niej chleb, o czym przekonywał się, jeśli matka akurat poprosiła go, żeby przyniósł nowy. Wiedział też, w jakie dni go piekła, trzy bochenki naraz, w dobre dni, z dobrymi zapachami. Wziął ze sobą trochę kaszanki. Syropu mieli dosyć, ziemniaków też. Do kaszanki najlepsze były pieczone ziemniaki, ale wtedy chyba trzeba było je najpierw ugotować. Nie miał pojęcia, jak długo gotuje się

ziemniaki, będzie musiał napalić w piecu w salonie od razu po przyjściu do domu. W kuchni będzie musiał koniecznie być sam, żeby dać sobie radę z tym wszystkim.

W drodze do kasy minął skrzynki ze świątecznym piwem i wziął stamtąd dwie butelki, wzdychając. A stojąc w kolejce za jakimiś młodymi ludźmi, zanim zapłacił, wrzucił jeszcze do koszyka pudełko daktyli oraz marcepanową świnkę. Był prawie ubawiony własną ekstrawagancją, wyciągając portfel z tylnej kieszeni i podając siedzącej w kasie Britt kartę Coop oraz banknot dwustukoronowy. Ale nie śmiał się głośno, pogawędził z nią tylko na temat pogody, wiatru i przewidywanego śniegu. Bo przecież to była głupota, na co mu kosztowne daktyle i marcepan. Matka na pewno wstanie i będzie na chodzie przed dziennikiem telewizyjnym.

Zatrzymał traktor obok skrzynki pocztowej przy wjeździe do alei i zabrał do domu „Nationen" oraz dużą, białą kopertę bez okienka. Otworzył ją natychmiast po wejściu do szoferki. Kartka świąteczna od stowarzyszenia rzeźników Gilde Bøndernes, z prawdziwym, małym obrazkiem, wyglądało, jakby był ręcznie malowany, a w każdym razie nosił podpis, nawet jeśli ten podpis był nieczytelny. Na pewno był wart kilka koron, ten oto obrazek, to nie najgorszy prezent świąteczny, chociaż on dostarczał wszystko na rzeź do firmy Eidsmo. Ale był członkiem Gilde Bøndernes tak na wszelki wypadek. Od Eidsmo dostał pudełko czekoladek. „Król Haakon". Nie największe, ale zawsze. Od Norsvin dostał w tym roku deskę do krojenia. Z wizerunkiem świni, wypalonym w drewnie. Matka już zabrała ją do użytku

w kuchni, pojawiły się na niej głębokie rysy i cięcia, drewno było kiepskie i miękkie, sosna, na sośnie nie można było nic kroić nożem, służyła co najwyżej do ozdoby. Ale kto miałby używać jako ozdoby deski do krojenia.

Z szoferki próbował wypatrzyć ojca za oknem kuchennym, ale nic nie było widać, bo odbijało się światło. Dla pewności starannie ukrył w kapocie daktyle, marcepan i butelki z piwem, a potem poszedł prosto do wejścia do chlewu i do umywalni i tam wszystko odstawił na blat. W chlewie panowała teraz czujna cisza. Wiedział, że stoją i nadsłuchują, w oczekiwaniu. Ale muszą poczekać jeszcze trochę. Cisza to tak czy owak był dobry znak, nawet jeśli wypełniało ją oczekiwanie. Uchylił mimo wszystko odrobinę drzwi, nie pokazując się, tylko żeby sprawdzić, jak Siri. Leżała spokojnie w swoim gnieździe ze słomy, miała półprzymknięte oczy. Nagle jednak wydało mu się, że to może wydarzyć się ponownie, również z Siri, nawet z Siri. Musiał mieć w domu sherry, może matka też miałaby ochotę, mogłoby to być coś w rodzaju prezentu, gdyby nie przydało mu się w chlewie, chociaż oni, dorośli ludzie, oczywiście nie dawali sobie na święta żadnych prezentów.

Zabrał siatkę z miodem i kaszanką, z szoferki wziął gazetę i kartkę świąteczną i wszedł do środka. Wkrótce miał zacząć padać śnieg. Miał nadzieję, że spadnie go dużo. Chętnie by poodśnieżał. Ojciec siedział przy stole kuchennym, przy oknie. Na wpół zamrożony chleb leżał nieruszony na blacie, plastikowy worek nie był nawet otwarty.

Z biura, za starannie zamkniętymi drzwiami, zadzwonił ponownie do Arnego ze spichlerzy.

– W zasadzie – powiedział – potrzebuję jeszcze trochę sherry. Chętnie wezmę dwie półlitrówki, najtańsze, nie musi to być nic wyszukanego.

Arne odpowiedział, że w porządku, i zapytał, czy już słyszał.

– Słyszałem o czym?

Syn Larsa Kotuma powiesił się, wczoraj. Yngve. Właśnie się o tym dowiedzieli.

– O kurwa. To coś potwornego.

Jedyny syn, rzekł Arne, ale na szczęście miał jeszcze córkę, która uczyła się w szkole rolniczej w Ås.

– I to teraz, tuż przed Świętami – powiedział, słysząc zarazem, jaki to wyświechtany banał, zupełnie jakby teraz, w całym tym ogólnym wzruszeniu, to, co jest po drugiej stronie życia, miało szanse być mniej widoczne.

– Chodziło o jakąś dziewczynę – powiedział Arne, ale nikt nic więcej nie wiedział. I dodał: – Chyba twój brat się tym zajmie.

– Zajmie czym?

– Pogrzebem. I tym wszystkim w związku z całą sprawą. Tak, chyba twój brat.

– Aha. Tak powiadasz.

Napalił w salonie i poszedł do chlewu. Nie miał w umywalni otwieracza do piwa, tak daleko sprawy nigdy nie zaszły, używał do tego noża. Pomiędzy pierwszą flaszką a drugą naciągnął na siebie kombinezon i buty. Piwo było ciepłe. Wziął ze sobą pusty worek po paszy i marcepanową świnkę i po stwierdzeniu prawdziwie

rodzinnej idylli w boksie Sary przemknął się do Siri, położył worek na podłodze i usiadł wprost na nim. Siri przytknęła ryj do jego ramienia. Takie gigantyczne zwierzę ze szczęką pełną zębów ostrych jak żyletki mogłoby go zabić, gdyby chciało, dlatego możliwość zaufania jej w pełni dawała mu ogromne, dziecięce poczucie bezpieczeństwa.

– Poczekaj chwilkę – powiedział i opróżnił butelkę. Węszyła w kierunku jego ust, gdy długo bekał, najpierw jedno długie beknięcie, potem kilka krótszych. Otworzył czerwone papierowe pudełko, odłamał śwince głowę i podał jej. Jadła, żując wilgotno i hałaśliwie. Trzeba było nie lada odwagi, żeby odebrać sobie życie, w dodatku wieszając się. Nie móc oddychać. A może to był i dobry sposób, w końcu co on mógł o tym wiedzieć. Ale jeśli człowiek już się zdecydował i znalazł dobry sznur, na którym można było polegać. Najłatwiejsze były chyba tabletki, zginąć w oszołomieniu. Widział go parę razy, jadącego na rowerze w stronę delty Gauli, z lornetką na szyi i czymś w rodzaju złożonego statywu na bagażniku. Na pewno do umocowania lornetki, żeby stała stabilnie. Ludzie w spółdzielni opowiadali przecież o tym, że syn Kotuma nie chce prowadzić gospodarstwa, że nie można do niego nijak dotrzeć, że woli raczej gapić się na wrony przez lornetkę. W gruncie rzeczy to dziwne, że Britt nie wiedziała, że on się powiesił, gdy był tam i robił zakupy. Ale to była zapewne już tylko kwestia minut. A potem kody paskowe przestaną się liczyć, wszyscy zaparzą sobie świeżej kawy i może nawet otworzą puszkę pierników, i będą pogrążać się w świątecznym nastroju, kwestiach śmierci i płytkim współczuciu.

– Ale on ma przecież córkę w Ås – rzekł głośno – to w końcu jeszcze coś. Bo wiesz, to bardzo ważne, moja droga Siri, żeby ktoś troszczył się o gospodarstwo, które inaczej przecież przepadnie.

Dał jej obie przednie nóżki i sam też spróbował. Piwo weszło mu w palce, musiał przyjrzeć im się uważnie, żeby upewnić się, czy są dobrze przytwierdzone. To powinno szybko przejść. Nagłe, silne, krótkotrwałe oszołomienie piwne. Dość dawno ostatnio. Poprzednim razem wyrzucił puste butelki do wychodka, teraz też będzie musiał tak zrobić, nawet jeśli nikt tutaj nie przychodził. Dał całą resztę marcepanowej świnki na jedno chapnięcie, czochrając ją jednocześnie dokładnie za uszami.

– Moja dzielna dziewczynka – wyszeptał. – Świnia pierwsza klasa. Lepsza niż wszystkie marcepanowe świnki świata.

Odciął się od ojca za pomocą drzwi, chłop ciągle jeszcze nie wziął sobie nic do jedzenia. Trzeba mu będzie dać parę ziemniaków i trochę kaszanki, nie miał zamiaru mieć w obejściu dwojga zdechlaków, a zbyt wiele czasu musi minąć, zanim człowiek zagłodzi się na śmierć. Obrał ziemniaki i włożył je do wody, zagotował, potem ciągle zaglądał do nich, podnosząc pokrywkę i dźgając je widelcem, słuchając przy tym programu pierwszego i reportaży, gdzie ciągle gadano o wszystkim, co dotyczyło Świąt i szczęścia. Oszołomienie prawie już minęło i zastanawiał się, jaki nastrój panuje u Kotumów. Tam pewnie też gotowano jedzenie, pożywienie zapewniało dobre zajęcie rękom, zarówno jego przygotowanie, jak i spożywanie. Zaczął padać śnieg, szerokie, grube płatki, spływające prosto w dół. Niech sobie jeszcze trochę popada, zanim przymocuje do traktora odśnieżarkę. I nie będzie

opowiadał matce o chłopcu, na pewno nie prędzej, niż kiedy stanie na nogi i będzie musiała wiedzieć wszystko. Tak czy owak, nie wspomni o Margidzie, nawet jeśli sama podejmie ten temat.

Ziemniaki nadal były twarde w środku, a z zewnątrz już się rozgotowały i woda zrobiła się mętna. Odlał ją i przekroił każdego ziemniaka na pół, na patelnię położył sporą porcję margaryny. Kaszankę pokroił w plastry i zostawił w oczekiwaniu na blacie kuchennym, a potem wyciągnął syrop. Poczuł głód. Zamierzał najpierw zjeść sam, potem pójść na górę do matki, a ojcu dać to, co zostanie. Na pewno siedząc tam w środku, czuł już wszystkie zapachy i słyszał brzęk naczyń na kuchence.

W kaszance były rodzynki.

– Uwierz mi, to naprawdę dobre. Kaszanka z syropem i smażone ziemniaki. A w kaszance są rodzynki!

– Czy ty...

– Jasne.

– ...kupiłeś to?

– Tak.

– Ale my przecież...

– Nie mogłem zaczynać od grzebania w tej zamrażarce. To ty tam rządzisz. Tak więc będziemy po prostu jedli kupne jedzenie, aż staniesz na nogi! To będzie kosztowna zabawa!

– O Boże.

– Spokojnie, tylko żartowałem. Nie chcesz usiąść? Potrzymać sama widelec?

– Nie.

Była bledsza niż dziś rano, gdy po obrządzeniu chlewu pili razem kawę. Bledsza i z czymś ciemnym i zapadniętym pod oczami. Wyglądała staro. Nigdy w gruncie rzeczy nie myślał o niej jako o starej osobie. Zjadła dwa kawałki kaszanki i trzy kęsy smażonego ziemniaka, syrop spłynął jej na podbródek, poszedł i przyniósł kawałek papieru toaletowego. Gdy ją wycierał, już spała. Miał ze sobą też sok, ale nie zdążyła go wypić.

– Wiesz, po prostu prześpij się teraz chwilkę po obiedzie – wyszeptał.

Ojciec zjadł resztę. Mógł przynajmniej zapytać. Czy to było dla niego. Tor nie widział nigdzie ani brudnego talerza, ani noża czy widelca, chłop musiał jeść palcami, prosto z patelni. Teraz znów siedział w dużym pokoju, drzwi były lekko uchylone, Tor usłyszał drobne chrząknięcie, takie mające na celu wydanie dźwięku, a nie oczyszczenie gardła. Energicznie zamknął za sobą drzwi, a potem poszedł zmywać. Ręce robiły się takie czyste przy zmywaniu. Wiecznie czarne obwódki wokół paznokci stawały się szare, a twarda skóra miękła. Dobrze było również potrzymać ręce w cieple. Jak dawno temu brał kąpiel? Zawsze stali tylko w jednym końcu wanny i opłukiwali się pod prysznicem. W końcu może któregoś dnia wziąć kąpiel. Chociaż na takie zbytki zużywało się bardzo dużo ciepłej wody. No i te ceny za prąd.

Kiedy ponownie poszedł do chlewu, miał ze sobą odkrojoną skórkę od chleba oraz dodatkową kromkę i okruszki na tacy dla ptaków. Pień drzewa wyginał się tuż nad umocowaną tacą, na chleb nie będzie więc padał śnieg.

Siri była niespokojna. Przestępowała w boksie z nogi na nogę i lekko podrygiwała, gryzła metalowe rury i nie podeszła do niego tak jak zwykle.

– Ach tak, więc ty...

Przyniósł miotłę i zgarnął wilgotną słomę, dołożył nowej. Później dał Sarze więcej jedzenia. Wszystkie pięć młodych spało pod czerwoną lampą. Błyszczały się, były jak małe połyskliwe kłębki snu. Na początku nie mógł napatrzeć się na te prosięta, bez przerwy je podnosił i zajmował się nimi. Dobrze rozumiał ludzi, którzy trzymali świnię jako zwierzę do towarzystwa, specjalne rasy, które pozostawały zawsze tak samo małe, zgrabne i żwawe i nie rosły tak, jak tuczone świnie hodowlane, pod którymi czasem z powodu wagi łamią się nogi. Nawet niektórzy chłopi zajmujący się hodowlą świń trzymali sobie jednego prosiaka do towarzystwa, knura, żeby maciory łatwiej miały ruję. On sam używał zapachu knura w aerozolu, to było dużo prostsze. Poza tym maciory zarażały się rują jedna od drugiej. Prawdopodobnie z czystej zazdrości.

Mogło upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim Siri zacznie na dobre. Posprzątał i zamiótł w paszarni, przygotował miejsce na nowe worki. Sherry dostanie dopiero wtedy, gdy Siri już się oprosi. Ale i tak pewnego dnia mu się przyda, mogła równie dobrze stać sobie tutaj zamiast w środku. Pozostawało przemyśleć kwestię wykorzystania jednej butelki na prezent, gdy Wigilia będzie już blisko. Mógłby dać jej tę flaszkę, jak ojciec się już położy. Siedzieliby przy stole kuchennym z żeberkami w żołądkach, wznosiliby toast za pomocą sherry i wyglądali na dwór na świąteczny śnieg, a matka opowiadałaby o dawnych czasach

w Byneset, o życiu w gospodarstwie, o obyczajach weselnych i o przesądach. Nigdy nie miała dosyć snucia opowieści o latach wojennych, o wielkich planach Niemców zrobienia w Øysand największego portu wojennego na świecie, z trzema tysiącami mieszkańców, którzy mieli zamieszkać w domach tarasowych w Gaulosen i Byneslandet. Matka lubiła zastanawiać się, jak też wyglądałoby tu dzisiaj, gdyby Niemcy wygrali wojnę. Zbudowaliby lotnisko i czteropasmową autostradę z Øysand do Berlina, matka śmiała się do upadłego, przypominając sobie te szalone w swej wielkości plany. Ciekawiły ją też drzewa, które posadzili Niemcy. Że ciągle żyły, tutaj pod kołem polarnym. Że zapuściły korzenie tam, gdzie Niemcy musieli się poddać.

Odśnieżał dokładnie i długo, chociaż ciągle jeszcze padał śnieg. Nie przeszkadzało mu zupełnie, że wkrótce będzie musiał zaczynać od nowa. Śnieg był lekki i puszysty i szybko tworzył na ziemi grubą warstwę. Zastanawiał się, kto odśnieża u Kotumów. Na pewno ktoś z najbliższych sąsiadów, Lars Kotum pewnie nie ma dziś na to siły. Trzeba będzie kupić jutro gazetę „Adresseavisa” i zobaczyć, czy jest w niej nekrolog.

Po zaparkowaniu traktora poszedł do góry i zajrzał do niej. Nadal spała. Na pewno nie chciała kawy. Nie próbował jej budzić, spała tak dobrze. Posiedział chwilę przy oknie kuchennym, słuchając radia, a potem poszedł do Siri, która ciągle jeszcze nie zaczęła. W końcu jednak nie była od niego zależna w tej kwestii, umiała wszystko sama, więc wyszedł. Ptaki zauważyły chleb, a szary wróbel siedział na tacy, chociaż powoli robiło się ciemno. Lampa zewnętrzna jaśniała. Zajrzał na chwilę do biura. Przejrzał

segregatory i zanotował, co jeszcze musi zrobić. Wkrótce nowy rok dochodowy. Trzeba podliczyć stary. Ustalić, które maciory pójdą na rzeź po dacie uboju. Ceny ich mięsa były tylko o kilka koron niższe od cen mięsa innych zwierząt rzeźnych, nie było więc żadnego powodu, żeby się z nimi bawić, jeśli liczebność miotów spadała.

Przez otwarte drzwi obejrzał dziennik telewizyjny, a potem poszedł do chlewu na wieczorny obrządek. Matka nadal spała. Nie podobało mu się to. Siri leżała w gnieździe. To już nie mogło być długo. Gdy zakończył obchód, długo siedział przed nią w kucki i przemawiał do niej czule.

– Ta sherry jest przereklamowana. Chyba możesz skorzystać z metod naturalnych i nie zostać od razu mięsożercą.

Wytrzymała jego spojrzenie. Próbował czytać w jej oczach. Co myśli o tym, co ją właśnie czekało. Jakie jest jej zdanie na temat tego, czym jest. Czy wiedziała, że jest świnią. Czy śniło jej się coś, gdy spała. Co to mogło być? W spojrzeniu Siri nigdy nie zawierała się żadna odpowiedź, tylko oczekiwanie, a od czasu do czasu ogromne zdziwienie. W gruncie rzeczy nic o niej nie wiem, pomyślał, nie wiem, kim jest, czym jest. A jednak mógł jej ufać. Więź. Kanał porozumienia. Pomiędzy nimi. O którym nie wiedział, skąd się wziął. Nie uważał, żeby była brzydka. Ludzie z miasta pewnie nazwaliby ją potworem. Ale ona była maciorą doskonałą. Właśnie tak powinna wyglądać maciora, dokładnie tak. Ale od czasu do czasu nachodziła go myśl, że to było nie w porządku, trzymać je tutaj w tym chlewie, były żywe i tak

powinno pozostać, ale tak myślał tylko wtedy, gdy sobie wypił i patrzył na siebie tak samo jak na nie.

– Pilnuj swoich racic, żebyś długo żyła – powiedział. – Teraz muszę iść do środka. Przyjdę później, wieczorem.

Teraz już zmuszony był ją obudzić.

Nie dała się obudzić. Potrząsnął nią lekko. Skierował lampkę nocną prosto na twarz na poduszce. Wyciągnął jej jedną rękę. Była cała w odchodach. Upuścił ją i odsunął się o krok od łóżka. Poruszyła się, otworzyła oczy, wpatrywała się prosto w niego.

– Ga... Ga...

– Co ty mówisz? Mamo!

– Ga...

Czy coś ją dusiło? Prawy kącik jej ust zwisał w dół, cała twarz była wykrzywiona.

– Powiedz coś! Powiedz coś, mamo!

Otworzyła usta. Nie wydały żadnego dźwięku. Usta były tylko czarną dziurą, w którą wpatrywał się, czekając, aż wypełnią ją słowa, ale pozostała pusta.

Volvo zapaliło od pierwszego obrotu kluczyka w stacyjce. Podjechał pod werandę, włączył ogrzewanie na pełną moc. Przebiegł przez kuchnię do dużego pokoju i schwycił dwa koce z sofy.

– Twoja matka? – zapytał ojciec z fotela, podnosząc głowę i przyciskając do siebie ostre kolana. – Czy ona jest chora?

– Tak! Musisz mi pomóc znieść ją ze schodów! Trzeba ją zawieźć do szpitala! Ale... poczekaj, zawołam cię.

Jeden koc rozłożył na całym tylnym siedzeniu.

Trzymał ręcznik pod kranem w łazience. Nie chciał tego.

Podniósł narzutę i zdjął z niej kołdrę. Leżała w odchodach od pasa do kolan. Pomyślał, że obleje materac benzyną i spali za stodołą, tak żeby jej to nie krępowało, gdy już wróci do domu ze szpitala. Nie mógł zdjąć z niej koszuli nocnej i majtek, po prostu nie mógł tego zrobić. Nie wiedział, gdzie ma myć, nie doszedł tam, trochę tylko wytarł jej ubranie. Umył jej ręce i dłonie, ciężkie i pozbawione mięśni i woli. Jej wytrzeszczone, nieruchome oczy wystawały z czaszki, a krzywe usta bez przerwy otwierały się i zamykały. Musiał owinąć ją jakoś kocem, nie brudząc go jednocześnie.

– Chodź! – zawołał, chociaż wcale nie uważał, że ojciec powinien to widzieć lub wiedzieć o niej takie rzeczy.

Trzymając ją pod pachami, ściągnął z wysuwanego łóżka na podłogę. Ojciec owijał wokół niej koc. Zwisała w jego rękach jak martwe zwierzę, nawet głowy nie była w stanie utrzymać, głowa też zwisała na bok. Przyklepane włosy z tyłu czaszki. Ciekło jej z ust. Ojciec złapał ją za stopy i zaczął schodzić tyłem po schodach, pewnie nie było mu z tym łatwo, miał sztywne stawy, ale jakoś ją znieśli. Gorzej było z zapakowaniem jej do samochodu. Tor musiał wczołgać się od drugiej strony i wciągnąć ją do środka. Gdy opuścił jej głowę na siedzenie, jęknęła.

– Co takiego? Boli? – zapytał.

Podniósł jej głowę. Uspokoiła się. Ojciec podszedł od drugiej strony.

– Mogę tu siedzieć – powiedział. – Przytrzymam ją.

Pamiętał o zamknięciu drzwi zewnętrznych, zanim odjechali.

Twarz ojca w lusterku. Nigdy jej tam nie widział. Ojciec z głową matki na kolanach, to zupełnie nie tak, chciało mu się wymiotować. W samochodzie śmierdziało.

Na drodze prawie nie było ruchu. Pojechał przez Flakk. Na terenie szpitala zdezorientowały go nieco prowadzone prace budowlane, ale odnalazł na tabliczce słowa „izba przyjęć w nagłych przypadkach" i podjechał prosto na mocno oświetloną rampę. Wyskoczył z samochodu, przebiegł przez rampę, krzycząc do światła, że ktoś musi tu przyjść i im pomóc. Przyszli. Przybiegli bardzo szybko, wiozące nosze na kółkach. Usiłował wyjaśnić, że się zanieczyściła, ale chyba nie było to dla nich ważne i nie chcieli słuchać. Patrzyli na jej twarz i mówili do niej. Było tak, jakby wszystko rozumieli, wiedzieli. On też w gruncie rzeczy wszystko rozumiał, ale czytał gdzieś, że człowiek mógł z tego całkiem wyzdrowieć. O ile tylko dostatecznie szybko trafił do lekarza. A ona przecież była poza tym taka zdrowa. Tak też im powiedział: – Ona jest poza tym całkiem zdrowa.

Światło neonówek było takie samo jak w jego chlewie, tylko kolory miało inne. Tutaj wszystko było białe i zielone. Ojciec siedział na krześle. Na stole leżał stos tygodników z pozaginanymi, brudnymi rogami sterczącymi do góry. Obok stała czerwona gwiazda betlejemska i mosiężny lichtarz z czerwoną świeczką. Z gwiazdy betlejemskiej opadło sporo liści. Kobieta w białym fartuchu podeszła do nich, trzymając kawę w plastikowych kubeczkach, bez kostek cukru. Ojciec rzekł:

– Czy jej się to stało... zupełnie nagle?

– Tak.

Pachniało tu brzydko. Zapachy, które ukrywały i kłamały. Zbyt czysto, tu było o wiele za czysto. Niewyobrażalnie czysto. Bezsensownie. Ludzie mogli się pochorować od samej tej czystości, stracić całkowicie odporność. To nie było naturalne.

Lekarz przyszedł po chwili, której długości nie potrafił ocenić.

– Miała wylew – powiedział.

– Czy to przeżyje?

– Na razie zobaczymy, jak minie noc, o tę póki co jestem spokojny, a dalej się okaże. Jest umyta, czysta i wszystko jest zrobione, możecie do niej wejść, ale jest nieprzytomna. I jeśli jest więcej krewnych, których należy powiadomić, to jest tutaj telefon.

– Czy muszę to robić? A więc ona jest aż tak chora?

– Tak, jest. A poza tym wie pan, jest w końcu starym człowiekiem.

Nie, chciał odrzec, wcale tak nie jest, wcale tego nie wiem, ale tylko skinął głową w odpowiedzi, i był wdzięczny za to, że ją umyli.

Po rozmowie z Margidem długo stał i czekał na swoją własną decyzję. W końcu wybrał numer do informacji, tak rzadko tam dzwonił, numer był nie do zapamiętania, zanotował go kiedyś na brzegu podkładki leżącej na biurku w jego kanciapie. Numer na jej komórkę, nie miała stałego telefonu, twierdziła, że zbyt rzadko jest w domu, żeby to się opłacało.

– Chciałbym uzyskać numer do Torunn... Breiseth.

Bolesne było, że tak się nazywała. Nadal tak samo bolesne. Ale zrozumiałe.

Mechaniczny kobiecy głos dał mu możliwość przełączenia się od razu dalej i nacisnął w tym celu jedynkę. Odpowiedziała po jednym dzwonku, radosnym głosem, przedstawiając się imieniem.

– To ja. Dzwonię tylko, żeby powiedzieć, że matka... nie... twoja babcia miała wylew. Lekarze mówią, że nie wiadomo, czy przeżyje. Myślałem, że może... chciałabyś się z nią zobaczyć. Sama musisz zdecydować. Chciałem ci tylko to powiedzieć.

---

[2] KSL – norweska organizacja do spraw nadzoru jakości produkcji rolnej (przyp. tłum.).

C Z Ę Ś Ć 2

ROZDZIAŁ 4

Za dwadzieścia pięć minut kończyła ostatni wykład przed świętami. Zegarek leżał przed nią na ukośnym statywie na dokumenty, mała punktowa lampka skierowana była na arkusze zapełnione kluczowymi słowami. W gruncie rzeczy nie potrzebowała ani jednego z tych papierów, ten wykład znała już na pamięć. Jednak w posiadaniu ich tuż przed sobą zawierało się pewne poczucie bezpieczeństwa, a poza tym dzięki nim mogła łatwiej obliczyć czas.

– Wiele osób nie rozumie – kontynuowała – że krzykiem nie wychowa się posłusznego psa! Teraz mam na myśli oczywiście świeżo upieczonych właścicieli psów oraz właścicieli wilczurów, a nie takie osoby jak wy, które to wiedzą.

Uśmiechnęła się do sześćdziesięciu pięciu obecnych na sali członków klubu retrieverów z Asker i Baerum. Zaśmiali się głośno, do niej i do siebie nawzajem. Właściciele wilczurów mieli złą sławę. Prowadząc szkolenie i treningi psów pracujących, wrzeszczeli zazwyczaj do bydlęcia, używając całej siły w płucach, nawet jeśli znajdowali się o dwa metry od psa.

– Pies pragnie tylko jednej jedynej rzeczy, a mianowicie odnalezienia swojego miejsca w stadzie, robienia tego, co do niego należy – po to, żeby zostać zaakceptowanym. Wtedy czuje się bezpiecznie. A pies mający poczucie bezpieczeństwa uczy się znacznie szybciej niż pies przestraszony. Strach powoduje jedynie... że jego umysł blokuje się i pies traci całą motywację. Nawet umiejętności, które zdobył wcześniej, zanikną, jeśli pies będzie przestraszony i jeśli będziemy się na niego wydzierać, że ma pójść tam czy zrobić to. Tak dzieje się nawet z psem, który generalnie naprawdę chce zrobić to, czego się od niego oczekuje! W stanie dzikim każdy pies i każdy osobnik w stadzie wilków jest niezwykle wprost przewidywalny. To właśnie przewidywalność stanowi o sile stada. Pojedynczy pies w stadzie nigdy nie zaskoczy innych w żaden sposób. Każdy od każdego uczy się w grupie właściwego zachowania. A fakt, że każdy zna swoje miejsce w hierarchii, powoduje, że jednostki są w stanie przeżyć jako stado. Podporządkowanie się temu, kto stoi wyżej, staje się sprawą życia i śmierci. Weźmy na przykład psa wchodzącego do nowej rodziny, powiedzmy, że ma właśnie osiem tygodni. Chciałby się dopasować, zrozumieć jak najlepiej, gdzie jest jego miejsce w hierarchii nowego stada. Ale pies nie jest jasnowidzem! Potrzebuje po prostu informacji! Tę informację zobowiązany jest dać mu człowiek, sam nie jest w stanie jej zdobyć. Niedawno pracowałam z rodziną, w której szczeniak warczał na najmłodszego syna. Pies często i chętnie wchodził chłopcu na kolana, żeby tam spać, i jeśli wówczas dziecko poruszyło się choć trochę, a pies leżał już sobie wygodnie, zaczynał na nie warczeć. Rodzina miała również nieco starszego psa, ale szczeniak bardzo

ładnie podporządkował się temu staremu psu i zachowywał się mile i zwyczajnie w stosunku do drugiego chłopca w rodzinie, a także wobec kobiety i mężczyzny. Wszyscy byli zrozpaczeni. Pies był bokserem, samcem, zapowiadał się na duże zwierzę, nie można było tolerować takiego zachowania, nawet jeśli na razie był jeszcze malutki.

Wypiła łyk wody, była letnia. Spojrzenie miała utkwione w tych pięciu osobach, które wybrała sobie do kontaktu wzrokowego. Siedzieli porozrzucani wzdłuż i wszerz na całej powierzchni audytorium. To była taka sztuczka, nauczyła się jej, żeby stwarzać wrażenie bliskości ze słuchaczami i zaangażowania w to, co mówiła. Teraz po raz pierwszy naprawdę dała się porwać w takim stopniu, ta publiczność była wyjątkowa, im pierwszym opowiadała coś takiego.

Siedzieli niecierpliwie i czekali na dalszy ciąg. Szczeniak warczący na dziecko to był problem, który każdy z nich jako żywo potrafił sobie wyobrazić. Zmierzała do puenty: – Rodzina, która nigdy nie miała psa i której przytrafia się coś takiego... Na pewno zdajecie sobie sprawę, jak mogło się to skończyć.

Skinęli poważnie głowami.

– Histeryczna matka, obawiająca się o najmłodszego syna, ojciec zaczyna krzyczeć na szczeniaka, pies zaczyna się bać i warczeć jeszcze bardziej, w kilka miesięcy później już gryzie, a potem prosta droga wiedzie do usypiającego zastrzyku i na wieczne łowy. I to wszystko dzieje się z psem, który w punkcie wyjścia na pewno miał świetną psychikę i był wspaniałym zwierzęciem! I tylko dlatego, że nikt nie wyjaśnił mu

w zrozumiały dla niego sposób, gdzie jest jego miejsce w stadzie. Nigdy nie pojął, co właściwie robi źle. I płaci za to życiem.

Ich twarze jak na komendę wyrażały rezygnację i rozpacz.

– Ale ten bokserek... Rodzina skontaktowała się z nami w klinice i zapytała, co zrobili nie tak. Powiedziałam im, że nic nie robią źle, tylko że ten mały czworonożny gość nie dostał zupełnie podstawowych informacji i że trzeba mu pewne sprawy wyjaśnić. Ponieważ za wszelką cenę chciał leżeć na kolanach najmłodszego syna, tutaj też zawierała się wskazówka. Psy w naturze najlepiej odpoczywają w towarzystwie osobnika stojącego niżej od nich w hierarchii stada, nie muszą wtedy być takie czujne i okazywać ciągle gotowości do podporządkowania się. Wyjątkowo zadziorne osobniki czasami szukają wówczas towarzystwa przewodnika stada, ale taka sytuacja jest raczej wyjątkowa. A zatem ten szczeniak sam siebie postawił na dole hierarchii. Pod starym psem, ale nad najmłodszym synem w rodzinie. Uważał, że stary pies też jest w hierarchii wyżej od najmłodszego dziecka. No cóż, zastosowałam w tej rodzinie bardzo prosty program czternastodniowy. Matka prowadziła firmę w domu i prawie zawsze w nim była, dlatego ojciec musiał przyjąć rolę dużego, złego wilka.

Ktoś się zaśmiał.

– To wcale nie musi być takie niezwykłe! Nawet jeśli wcale nie ma się psa! W każdym razie codziennie po powrocie dużego, złego wilka z pracy szczeniak w stanie dzikiego szczęścia rzucał się mu na powitanie. Teraz też tak się działo. Ale obecnie duży, zły wilk totalnie ignorował szczeniaka. Zamiast tego witał się ze swoim stadem w takiej kolejności, jak wskazywała hierarchia. Najpierw

z żoną, wylewnie i przesadnie. Następnie tak samo ze starszym synem, potem z młodszym, i ze starym psem. W tym momencie szczeniak był już w głębokiej rozpaczy, więc gdy duży, zły wilk w końcu zwracał na niego uwagę, ten cieszył się tak bardzo i był tak uległy, że posikiwał się z ulgi. Tak postępowali codziennie i nie minęło dużo czasu, a szczeniak stał się spokojniejszy i grzecznie czekał na swoją kolej przy powitaniu i ponownym łączeniu się stada. Równocześnie został wyrzucony z kolan najmłodszego syna. To było chyba najtrudniejsze. Wyjaśniliśmy jednak chłopcu, że później będzie już wszystko jak trzeba, że znów będzie mógł trzymać pieska na kolanach i że nie będzie on warczał. I właśnie tak się stało. Szczeniak dobrze zrozumiał przekazane mu informacje. W stadzie wilków powitania zawsze odbywają się zgodnie z hierarchią, każdy taki rytuał potwierdza jej istnienie i nawet w takiej rasie jak bokser, dosyć odległej od wilka przynajmniej z wyglądu, komunikacja nadal funkcjonuje mniej więcej w taki sam sposób.

Po długiej serii pytań w drzwiach prowadzących do kuchni pojawiły się dwie panie i zaczęły przyglądać się jej z wysoko uniesionymi brwiami. Jedna mięła w dłoniach dwie szmaciane łapki do chwytania gorących garnków.

– Zdaje się, że niektórzy z nas chcieliby już dostać świąteczny poczęstunek, pozostaje mi więc na tym zakończyć. Dziękuję za uwagę i życzę wszystkim wesołych świąt!

Brawa były mocne i szczodre. Przewodniczący wszedł na podium i podziękował, miał ze sobą obowiązkową butelkę czerwonego wina, w czerwonej torebce ze sklepu monopolowego, ozdobionej złotymi gwiazdkami.

– Sądzę, że to było dla nas wszystkich wyjątkowo ciekawe! Teraz wiemy, gdzie się udać, jeśli nasze psy nie będą zachowywały się właściwie!

– Zaczynamy kolejne szkolenie w drugim tygodniu stycznia – rzekła.

– A teraz wiemy ponadto, że te kursy nie są wcale dla psów – dodał przewodniczący i roześmiał się. – Tylko dla właścicieli!

Najchętniej pojechałaby prosto do domu, było prawie wpół do dziesiątej. Zawsze po wykładzie czuła się wypompowana i pusta. Wrzucić wino na tylne siedzenie, zapalić papierosa, jechać w ciemności z muzyką włączoną na pełny regulator. Ale nie mogła tego zrobić, na stole stało dla niej nakrycie, a sześćdziesiąt pięć osób zamierzało teraz podzielić się z nią swoim wyjątkowym wglądem w zagadnienia z zakresu psychologii psa.

Rzucili się na nią, jeszcze zanim zdążyła spakować swoje papiery, dokładnie tak jak zawsze. Przewidywalni jak dobrze współpracujące ze sobą stado zwierząt. Ze sprawami, których nie chcieli poruszać na forum. Z wyznaniami swoich porażek w kwestiach pierwszych psów, anegdotami o własnej mądrości oraz o czworonożnych indywidualnościach, które ich zadziwiły. Czasami, rzadko, opowiadali takie historie, z których mogła skorzystać, które ukazywały jakiś nowy aspekt, ale to zdarzało się niezbyt często.

– Muszę chyba jednak wyjść i zapalić przed jedzeniem – powiedziała. Wiele osób wzięło swoje okrycia i podążyło za nią. Chwalili ją, ile im dała, jak ważne było to, co powiedziała, była po prostu prawdziwym zbawcą.

Nie puścili jej wcześniej niż po godzinie. Zjadła zaledwie parę kęsów żeberek i trochę kiszonej kapusty, Cissi wychowała ją w przekonaniu, że nigdy nie należy mówić z pełnymi ustami. Ale udało jej się powiedzieć trochę dobrego o klinice, to ważne, była teraz przecież jej współwłaścicielką. To dość niezwykłe, żeby prosty asystent weterynarza zostawał współwłaścicielem kliniki dla małych zwierząt, ale dzięki tej dodatkowej ofercie w postaci prowadzonych przez nią kursów posłuszeństwa dla psów i doradztwa dla właścicieli psów z problemami, wydawało się to zupełnie naturalne. Mimo że nie posiadała żadnego papierka potwierdzającego formalne wykształcenie. Zrozumienie psychiki psa miała w sobie od zawsze, leżało to w jej naturze. Nigdy się ich nie bała, odczuwała tylko szczere zainteresowanie tym, d l a c z e g o zachowują się tak, a nie inaczej. I policja, i firma ratunkowa Falken dzwonili do niej, jeśli mieli do czynienia z potencjalnie niebezpiecznym psem; z takim, który został zamknięty w mieszkaniu i opuszczony albo przywiązany gdzieś, mający za właściciela najczęściej jakiegoś gnoja albo alkoholika, który zapomniał, że zwierzę w ogóle tam jest. Wtedy pies szalał, widząc zbliżającego się człowieka, co przerażało nawet największych i najsilniejszych mężczyzn. Ale nie ją. Wiedziała, że pies boi się znacznie bardziej. A przestraszony pies to w konfrontacji z nieznajomym zawsze zły pies. Nie wystarczało przyjmowanie psiego zachowania za pewnik, trzeba było jeszcze zrozumieć, co nim powoduje.

Nie wierzyła w te historie z zapachami, że psy wyczuwają strach. Korzystały ze spojrzenia, odczytywały wszystkie najdrobniejsze sygnały, wysyłane przez ludzkie oczy, ręce i ciało.

A gdy przemawiała trochę monotonnie i właściwie je ignorowała, i absolutnie nigdy nie wpatrywała się im w oczy, zbliżając się zdecydowanym krokiem, były tak zaskoczone i zbite z tropu, że mogła wejść przez okno, nalać im wody do miski, znaleźć w obcej lodówce coś do jedzenia albo odciąć postronek, dziesięć centymetrów od solidnie wyposażonej szczęki, przyprawiającej obserwatorów o moczenie się ze strachu, włączając w to wszystkich macho. W chwilę później, gdy pies rozumiał już, że nie musi dłużej zachowywać się wściekle i odstraszająco, zazwyczaj całkowicie zapadał się w siebie, pogrążał się w czymś w rodzaju bezsilnego spokoju, bo odebrano mu odpowiedzialność za załatwienie spraw, za panowanie nad sytuacją. Pies, który był sam – i zagrożony – zawsze stawał się panem swojego małego wszechświata.

Włączyła ogrzewanie na pełną moc. W samochodzie czuła się jak w domu, w stanie czuwania spędzała tu więcej czasu niż w swoim malutkim, dwupokojowym mieszkanku. W radio nadawano program o Janis Joplin.

Gdy zadzwoniła komórka, razem z Janis śpiewała głośno o Bobbym McGee. Przed odebraniem ściszyła, wysłuchała, co ma do powiedzenia. Zjechała na stację Shell po prawej stronie, wrzuciła luz, zaciągnęła hamulec ręczny.

– Ale ja jej przecież nigdy nie poznałam.

Nic na to nie odpowiedział.

– Sądzisz, że ona chciałaby mnie w tej sytuacji zobaczyć?

Tego nie mógł wiedzieć, w końcu była teraz nieprzytomna. Ale ona jest jej jedyną wnuczką, powiedział. Jego głos był zmieniony.

Nie taki szorstki, jaki zazwyczaj wydawał się na początku rozmowy telefonicznej. Sprawiał wrażenie zaangażowanego, a jednocześnie bliskiego płaczu. Był w tym pośpiech.

– Wnuczka. I ja nią jestem. Tak, pewnie jestem. Ale przecież nic się nie zmieni dlatego, że się z nią spotkam. Już nie.

Znów nie odpowiedział. Oddychał tylko prosto w jej ucho. A po kilku sekundach podjął to, od czego zaczął, a mianowicie, że ona sama musi zdecydować, że on chciał tylko to powiedzieć.

– A ty? A jak ty się masz?

Co tam on. To nie było szczególnie ważne. To nie o niego w tym wszystkim chodziło.

– Muszę się chyba nad tym chwilę zastanowić. Czy mogę zadzwonić do ciebie jutro? Jesteś w domu?

Pewnie będzie w domu. Jeśli nie w szpitalu. Ale wtedy mogła zadzwonić tam.

Zapukała do sąsiadki i weszła, nie czekając na odpowiedź. Margrete siedziała i szyła. Kawałki materiału na patchworkową narzutę leżały porozrzucane przed nią na stole i wokół maszyny do szycia.

– Nie miałaś tego w zasadzie oglądać – rzekła. – W końcu niedługo są święta.

– Moja babcia ze strony ojca jest umierająca. Tutaj mam czerwone wino dla ciebie. A ja poproszę o kawę i koniak.

– Babcia ze strony ojca? Myślałam zawsze, że masz tylko babcię ze strony mamy.

– Jestem jej jedyną wnuczką, powiedział mój ojciec. Słyszałaś coś równie beznadziejnego? Wychodzić z czymś takim teraz.

Biedny człowiek. Co też on sobie wyobraża.

– Ale nie chcesz się z nią spotkać, Torunn? Dla samej siebie?

– W zasadzie nie. Nie chciała znać mojej mamy, dlaczego miałaby chcieć znać mnie.

– Bo połowa ciebie pochodzi od jej syna.

– Nie wydaje mi się, żeby w tej rodzinie istniały szczególnie bliskie więzi. On nigdy nie chce nawet wspomnieć o swoich braciach. Ale teraz wiem przynajmniej, że żaden z nich nie ma dzieci...

Obudziła się o trzeciej i zrozumiała, że musi o tym porozmawiać z matką, z Cissi, chociaż doskonale wiedziała, jakie tyrady ryzykuje. Ale przyjaciółka nie była w tej sprawie właściwą osobą, nawet tak bliska przyjaciółka, że spędzało się z nią wspólnie Wigilię. Wstała, zagotowała wodę na herbatę i usiadła przy oknie. Stovner leżało ciche i ciemne, prawie nie było śniegu. Młody chłopiec szedł chwiejnie po chodniku i to był jedyny ruch. Był o wiele za cienko ubrany. Ślizgał się w butach na obcasach.

Wnuczka. Nagle teraz stała się wnuczką, mając trzydzieści siedem lat. Za pośrednictwem mężczyzny, z którym po raz pierwszy miała kontakt w wieku dziesięciu lat. Tylko przez telefon. Człowieka, którego spotkała jeden jedyny raz w życiu, wiele lat temu, będąc w Trondheim z wykładem prowadzonym w ramach kursu dla członków klubu psów użytkowych Nidaros. Odebrał ją spod hotelu Gildevangen brzydkim i brudnym volvo, które śmierdziało oborą. Spóźnił się, długo nie mógł trafić, jak sam powiedział, rzadko jeździł do miasta. Pas bezpieczeństwa po stronie pasażera był zerwany, prawdopodobnie sparciał ze

starości. Przywitał się z nią uściskiem dłoni i ponownie położył ręce na kierownicy. Jeździli tam i z powrotem po mieście, zatrzymali się na stacji benzynowej i kupili dwa kubki kawy i po drożdżówce, zabierając to do samochodu. Zapach obory bijący od niego był tak silny, że nie chciała iść z nim do kawiarni, skłamała, że ma zaraz samolot do domu, wcześniej niż się spodziewała, chciała tylko wyjść z tego samochodu i uciec, i myślała o matce, o pedantycznej Cissi, jak to było możliwe, że Cissi i ten małomówny wieśniak ją razem zrobili. W czasach, gdy Cissi miała osiemnaście lat i stała za ladą w cukierni, a przed nią kłębili się przystojni chłopcy w eleganckich ubraniach, głodni kremówek, drożdżówek i jej samej. W Tromsø. Tor Neshov odbywał służbę wojskową w Bardufoss i miał akurat przepustkę i pokój w hotelu.

Cissi powinna go była zobaczyć tego dnia w volvo. Ciemnoniebieska brudna, puchowa kurtka i szare wełniane skarpety w drewniakach. Zapytała go, czy wolno prowadzić samochód w drewniakach, i wtedy uśmiechnął się odrobinę. To ona zaproponowała to spotkanie. Zobaczyła przed sobą dosyć postawnego wieśniaka, takiego w typie z Hedmark, coś w rodzaju Gudbranda z Lia[3], podobnego nieco do myśliwego w zielonych maskujących ubraniach. Doznała wówczas takiego szoku i obrzydzenia, że minęły tygodnie, zanim zaczęło jej być go żal. Nigdy nie opowiedziała Cissi, że spotkała się z nim wtedy, tylko dlatego, żeby uniknąć mówienia, jak to spotkanie wypadło, żeby nie kłamać, to było tak, jakby on zaraził ją rodzajem wstydu. Jednak czasami, cztery–pięć razy w roku, rozmawiali przez telefon i wiele teraz wiedziała o gospodarstwie. O świniach, co robiły i co myślały, a przynajmniej co on sądził, że myślą.

Wiedziała, że jest naprawdę dumny ze swoich zwierząt. Jeżeli mówił o swojej matce, to tylko po to, żeby opowiedzieć, co zrobiła. Co upiekła, zawekowała, ugotowała, zrobiła na drutach. Nigdy o tym, co powiedziała. A on nie pytał jej nigdy o Cissi, tylko o wszystko, co działo się w klinice dla zwierząt. Był zdumiony i poruszony tym, że ludzie mogą wydawać pieniądze na kanarki i żółwie, i poddawać koty kosztownym operacjom. Kot to na skórki, mawiał.

O wpół do ósmej podjechała do domu matki i ojczyma w Røa. Zabrała ze sobą świąteczne prezenty. Tego samego wieczoru wyjeżdżali na ferie świąteczne na Barbados, matka stała już i prasowała bluzki i koszule. Worki z jej butami leżały rzędem na stole jadalnym, a świeżo wyczyszczone buty stały na gazetach. Z radia dochodziła wesoła poranna muzyka, a z ekspresu ciśnieniowego do kawy unosiła się para.

– Nie idziesz do pracy? – zapytała Cissi. – Miałaś wpaść trochę później odebrać prezenty i pożegnać się! Życzenia świąteczne i tak dalej!

– Mój ojciec dzwonił wczoraj wieczorem. Czy mogę dostać filiżankę kawy?

– Twój ojciec?

Cissi z hałasem postawiła żelazko na statywie, wystającym z zaokrąglonego końca deski do prasowania i zaczęła miąć jasnoniebieską koszulę, owijając ją wokół drugiego końca deski, a potem powiedziała: – Tak, wiem, że od czasu do czasu rozmawiacie przez telefon, ale przecież nigdy cię o nic nie

wypytuję. To twoja sprawa, dla mnie zarówno on, jak i cała jego rodzina to dawno zamknięty rozdział.

– Ale jego matka, czyli moja babcia, jest umierająca.

– I co z tego?

– Nic, nie wiem. Nie musi być coś z tego. Zastanawiam się tylko, co mam zrobić.

– Chyba nic nie musisz w tej sytuacji robić. Trzydzieści siedem lat minęło od czasu, gdy ci ludzie nie zrobili nic! Trochę późno zaczynać teraz!

– Mamo, nie nakręcaj się. Zdaje się, że powiedziałaś, że to dawno zamknięty rozdział.

– To ty zaczęłaś. A tak jak oni mnie potraktowali! Zupełnie jakbym była jakąś... jakąś szmatą, która kładła się z każdym mundurowym! Chociaż byłam tylko z Torem, i to jeden jedyny raz. Gdy spotkałam Gunnara, nie miałam w życiu więcej niż dwóch chłopaków.

– Przecież wiem, że nie byłaś szmatą. A właśnie, gdzie on?

– Jeszcze nie wstał. Dzisiaj obydwoje mamy wolne, przecież wyjeżdżamy. No tak, ja nie mam raczej wolnego. Muszę spakować nas oboje. Ten człowiek mógłby wyruszyć w podróż, mając przy sobie szczoteczkę do zębów i kartę Visa.

– Na pewno tak też byłoby dobrze...

– Ale o czym ty myślisz, Torunn? Chcesz tam pojechać?

– Może. Nie wiem. A jak ty uważasz?

Zaczęła ponownie prasować. – Ta pani to wiedźma. Ale jeśli chcesz ją zobaczyć, zanim... To w końcu twoja babcia ze strony ojca, może nawet wchodzi w rachubę jakiś spadek. Byłoby całkiem

inaczej, gdybyś pojechała tam na wakacje, a ona była zdrowa i w dobrej formie. Wtedy mogłabyś ryzykować zaangażowanie się.

– W jakim sensie?

– No, mogłabyś ich polubić i tak dalej. Poczuć zobowiązania. Więzi. Ale jeśli ona i tak ma umrzeć, to...

– Do cholery, jaka ty jesteś cyniczna!

– Dziękuję za komplement. Jesteś bez kasy?

– Raczej tak. Musiałam przecież wziąć pożyczkę, żeby wejść do spółki w klinice. To jeszcze nie przynosi szczególnych zysków. Mam w gruncie rzeczy tylko moją wcześniejszą pensję.

– Zafunduję ci bilet na samolot i hotel. Oczywiście, jeżeli jedziesz. Bo nie dasz rady spać w tym gospodarstwie, to mogę ci od razu powiedzieć. Może i ładny tam widok, ale to wszystko.

– Jeśli pojadę.

– Coś mi się zdaje, że to zrobisz. W przeciwnym wypadku nie poruszałabyś tego tematu ze mną. Jesteś prawdopodobnie zbyt ciekawa, żeby sobie odpuścić. A poza tym spotkasz swojego ojca. A tam jest ich wszystkich więcej, wiesz przecież.

– Więcej w jakim sensie?

– Członków rodziny. On ma dwóch braci, o tym na pewno wiesz. I ojca. Ale nie mam pojęcia, czy on jeszcze żyje. Żyje?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Małomówny dziwak. Nie powiedział do mnie ani jednego słowa. No, ale to była przecież błyskawiczna wizyta. Wiedźma potrzebowała nieco ponad godzinę, aby ustalić, że nie jestem materiałem na żonę dla jej dziedzica. A dziedzic nie protestował. Nawet nie powiedział swojej matce, że jestem w ciąży. Ale tutaj mogłam się zemścić, cieszyło mnie, że musiał płacić alimenty

przez te wszystkie lata, zanim spotkałam Gunnara. Mogę sobie wyobrazić, że miał nóż na gardle za każdym razem, gdy ta jego potworna matka widziała czarno na białym, że panience Breiseth z Tromsø trzeba co miesiąc płacić!

– No, ale to nie trwało tak znów długo.

– Sądzę, że dla niej dostatecznie długo. Prosiłam potem i błagałam Gunnara, ale był jak skała. Chce sam utrzymywać swoją pasierbicę, powiedział. Ale przynajmniej przez cztery długie lata musieli płacić. Dzisiaj mnie to bardzo cieszy.

– Powiedz mi, czy ty go nienawidzisz?

– Coś ty, zwariowałaś. Takiej beznadziei?

– Dałaś mi jego imię.

– Na początku faktycznie miałam nadzieję, że on się jeszcze pojawi. Zabierze mnie i ciebie. Ale dziękuję Bogu, że tego nie zrobił. Umarłabym chyba zamknięta w tym gospodarstwie. A ty zawsze robiłaś to, co sama chciałaś. Dokładnie tak, jak ja. Pozostaje tylko zaakceptować, że nie chcesz się ustatkować i mieć dzieci. Teraz zaczyna poza tym być trochę późno. Absolutnie nie za późno, ale jednak trochę późno.

– Ale to nie o tym rozmawiałyśmy. Nie mam ochoty na dzieci. Co ja mogłabym dać dziecku? Dwupokojowe mieszkanie w Stovner i miłość do psów? Poza tym nie mam czasu na dzieci, więc spokojnie możesz o tym zapomnieć. Ty i Gunnar mogliście zrobić dla mnie jakieś rodzeństwo, to dziś miałabyś na pewno mnóstwo wnuków.

– No, na to jest już na pewno za późno, moja droga! Ale pamiętaj, że zaproponowałam ci, żebyś pojechała z nami, podobałoby ci się na Barbados.

– To może pojadę wobec tego.

Cissi odwróciła się z żelazkiem w ręce.

– Na Barbados?

– Nie. Do Trondheim.

– Moja karta leży w portfelu na blacie. Skorzystaj z telefonu w salonie, tam jest też kartka i długopis.

Dostała miejsce na popołudniowy samolot. Powrót w dowolnym terminie. Mieli już tylko bilety w normalnej cenie i kosztowało to równie dużo, co przelot bez określenia daty powrotu. Pokój znalazła w Royal Garden, jedynym miejscu otwartym przez całe święta, inne zamykali już w piątek. Zupełnie jakby miała spędzić tam święta. Zamówiła nocleg na dwa dni, do czwartku.

W pokoju dla personelu kliniki pełno było kwiatów. Wiązanek z kokardami, aniołkami i bombkami, leżących na wszystkich wolnych stołach. Wdzięczni właściciele zwierząt, którzy chcieli okazać, że doceniają świadczone tu usługi. Wzięcie wolnego nie stanowiło żadnego problemu, wielu asystentów chętnie zarobiłoby coś dodatkowo. Parę telefonów i wszystko byłoby załatwione. W poczekalni siedziało już kilku pacjentów i czekało na swoją kolej. Dwa koty w klatce, wpatrujące się z przerażeniem w młodego, zdyszanego sznaucera, stojącego na środku pomieszczenia ze spojrzeniem utkwionym w drzwi wyjściowe, oraz stary seter angielski, ledwo utrzymujący ciało na tylnych nogach. Znała zarówno właściciela, jak i psa. Seterka Bella miała zaawansowaną dysplazję stawów biodrowych i zwapnienie kręgosłupa, od pół roku stale dostawała rimadyl. Podeszła do psa

i ukucnęła przed nim. Mężczyzna trzymający smycz miał sztywną twarz, a jego szczęki mocno pracowały.

– Chyba nie jest dobrze – powiedziała cicho.

– Nie. To zdaje się już czas. Mimo świąt.

– Mógł pan zamówić odrębną wizytę, wie pan. Nie czekać tutaj w kolejce.

– Nie ma problemu. Naprawdę nie ma problemu, wie pani.

Właściciel skinął gwałtownie głową, czoło miał zmarszczone, wpatrywał się w podłogę.

– Zgłosił się pan?

– Nie. To jakoś jeszcze... nie była zdecydowana kwestia.

– Chodźcie za mną.

Zabrała oboje do jednego z pokoi badań, dla właściciela znalazła krzesło. Pies po tym krótkim spacerze znowu jakby zapadł się z tyłu. Jego spojrzenie wydawało się zamglone, zamglone w taki sposób, jak wskutek silnego bólu, czarne, błyszczące oczy, zamknięte same w sobie, nieodbierające szczegółów z zewnątrz.

– Czy chciałby pan... Muszę niestety wiedzieć, co chciałby pan zrobić później. Czy chce pan, żeby ona...

– Tak. Żeby została spopielona. Mam ją od trzynastu lat. Pojedzie na działkę. Obiecałem to też swojej kobiecie, ona trochę czytała o tym w Internecie. Indywidualna kremacja, powiedziała. Chyba jest jakaś różnica. Ale najtańsza urna, nie będziemy przecież siedzieć i gapić się na nią. Rozsypiemy jej prochy, rozsypiemy... tak, na działce.

Gwałtownie odchrząknął.

Przybył Sigurd, stały lekarz seterki. Wszedł i dał suce zastrzyk uspokajający, który miał zadziałać przed barbituranem, ostatnim

i kończącym zastrzykiem. Torunn poszła z nim, przytrzymywała psa, siedząc tam potem i czekając, aż zwierzę stanie się spokojne i odprężone. Przyniosła golarkę i zgoliła futro w okolicy tylnej łapy, żeby żyły stały się lepiej widoczne.

– Bella – wyszeptał mężczyzna, głaszcząc bez przerwy gładką psią głowę. – Moja Bella, teraz już nie będziesz cierpiała. Moja dziewczynka...

Zaczął łkać. Torunn podniosła psa na stół zabiegowy i wyszła z pokoju.

Oba koty trzeba było zaszczepić, sznaucer miał grudkowe zapalenie spojówek. Sigurd wpisał do komputera, że ma dostać krople do oczu Spersadexoline z chloramfenikolem, Torunn wydrukowała receptę i poszła po podpis. Następnie przejrzała zamówienia na suchą karmę i na leki wydawane bez recepty, przy tej okazji zamówiła łańcuszki do tresury i zadzwoniła do drukarni, prosząc o kolejne segregatory z logo kliniki. Wszyscy trzej weterynarze byli na miejscu, po upływie zwykłych godzin przyjęć czekały ich jeszcze według planu dwie operacje. Bokserka z licznymi guzami sutków i cięcie cesarskie u buldożki. Ponadto zadzwonili z Falken i przywieźli przejechanego, ale ciągle żywego kota. Kocia skórka, pomyślała, mój ojciec zabiłby go trzonkiem od siekiery, załatwiłby to szybko.

Wcześnie wyszła z kliniki, a po sprawdzeniu w Internecie prognozy pogody dla Trondheim spakowała torbę z najbardziej niezbędnymi rzeczami. Śnieg.

Samolot był rejsowy. W księgarni na lotnisku Gardermoen kupiła sobie kryminał. Zastanawiała się, co właściwie robi, po co

tam jedzie. Nawet jeszcze nie porozmawiała z Margrete, zostawiła jej tylko wiadomość na sekretarce. Planowały zrobić małe zakupy spożywcze dziś po południu, kupić serwetki i ozdoby, do Wigilii został już niecały tydzień. Cieszyła się na święta. Dwie kobiety mające za sobą świeżo zakończone związki, jedzące indyka i śpiewające słodkie kolędy, opowiadające sobie świństwa o swoich eksach, pijące na umór, czytające głośno komiksy Nemi, grające w Trivial Pursuit. Krąg przyjaciół, w gazecie „Dagbladet" napisano kiedyś, że coraz więcej osób spędza święta z przyjaciółmi zamiast z rodziną. Że wolą tak, bo to oznacza mniejszy wysiłek i mniejszą presję związaną z oczekiwaniami. Po prostu tak jest przyjemniej.

Powietrze w samolocie było ciężkie, myślała o tym, jak bezustannie cyrkuluje wokół to samo powietrze, SARS i gruźlica, i grypa, skoncentrowała się na oddychaniu przez nos, żeby dać włoskom w nosie szansę na wykonanie swojej roboty, tym włoskom, które jeszcze nie były całkiem zmizerniałe od nikotyny. Nie dała rady skupić się na kryminale, zamiast tego siedziała, studiując innych podróżnych, myślała, dokąd jadą, jak się miewają. Nagle uświadomiła sobie, że w zasadzie zapomniała zadzwonić do ojca, powiedzieć mu, że naprawdę przyjeżdża. Ale jakie to w końcu miało znaczenie. Miała pokój w hotelu.

Trondheim było piękne. Ciemnoniebieskie światło zimowego popołudnia, przyozdobione świątecznie ulice i wszechobecny śnieg. Oświetlone drzewka w ogrodach, niektóre migające równym, pulsującym światłem. W rzece Nidzie odbijały się wszystkie okna autobusu przejeżdżającego przez most Bakke

i zmierzającego do Royal Garden. W recepcji stała ogromna ozdoba świąteczna, składająca się ze złotych jabłek i białych aniołków. Szybka wycieczka do szpitala, a potem to już właściwie mogła przyjemnie spędzić czas. Kupić jeszcze jeden prezent dla Margrete, coś dla kolegów w pracy, pójść do kina, zrobić coś, na co nigdy nie miała czasu. Tylko trzeba najpierw zobaczyć tę babcię, pokazać się jej, jeżeli oczywiście nie była w śpiączce i jeżeli nadal żyła. No właśnie, a co jeśli już nie żyła. Głupio postąpiła, nie dzwoniąc i nie sprawdzając tego. W takim wypadku musiałaby może uczestniczyć w pogrzebie, którego zorganizowanie mogłoby przecież zająć wiele dni.

Zameldowała się w hotelu, zostawiła bagaż w pokoju, wyłączyła telewizor, na którego ekranie był napis witający serdecznie Torunn Breiseth, zapaliła papierosa, a następnie zamówiła taksówkę do szpitala Świętego Olava.

Anna Neshov leżała na oddziale udarowym w bloku A9, trzeba było tylko pojechać windą i dalej iść według oznaczeń. Wobec tego przynajmniej nie umarła. Ale przecież musiała przynieść coś ze sobą, mieć prezent. Co się kupowało staremu, może nieprzytomnemu człowiekowi? Kupiła kwiaty w kiosku, bukiet jaskrawoczerwonych goździków, upiętych na gałązce pokrytej złotym sprayem. Czuła, że trochę straciła oddech, ale nie miała pojęcia, czego się boi, nie było przecież powodu do strachu, to, co robiła, było bez sensu, równie dobrze mogłaby odwiedzić w tym wielkim szpitalu obojętnie którego, całkiem obcego człowieka. Jakieś dziecko chore na raka być może byłoby bardzo zadowolone

z takiej wizyty. Tutaj losy były nie do policzenia, można było wybierać do woli.

Drzwi do jej pokoju były zamknięte, wiele innych stało natomiast otworem. Przedstawiła się personelowi, ktoś powiedział jej, że jest tam teraz jeden z synów Anny Neshov i że ma po prostu wejść, pacjentka była przytomna.

W środku siedział mężczyzna. Na krześle stojącym tuż przy łóżku. Łóżko było bardzo wysokie, górna połowa ciała mężczyzny z trudem wystawała ponad białą pościel. Wpatrywał się w nią nieprzychylnym wzrokiem, tak jakby się pomyliła, tak jakby tu przeszkadzała. Odchrząknęła i pozwoliła swojemu spojrzeniu przenieść się na twarz w łóżku. Babcia. Najwidoczniej spała, a w każdym razie leżała z zamkniętymi oczami. Jej twarz była krzywa, przerażająca, zupełnie tak, jakby jednocześnie śmiała się i płakała, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Włosy były siwe i posklejane, przylegały płasko do czaszki.

Drzwi zamknęły się za nią ze słabym odgłosem wciąganego powietrza, jej botki stukały, wydając mokry dźwięk na podłodze z linoleum.

– Cześć. Ja... mam ze sobą to. Jak ona się czuje? – wyszeptała.

– Kogo szukasz?

– Anny Neshov. Jestem... Torunn.

Mężczyzna podniósł się. Kanciaste ciało ubrane w szary garnitur, białą koszulę i czarny krawat, wilgotne wargi z pianką zaschniętą w kącikach ust, przerzedzone włosy. Uśmiechnął się słabo.

– Ach tak, więc to ty jesteś Torunn. Czy Tor wie, że tu jesteś?

– Tak. A raczej... nie, nie wie, że przyjechałam, ale to on mnie... Zapomniałam zadzwonić. Mam ze sobą to tutaj.

Wyciągnęła kwiaty przed kobietę leżącą w łóżku. Kobieta nagle otworzyła oczy, nie poruszając przy tym głową, nie zmieniając wyrazu twarzy ani nie reagując w żaden inny sposób. Czy to teraz miała się przedstawić, pozwolić się rozpoznać? Pochyliła się nad łóżkiem.

– Cześć – wyszeptała. – Jak się czujesz?

Spojrzenie staruszki nie poruszyło się, przez kilka sekund skierowane było prosto przed siebie, a potem powieki znów się zamknęły, a z ust wydobył się dziwny bulgoczący dźwięk. Zupełnie jakby umarła, tutaj i teraz. Ale na mężczyźnie nie zrobiło to żadnego wrażenia, założył widać, że stara kobieta po prostu ponownie zapadła w sen.

– A więc zadzwonił do ciebie – rzekł mężczyzna. Zupełnie jakby powiedział to sam do siebie.

– Znajdę wazon – powiedziała. – Na pewno mają tutaj jakiś w...

– Ja to zrobię – rzucił mężczyzna szybko i obszedł łóżko dookoła.

– Może powinniśmy się przywitać – powiedziała i wyciągnęła rękę.

– Margido – rzekł. – Miło mi cię poznać.

– Chciałam cię zobaczyć. Słyszałam, że zachorowałaś.

Wzięła starą kobietę za rękę, nie było w niej żadnego ruchu, żadnej siły, martwa część ciała. Poskręcane palce, zimne koniuszki, wąska obrączka głęboko wciśnięta w skórę, paznokcie błyszczące, w kolorze delikatnego fioletu. I jej oczy były teraz

otwarte, wpatrywały się wprost przed siebie, tak jak to miało miejsce przed chwilą. Torunn pochyliła się nad kołdrą, żeby znaleźć się w polu jej widzenia. Jednak w chwili, gdy uznała, że patrzy staruszce w oczy, nadal tak nie było, bo w jej spojrzeniu była pustka, przypominająca Torunn obrazy nowo narodzonych, mających zaledwie kilka godzin dzieci, coś w rodzaju czujnej nicości, której tylko świeżo upieczeni rodzice potrafili przypisać różne treści. Przebyła wylew. Prawdopodobnie nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. Bo nawet jeśli mięśnie twarzy nie pracowały, to przecież wyraz oczu nie powinien był zniknąć? Nie wiedziała. Nic poza tym, że to było nieprzyjemne. Pewnego razu na stacji metra w Oslo napotkała spojrzenie mężczyzny, który mógł mieć około trzydziestu lat. Siedział z półuśmiechem na twarzy, a ona wytrzymała jego spojrzenie o wiele za długo, zanim odwróciła wzrok, nie mogła mieć wtedy więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Odniosła wtedy wrażenie, że mężczyzna próbuje ją poderwać, i przeraziła się śmiertelnie, zaczęła planować, że wysiądzie za nim na dowolnej stacji i pójdzie jego śladem, gdziekolwiek by szedł, po to żeby on nie mógł pójść za nią. Nagle podniósł się i poszedł w stronę drzwi, machając przed sobą białą laską.

– Jestem Torunn, wiesz. Twoja wnuczka. Szkoda, że nie spotkałyśmy się nigdy wcześniej.

Zaczęła płakać, wypuściła dłoń staruszki, pośpiesznie wyszła do toalety obok pokoju, znalazła papier. Właściwie po co stała tu teraz i siąkała nosem. Musi wziąć się w garść. Usłyszała otwierające się drzwi i dźwięk wazonu stawianego na nocnym stoliku. Gdyby zajrzał do kiosku, zobaczyłby, gdzie je kupiła, zobaczyłby tę łatwą stronę sprawy. Spuściła wodę i korzystając

z szumu, wydmuchała nos. Metalowy koszyk wiszący na ścianie napełniony był białymi, lateksowymi rękawiczkami. W koszu na śmieci zobaczyła kilka zwiniętych pieluch z cieniem czegoś ciemnego w środku.

Margido nie usiadł, stał w nogach łóżka i trzymał statyw, kołysząc przy tym nieznacznie górną połową ciała.

– Czy zamierzasz może zostać tu przez chwilę? – zapytał.

– Nie wiem. Muszę chyba zadzwonić i powiedzieć, że przyjechałam. Znaczy... mojemu ojcu.

– Ja siedzę tutaj od nocy. Tor był przed południem, a ja w tym czasie przespałem się kilka godzin w pokoju obok.

– Jasne, mogę tutaj posiedzieć. Czy ona rozumie, co się mówi? Nawet jeśli mnie... tak jakby nie widzi?

– Nie sądzę. Ale być może.

– Co mówią lekarze?

– Nic jeszcze nie wiedzą na pewno. Pierwsze doby po wylewie są decydujące. Ale ona podobno jest w stabilnym stanie, tak mówią. Tej nocy chyba nikt nie musi tu czuwać.

– Nigdy się wcześniej nie spotkałyśmy. Ona i ja.

– Nie.

– Ty i ja też nie. Jesteś przecież moim wujkiem. To dziwne.

– Tak, to jest... dziwne.

– Gdzie pracujesz?

– Tor chyba już ci powiedział.

– Nie. Nie rozmawialiśmy o tym jakoś specjalnie.

– Prowadzę biuro pogrzebowe.

Zadzwoniła do ojca. Miał przyjechać po wieczornym obrządku w chlewie i być tutaj w okolicach godziny dziewiątej. Dobrze, że przyjechała, powiedział. I dodał, że wobec tego może się z nim zabrać samochodem do domu w drodze powrotnej.

– Mieszkam w Royal Garden – powiedziała.

Zamilkł.

– Tak jest najprościej – rzekła. – A poza tym szpital też leży w centrum.

Mają dużo kołder. I pokoi. To jest wielki dom, powiedział. Staroświecki dom ze skrzydłem w stylu domów w Trondheim, dobudowywanym na długość w kilku etapach przez dwieście lat.

– Zobaczymy – rzekła. – Ale to i tak nie będzie dziś w nocy. Teraz mam już przecież bagaże w hotelu i zameldowałam się tam, i tak będę musiała zapłacić.

Tyle pojął. Nagle przypomniał jej się ten moment, gdy zrozumiała, jak bardzo jest oszczędny. Więc jeśli kłamstwo mogło go uspokoić. A o sponsorowaniu przez matkę nie chciała wspominać.

– Zatem do zobaczenia za kilka godzin – powiedziała.

Stara kobieta zapadła w sen wkrótce potem. Usiadła na tym samym krześle, gdzie wcześniej siedział Margido, ostrożnie ujęła dłoń staruszki, tym razem lewą. Na przegubie założony był wenflon. Oparła czoło o brzeg łóżka, zamknęła oczy. Staruszka oddychała równo. Z korytarza dobiegały różne dźwięki i odgłosy tacy na kółkach. Zbiornik w toalecie nadal szumiał, może trzeba było dodatkowo pociągnąć spłuczkę. Miała teraz siedzieć tutaj przez ponad dwie godziny i trzymać obcą dłoń, w co też ona się

wpakowała. Biuro pogrzebowe. Makabryczne. Trzeba było podnieść się i odejść. Zadzwonić i powiedzieć, że nie ma na to siły, że nic nie jest im dłużna.

Ułożyła dłoń na kołdrze i wypuściła, z torebki wyjęła książkę.

Obudziła się, bo ktoś nad nią stał. Kryminał leżał na podłodze. Kark bolał. Poczuła zapach chlewu, jeszcze gdy stał kilka metrów od niej. Miał inną kurtkę niż poprzednim razem, coś w rodzaju parki, w najmniejszym stopniu nie była czysta.

– Cześć – powiedziała, nie podnosząc się. – Najwidoczniej zasnęłam. Ona też śpi.

– Ach, tak. Tak, tak.

Rozejrzał się za krzesłem, stało pod oknem, przyniósł je i usiadł po drugiej stronie łóżka. Uśmiechnął się odrobinę i rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Inny kolor włosów. I dłuższe. Poza tym nic się nie zmieniłaś – powiedział i szczelniej owinął się kurtką, nie zdjął jej, chociaż było bardzo gorąco. Za każdym razem w przerwach między rozmowami z nim zapominała ten jego powolny i staranny dialekt z okolic Trondheim.

– Tak. Ty też – rzekła. – Jesteś zupełnie taki sam.

– Wszystko poszło dobrze... z podróżą samolotem i tak dalej? Chyba że przyjechałaś pociągiem?

– Nie, samolotem.

– To dobrze. Tak jest szybko, przynajmniej.

– Miałam przez chwilę zamiar prowadzić sama – powiedziała.

– Och, nie. Teraz w grudniu prawie nie ma światła do prowadzenia. I jest ślisko. Dobrze, że tak nie zrobiłaś.

– Nie wiedziałam, że twój brat prowadzi biuro pogrzebowe?

– Nie, myśmy chyba nie... Spotkałaś go?

– Tak. Siedział tutaj, gdy przyjechałam. Czułam się dosyć głupio. Idiotyczne, że o nim nie rozmawialiśmy. Gdy o tym pomyślę... Za każdym razem, gdy pytałam o takie sprawy, zbywałeś mnie. Właściwie dlaczego?

– Ale teraz nie będziemy przecież... Nie mamy zbyt wiele kontaktu, on i ja. On nie mieszka w domu w Neshov. Może przyniosę trochę kawy?

– Nie, nie trzeba. Ile on ma lat?

– On... zaraz... niech pomyślę... Tak, on ma chyba pięćdziesiąt dwa lata. Trzy lata młodszy ode mnie.

– A ten twój drugi brat. Co on robi?

– No wiesz, co on robi... Margido złapał go wczoraj, tak mi powiedział. Mieszka w Kopenhadze. Przeprowadził się tam dwadzieścia lat temu.

– A on... ile ma lat?

– On ma tylko... wkrótce kończy czterdzieści lat, tak mi się zdaje.

– Jest tylko kilka lat starszy ode mnie?

– Tak.

– Dlaczego właściwie o nich nie rozmawialiśmy?

– Przecież... rozmawialiśmy o innych sprawach.

– O zwierzętach. Głównie o nich – rzekła.

– Zwierzęta to akurat nie najgorszy temat do rozmowy – powiedział i uśmiechnął się lekko.

– A jak ci idzie ze świniami?

Wyprostował plecy, spojrzał jej łagodnie w oczy i uśmiechnął się szeroko: – Siri urodziła dziś w nocy trzynaście prosiąt.

– Och! Wspaniale!

Wiele słyszała o Siri. Z tej maciory był najwyraźniej prawdziwy Einstein.

– A w niedzielę urodziło się jeszcze pięć – dodał.

– Tylko pięć? Sam mówiłeś, że jeżeli w miotach zaczyna być mniej niż dziesięć sztuk, wtedy...

– Cztery padły. Razem było dziewięć. Ale to był jej pierwszy miot. W pierwszym nigdy nie ma dużo młodych.

– Zachorowały? Te cztery?

– Maciora je zabiła. Przestraszyła się i oszalała. Wtedy tak się może zdarzyć.

Rzucił szybkie spojrzenie na twarz matki. Nie wziął jej za rękę.

– Słyszałam o takich przypadkach. Biedne maluchy.

– O, one nie zauważyły zbyt wiele. Zaraz po urodzeniu nie odczuwają jakoś szczególnie bólu. Ale to było niepowodzenie. Cholerne niepowodzenie. Piękne młode. Cholera. No i ta wieczna walka o podanie mleka żyjącym.

– Zadzwoniłeś chyba do weterynarza? Żeby dać maciorze coś na uspokojenie?

– Nie. Załatwiłem to sam. Poszło dobrze. Trochę zamieszania i wszystko już w porządku.

– Poza tym... czy przyjedzie Erlend? Tutaj?

Zmienił pozycję na krześle, zaczął szukać czegoś w kieszeni, a z jego twarzy znikło światło, to światło, które nagle pojawiło się tam, gdy mówił o świniach, żałowała, że zapytała, bardzo tego

żałowała. Każde poruszenie jego ciała wysyłało w przestrzeń pokoju kolejną porcję zapachu chlewu.

– Nie wiem. Margido wiele na ten temat nie powiedział. Ale teraz on już przynajmniej wie. Że ona jest chora. Że leży. Ale przecież ona zupełnie wyzdrowieje. Tak ja uważam. Bo jest poza tym całkiem zdrowa.

– Nie wiem, czy do niej coś dotarło. Że ja przyjechałam.

– Dobrze, że przyjechałaś. Dobrze dla ciebie także.

– Dla mnie? W jakim sensie?

– Och. Odwracasz... kota ogonem. Przecież to twoja babcia.

– Czy ona kiedykolwiek o mnie pytała? Albo chciała wiedzieć, co u mnie słychać?

– Wie, że rozmawiamy ze sobą przez telefon. Opowiedziałem jej, że wyszłaś za mąż.

– Boże święty. To przecież było tysiąc lat temu. Opowiedziałeś też, że się rozwiodłam?

– Tego akurat nie. Ale w rok później zapytała, czy masz dzieci. Powiedziałem, że nie chcesz mieć. Że tak powiedziałaś. Ona uważała, że nic w tym dziwnego.

– Dlaczego nie?

– Tego nie wiem. Tego mi nie powiedziała.

Zapadła cisza. Chciała wrócić do hotelu i powiedziała to, powiedziała, że jest zmęczona, że wczoraj późno się położyła, że źle spała w nocy i że pracowała do ostatniej chwili przed wyjazdem, kiedy trzeba było pojechać do domu, spakować się i ruszyć na lotnisko Gardermoen.

– Pojedziesz ze mną jutro do gospodarstwa? – zapytał i znów gwałtownie zaczął szukać czegoś w kieszeni.

– Jasne, że tak.

Nie powiedziała, że zamierza tam nocować.

– Zobaczyć świnie – rzekł.

– Cieszę się na to. Masz zapewne dodatkowy kombinezon.

– O, tak. Do chlewu nie wolno wchodzić bez niego. Ochrona przed chorobami zakaźnymi. Takie rzeczy są ważne. A poza tym ubrania nie przesiąkną ci zapachem.

Prawdopodobnie on tego już nie czuł.

– Mogę tu przyjechać jutro przed południem. Zajrzę do niej – powiedziała. – I możemy wtedy przecież spotkać się tutaj. Masz ciągle ten sam samochód?

– Volvo? Ależ tak. To złote auto. A dlaczego?

– Bez powodu. Tylko tak pytałam. To ja już teraz pojadę.

– Porozmawiam później z lekarzem – rzekł.

– Margido mówił, że nikt nie musi koniecznie czuwać tutaj dziś w nocy.

– Powiedział tak. No tak. Muszę tak czy owak z nimi pomówić.

– To wobec tego do jutra.

W barze w Royal Garden znalazła wolny stolik, zamówiła sobie kawę i koniak. Kominek gazowy palił się iluzorycznym pięknem. Miała ochotę na papierosa. Czuła, jak znowu zbiera się jej na płacz. Takie siedzenie, dwoje ludzi z głowami wystającymi każde po jednej stronie białej kołdry, przykrywającej śpiącego, prawdopodobnie umierającego człowieka. To była jego matka. Kochał ją, mieszkał z nią, tak było przez całe jego życie. I ona, niepotrafiąca sobie odpuścić tych ataków na niego. Przypuszczalnie dlatego że zasnęła, obudziła się nagle i już nie

czuła się we właściwym miejscu. Ale kto był u siebie w szpitalu, na oddziale udarowym. Na pewno nie on. A ona w kółko paplała, to się nazywa brak zgrania, mogła go o to zapytać jakieś tysiąc razy wcześniej. W zasadzie robiła to, może nie tysiąc razy, ale kilka na pewno, a on ją zbywał, za każdym razem, aż przestała pytać, przypomniało jej się, jak pewnego razu uznała, że ci bracia najprawdopodobniej nienawidzą samej myśli o jej istnieniu, że nie mogą jej ścierpieć, że ojciec chce ją chronić i dlatego nie zamierza o nich mówić.

Opróżniła kieliszek z koniakiem i zamówiła kolejny. Jutro będzie dla niego miła.

Kilku mężczyzn w barze posyłało jej spojrzenia. Siedziała sama, samotna kobieta przy pustym stole we wtorkowy wieczór, łatwo było odczytać ich myśli. Wyciągnęła z kieszeni kartę otwierającą drzwi do pokoju i położyła ją przed sobą na stole. Mieszkała tutaj, mogła siedzieć sama, ile tylko dusza zapragnie, to nie było żadne zaproszenie, nie mieli prawa sobie nic wyobrażać, nikt niczego o niej nie wiedział.

Z autobusu przywożącego podróżnych z lotniska wysypała się kolejna porcja ludzi. Wtoczyli się przez szklane drzwi, ciągnąc za sobą walizki na kółkach i dźwigając torby, z których wystawały jarmarcznie opakowane prezenty świąteczne, blat przy recepcji pokryły ciała i bagaże, na dworze padał śnieg, na ramionach wszystkich ludzi leżał biały puch, mimo małej odległości dzielącej drzwi od autobusu. Ona sama zrobiła sobie spacer ze szpitala do hotelu, cudowną wycieczkę, począwszy od opuszczenia pokoju chorej, poprzez most w stronę katedry Nidaros, oświetlonej jak

w świątecznej bajce, przez miasto obok kolejnego mostu, wzdłuż rzeki, wszędzie śnieg, śnieg we włosach i na policzkach, zadzwoniła do Margrete i powiedziała, że wszystko jest w porządku, wszystko szło dobrze, musiało pójść dobrze, miała tylko przywitać się ze swoją babcią pogrążoną w śpiączce, odwiedzić ojca w gospodarstwie, zobaczyć te jego świnie, a potem już do domu. Nie było żadnego powodu, żeby to wszystko miało nie pójść dobrze.

---

[3] Gudbrand z Lia – postać z norweskiej bajki ludowej, pochodzącej ze zbioru baśni Petera Ch. Asbjørnsena i Jørgena Moe (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 5

Pierwsza jego myśl była taka, że musi udawać, iż nic się nie dzieje. Gdyby Krumme w jakikolwiek sposób pojął, że go to dotyka, nalegałby, żeby pojechał do Norwegii i do Trondheim, a poza tym chciałby jechać z nim, a ta myśl była nie do wytrzymania, wtedy zobaczyłby wszystko, zauważył, kim Erlend naprawdę jest, zostałby zdemaskowany, Krumme natychmiast przestałby go kochać.

Prawdopodobnie umierała. Zabił ich w myślach wszystkich dwadzieścia lat temu, wszystkich czworo, a teraz ona miała umrzeć naprawdę, to nie było sprawiedliwe, to mu nie pasowało, właściwie to mógł upozorować swój wyjazd tam. Zamiast tego ruszyć na dwa dni do Londynu, wrócić do domu do Krumme i powiedzieć, że ona nie żyje i że została już pogrzebana, w Byneset chowano zmarłych w ciągu doby, taka stara tradycja, mógł tak powiedzieć.

Krumme był zły. A może raczej było mu przykro, trudno to ocenić. Siedział w każdym razie w kuchni przed świeżo upieczonym chlebem, nie zrobił kawy ani nie otworzył gazety, ani nie

spróbował wypieków, siedział tylko tam zupełnie cicho z rękami opartymi na stole i gapił się w przestrzeń przed sobą.

– Nic o tobie nie wiem – powiedział.

– Znowu zaczynasz! Kim, twoim zdaniem, jest człowiek? Tylko dlatego, że poznałem twoją kłótliwą siostrę i twoich zacofanych, snobistycznych rodziców, to niby wiem, kim ty jesteś? Ja jestem sobą! Tym, kogo widzisz! Ani mniej, ani więcej!

– Nie musisz zaraz odgrywać roli królowej dramatu. Ani rzucać mi się do gardła. Nie jestem zły, jest mi tylko przykro.

– Niech ci nie będzie. *Please*.

– Masz brata.

– Ano tak. Mam dwóch.

– Dwóch?

– Tak. I umierającą matkę, on w tej właśnie sprawie dzwonił. Matkę, która mnie gówno obchodzi.

– Umierającą? O Boże.

– Tak, o Boże. To ponoć takie okropne. Boże, jakie okropne, umieram ze smutku!

– Opanuj się.

– Jestem opanowany. Popatrz! Teraz wziąłem się naprawdę w garść. Zapłakałem właśnie nad swoją matką. Hokus-pokus! Jak widzisz, szybko przeszło.

– Więc nie jedziesz? Twój brat dzwonił zapewne po to, żebyś przyjechał. W przeciwnym wypadku nie telefonowałby.

– No właśnie, czy możesz sobie wyobrazić, dlaczego on w zasadzie do mnie zadzwonił. Tylko dlatego, że pięć lat temu po pijaku wysłałem mu zabawną pocztówkę.

– Naprawdę?

– Tak. Znalazłem kartkę z rozebranymi do rosołu paniami, tańczącymi wokół otwartej trumny, w której spoczywał ajatollah Chomeini.

– Dlaczego mu to wysłałeś? Czy on jest politycznie zaangażowany?

– Prowadzi biuro pogrzebowe.

– Nie masz dobrze w głowie.

– Możliwe.

– A zatem nie zamierzasz odwiedzić własnej matki przed śmiercią.

– Nie ujmuj tego w ten sposób. A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

– Ja nie mogę mieć na ten temat żadnego zdania, Erlendzie. To przecież...

– W tych zakątkach naszego globu wartość człowieka mierzy się liczbą osób podążających w jego orszaku pogrzebowym. Kościół pękający w szwach oznacza, że ktoś był bardzo kochany. Moja nieobecność tam będzie w takim wypadku bardzo widoczna...

– Przecież jeszcze nie ma pogrzebu. A może... to kwestia godzin?

– Nie mam pojęcia. Ale gdybym tylko wykonał krótki skok samolotem tam i z powrotem, mieliby o czym mówić. Że nawet ja przyjechałem. A ona leży w szpitalu. Przecież nie muszę jechać do nich do domu.

– Nic nie rozumiem z tego, co mówisz, skarbie. Związku, znaczy. Czego chcesz. O tak wielu sprawach nigdy nie rozmawialiśmy.

– Tu nie ma o czym rozmawiać! Jedz! Upiekłem chleb! Wkrótce są święta! Jutro wieczorem robimy wielkie przyjęcie świąteczne! Jasne jest też, że nie pojadę. Zadzwonię i dowiem się, jak ona się czuje. Później dzisiaj. Albo jutro to zrobię. Dzisiaj muszę zacząć ze stołem. A ty teraz jedź do pracy.

A zatem z tym jednorożcem to nie był przypadek. Ostrzeżenie. To było wyraźne ostrzeżenie. Podobnie jak te przeczucia i niepokój, których zaznał dziś w nocy. Nigdy nic nie działo się przypadkiem. A teraz chodziło o to, żeby to zwalczyć, nie dać się pokonać, ale właściwie dlaczego Margido zadzwonił do niego? To było złe posunięcie, musiał chyba zdawać sobie sprawę, że wiadomość o matce absolutnie nie skłoni go do rzucenia wszystkiego, czym akurat się zajmował, i natychmiastowego wylotu do Trondheim, nagle, po dwudziestu latach. Pewnie zadzwonił tylko po to, żeby pogrzebać mu w sumieniu i wzbudzić w nim poczucie winy. Chrześcijański głupek, czym miał się przejmować, skoro w każdej chwili mógł wesprzeć się na Bogu i Jezusie, i na Duchu Świętym i znaleźć w tym pokój.

Wylew. Dziwne słowo. Miała wylew. Nie tyle zresztą miała wylew, ile raczej powaliło ją. Na ziemię. Nie była w stanie mówić, powiedział Margido, leżała tylko. *Off-line*. Skończyła osiemdziesiąt lat. Starsza pani w wieku osiemdziesięciu lat leżała w szpitalu rejonowym w Trondheim i była jego matką. Szpital poza tym już się chyba tak nie nazywał, Margido mówił coś o szpitalu Świętego Olava. Mieszkańcy Trondheim najwyraźniej oszaleli w zapale uczynienia ze swojego małego zadupia średniowiecznego miasta. Zapytał, czy chce przyjechać i zobaczyć

ją po raz ostatni. Aha, ostatni raz! I kto był tutaj królową dramatu? Na pewno nie on. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętał, były jej plecy. Stała przy blacie kuchennym, zajmując się jakąś zupą, przelewając ją do pustych kartonów po mleku, które miała włożyć do zamrażarki. Nawet się, kurwa, nie odwróciła, gdy powiedział do widzenia. Była zła, że jedzie, byłaby zła, gdyby został. Najmłodszy syn z Neshov, pedzio i cholerna zakała rodziny. Jedyną osobą, która go akceptowała, był dziadek. Dziadek Tallak, najlepszy dziadek na świecie, zabierał go na morze i nauczył w specjalny sposób łowić łososie. Gdyby Krumme wiedział, że on potrafi łapać łososie w ten sposób. Ale gdy dziadek Tallak umarł, nie było już żadnego powodu, żeby tam zostawać. A gdy powiedział, że chciałby się przeprowadzić do miasta i rozpocząć naukę w liceum plastycznym w Brundalen, dopiero wtedy wszystko się zaczęło. Matka dostała histerii i powiedziała, że nawet jeśli jest tak bardzo odmienny od wszystkich, nie musi koniecznie dodatkowo kształcić się w tym kierunku i przynosić im wszystkim wstydu. Wybór stał się wówczas prosty. Skoro Trondheim było zbyt blisko dobrego imienia i sławy rodziny, trzeba było pojechać gdzieś dalej. Ale teraz chciał odłożyć na bok wszystkie wspomnienia, przed sobą miał ważniejsze sprawy. Wziął prysznic, ubrał się i pojechał do miasta. Skupił się na nuceniu pod nosem i myśleniu o stole. Ale najpierw musiał odebrać od krawca płaszcz z *Matrixu* dla Krumme, na dzisiaj miał być gotowy.

To dopiero był widok, krawiec wykonał fantastyczną pracę. Krumme umrze ze szczęścia i będzie sobie wyobrażał, że matriksowe płaszcze naprawdę produkuje się w takich

dziwacznych rozmiarach i fasonach. Zapakował płaszcz w jaskraworóżowy błyszczący papier i z radością zapłacił pokaźną sumę za jego przeróbkę. Następnie zabrał się do robienia zakupów związanych z dekoracją stołu. Krwistoczerwona satyna, złota tafta, złote serwetki w dwóch rozmiarach, zdobione złotem półmetrowe świece. Satyna miała błyszczący, metaliczny połysk i miała służyć za właściwy obrus, a tafta będzie ułożona niczym rzeka płynąca przez środek stołu. W rzece zamierzał umieścić złote i srebrne bombki, rozłożyć gwiazdy i posypać je złotym brokatem, a przy każdym nakryciu ułożyć miniaturowe bukieciki z jemioły i liści laurowych.

ROZDZIAŁ 6

Pamiętała słowa matki na temat widoku. Wytknięcie nosa z zabieganego miasta było jak wejście w inny świat, w świat spokoju i światła, i nieskończenie długich linii. Co takiego było właściwie w tym przyglądaniu się wodzie, w byciu nad wodą, skąd brał się ten spokój odczuwany w czasie patrzenia na wielkie powierzchnie wody. Zapach w samochodzie nie był już taki dokuczliwy dzięki otwarciu okna, bo przecież paliła papierosa. Jemu nie przeszkadzało to, że paliła w samochodzie. Poza tym zapachy stały się nieistotne, to, co widziała, pozbawiało je znaczenia. Bo Byneset było jak kartka świąteczna, ze śniegiem nad fiordami, z dymiącymi kominami, z przełamującym błękit welonem mgły nad środkową częścią fiordu, góry po drugiej stronie przypominały akwarelę malowaną grubym pędzlem i z dużą ilością wody. Gospodarstwa leżały na łagodnych zboczach schodzących ku fiordowi, małe kępki lasów przecinały ten symetryczny układ jak czarno-białe pagórki. Powiedziała głośno, jak pięknie jest tutaj jej zdaniem i że czasem żałuje, iż nie jest malarką albo fotografem.

– Jestem do tego tak bardzo przyzwyczajony. Już nie dostrzegam krajobrazów – rzekł.

Długa, pompatyczna aleja nie przygotowała jej na widok gospodarstwa. Aleja stanowiła jaskrawy kontrast z zabudowaniami. Skręcili na podjazd i od razu dostrzegła rozpad. Przez pierwsze minuty był wszystkim, co widziała. Biedę, która powoli docierała do jej oczu. Kilka szyb na piętrze głównego domu zostało zastąpionych płytami. Biała farba na południowej ścianie prawie całkowicie już oblazła, odsłaniając szare drewno.

Spod podjazdu prowadzącego do stodoły wystawały stare metalowe elementy, zardzewiałe, niechlujnie porzucone. Coś, co kiedyś musiało być szopą, zapadło się po jednej stronie, sztapel zardzewiałych felg bez opon leżał przy końcu stodoły, obok przyczepy wspierającej się krzywo na haku, miała bowiem tylko jedno koło. I na dodatek leżało tu mnóstwo śniegu, jak to wszystko będzie wyglądało, gdy miłosierny śnieg roztopi się i odsłoni jeszcze więcej złomu i brzydoty.

– No, to jesteśmy na miejscu.

W chwili, gdy wyłączył stacyjkę, usłyszeli szum innego silnika.

– Na Boga Ojca – powiedział i szybko wyskoczył z samochodu. – Przecież powiedziałem, że sam odbiorę! Nie stać mnie na dowóz do domu palet, jak jakiegoś przedsiębiorcę!

Ciężarówka wtoczyła się na podjazd. Stał, patrząc na przemian na nią i na Torunn, zupełnie jakby nie wiedział, co robić.

– O co chodzi? – zapytała. – Kto przyjechał?

– Nie, to... to pasza treściwa, już prawie jej nie mam. Możesz sobie na razie pójść do kuchni. Tam, przez ganek.

– A nie trzeba ci pomóc? Wnosić i tak dalej?

– Nie, Arne i ja poradzimy sobie. To praca dla mężczyzn. A ty po prostu siądź tymczasem w kuchni.

On musiał tam być gdzieś w środku, jej dziadek. Przed otwarciem zapukała kolejno w dwoje drzwi, w końcu znalazła się w kuchni. Nikogo tutaj nie było, ale usłyszała jakieś dźwięki dobiegające z piętra powyżej. W kuchni unosił się kwaśny zapach. Przemknęła przez nią i zapukała w drzwi prowadzące dalej do wnętrza domu. Nikt nie odpowiedział, więc otworzyła. Salon z telewizorem, sofa, kilka foteli, długi wąski stolik salonowy z drewna tekowego. Postrzępione obicia krzeseł zwisały z drewnianych ram, na dwóch leżały całkiem płaskie poduszki, wysiedziane przez lata i nigdy niewietrzone. Sofa była szara i poplamiona, z trzema haftowanymi ozdobnymi poduszkami w jarmarcznych kolorach, ostra żółć kontrastowała z pomarańczowym, jasnozielony z różowym. Na obrusie, który przykrywał stół, leżało szkło powiększające, kilka gazet, otwarty futerał na okulary. Trzy puste filiżanki po kawie bez spodeczków stały na końcu stołu, obok nich talerz z okruszkami. Na telewizorze tkwiła martwa roślina doniczkowa, owinięta czymś, co przypominało folię aluminiową. Podeszła i pogrzebała w ziemi, w środku była puszka po konserwie, a kwiat stał w wodzie sięgającej aż po jej brzeg. Na dwóch parapetach okiennych znajdowały się identyczne osłony doniczkowe, a wszystkie rośliny poza jedną były martwe. W pokoju było lodowato, równie lodowato jak w kuchni. Poszła tam z powrotem i wyjrzała przez okno, nad nylonową zazdrostką, biało-błękitną, lekko brunatną w tym miejscu, gdzie wisiał

termometr zewnętrzny i gdzie w naturalny sposób podnosiło się zasłonkę, żeby sprawdzić temperaturę. Nosili worki, ojciec i jakiś mężczyzna, nosili je przez otwarte drzwi do chlewu. Wstrzymała oddech i rozejrzała się po kuchni.

Składany stół z plastiku imitującego marmur pod oknem, trzy krzesła ze stalowych rurek z czerwonymi plastikowymi siedzeniami, pasiasty chodnik ze sztucznego tworzywa na podłodze, nieoświetlony blat kuchenny, nieprawdopodobnie brudny zlew roboczy z turkusowym brzegiem z gumy i wysoki bojler na ścianie powyżej. Szafki zwisające krzywo w dół, odpadająca z każdego brzegu przesuwanych drzwiczek farba, kuchenka starego typu, w którym z płytek do gotowania podnosi się metalowe osłonki, metal był emaliowany na czarno i pokryty białymi kropkami, poszła i postawiła dzbanek do kawy na blacie, podniosła osłonkę i długo gapiła się w głębokie rowki, pokryte warstwami starych obiadów i fusów po kawie. Starożytna lodówka miała przycisk na rączce, którego trzeba było użyć, żeby ją otworzyć. Nie zrobiła tego, wokół rączki widniała matowobrązowa plama od palców.

Na blacie leżała deska do krojenia oraz nóż, położony na okruchach i ciemnych kropkach zaschniętego dżemu, a także chleb zapakowany w plastikową torebkę, wielokrotnie wcześniej używaną, matową i białawą od zagięć. Na wieszaku przy zlewie wisiały dwie plastikowe torby, każda przypięta spinaczem, i ściereczka kuchenna w niebieską kratkę. Wyjrzała przez okno, nadal nosili worki. Nadsłuchiwała odgłosów na górze, teraz nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

Wylała fusy z dzbanka do kawy do wysokiego zlewu i napełniła naczynie czystą wodą, potem położyła rękę na tej płytce, której, jak sądziła, odpowiadało lewe pokrętło. Cyfry wokół pokręteł były całkowicie starte. Gdy poczuła słabe ciepło, postawiła dzbanek. Chyba był czysty w środku, nawet jeśli z zewnątrz pokrywały go odpryski z tłuszczu.

Obok wielkiego czarnego piecyka na drewno stała cynkowa balia napełniona kawałkami drewna i starymi gazetami. Drzwi w piecyku były malutkie, największe prowadziły do piekarnika wypełnionego formami do ciast i blachami do pieczenia. Piecyk był lodowato zimny. Ukucnęła przed drzwiczkami i przy okazji rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając grzejnika elektrycznego. Zauważyła jeden pod stołem stojącym przy oknie, poszła i dotknęła go, nastawiony był na 130 watów, na minimum. Nie zwiększyła grzania, lecz zamiast tego rozpaliła w piecyku na drewno, podarła gazety i zgniotła papier mocno w kulki, kładąc go na samym dole. Drewno było suche i błyskawicznie się zajęło. Dopiero gdy zobaczyła płomienie i poczuła ich ciepło, zaczęła się zastanawiać. Ta kuchnia nie bardzo zgadzała się z tym, co opowiadał o swojej matce. Mówił, że zmywa, sprząta i przyrządza posiłki, przedstawiał ją jako zajętą kobietę, prawdziwą wiejską gospodynię, zajmującą się wszystkim i stawiającą wysokie wymagania sobie i innym. Tutaj było brudno i okropnie, pomieszczenie wywołało u niej skojarzenia z reportażami o biednych rosyjskich rodzinach.

Napełniła piecyk drewnem i zostawiła uchylone drzwiczki, żeby uzyskać dobry ciąg. Jeśli zaproponuje jej coś do jedzenia, to grzecznie odmówi, chociaż była dziko głodna. Umyła ręce

w wysokim zlewie, nie dotykając wysuszonego kawałka mydła, pokrytego czarnymi, równoległymi pęknięciami, które zwisało z magnetycznego uchwytu na ścianie. Zamiast tego skorzystała z kropli płynu do mycia naczyń firmy Zalo, który stał w butelce na blacie kuchennym. Zdaje się, że mocno go oszczędzali. Ręcznika wiszącego tuż obok nawet nie dotknęła, wysuszyła ręce, machając nimi przed drzwiczkami piecyka aż do chwili, gdy były suche. Na podwórku zobaczyła go zbliżającego się do werandy. Towarzyszył mu mężczyzna z ciężarówki. Nie weszli do kuchni, ale usłyszała dźwięk otwieranych w korytarzu drzwi i głos ojca, który po krótkiej chwili powiedział: – Zważywszy kłopot, tyle akurat powinno być. Ale to zupełnie niepotrzebne, żebyś przyjeżdżał z paszą, skoro ja nie... Tylko dlatego, że matka zachorowała. To było naprawdę niepotrzebne. Ale skoro już, to dziękuję i wesołych świąt.

– A więc musisz płacić w gotówce za paszę – powiedziała, gdy ciężarówka odjechała, a ojciec wszedł do kuchni.

– Ach tak, a zatem gotujesz kawę. Nie, byłem mu winien za coś innego.

– Napaliłam też w piecu, tutaj było przecież po prostu lodowato. A gdzie twój ojciec tak à propos?

– O, on pewnie coś tam sobie robi.

– Jest zdrów i w dobrej formie? Daje radę...

– Ależ tak. Zajmuje się drewnem i tak dalej. Rąbie i przynosi do domu.

– Dlaczego nie spędza więcej czasu w szpitalu? Czy tylko ty i Margido możecie...

– Był razem z nami, jak ją zawoziliśmy. Nie lubi za bardzo szpitali.

– A kto lubi. Powiedz mu może wobec tego, że jest kawa.

– On już na pewno pił kawę. I wziął sobie kromkę chleba, jak widzę. Okropnie bałagani.

– Chętnie bym się z nim przywitała. Skoro już tutaj jestem.

– Ech, to nie jest konieczne. On nie jest w pełni obecny. Nie sądzę, że musimy zaczynać...

– Nie mogę się z nim przywitać?

– Mamy przecież iść do chlewu. Mamy przecież...

– W porządku.

Usiadł przy stole, ale zaraz znów się podniósł.

– Mamy trochę herbatników. Matka upiekła jakieś ciasteczka, o ile pamiętam.

– Nie szukaj i tak nie chcę, nie przepadam za herbatnikami.

– Ale kawałek chleba?

– Nie, dziękuję. Zjadłam w hotelu wielkie śniadanie.

– Ale widziałem, że nie masz ze sobą żadnego... bagażu.

– Nie, pomyślałam, że... jadę do domu jutro. Teraz już ją widziałam. Poza tym nie mogę tutaj mieszkać, skoro nie wolno mi przywitać się z twoim ojcem.

– To nie jest tak. Że nie możesz... On nawet nie wie, kim ty jesteś.

– No właśnie. Teraz wyszło na jaw.

– Co wyszło?

– Że on nie ma nawet pojęcia o moim istnieniu.

– Ależ tak.

– Nie wie. Czuję się jak idiotka.

– Ależ Torunn...

– Wie czy nie wie?

– On nie potrzebuje niczego wiedzieć! Ten człowiek nie jest obecny, powiedziałem ci już!

– Daj spokój. Nie ma co o tym więcej mówić. Woda się już gotuje, gdzie trzymacie kawę?

Wskazał na czerwoną puszkę z plastikowym wieczkiem. Wsypała dużo kawy do dzbanka, dodała jeszcze jedną łyżeczkę, chociaż oceniła, że już wystarczy. On niczego nie skomentował. Zagotowała całość ponownie, a potem podstawiła dzbanek pod kran i dolała do niego odrobinę zimnej wody.

– Potrafisz to – powiedział. – Sądziłem zawsze, że miastowi korzystają tylko z ekspresów.

Uśmiechnął się, ona odwzajemniła uśmiech, wydawał jej się taki biedny. Nadal siedział w kurtce, tkwił tam obok kuchennego okna, zupełnie jakby był tu z wizytą.

– Lepiej znajdź jakieś kubki – rzekła.

Nie zawracał sobie głowy spodeczkami, ale za to przyniósł z szafki miseczkę pełną kostek cukru. Zajrzał do miseczki, zniknął w spiżarni, gdzie z pudełka dosypał pełną garść. Gdy podniósł się, żeby dołożyć drewna do pieca, użyła własnego rękawa do wypolerowania dna i brzegów kubka. W tej sytuacji mogła przynajmniej wrzucić sobie cały cukier do kawy, skoro pochodził prosto z opakowania, i wyjaśnić, że jest prawdziwym łasuchem.

Dał jej stary kombinezon i parę brązowych butów roboczych. Dużo czasu minęło od chwili, gdy ten kombinezon po raz ostatni oglądał wnętrze pralki. Przebrała się w paszarni. Leżały tam ogromne

stosy worków, a pośrodku znajdował się rodzaj przewodu zrobionego z jakiegoś grubego i przaśnego materiału, zakończonego metalowym wylotem, połączonym z zamknięciem. Na podłodze pod spodem leżały ziarna, zapewne przesypywano tam zawartość worków. Nie za wiele tu było automatyzacji. A ona sądziła, że chłopi pławili się w dotacjach i konkurowali ze sobą o posiadanie najnowszych urządzeń pozwalających zaoszczędzić czas.

Zdjęła z siebie tyle swoich ubrań, ile mogła, żeby nie ryzykować zamarznięcia na śmierć. Te, które zostawiła na ciele, będzie zmuszona zapakować w plastikowy worek, w porównaniu z zapachami, w które już była spowita, woń w samochodzie wydawała się przyjemnym aperitifem. Ale cieszyła się. Ogromnie się cieszyła na możliwość zobaczenia tych zwierząt, dzięki którym jego twarz rozjaśniała się, a w rozmowie telefonicznej bulgotał bez ustanku ze swoim starannym akcentem z Trondheim.

– One nie są przyzwyczajone do widoku obcych w chlewie. Stare maciory znają weterynarza, ale poza nim widują tylko mnie. Na pewno będą trochę hałasować – rzekł do niej, gdy stała tam w kombinezonie i roboczych butach i czuła się zdumiewająco dobrze ubrana.

Nigdy wcześniej nie miała okazji być w chlewie, a żywą świnię widziała w życiu tylko kilka razy. Właściwie człowiek nigdy się nad tym nie zastanawia, że wcale nie tak często ogląda się prawdziwe, żywe świnie. Do krów i koni było się przyzwyczajonym, chodziły wszędzie po ogrodzonych pastwiskach, ale świnie były zamknięte w pomieszczeniach, trzeba było kogoś

znać albo mieć jakąś sprawę związaną z chlewem. W klinice w Oslo mieli umowę ze szkółką jeździecką o pełnienie stałego dyżuru, to był jej najbliższy kontakt ze słomą, stanowiskami i zwierzętami większymi niż dog niemiecki.

Z chlewu dobiegał równomierny hałas. W następnej sekundzie zrobiło się nagle zupełnie cicho, jakby stały tam, nadsłuchując uważnie. Potem znów rozległ się gwałtowny rumor.

– Usłyszały, że tu jestem – powiedział. – To nie jest zwykła pora obrządku. Na pewno są teraz bardzo ciekawe. Zawsze tak jest. A gdy nadchodzi czas prosienia się, biegam tam i z powrotem. Wtedy pozostałe strasznie się wydzierają. Za każdym razem, gdy przychodzę, myślą, że jest Wigilia.

Nic nie byłoby w stanie przygotować jej na widok hodowlanych macior. Były jak monstrualne góry żywej masy, podparte krótkimi, grubymi nóżkami na dole. Ryje błyszczały wilgocią i poruszały się sprawnie w coraz to nowym kierunku, zupełnie jakby nie były przytwierdzone na stałe do reszty głowy, oczy stanowiły małe, niebieskie dziurki w gigantycznej czaszce, uszy tańczyły i drgały, na wpół wzniesione, na wpół wiszące. Uszy były tak ogromne, że zasłaniały oczy, więc maciory musiały odwracać głowę na bok i zerkać kątem oka. To spojrzenie było pełne wyraźnego podniecenia, traktowały ją, jakby zrobiła coś niewłaściwego, nie potrafiła odczytać z tego spojrzenia żadnych uczuć i nie odnalazła tam niczego prócz podejrzliwości. Ospałe zimowe muchy krążyły wokół zwierząt, a kilka macior wydało niemalże szczekający dźwięk po usłyszeniu jej zawołania: – Jakie

one są wielkie! Że też to możliwe! Jak te nóżki zdołają to wszystko udźwignąć? Ile one tak naprawdę ważą?

– Zaraz, zaraz, spokojnie! – rzekł, podchodząc do najbliższego boksu. Maciora przydreptała ku niemu, chrząkając i dysząc, i wsadziła ryj w jego dłoń. – Świnie nie najlepiej widzą, ale słyszą, że jesteś kimś nieznajomym. Ważą około dwustu kilogramów, a po kilku miotach nawet do dwustu pięćdziesięciu. Te trzy tutaj ważą chyba po ćwierć tony każda.

– Chyba już mi to wcześniej mówiłeś. Ile ważą. Ale jakoś nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że są aż tak ogromne. To wygląda prawie... nieco makabrycznie.

– Wspaniałe zwierzęta. No i wszystkie trzy mają dobre nogi, ot co. Ta, co się jeszcze nie podniosła, nazywa się Sura. Z nią nie ma żartów. Potrafi ugryźć. Wiesz, to przecież w gruncie rzeczy są drapieżniki. Ale swoje dzieci traktuje zawsze jak najprawdziwsza wzorcowa matka. To są mądre zwierzęta.

– Tak, tyle już zrozumiałam. Nie miałam na myśli tego, że są brzydkie. Ale są takie wielkie! Nie miałam pojęcia, że...

– Zaraz po świętach zabiorę im młode i znów będę je krył.

– A ile czasu musi minąć, zanim będziesz mógł sprzedać młode?

– Pięć miesięcy. Najlepsze ceny za zwierzęta rzeźne są wiosną.

– Na pewno będzie im brakowało swoich młodych...

– Zaraz potem, gdy oddzielę je od dzieci, zaczną bardzo mocno zwracać na siebie uwagę. W stadzie świń jest straszne zamieszanie: z ustalaniem hierarchii i tak dalej.

– Dokładnie tak samo jak z psami...

– Sądzę, że znacznie gorzej. Jeśli tylko wpuszczę maciory razem, robi się zaraz piekielny hałas. Jeżeli trzy maciory

znalazłyby się tak po prostu w jednym boksie, rozgorzałaby zaraz walka o dowodzenie. Kurwa, wtedy naprawdę rzucają się na siebie. Dlatego zbieram je w stado tuż przed nocą, gdy są zmęczone i najedzone. Tak żeby tylko zgasić światło, wyjść i mieć nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze.

– Ale, mój Boże, czy one byłyby w stanie pozabijać się nawzajem?

Spróbowała sobie wyobrazić łącznie trzy czwarte tony walczących zwierząt, zwiniętych w jeden kłąb, nawet trzy samce rottweilery nie mogłyby się z tym mierzyć.

– Nie. Są na to za ciężkie i zbyt wielkie. Ale próbują! Naprawdę próbują!

Zaśmiał się lekko, wyglądał teraz jasno i swobodnie, z rękami w kieszeni kombinezonu i wygiętymi w swobodny łuk plecami.

– Są świetne – powiedziała. – Ile mają... ile mają młode? Gdy muszą się pożegnać ze swoją mamą?

– Pięć tygodni. I dziesięć–dwanaście kilo. Za niecałe cztery miesiące będą ważyły sto. Ale czy nie chcesz obejrzeć nowo narodzonych prosiąt? Tych od Siri?

– Ależ tak!

– Ale Sary, tej, która zabiła cztery własne młode w niedzielę... jej raczej nie będziemy niepokoić.

Przestała już zwracać uwagę na zapachy. A maciory nie były szczególnie brudne, raczej zakurzone niż brudne, ze źdźbłami słomy tu i ówdzie, i trocinami na zadzie, przyklejonymi od leżenia na podłodze. Odchody były starannie ułożone na kupce w jednym

rogu boksu, wyobrażała sobie wcześniej, że chodzą, nurzając się we własnych wydalinach. Zapytała go o to.

– Krowy i byki w otwartej hodowli srają wszędzie. Ale świnie to czyste zwierzęta – powiedział. – Załatwiają się zawsze w tym samym miejscu. Jeżeli tarzają się w błocie, robią to tylko dla ochłody, bo nie pocą się w zwykły sposób. A gdy błoto wysycha i odpada, przy okazji pozbywają się pasożytów. Ale tak się dzieje, gdy żyją w stanie dzikim. Tutaj nie ma zbyt wiele pasożytów! Nie, to nie są żadne brudasy. I zachowały w bardzo dużym stopniu swoje naturalne instynkty.

Pomyślała o klinice, o błyszczącym linoleum, sprzątaniu, dezynfekcji. Chlew silnie kontrastował z miejscami, do których przyprowadzane są chore zwierzęta domowe, a jednak uderzył ją czystością. Wszystko co tu się znajdowało, było na swoim miejscu. Słoma i trociny, i rozrzucona ziemia torfowa, o której opowiadał jej wcześniej, o zasobnym w żelazo torfie, od którego prosięta nabierały różowej barwy. Musiały kierować się instynktem, wiedziała o tym, i grzebać w ziemi oraz trochę jej zjadać. Chociaż tu torf stanowił oszustwo, z betonową podłogą tuż pod nim. Ściany chlewu zbudowane były z wielkich kamiennych bloków, ustawionych jeden na drugim, z małymi okienkami wysoko na każdej ścianie. Te okienka były chyba najbrudniejszym elementem wnętrza, zarośnięte pajęczynami, wpuszczały do środka niewiele światła. Pod sufitem znajdowały się świetlówki rozjaśniające pomieszczenie, ale na nich też wisiało mnóstwo pajęczyn.

– Oto one – rzekł.

W takim samym stopniu, w jakim nie była przygotowana na wielkość macior, zdumiał ją widok małych prosiąt. Leżały pod czerwoną lampą grzewczą, śpiąc w zbitym, ścisłym kłębku.

– Takie malutkie... W stosunku do matki – wyszeptała.

Maciora leżała i odpoczywała, nie podniosła się. Cały jej brzuch miał kolor żywoczerwony, sutki sterczały z niego jak ciemne guziczki, wystające rzędem z czerwieni.

– Siri jest teraz zmęczona, prawda – powiedział i wszedł do niej. Ukucnął, wyciągając z kieszeni kromkę chleba, i podał ją jej. Rzuciła się na nią łapczywie, pochrząkując. Podrapał ją kolejno za jednym i drugim uchem. Torunn przyglądała się im. Znali się, byli do siebie przywiązani, widziała to, i mężczyzna, i świnia.

– Czy ja też mogę wejść do boksu?

– Nie sądzę. Ale przyniosę ci jednego młodego. Dopóki tu jestem, Siri nie będzie to przeszkadzało.

Wyciągnął ostrożnie jedno śpiące prosię, podniósł je w dłoni i podał jej. Przyjęła je jak nowo narodzone dziecko. W dotyku było ciepłe i miękkie jak aksamit, delikatnie pachniało mlekiem. Malutki ryjek był różowy i zupełnie czysty, ogonek wystawał prosto z niedużej pupy. Podniosła prosię na wysokość swojej twarzy, wodziło bystro oczkami i przy oddychaniu wydawało z siebie krótkie, urywane dźwięki. Oczka pod jasnymi rzęsami były błękitne jak niebo.

– W życiu nie widziałam czegoś tak ślicznego – wyszeptała. – Jest ładniejsze niż kocięta i szczeniaczki, i wszystko inne. Całkiem doskonałe, przecież...

– Trzymaj je dobrze. Jeżeli Siri zacznie nawoływać, zareaguje natychmiast. Nie wiem, kiedy ostatnio jadły.

– Nawoływać?

– Wydawać takie specjalne dźwięki zapraszające do jedzenia. Wezwanie na posiłek. Nazywam to nawoływaniem. Wtedy małe rzucają się na nią jak jeden mąż, jeszcze na wpół śpiące. W takim wypadku ten maluch wyskoczy ci z rąk w okamgnieniu.

Ale Siri nie zaczęła nawoływać, a mały uspokoił się w jej rękach i znów jakby trochę przysnął. Wcale nie chciała go wypuszczać, mogłaby stać tutaj godzinami, trzymając w rękach ten mały cud tuż przed swoim nosem. Małe, gorące uszko dotykało jej policzka.

– Lubią kontakt cielesny – powiedział.

– Na pewno myśli, że mój policzek to siostra albo brat – wyszeptała, przykładając wargi do małego ciałka. – I z tego zrobi się mięso. Bekon i żeberka w ladzie chłodniczej.

– Tak, w zasadzie o to chodzi – powiedział. – Dlatego najlepsze ceny żywca są wiosną.

– Dlaczego?

– Sezon grillowy. Nawet bardziej niż na święta.

– Nigdy o tym nie pomyślałam. Zazwyczaj myśli się o świni na święta. Żeberka, galareta i tym podobne. Ale to jasne, jak wszyscy wyciągną swoje grille... Uff, pomyśl, a gdyby o tym wiedzieli. Czy nie uważasz, że to dziwne? Że one mieszkają tutaj w chlewie przez całe swoje życie i...

– Nie znają niczego innego. Nie mają z czym porównać. Mają dobrze. Wiesz, ja prowadzę to na małą skalę. Mam czas dla wszystkich. A one chodzą sobie swobodnie, robią, co chcą, zajmują się sobą. Pewnie nie wiedziałyby nawet, przeciwko czemu miałyby ewentualnie protestować, pomijając siebie nawzajem. Nie, moje świnie naprawdę mają dobrze.

– Do czasu, gdy zostaną zarżnięte.

– To się dzieje szybko.

– A nie bywa ci czasem smutno, gdy wysyłasz je z domu do rzeźni?

Ciągle szeptała. Młody spał, z głową spoczywającą w jednej z jej dłoni. Ogonek zwisał, ostry i swobodny, nie większy niż mały kawałek spaghetti.

– Ależ tak. Od czasu do czasu. Muszę to przyznać. Czasami zdarza się spryciarz, który się wyróżnia, ma osobowość. Do niektórych człowiek się po prostu... przywiązuje, czy jak to tam nazwać. Ale tak to przecież już jest, ludzie chcą mieć mięso, ale nie mają siły, żeby samemu zaszlachtować zwierzę. Ktoś musi wziąć na siebie tę robotę. Zarówno hodowlę, jak i ubój.

– A gdy Siri zacznie dawać małe mioty...

– Och, no tak. To nie będzie zabawne. Przez jakiś czas będziemy chyba jeść chleb z dżemem...

Uśmiechnął się i ponownie odwrócił do maciory, podrapał ją i podjął znów cicho: – Tak, przez jakiś czas tylko z dżemem...

Siri wydała z siebie kilka dziwnych dźwięków prawie w odpowiedzi na jego słowa i zaraz potem młody, którego trzymała Torunn o mało nie spadł na podłogę, bo po niespełna sekundzie zaczął dziko wierzgać.

– Pomocy! Weź go!

Niedawno odstawione od matek prosięta przebywały w trzech oddzielnych boksach, a gdy zbliżyła się, młode zaczęły biegać w kółko. Zachowywały się dokładnie jak szczenięta i nie mogła powstrzymać się od głośnego śmiechu. Jedno z prosiąt położyło się

na ugiętych przednich nogach, wystawiając pupę w powietrze, zupełnie jak pies zapraszający do zabawy. Ich ogonki powoli zaczynały się skręcać. Młode sprawiały wrażenie rześkich i lekkich i były równie różowe, jak to się wydawało mieszczuchom. Taki kolor różowy, z którego się najwyraźniej potem wyrasta. Dorosłe maciory były bardziej szare i białawe niż różowe.

– One są cudowne! – powiedziała. – Ale o wiele za duże, niestety, żeby je podnieść.

– I zdrowe.

– Czy mogę jeszcze potrzymać jednego młodego Siri, gdy skończą jeść?

Nawet przebierając się z powrotem w swoje rzeczy w paszarni, nie myślała już o zapachu. Zazdrościła mu, zwyczajnie mu zazdrościła. Kłopotom finansowym nie poświęciła ani jednej myśli, chociaż dużo jej o nich opowiadał. O tym, w jaki sposób ceny mięsa są obniżane na skutek nacisków z każdej strony, ile jest papierowej roboty, jeśli chce się dostać całą tę dotację do kilograma, oczywiście po spełnieniu najpierw całej listy wymagań i nakazów w każdej sprawie, poczynając od planu nawożenia, aż po wyposażenie i kontrole weterynaryjne.

Zazdrościła mu, że posiada ten chlew pełen zwierząt, żywych istot, które zna i którymi się opiekuje, do których jest przywiązany, w których widzi sens i korzyść.

Nie chciał ponownie wchodzić do kuchni, zobaczyła, jak zerka w stronę kuchennego okna.

– To chyba jedziemy z powrotem, co? Albo... jak ty chcesz? – zapytał.

– Ty pewnie pojedziesz znowu do szpitala.

– Tak. Posiedzieć tam kilka godzin.

– To dla ciebie duże utrudnienie. Jeździć tam i z powrotem. I jeszcze teraz, kiedy mają być za chwilę święta i to wszystko.

– Och. Te święta nadejdą i tak, czy człowiek chce, czy nie. My tutaj nie obchodzimy jakoś szczególnie świąt. A ona przecież jeszcze może wyzdrowieć.

– Ale przecież nie do Wigilii. W to chyba nie wierzysz. Do Wigilii zostało tylko pięć dni.

– Zobaczymy.

Wysadził ją przed hotelem. Powiedziała, że chce zrobić zakupy i trochę odpocząć.

– A jutro jadę do domu, wiesz – dodała.

– Ach, tak.

– Przecież mówiłam o tym. Jutro jest czwartek. Mogę przyjść do ciebie do szpitala, żeby się pożegnać. Przed południem. Jak skończysz obrządek w chlewie. Może ona... też będzie wtedy bardziej przytomna.

– Może się zdarzyć.

– Dziękuję, że... że mogłam z tobą pojechać. Masz szczęście.

– Szczęście?

– Że masz takie piękne świnie. Chciałabym tak.

– Wtedy nie miałabyś pieniędzy na hotel – rzekł i się uśmiechnął. – Nie da się z tego żyć. Jeżeli robi się tak, jak ja.

– Ale przecież wam się udaje. Żyjecie z tego.

– Matka i... ojciec mają swoje emerytury. I nie wydajemy pieniędzy na nic, na co nie musimy. Wtedy jakoś się udaje. Ledwo.

To rzeźnie i sklepy zarabiają na tym pieniądze. Nie ja.

Pomyślała o tych czterech latach, przez które płacił alimenty. Jak musieli pracować, żeby móc wysłać gdziekolwiek te dodatkowe korony. Anna Neshov na pewno była na niego za to wściekła. I może na nią też.

– To do zobaczenia jutro – powiedziała.

Po opuszczeniu brudnego volvo wejście do recepcji Royal Garden było jak wejście do innego świata. Dekoracje świąteczne ze złotymi jabłkami i białymi aniołkami, kremowe fotele klubowe, ludzie w porządnych ubraniach, puszysty dywan, ciepło. Powinni zobaczyć tę kuchnię w Neshov. Powinni potrzymać małego prosiaczka przytulonego do swego policzka i do warg. Ale gdyby wszyscy stali się na tyle sentymentalni, żeby odmówić zjedzenia prosiaka po osiągnięciu przez niego wagi rzeźnej, Tor Neshov nie miałby absolutnie nic, dla czego – i z czego – mógłby żyć.

Zamierzała przed odjazdem kupić dla niego prezent świąteczny. Z pokoju hotelowego zadzwoniła do banku i zwiększyła swój limit kredytowy na koncie o pięć tysięcy koron. Wzięła prysznic, zmieniła bieliznę i skarpetki, zjadła orzeszki i wszystkie czekoladki leżące w koszyczku na biurku, poszła do centrum i kupiła sobie w Burger Kingu cheeseburgera oraz krążki cebulowe i pepsi max, chwilę przeglądała zostawioną przez kogoś gazetę „VG”. Nie zainteresowało jej nic z tego, co było tam napisane. Na dworze zapadł już zmrok, panował mróz i powietrze było klarowne. Na ulicach świątecznie przystrojonych gałązkami świerkowymi oraz żaróweczkami aż roiło się od ludzi i samochodów. Goście w Burger Kingu mieli torby wypełnione

zakupami, ustawione przy nogach krzeseł. Wysłała SMS-a do Margrete z wiadomością, że będzie w domu jutro. Zaraz potem zadzwoniła do biura podróży w Oslo. Czas oczekiwania na rozmowę był długi, automatyczna sekretarka poprosiła ją o pozostawienie swojego numeru telefonu, oddzwonią do niej zgodnie z kolejnością zgłoszeń.

Kupiła kubek do kawy w kształcie świni, w którym ogon pełnił funkcję uszka, kilogram mielonej kawy mokka, kryształki kandyzowanego brązowego cukru trzcinowego na patyczkach i komplet ciemnoniebieskiej wełnianej bielizny. Podkoszulek z długimi rękawami i kalesony, z kosztownej, cienkiej, niegryzącej wełny. W sklepie monopolowym w Byhaven wybrała dla niego butelkę whisky Bell's. Gdy stała w kolejce do kasy, zadzwonili z biura podróży. Wyszła z kolejki i odszukała bilet w torebce. Nie mieli ani jednego wolnego miejsca w samolocie aż do piątku.

– Ale ja muszę jechać jutro do domu! Zapłacę pełną cenę!

Nic nie pomogło. Najwcześniej w piątek po południu. Natychmiast przyszła jej do głowy myśl, że nie powie mu wcale, że zostaje dzień dłużej. Mogła przecież pochodzić sobie po mieście, przyjemnie spędzić czas, wyciszyć się, przetrawić wrażenia, poleżeć w łóżku w pokoju hotelowym, pijąc czerwone wino i oglądając telewizję. Mały urlop od wszystkiego.

Gdy wkładała bilet z powrotem do torebki, jej palce natrafiły niespodziewanie na coś gładkiego. Wyjęła to. Pudełko z daktylami.

ROZDZIAŁ 7

Wszechmogący Panie, Ojcze niebieski, prosimy Cię, abyś wejrzał na tę, która toczy swą ostatnią walkę. Błagamy, abyś dał jej gotowość do opuszczenia tego życia i stawienia się przed Twoim obliczem. Nie patrz na jej grzechy, ale miej wzgląd na swojego Syna, Jezusa Chrystusa, który umarł za nasze grzechy, a który żyje i stanie razem z nami przed Tobą w Dniu Sądu. Panie Jezu, Ty, który jesteś drogą, prawdą i życiem: nie pozwalaj jej iść w ciemną dolinę śmierci, niech Twój Duch modli się za nas z westchnieniem duszy, które nie da się wyrazić słowami, a które Ty usłyszysz. Niech Anna dojrzy światło Twojej łaski, prowadź ją do Twojego pokoju.

Zamknął modlitewnik i złożył ręce nad książką i nad jej dłonią, pochylił głowę i mocno zacisnął oczy. Chętnie powiedziałby coś o przebaczeniu, ale ta modlitwa, którą wypowiedział szeptem po kilkakrotnym sprawdzeniu, czy drzwi są na pewno dobrze zamknięte, musiała wystarczyć. Spełnił swój obowiązek. Może ona to słyszała. A nawet jeśli nie, to i tak spełnił swój obowiązek. Nie jako syn, ale jako człowiek zajmujący się na co dzień smutkiem i rozstaniem w profesjonalny sposób. Nic innego nie mógł jej dać,

nie chciał. To ona powinna otworzyć oczy i poprosić go o przebaczenie za to, że na długie zmarnowane lata wepchnęła go w stan znieczulenia wiarą, która stanowiła jedyne znane mu wyjście.

Wiedział, że nie wierzyła w Boga. W głębi duszy miał wielką nadzieję, że ta krzywa, ociekająca śliną twarz to tylko znieruchomiała maska przykrywająca przytomną duszę, która słyszy każde słowo. Wtedy drzwi otworzyły się z cichym westchnieniem. Powoli podniósł głowę i otworzył oczy pewien, że zobaczy stojącą w nich pielęgniarkę. Ale to przyszła córka Tora. W skórzanej kurtce, dżinsach i czarnych kozaczkach, z białą plastikową torbą w jednej ręce i opakowaniem ze sklepu monopolowego, czerwonym w złote gwiazdki, w drugiej.

– Boże, czy jej się pogorszyło? Skoro ty...

– Ależ nie. Ale ta droga i tak prowadzi tylko w jedną stronę – powiedział. – Miejmy tylko nadzieję, że to nie potrwa długo. I że nie będzie musiała leżeć całą wieczność w domu opieki.

– Przepraszam, że... Tak mi się po prostu wymknęło.

– Co takiego?

– Że mówię o Bogu w ten sposób... Nie miałam na myśli... bo rozumiem przecież, że ty...

– Wszystko w porządku.

– Ja tylko chciałam zostawić tutaj swoje rzeczy. Zejdę do kiosku i kupię sobie pepsi. Ten soczek szpitalny jest taki mdły.

Podszedł i zajrzał do toreb. W białej – kilka zapakowanych prezentów świątecznych, w torbie z monopolu – butelka whisky. Jak to się mogło udać, Tor nie był przyzwyczajony do kontaktu

z nikim poza matką. I nagle mieć taką córkę. I to wszystko, czego nie wiedziała, nie rozumiała. Biedna dziewczyna, powinien ją przegnać z powrotem na południe, zabrać z tej rzeczywistości, która na pewno nie przyniesie jej niczego dobrego. W nocy około drugiej zadzwonił też Erlend, w zupełnej rozsypce, prawdopodobnie pijany, i bredził coś o karmie i nemezis, i złych przeczuciach, i coś tam gadał o jednorożcu, kompletny bełkot z masą obcych głosów w tle. Żeby go trochę powstrzymać, opowiedział, że przyjechała Torunn, bo jakoś zakładał, że Erlend nie ma pojęcia o istnieniu córki Tora. Żałował, że to powiedział, już w tej samej chwili. Po drugiej stronie zrobiło się całkiem cicho. A zaraz potem, gdy Erlend najwyraźniej zebrał się w sobie, chciał natychmiast wiedzieć, kiedy się urodziła i z kim Tor się ożenił, a on musiał poinformować brata o faktach, że to w gruncie rzeczy zdarzyło się jeszcze wtedy, gdy mieszkał w domu w Neshov. Erlend wybuchnął płaczem, a Margido początkowo sądził, że to dlatego, że nikt mu tego wcześniej nie powiedział, i przeraził się, że odpowiedzialność za to spadnie również na niego, ale gdy Erlend znowu mógł mówić, wydusił z siebie, że popłakał się ze szczęścia, iż nagle został wujkiem, no i teraz to już na pewno przyjedzie, skoro to ma być zlot rodzinny.

Erlend musiał być chyba pod wpływem czegoś więcej niż alkohol, pomyślał Margido, skoro był w stanie użyć takiego określenia w stosunku do tej rodziny. Miał zadzwonić później i powiedzieć, kiedy dokładnie przyjeżdża. Margido uznał za oczywiste, że później oznacza następnego dnia rano, ale z zupełnie nieznanych powodów Erlend zadzwonił już w pół godziny potem, gdy Margido znów zasnął, i powiedział mu, że

dostał miejsce w samolocie, że ląduje w Værnes za kwadrans piąta, zupełnie jakby Margido miał tam stać i czekać na brata, który odjechał w siną dal dwadzieścia lat temu i od tego czasu nie dał żadnego znaku życia poza makabryczną kartką, napisaną i wysłaną prawdopodobnie w stanie nietrzeźwości. I że ma pokój w Royal Garden, to wszystko załatwił człowiek o przedziwnym nazwisku, którego Margido nie zapamiętał, ale on nie miał przyjechać z Erlendem. A zatem to pewnie był jego kochanek. Margido nie wiedział, że przelot i pokój w hotelu da się załatwić w środku nocy, ale korzystali zapewne z tego Internetu. Biuro pogrzebowe Neshov miało tam też swoją stronę, załatwiła to pani Marstad ze swoim młodym siostrzeńcem, który znał się na takich rzeczach.

Wróciła. Margido podniósł się.

– Ależ siedź! Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz, i tak miałem iść. Mam pogrzeb dziś o godzinie pierwszej. Jest sporo do zrobienia. Młody chłopak, powiesił się.

– O rany. Biedak.

– Smutek zawiedzionej miłości – powiedział.

– A więc zostawił na ten temat jakiś list?

– Nie o samym zawodzie miłosnym, ale małą kartkę, gdzie było napisane przepraszam.

– Biedni rodzice.

– Młodzi chłopcy nie rozmawiają za wiele ze sobą, więc gdy przeżywają coś takiego, sądzą, że świat się wali.

– Niewiele o tym wiem.

– A poza tym dziś przyjedzie twój wuj. Możesz przekazać to Torowi. Będzie mieszkał w Royal Garden. Czy to nie tam, gdzie ty mieszkasz?

– Ależ tak! Mój wuj? Z Kopenhagi? Ale ja jadę do domu... dzisiaj.

Margido zaczął wkładać marynarkę, szarpiąc się z nią przesadnie i udając, że nie może znaleźć rękawa, aby ukryć odczutą ulgę.

– To miło, że przyjechałaś, naprawdę – powiedział i miał nadzieję, że ona rozumie, co ma na myśli, że to nie jest początek niczego, tylko przeciwnie, zakończenie.

– Albo może wstrzymam się z wyjazdem do domu do jutra. Skoro przyjeżdża Erlend, mam na myśli. Byłoby zabawnie go poznać.

Nie powinien był tego mówić. W pośpiechu pomyślał tylko, że wobec tego nie musi już dzwonić do Tora.

– Ach, tak. No tak, dobrze. Ale ja muszę już iść. Wesołych świąt.

– Byłam wczoraj w gospodarstwie.

– Po co?

– Żeby popatrzeć na zwierzęta.

– Interesują cię zwierzęta?

– Właśnie zostałam współwłaścicielką kliniki dla małych zwierząt.

– Jesteś może weterynarzem?

– Nie. Tylko asystentką. Ale mamy w ofercie kursy i program specjalny dla psów z problemami. Ta część się mocno rozrosła, a to ja ją stworzyłam, i teraz jestem współwłaścicielką. On jest bardzo dumny ze swojego gospodarstwa. Dobrze było to zobaczyć.

– To nie jest jego gospodarstwo.

– Co masz na myśli?

– Ono jest matki.

– Ale on jest najstarszy z was trzech?

– Najstarszy dziedzic, tak. Ale gospodarstwo nigdy nie zostało na niego przepisane.

– Ale twoja matka...

Obydwoje spojrzeli na nią. Spała, wydając przez nos chrapliwy dźwięk.

– Sądziłam – kontynuowała – że to twój ojciec... pochodził z gospodarstwa. Że to jego rodzina, która...

– Właśnie tak. Ale on o niczym nie decyduje. To matka zawsze decydowała. Ojciec robił tylko to, co mu kazano. A Tor prowadził gospodarstwo. Ale ono nie jest jego.

Wpatrywała się w niego.

– Właściwie co takiego próbujesz mi powiedzieć? – zapytała.

– Tylko tyle, że... jest tutaj bardzo wiele niejasności. To nie jest rodzina, w której ty... w której ty czułabyś się dobrze.

– Pojadę do domu jutro, powiedziałam już przecież!

– Nie zamierzałem... Ech, naprawdę życzę ci dobrych świąt. Miło było...

– Sam sobie miej dobre święta!

Padał śnieg, gdy parkował swój samochód koło kościoła w Byneset, tuż obok kombi pani Marstad. Żałował tego, co powiedział Torunn, ale istniała nadzieja, że dzięki tym jego słowom zrozumie ona z czasem, że to nie jest rodzina, w której kupuje się sobie prezenty na święta, i że Neshov to nie miejsce, w którym można pozostać.

Śnieg padał tak gęsty, że dosłownie sto metrów przed fiordem stała ściana szarości. Kochał ten kościół, jeden z najstarszych kamiennych kościołów w kraju, wkrótce będzie liczył dziewięćset lat. Położony był na zboczu wzgórza schodzącego do fiordu, chociaż miejsce nieco wyżej nadawałoby się do tego znacznie lepiej. Stara opowieść mówiła, że to miejsce było potężnym ośrodkiem pogańskiego kultu i dlatego kościół został zbudowany właśnie tutaj. Początkowo nazywano go kościołem świętego Mikołaja na Kamieniu. Ale tak działo się ze wszystkim. Słowa miały być łatwe, nikt nie zawracał sobie głowy tradycją i historią.

Wiek kościoła sprawiał, że nie było mu trudno przychodzić tutaj, nie wkraczał do domu Bożego z kłamstwem w sercu, wkraczał w miejsce historyczne, ze ścianami napełnionymi bólem i radością niezliczonych pokoleń, skomplikowanych istnień zwykłych ludzi. Stół był już przygotowany tuż po wewnętrznej stronie drzwi. Strząsnął śnieg z ramion, wyłuskał z kieszeni grzebień i przeczesał włosy, a następnie poprawił je dłonią. Na białym obrusie stała drewniana ramka z fotografią młodego chłopca z jasnymi, zaczesanymi na bok włosami, to była szkolna fotografia, chłopiec wydawał się zakłopotany i zmieszany, zmuszony do uśmiechu przez nadgorliwego fotografa. Uśmiech nie pochodził z wewnątrz, oczy próbowały uciec. Obok zdjęcia czekał świecznik z niezapaloną białą świeczką, a na drugim końcu stołu stała urna na datki. Obok leżała odręcznie zapisana kartka, lekko staroświeckim, zakręconym pismem pani Marstad – „Dziękujemy za twój dar dla klubu młodzieżowego Spongdal. W imieniu rodziny". Księga kondolencyjna leżała otwarta na pierwszej stronie, obok spoczywało w pełnej gotowości pióro. Z głębi kościoła

dobiegały głosy, w tej samej chwili drzwi tuż za nim otworzyły się i do środka wtoczył się posłaniec z kwiaciarni, niosąc naręcze ozdób kwiatowych oraz trzy bukiety, zwisające mu na wstążkach z przegubów.

– Zasrana pogoda – powiedział i skinął głową w stronę Margida, gest ten pozbawiony był wstydu z powodu użycia wulgarnego języka, nawet gdyby Margido był samym biskupem, nic by to nie zmieniło.

Skorzystał z pomocy posłańca z kwiaciarni przy ustawianiu trumny. Kościelnym okazała się nowo zatrudniona, mała kobietka i mimo że i pani Marstad, i on sam byli silni, potrzeba było czterech osób do przeniesienia trumny z kaplicy na katafalk. Pani Gabrielsen była w biurze, całkowicie pochłonięta prowadzeniem rozmów z rodzinami. Posłaniec trochę się bronił, ale Margido udał, jakby wszystko było z góry zdecydowane i uzgodnione, i poprowadził go za sobą do małego, czerwonego budynku.

Tam czekała już trumna, bejcowany model Natura. Nie mówiąc do siebie ani słowa, podnieśli ją i poszli, patrząc przy każdym kroku uważnie pod nogi, świeży śnieg zasłonił bowiem wszystkie oblodzone miejsca. Chłopiec nie ważył zbyt dużo, ale razem z trumną stanowił niemały ciężar. Gdy trumna w końcu stała już bezpiecznie na katafalku, a pani Marstad toczyła go pomiędzy rzędami ławek, posłaniec zniknął w jednej sekundzie jak kamfora. Zatrudniona jako kościelny kobieta przyniosła szmatkę i starła śnieg ze stojącej już na miejscu trumny. Pani Marstad wniosła świeczniki i wazony z kwiatami.

– Śpiewniki? – zapytał Margido.

– Leżą w kopercie w mojej torbie, miałam właśnie położyć je na stole, jak przyszedłeś – odrzekła.

Z pewną ulgą stwierdził, że pozostawienie prawie całej pracy paniom nie nastręczało żadnych problemów. W czasie, gdy siedział przy łóżku chorej matki, ani jedna rzecz nie została zapomniana, poza tym już obsługiwane były dwa nowe pogrzeby. Żaden z tych dwóch nie wymagał wizyt domowych, a jedynie przygotowania zwłok w domu opieki, oboje zmarli byli starymi ludźmi, dlatego też nie odmówił, gdy zadzwoniono w tej sprawie. Panie nie lubiły przygotowywać zwłok w domu, w obecności przerażonej rodziny, w atmosferze histerii i załamania nerwowego. Śpiewnik przygotowany dla Yngve Kotuma miał na okładce pastelowy, zimowy krajobraz, a obok widniało jego imię, data urodzenia i data śmierci. To ksiądz Fosse wybrał psalmy wspólnie z nimi. Weź moje dłonie. Prowadź nas, łagodne światło. Zawsze z odwagą. Nie chcieli pieśni solowych, ale poprosili organistę, aby zagrał suitę *Air* Bacha. Chcieli mieć to szybko z głowy, widział to, i rozumiał bardzo dobrze. Zdaje się, że siostry miały tylko coś wygłosić i to wszystko.

Ludzie zaczęli napływać do kościoła wyjątkowo wcześnie. Mała kamienna świątynia nie mogła pomieścić wielu osób, wszyscy o tym wiedzieli, a jednocześnie w obliczu takiej tragedii wszyscy gotowi byli opuścić swoje domy. On i pani Marstad nie skończyli jeszcze układać wstęg z napisami żałobnymi, gdy przybyły pierwsze osoby, z wilgotnymi ramionami i śniegiem we włosach. W kościelnej przestrzeni wkrótce unosiła się woń wilgotnych ubrań i zapach ciętych kwiatów, Margido chodził powoli dookoła,

rozdzielając śpiewniki tym, którzy jeszcze nie wzięli ich sobie sami. Podczas pogrzebu wszystko odbywało się wolno – ruchy, uśmiechy, skinięcia głową – tak jakby wszyscy instynktownie wiedzieli, że w tym właśnie na swój sposób wyrażał się szacunek dla śmierci.

Gromnice zostały zapalone, kościół był już nieomal całkiem zapełniony, najbliższa rodzina pojawiła się prawie na samym końcu, matka musiała zostać na wpół wniesiona przez córki. Zazwyczaj najbliżsi przychodzili pierwsi. Ojciec chłopca przywitał się z Margidem uściskiem dłoni i szeptem przeprosił za spóźnienie, jego żona doznała czegoś w rodzaju załamania nerwowego tuż przed wyjściem z domu, powiedział, dali jej już jedną z tych tabletek nasennych, które zostawiła lekarka tej nocy, gdy umarł Yngve, nie mieli w domu nic innego, nic poza paracetamolem, a to, jak sądzili, mogło nie wystarczyć. Margido poprowadził ich do pierwszego rzędu po lewej stronie, gdzie opadli na ławkę, wpatrując się w trumnę tak, jakby widzieli ją po raz pierwszy, stojącą tam, tak dziwacznie kanciastą w morzu kwiatów, w poświacie świec, w grudniowym świetle ledwo przesączającym się przez wysokie i głębokie na metr, zwieńczone łukiem okna. Rozbrzmiewały dźwięki dzwonów, podawały wiadomość tak daleko, jak tylko pozwalała na to zamieć śnieżna, organista zaczął właśnie grać preludium. Wiele osób wokół płakało otwarcie już teraz, nie dla wszystkich starczyło miejsc siedzących. Margido był zadowolony, że w tym kościele nie było zwyczaju stawiania choinki, takie wspomnienie byłoby teraz nie do wytrzymania dla rodziny zmarłego, byliby zmuszeni ją usunąć. W kościele w Byneset ograniczali się do postawienia żłóbka, to

było znacznie bardziej odpowiednie, tak uważał, wspaniały stary żłóbek ze słomianym dachem.

Gdy ksiądz Fosse przejął ster i Margido mógł już tylko czekać na moment, w którym odczyta głośno napisy na jedwabnych wstęgach, zatopił się we własnych myślach i pozwolił, aby ceremonia toczyła się obok niego. Ile czasu minie, zanim sam będzie musiał usiąść na ławce w pierwszym rzędzie. I w co ubiorą staruszkę. Czy miała jakieś stosowne ubrania. I kto przyjdzie i usiądzie w ławkach za nimi, przecież nie kontaktowali się z nikim od tak wielu lat.

Siostry Yngve stały teraz ramię w ramię przy trumnie. Śpiewały coś, co same napisały do znanej melodii, ale nie udało mu się ustalić, jakiej, w każdym razie śpiewały o ptakach i że ich młodszy braciszek był ptakiem, wędrownym ptakiem, który nagle, gdy zrobiło się zbyt zimno, ich opuścił. Ludzie szlochali w ławkach, nie kryjąc się z tym zupełnie, smarkali i wycierali oczy bezradnymi, sztywnymi ruchami rąk, całe tylne wejście do kościoła zapchane było ludźmi, troje młodych stało, trzymając się w objęciach, na podłodze leżał zdeptany przez tłumy śpiewnik, szary od błota. Tak bardzo pragnąłby być tutaj sam, może pewnego dnia weźmie klucz od kobiety, która była kościelnym, przyjdzie tutaj i pobędzie chwilę, posłucha głosów ze ścian, nie wstydząc się przy tym, że nie wierzy już ani w niebo, ani w piekło.

– Wszystko ma swój czas i każda sprawa pod słońcem ma swoją porę: Jest czas rodzenia i czas umierania; jest czas sadzenia i czas

zbiorów, czas płaczu i czas śmiechu, czas smutku i czas radości, czas szukania i czas utraty...

Zaskoczyło go zupełnie, że słowa księdza trafiły w niego tak mocno. Przełknął kilka razy ślinę. Nagle poczuł suchość w ustach. Nie mógł opuścić tego krzesła, to było niemożliwe, musiał wziąć się w garść. Podniósł wzrok na obrazy na wapiennej ścianie, groteskowe obrazy, musiał uciec od słów księdza, uciec w makabrę, z dala od tego, co stanowiło jawny kontrast z wizerunkami na ścianie, jeden był nieudolnie schowany za bezsensownie powieszoną tablicą, przymocowany w ukryciu, aby nie odstraszać dzisiejszych parafian oczekujących, że w chrześcijaństwie chodzi tylko o miłość i że za nic nie trzeba ponosić żadnych konsekwencji, dzisiaj Jezus przyjmie wszystkich, którzy wyznają swoje grzechy i żałują za nie, nigdy nie jest za późno. Na jednym obrazie widniał sam diabeł, kucający nad rynną. Drugi koniec rynny wetknięty był w usta leżącego grzesznika z wzdętym brzuchem, a do rynny wpływały odchody diabła, namalowane jako brunatne kluski. Diabeł miał skrzydła i rogi, a na czole jeden róg, zakręcony. Uśmiechał się szatańsko, patrząc jednocześnie na rosnący brzuch grzesznika. Na drugiej ścianie stał grzesznik, z siedmioma grzechami głównymi wypływającymi z różnych części ciała, każdy grzech miał postać grubego węża z rozwartym pyskiem, w którym wisiały grzechy. A nad tym wszystkim napisane wielkimi literami: *Mors tua, Mors Christi, fraus mundi, gloria coeli et dolor inferni sunt meditanda tibi*. Twoja śmierć, śmierć Chrystusa, potworność świata, wspaniałość niebios i męki piekielne, o tym myśleć trzeba... Tutaj stali, kilkaset lat temu, na twardym, udeptanym klepisku,

śmierdzący wyziewami ciała, zbici w gromadę, patrzyli na obrazy na wapiennej ścianie i słuchali słów księdza, w ten jedyny wolny dzień, jaki mieli w tygodniu. Biedni ludzie, co oni wówczas rozumieli, jak bardzo musieli się męczyć, żeby zrozumieć związek, jak bardzo męczą się do teraz, żeby to pojąć, nawet jeśli dziś w kościele są miejsca siedzące i ogrzewanie, a ekskrementy diabła zostały z wyczuciem zasłonięte.

Dopiero gdy kościół był już pusty, a pani Marstad odjechała w stronę gospodarstwa, wioząc kwiaty, które tam miały dotrzeć, kobieta pracująca jako kościelny powiedziała to.

– Biedni ludzie – zaczęła.

– Tak – odrzekł, zdejmując ze świeczników na wpół wypalone gromnice.

– I to w ten sposób. Czy był pan go przygotowywać do pogrzebu?

– Tak. Przecież to moja praca.

Jakoś nie całkiem pasowało, żeby młoda kobieta pracowała jako kościelny w tym wiekowym i szacownym kościele, po prostu było to nie na miejscu. Kobiety szczebiotały i marudziły, a ona do tego była taka młoda. Nie mógł pojąć, o czym myślał urzędnik parafialny, zatrudniając ją tutaj.

– Przecież wiem. Że to pana praca. Ale tak bez żadnego listu? – zapytała.

– Tylko mała karteczka z przeprosinami. Chodziło chyba o jakąś dziewczynę.

– Z tego, co słyszałam, to wcale nie – powiedziała.

– Ach, tak? – rzekł, wkładając kikuty świec do reklamówki z Remy.

– Chodziło o chłopca, tak ja słyszałam. Że on był tym... taki... wie pan. Homoseksualista.

Ostatnie słowo wymówiła szeptem.

Złożył katafalk i wrzucił go do bagażnika w citroenie razem ze świecznikami i pustymi wazonami, księgę kondolencyjną położył na siedzeniu pasażera, urnę z datkami postawił na podłodze. Na dnie leżało całkiem sporo kopert. Wsłuchał się w słowo, które ciągle jeszcze w nim dźwięczało, i pomyślał, że ona musiała wymówić je szeptem. Była zmuszona szeptać, bo stała w domu Bożym i mówiła coś tak brzydkiego. On i tak już nie żył.

Ptaki. Jeździł na rowerze nad deltę Gauli, żeby popatrzeć na ptaki. Notował, kiedy przylatywały jaskółki.

Gdy całkowicie oczyścił już samochód ze śniegu i ruszył przez most na rzece Ristan, włączył telefon komórkowy. Natychmiast pojawiła się wiadomość, że ma oddzwonić pod numer, który się wyświetlił. Miał nadzieję, że to wiadomość od Tora, że ona nie żyje, że już jest po wszystkim. Ale to była Selma Vanvik, świeżo upieczona wdowa, miał do niej przyjechać, brakowało jej go, a gdyby tak przyjechał na wigilię, mogłaby dzięki temu uniknąć wizyty u jednego ze swoich dzieci, tam było zawsze tyle zamieszania, tylko oni we dwoje, zrobiłaby to, co zawsze jadał na wigilię, byłoby miło, czyż to nie był dobry pomysł. Nie dosłuchał wiadomości do końca, skasował ją, rzucił telefon na leżącą na siedzeniu pasażera księgę kondolencyjną i zjechał na pobocze drogi przy najbliższym skrzyżowaniu. Wetknął stopy w śnieg,

nabrał go w dłonie i wtarł sobie w twarz, pochylił głowę, studiując uważnie swoje mokre ręce oraz płatki śniegu, które spadły na kolana jego czarnych spodni, na kolana tak zimne, że lód mógł tam leżeć, nie roztapiając się.

ROZDZIAŁ 8

Nie zauważył, że płacze, zorientował się dopiero wtedy, gdy siedział już zalany łzami. Dzisiaj ona pojechała do domu. Do domu. Powiedziała, że jest szczęściarzem, mając takie piękne świnie, zrozumiała to, widziała je, pojęła jakiś fragment z jego życia i odjechała. Dała mu nawet prezenty. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz dostał prezent. Nie licząc tego, że Arne przywiózł mu do domu paszę treściwą. Gratis. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego, zazwyczaj na odebraniu paszy traktorem, samotnym wniesieniu jej i ułożeniu schodziło mu pół dnia. A tu Arne przyjechał po prostu i nawet pomógł mu złożyć to wszystko pod dachem. Doprawdy, coś podobnego... Zamierzał nigdy mu tego nie zapomnieć. Ale ona nie potrzebowała przecież dziękować mu za te daktyle, tyle chociaż musiała dostać, skoro znalazłszy się w końcu w Neshov, jadła tu jedynie kostki cukru.

Stały tam teraz, na podłodze przed siedzeniem pasażera – torby z prezentami. Cała butelka whisky w jaskrawoczerwonej torbie i inne rzeczy, zapakowane, jak już się ściemni, będzie musiał wnieść to wszystko do pomieszczenia gospodarczego, tak się cieszył, że pada śnieg, musiał teraz skupić się na takich rzeczach,

że dzisiaj należy odśnieżyć, odśnieżyć długo i dokładnie, a później być może spróbować whisky, chociaż ona napomniała go, że to jest prezent świąteczny, i uścisnęła go, pachniała tak ładnie i ogromnie przypominała swoją matkę, chociaż była o tyle starsza niż Cissi w tamtych czasach. Czy to dlatego zaczął płakać? Siedział tutaj, siąkając nosem jak jakiś gówniarz, nie pomogły nawet wycieraczki i spryskiwacz, trudno było mu cokolwiek zobaczyć.

Lekarz powiedział dzisiaj, że prawdopodobieństwo następnego wylewu jest nieduże, skąd oni mogli to wiedzieć? Myślałby kto, że są czarodziejami. Albo że sobie tak wyobrażają. Teraz powiedzieli, że chodzi o serce, że jej serce nie było zbyt silne. Głupki. Powinni byli ją widzieć zaledwie parę dni wcześniej, jak krzątała się po kuchni, mieszając sos do klopsików rybnych i włączając głośniej radio, w którym grali akurat *Jaśnieją ciche sioła*.

Nie, ona na pewno za kilka dni stanie znów na nogi, będzie zdrowa i sprawna. I nawet gdyby najpierw musiała na parę dni pojechać do sanatorium, żeby dojść do siebie, wszystko od teraz będzie już inaczej. Zobaczyła Torunn, wszystko się teraz zmieni. Następnym razem będą mogły sobie naprawdę porozmawiać, one dwie, tak jak babcia z wnuczką. Musiał tylko odwieść matkę od zamiaru wspominania o tych alimentach, nie tak dawno temu znów podjęła ten temat, najwyraźniej nigdy nie pogodziła się z utratą tych pieniędzy, które kosztował ich czas spędzony przez niego w wojsku. Naprawdę musiał jakoś zapobiec wspominaniu o tym, przecież to nie była wina Torunn, ona się tylko urodziła, nic za to nie mogła, i została nazwana po nim, przecież to też miało znaczenie, nawet jeśli nie przypominała w niczym rodu

z Neshov. Wydmuchał nos długo i starannie i wytarł go wierzchem dłoni. Ciekawie byłoby znów ją zobaczyć, zobaczyć Cissi, która pachniała karmelem i bułeczkami, i lodami na patyku i która miała zwyczaj ssać kosmyk włosów, gdy czuła się zakłopotana. Oboje byli zawstydzeni i on już nigdy później nie próbował tego z innymi. Bo skoro z tego obściskiwania robiło się dziecko, to przecież to było bardzo niebezpieczne. Poczuł gorący, nerwowy wytrysk, jeszcze zanim się na dobre cokolwiek zaczęło, chociaż bardzo chciał to zrobić, i już z tego było dziecko. Z jednego jedynego razu. Niepojęte. Ale tego wszystkiego nie mógł przecież nigdy opowiedzieć matce, ona była święcie przekonana, że parzyli się jak króliki miesiącami, na każdej jego przepustce, nie dbając o konsekwencje.

A dziś ona pojechała. Zamiast niej miał przyjechać Erlend, Margido powiedział Torunn, że przyjedzie jej wuj, użył tego właśnie słowa, tak powiedziała. Zastanawiał się, co też Margido o niej myślał, ledwie przecież wówczas miał okazję poznać jej matkę. Miał szesnaście lat i był w samym środku głupawego okresu dojrzewania, zaczerwienił się gwałtownie, gdy Cissi spytała go o coś podczas tego jednego jedynego posiłku, jaki miała sposobność spożyć w Neshov. Margido pewnie zakochał się równie mocno jak on sam, wszyscy przecież musieli pokochać Cissi. Wszyscy oprócz matki, bo dla niej pracowita jak mrówka dziewczyna z północnej Norwegii nie była dość dobra. Gdyby tylko Cissi nie nałożyła sobie wtedy tak śmiało jedzenia, myślał, to właśnie to spowodowało całą niechęć. Matka upiekła pasztet i nakryła do drugiego śniadania, stawiając konfitury i ser, i świeżo upieczony chleb, no i ten pasztet. Cissi posmarowała

swoją kromkę masłem, a potem ukroiła sobie gruby plaster pasztetu i położyła go na chlebie. Nigdy, do końca życia, nie zapomni wyrazu twarzy matki. W Neshov do pasztetu wtykało się koniec noża, wydłubywało się malutki kawałek i rozsmarowywało go cienką warstwą na kromce. I w tej samej sekundzie, gdy matka znalazła się z nim sam na sam, powiedziała mu bez ogródek, czym taki rozrzutny styl życia może się skończyć dla gospodarstwa, jakie znaczenie ma brak oszczędności w myśleniu również w małych sprawach, a nie tylko w wielkich. Cissi prawdopodobnie była jak królik, powiedziała matka, nie myślała o zimie, póki trwało słoneczne lato, i sądziła, że może tak po prostu zagarnąć sobie dziedzica Neshov. Wtrącił nieśmiało, że może chciała jedynie pokazać, jak bardzo docenia sztukę kulinarną matki, może nawet, koniec końców, wcale nie lubiła pasztetu i wzięła go sobie aż tyle z uprzejmości. Ale jego protesty odbijały się bez echa, Cissi stanęła już matce kością w gardle. I kiedy dwa dni później zebrał się na odwagę i powiedział, że Cissi spodziewa się dziecka, matka była nieugięta i wściekła, rzuciła w niego obierakiem do ziemniaków, jak tylko to powiedział. Cissi siedziała w pensjonacie w mieście i czekała, ale musiała pojechać z powrotem na północ ze swoim wstydem. Gdyby tylko dziadek Tallak był w domu w dniu, gdy przyjechała Cissi, a nie pojechał do miasta zawieźć łososia. Gdyby Tallak poznał ją i polubił, to on nawet odważyłby się sprzeciwić matce i podjąłby ten temat z dziadkiem.

Ale Cissi odjechała, z Torunn w brzuchu. I wtedy pozostało już tylko jedno: pracować. Pracować od wczesnego świtu do późnej nocy w oborze i na polu, pracować aż do mdłości z wysiłku, żeby

zapomnieć zapach jej włosów, zapomnieć miękkie, białe jak kreda ramiona i zapomnieć o swoim marzeniu o tym, by chodziła ciężarna po Neshov, rozmawiając z nim w swoim śpiewnym północnonorweskim dialekcie.

Ojciec sam napalił w salonie z telewizorem i rozsiadł się tam. Siedział i czytał „Nationen".

A więc tyle udało mu się przynieść samodzielnie ze skrzynki pocztowej, i nawet dał radę napalić potem w piecu. Siedział w swoim brzydkim, brudnym swetrze zrobionym na drutach, z dziurą na jednym łokciu. No i nieogolony. Chyba już w ogóle przestał się golić. Biały, szczeciniasty i nierówny zarost pokrywał mu szczęki i sięgał wysoko na policzki, ciemnobrązowe włosy sterczały z nosa i uszu. Uderzyło go nagle, że ojciec miał teraz mniej więcej tyle lat, ile miał dziadek Tallak, gdy umarł, a jednak pamiętał dziadka jako wielce zadowolonego z życia i młodego, w porównaniu z nędzną kondycją ojca. Gdyby tylko dziadek teraz tu był, ze swoim radosnym głosem, zdecydowaniem w każdym ruchu, umiałby ich wszystkich uspokoić. Powiedziałby to, o czym Tor tylko myślał, że ona zaraz wstanie na nogi, była silna jak górski koń.

Tallak... Poczuł nagłe ukłucie tęsknoty, ale zaraz przywołał się do porządku. Dlaczegóż, na Boga Ojca, miałby za nim tęsknić właśnie teraz, po tak wielu latach. Tallak był przeszłością, minionym pokoleniem. A jednak obrazy ze wspomnieniami o Tallaku były tak niesłychanie żywe. Nie tylko jego jako mężczyzny, ale nastroju, jaki wokół siebie wytwarzał, klimatu odwagi, optymizmu, wiary w to, że wszystko można, jeśli tylko

naprawdę się chce, z całego serca. Zobaczył go w myślach przy kuchennym stole, z entuzjazmem oglądającego przez okno poranne niebo, podczas gdy kostka cukru leżała i rozpuszczała się w odrobinie kawy na spodeczku, jego brwi drgające nad spojrzeniem, długie mlaśnięcie w chwili, gdy kostka cukru traciła ostre kontury i stawała się dojrzała, jak dziadek to nazywał.

Termometr zewnętrzny wskazywał minus dwa stopnie, śnieg będzie zatem leżał, może codziennie przez kilka tygodni trzeba będzie odśnieżać, cieszył się na wysłuchanie prognozy pogody. Po zaparkowaniu volvo zaplanował sobie najpierw kubek kawy, a potem poczytanie „Nationen". To był jedyny luksus, na jaki udawało mu się namówić matkę, nie ostała się nawet lokalna gazeta, nie kupowali też żadnych innych pism, o tygodnikach nie wspominając. „Bondebladet" przychodził raz w tygodniu, ale to dlatego, że byli członkami Norweskiego Związku Rolniczego. „Nationen" kosztował sporo pieniędzy, ale nawet ona rozumiała, że muszą być na bieżąco w kwestiach polityki rolnej, że nie wystarczą im do tego okólniki z firmy Norsvin. Tak, będzie musiał przeanalizować negocjacje prowadzone ze Światową Organizacją Handlu oraz debatę unijną i ceny mięsa. Poza tym ciekawie było poczytać o chłopach prowadzących gospodarstwo inaczej niż on, hodujących inne zwierzęta, eksperymentujących ze strusiami, lamami i kobylim mlekiem. Wszedł do salonu. Ojciec siedział nieporuszony z gazetą w rękach, nie podniósł wzroku.

– To moje – powiedział Tor i szarpnął gazetę. Ojciec opuścił ręce na kolana, patrząc w drugą stronę.

– Nie masz nic do roboty? – rzekł Tor. – Dziś nie ma niedzieli.

Uderzyło go w nocy, że skoro matka była tą osobą, która zawsze mówiła ojcu, czym ma się zająć, to zapewne sądził, że teraz są wakacje. Takie przedłużone ferie świąteczne z wyprzedzeniem. Ani razu, odkąd znalazła się w szpitalu, nie zapytał, jak ona się ma.

Zamknął za sobą drzwi do kuchni. W kuchennym piecu na drewno nie było napalone, a balia stała pusta. Ponownie otworzył drzwi.

– Nie ma tutaj drewna.

Znów zatrzasnął drzwi. Niech sobie facet pójdzie inną drogą, nie miał zamiaru patrzeć na ten jego niepewny, pochylony do przodu chód, słuchać kaszlnięć i smarknięć, z koniuszka jego nosa zawsze zwisała przezroczysta kropla. Jak by to było, zostać z nim tutaj samemu, jeśli ona jednak nie wstanie szybko na nogi. Rzucił gazetę na kuchenny stół, włączył radio, postawił czajnik, ukroił sobie dwie kromki chleba, o mało co nie ucinając sobie przy tym lewego palca wskazującego, nóż trafił w paznokieć, serce waliło mu tak, że czuł je aż w zębach, gdyby ojciec tutaj nie mieszkał, do cholery, mógłby przynieść sobie do kuchni tę jaskrawoczerwoną torbę i wstawić butelkę whisky do lodówki, położyć prezenty na krześle w salonie, być sobą, odpocząć, może wziąć kąpiel w wannie, wykorzystać dobrze nieobecność matki. Przeklinał szeptem, tnąc plastry sera, który zdążył już zapleśnieć.

Matka mawiała, że pleśń jest zdrowa, że to prawie penicylina, człowiek miał być zdrowy od jedzenia zapleśniałego sera. Obrzydliwe było jednak to, że ser, pleśniejąc, robił się nieco śliski i lepki na powierzchni. Tak czy owak nie miał zamiaru jej się sprzeciwiać pod jej nieobecność. Na pewno nie teraz. Erlend był

u niej dzisiaj. Czy ona to zauważyła. Czy ucieszyła się, nie mogąc tego okazać, dokładnie tak samo jak z Torunn. W gruncie rzeczy to dobrze, że Torunn odjechała, uniknęła spotkania z Erlendem. Nic jej przecież nie opowiadał o Erlendzie, o tym, jaki on jest. Skoro go nie spotkała, uniknie nowego zalewu pretensji z jej strony, jak bardzo zaniedbuje sprawy, nie opowiadając jej każdego najmniejszego kawałka prawdy. W sumie tak, dobrze, że pojechała. Miał mieszkać w tym samym hotelu co ona, ale nawet jeśli minęliby się na korytarzu, on w drodze do pokoju, a ona w drodze do domu, żadne z nich nie rozpoznałoby drugiego. Ale Torunn była prawdopodobnie przyzwyczajona do takich rzeczy, mieszkała w Oslo, a tam aż się od nich roiło, oglądał przecież telewizję, wiedział, jak jest w Oslo, tam się tym chwalili, nawet nie czuli wstydu, stroili się i flirtowali ze sobą, udając, że to wszystko jest normalne. Jak on się wstydził, gdy matka chodziła w ciąży z Erlendem! Właśnie skończyła czterdzieści lat, gdy brzuch zaczął jej rosnąć, tak stara kobieta nie powinna mieć w brzuchu dziecka, dokuczali mu w szkole. Za każdym razem, gdy prostowała plecy, wspierając się jedną ręką na krzyżu, i wypinała brzuch do przodu, chciało mu się rzygać. Nie rozumiał tego. Ojciec, którego nienawidziła, to było niemożliwe, a jednak był to fakt, co takiego wydarzyło się w jej sypialni? Nie mieli przecież wspólnej sypialni, czy on zakradł się do niej w środku nocy? Drewniana podłoga w korytarzu zawsze skrzypiała, musiałby to słyszeć, chyba że to zdarzyło się o świcie, w samym środku najcięższego, najgłębszego snu, tak myślał sobie wtedy, że to w ten sposób musiało się zdarzyć. Ale ojciec skradający się bosymi

stopami... Nie sposób było nawet to sobie wyobrazić. Że też nie uciekła na jego widok! Zamiast tego najwyraźniej go przyjęła.

Żuł chleb, przerzucając kartki „Nationen", i nie rozumiał ani słowa z tego, co czytał. Czy Erlend tutaj przyjedzie? Nie, po co miałby to robić, co by go tutaj miało ciągnąć. Ale że w ogóle przyjechał. Samo to. I to teraz, tuż przed świętami.

Drzwi się otworzyły. Ojciec, człapiąc, wszedł do środka z wielkimi naręczami drewna na lewym przedramieniu. Podszedł do cynkowej balii i wrzucił do niej cały ciężar. Dwa kawałki drewna spadły obok na podłogę. Pozbierał je starannie, wszedł do salonu z telewizorem i cicho zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 9

Wszędzie leżał śnieg. Odśnieżarki stały w kolumnach i czekały, żeby wjechać, gdy tylko samolot opuści pas startowy. Na szczęście wyjeżdżając, włożył wysokie buty, mimo że wiązanie ich na nogach w zalanej deszczem Kopenhadze wydawało się bezcelowe.

Jedyne, co rozpoznał, to widok znad fiordu w stronę wyspy Tautra i gór Fosen. Lotnisko było nowe, droga szybkiego ruchu prowadząca do miasta też była nowa i położona dużo wyżej w terenie, i kiedy autobus lotniskowy zbliżał się do centrum, jechał przez nowiuteńką część miasta. Na rozległym terenie, gdzie kiedyś znajdowały się warsztaty mechaniczne w Trondheim, stały teraz rzędy modnie wyglądających bloków mieszkalnych, z lampkami świątecznymi we wszystkich oknach i girlandami światełek owiniętymi wokół zaśnieżonych balkonów.

– Dzielnice Nedre Elvehavn i Solsiden[4] – powiedział kierowca przez głośnik monotonnym głosem.

Solsiden. Mieszkańcy Trondheim nigdy się nie zmieniali. Ale było w tym też coś słodkiego, jakaś niewinność, wobec której należało się uśmiechnąć. Niczego nie ukrywali, jeśli uważali coś za piękne, dawali temu wyraz również w nazwie. Dokładnie tak

jak z Royal Garden. Budowali ten hotel właśnie wtedy, gdy on wyprowadził się z miasta, i wszędzie trwały debaty nad nazwą. Hotel miał być zamkiem ze szkła i świateł, odbijającym się w rzece Nidzie, z atrium wypełnionym zielenią, z ogrodem botanicznym, jakiego to miasto nigdy wcześniej nie widziało, i taka też wybrana została dla hotelu nazwa, tak mało norweska, że już bardziej nie można. Królewski ogród. Po angielsku, ni mniej, ni więcej.

Miał kaca i czuł odrętwienie w całym ciele. Twarz nadal sprawiała wrażenie opuchniętej po nocnym płaczu, najchętniej włożyłby na nos okulary przeciwsłoneczne, ale na dworze było już ciemno, a w końcu istniały jakieś granice, jeśli chodzi o przyciąganie ludzkiej uwagi. I nikt nie czekał na niego na lotnisku, już teraz tęsknił za Krumme i żałował, że zabronił mu jechać ze sobą. Ale on nie miał przecież i tak na to czasu, w redakcji panowało radosne szaleństwo, nie dało się od niego uciec inaczej niż z powodu śmierci, a ona chyba jeszcze nie umarła. Miasto było piękne w mroku, zupełnie nie trzeba było się go wstydzić, Krumme by je pokochał. Co on zrobiłby bez tego człowieka. Goście wpadli w przerażenie, gdy nagle po trzecim koniaku zaczął płakać, nie powinien był tyle pić, siedział tam i niespodziewanie mógł odpocząć, bo przyjęcie świąteczne się udało, a wszystkie obowiązki gospodarza zostały spełnione, jedyne, co pozostawało, to pić, rozmawiać, śmiać się i czekać na święta. Stek jagnięcy przyrządzony przez Krumme okazał się cudem, a babeczki jabłkowe z bezami smakowały jak letnie chmurki. Nie wspominając o stole, takie stoły widywało się tylko

w magazynach wnętrzarskich i nigdy nie wierzyło, że samemu można taki mieć, a jemu się udało.

To było pewnie coś w rodzaju rozładowania. Udany obiad, a jednocześnie myśl o matce, która leżała, czekając na śmierć. Połączenie nie było najlepsze, ale koniak był dobry. I gdy zaczął łkać, z czkawką i gwałtownym wciąganiem powietrza, sam słyszał, jak beznadziejnie to brzmi, Krumme na szczęście wyciągnął go do korytarza. Tam nadal stał żłóbek, a to na pewno nie poprawiało sytuacji. Że też nigdy nie nauczył się, że nie należy pić za dużo alkoholu w czasie, gdy w zakamarkach głowy dzieją się trudne rzeczy. Wtedy lepiej jest pójść na spacer, wciągnąć do płuc świeże powietrze, a nie wpadać w patetyczne upojenie wspólnie z ludźmi, których się lubi. No i do tego te święta, to całe szczęście. Dla zwykłego człowieka przyjęcie jednorazowo takiej ilości szczęścia to mogło być za dużo.

Hotel nie przyciągał jakoś szczególnie jego uwagi, chociaż Erlend był w stanie zrozumieć, jaką furorę musiał robić dwadzieścia lat wcześniej. Ale on i Krumme byli kiedyś w Dubaju. Po tamtejszym hotelu Burdż al-Arab wszystko wydawało się blade.

Dekoracje w recepcji były mocno przesadzone, najwyraźniej w miasteczku Trondheim nie słyszeli o minimalizmie. Nie zamierzał też im nic na ten temat mówić, był tu tylko z wizytą gościnną, nie planował zostawiać po sobie żadnych śladów. Zameldował się w hotelu i razem z kluczem dostał do ręki złożony kawałek papieru z zapisanym numerem telefonu. Numer telefonu komórkowego. Na górze w swoim pokoju poszedł prosto do łazienki i do lustra. Twarz nadal była opuchnięta, zwłaszcza

wokół oczu i na policzkach. Kąciki ust też wydawały się jakieś inne, czy naprawdę można płaczem doprowadzić je do takiej opuchlizny. Wyjął z walizki kosmetyczkę, mały ręczniczek skropił lodowatą wodą i przyłożył go kilkakrotnie do twarzy prawie do utraty oddechu. Następnie wtarł w twarz bezzapachowy krem liftingujący i odświeżył wąską, czarną kreskę pod oczami, wtarł we włosy trochę świeżej pianki i przeczesał je dobrze palcami, zanim uformował fryzurę na szczycie głowy, ściągając pasmo grzywki na czoło. Zadzwonił do Krumme do pracy i powiedział, że jest na miejscu.

– Przyjazd tutaj to był beznadziejny pomysł, nie musiałem tego robić. Ale wiesz przecież, jaki ja potrafię być impulsywny.

Krumme roześmiał się i powiedział, że go kocha, przypominając mu jednocześnie, że to nie było impulsywne działanie, ale czyn wynikający z konieczności, a Erlendowi znów zrobiło się niedobrze na myśl, ile zdradził ze swego dzieciństwa dziś w nocy, gdy już położyli się i gdy leżąc w ramionach Krumme, zanosił się płaczem. Krumme przypomniał mu też, że już jutro ma samolot powrotny, wkrótce wszystko znów będzie normalnie, a on nie będzie musiał kiedyś oskarżać się, że nie odwiedził rodzonej matki na łożu śmierci.

Krumme powiedział mu te wszystkie słuszne rzeczy i gdy Erlend odłożył słuchawkę, poszedł wprost do barku i znalazł tam śmiesznie małe wino musujące Freixenet, które wypił jednym haustem. Było lodowate, to jedyne co miało w sobie dobrego, bo poza tym było o wiele za słodkie. Wykręcił numer z kartki i czekał na głos Margida w słuchawce. Facet musiał przecież mieć telefon komórkowy, skoro prowadził biuro pogrzebowe, taki interes

naprawdę można było nazwać objazdowym. Ale na pierwszy dzwonek w słuchawce odezwał się kobiecy głos. Cześć, tu Torunn, powiedział.

– O mój Boże, Torunn! A więc to ty! Jak uroczo! Gdzie jesteś?

Była w Royal Garden.

– Ja też!

Tyle wiedziała, skoro dostał jej kartkę. Miała w zasadzie jechać z powrotem dzisiaj, ale miejsce w samolocie było dopiero na jutro. Dlatego pomyślała, że może mogliby...

– Ja też jadę do domu jutro. To doskonale się składa! A ja nawet nie wiedziałem o twoim istnieniu!

Zrobiło się cicho.

– Powiedziałem coś nie tak? Przepraszam, nie chciałem... Ja po prostu często tak chlapię, taki już jestem.

Odrzekła, że wszystko w porządku, że jest tylko trochę zaskoczona. Nie powiedziała, czym była zaskoczona, zamiast tego zapytała, kiedy ma zamiar odwiedzić matkę.

– Ach, to... To chyba zupełnie wszystko jedno. Byle tylko mieć to z głowy.

Zaśmiała się. Już ją lubił. Wiedział tylko tyle, że ją lubi, chociaż nie miał pojęcia, czy nie pracuje jako misjonarka albo nie jest matką dziesięciorga dzieci, mającą słabość do haftowanych bieżników i paluszków rybnych.

– Słuchaj – powiedział – biorę teraz taksówkę do szpitala i możemy spotkać się w barze, powiedzmy o... wpół do ósmej? Zjemy razem obiad?

Usłyszał, że zwleka z odpowiedzią, a potem zaproponowała, że może raczej kupi coś dla nich obojga w Burger Kingu i zjedzą to

w jednym z pokoi.

– Śmietnikowe żarcie? O Boże, ja tego już nie jadam, bo to jest straszliwie niezdrowe! Dziękuję i poproszę! Największego cheeseburgera, jakiego mają. I mnóstwo frytek! A picie zamówimy sobie do pokoju! Ja stawiam. Więc po prostu tu przyjdź. Pokój czterysta trzynaście. O wpół do ósmej?

W szpitalu też wszystko było inaczej. Miał być powiększony, jak zrozumiał. Gigantyczny. Pamiętał, jak był tutaj na operacji migdałków, pół roku przed pójściem do wojska. Nie uznano go za zdolnego do służby wojskowej, tylko do pracy w wojsku, chyba to po nim zobaczyli. Nie to, że nie ma migdałków, tylko że jest pedałem. A on tak cieszył się na wspólne prysznice i przaśnych towarzyszy. Zamiast tego przez niewyobrażalnie długi rok siedział za biurkiem w bazie wojskowej w Persaunet i układał wielometrowe łańcuszki ze spinaczy biurowych. Nagle tyle mu się przypomniało. Zanim taksówka zatrzymała się przed budynkiem głównym, poślinił środkowy palec i wytarł nim kreskę pod okiem.

Margido siedział tam. Nie rozpoznał go od razu. Był stary i siedział. Posiwiał w taki sposób, w jaki siwieją niektórzy ludzie, gdy chcą zlać się z tłumem. I znacznie przytył. Podniósł się i okrążył łóżko.

– Erlend – powiedział.

– No, cześć.

Wymienili uścisk dłoni, potrząsając nimi trochę, Margido wrócił i usiadł na swoim miejscu.

Tam leżała ona. Obca. Nigdy w życiu by jej nie rozpoznał. Bez węzła na karku, już choćby to. Podszedł bliżej, do samego

wezgłowia, oddychał przez otwarte usta. Jej twarz była krzywa. Spała.

– Jak ona się czuje? – wyszeptał.

– Nie musisz mówić szeptem, jej nie można obudzić.

– Nigdy?

– Nigdy więcej, masz na myśli?

– Tak.

– Nie wiem w gruncie rzeczy, jak z nią jest. Gdyby była młoda, zrobiliby jej pewnie tysiące badań. Ale lekarze mówią, że jej stan jest stabilny, ale teraz chyba szwankuje jej serce, nie jest już zbyt silne.

– Zmęczone, prawdopodobnie.

– Tak.

– Ojciec żyje?

– Tak.

– Ciągle mieszka w domu?

– Tak. Razem z Torem. No i matką. Aż do chwili, gdy ona...

Erlend usiadł na wolnym krześle. Za oknem padał śnieg, w normalnych okolicznościach odczuwałby z tego powodu radość. Przyjrzał się badawczo jej ręce i zauważył nagle, że ją rozpoznaje, chociaż stała się starsza o dwadzieścia lat. Paznokcie, sposób, w jaki zawijały się na końcach, zarysowania na nich, chociaż teraz wydawały się bardziej niebieskawe. Ale zawsze były błyszczące, chociaż nigdy z nimi nic nie robiła, nie szlifowała ich ani nie polerowała. Wetknął swoje końce palców pod jej, były lodowate.

– Czy nie lepiej byłoby położyć jej ręce pod kołdrą? – zaproponował.

– Nie da się schować obu, jest unieruchomiona.

Przezroczysta rurka biegła od dłoni do worka zawieszonego na statywie.

– Dożylnie – powiedział Margido.

– Ale tę jedną możemy przynajmniej schować. Przecież ona marznie.

Ramię było ciężką, bezwładną masą, żałował już, gdy tylko podniósł kołdrę, nie miał prawa tego robić, gdyby się teraz obudziła, byłaby wściekła, że jest tutaj po dwudziestu latach i rządzi się w jej sprawie.

– A jak ty? – zapytał Margido.

– Ech, ja. Mam się w sumie całkiem dobrze. Pracuję jako dekorator wystaw. Teraz dostaję tylko najlepsze zlecenia, jestem już weteranem w swojej branży.

Naprawdę czuł potrzebę pochwalenia się. Może koniec końców to właśnie jemu powodziło się najlepiej z nich wszystkich. A Margido mógł go chociaż odebrać z Værnes.

– Mieszkam w centrum Kopenhagi. W cudownie pięknym mieszkaniu na poddaszu – kontynuował.

– Jesteś taki jak zawsze.

– Czyżby?

– Zakładam, że nie masz żony i dzieci?

– Dzieci nie mam, ale praktycznie rzecz ujmując, jestem żonaty.

– Wielkie nieba. Tego naprawdę nie...

– Z mężczyzną. Redaktorem naczelnym dużej gazety.

– No właśnie.

– A ty?

– Prowadzę swoje biuro.

– Nie masz żony ani...

– Nie.

– A Tor?

– On ma przecież córkę.

– A ja zostałem wujkiem. Tylko pomyśleć. No tak, ty też zostałeś wujkiem! Ale ty pewnie wiedziałeś o tym przez cały czas. Ja byłem wtedy tylko gówniarzem. Niewyskrobanym. Gdzie ona mieszka?

– W Oslo.

– Czy często tutaj przyjeżdża?

– O ile wiem, teraz po raz pierwszy.

– O mój Boże, a więc to tak wygląda? O, przepraszam cię, ale zapomniałem, że nie należy używać imienia Bożego w... niegodnych celach, tak to się nazywa?

– Daj spokój. Tak, zdaje się, że ona jest tutaj pierwszy raz.

– Więc Tor nie miał okazji być ojcem, tak jakby.

– Tego nie mógłbym sobie wyobrazić. Prowadzi gospodarstwo i raczej niewiele robi poza tym, tak mi się zdaje. Teraz ma świnie. Skończył z krowami. Nie opłacało się.

– Rozbudował dom czy jak.

Nie chciał wcale wiedzieć niczego o gospodarstwie i poczuł ulgę, gdy Margido odpowiedział jedynie:

– Wątpię.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć temu człowiekowi, trzynaście lat różnicy wieku zostało teraz powiększone o dwadzieścia lat oddalenia, ale coś musiał przecież rzec, więc powiedział, nie zastanawiając się: – Teraz pewnie masz mnóstwo roboty, tak tuż przed świętami.

– W jakim sensie?

– Ludzie przecież umierają... Czy nie umierają częściej w okresie ważnych świąt i tak dalej?

Nie wiedział nawet, na ile Margido troszczy się o nią, a na ile siedzi tutaj z obowiązku. Ale Margido odpowiedział tylko:

– Zgadza się. Nie wiem, co jest tego przyczyną. W zeszłym roku musiałem pojechać na wizytę domową jeszcze w samą wigilię. Ojciec trojga dzieci, niewiele ponad czterdzieści lat, po prostu przewrócił się, tak jak stał, przebrany za Mikołaja.

Nie mógł się teraz śmiać. Zamiast tego starał się odczytać, co jest napisane na plastikowym worku, z którego płyn spływał w matkę, ale wisiał on zbyt daleko.

– Nawet nie zdążył rozdać prezentów, zanim upadł na podłogę – kontynuował Margido.

Próbował nie wyobrażać sobie martwego Mikołaja, pogrzebanego pod stosem nieotwartych prezentów, wesoło udekorowanych wstążeczkami i przywieszkami, maski Mikołaja zwisającej nieco z boku, absolutnie nie wolno mu było się śmiać, powiedział więc: – Nie wiesz, czy tutaj można zdobyć coś do picia?

– Na wózku w korytarzu stoi sok. Mówisz inaczej. Już prawie nie słychać dialektu z Trondheim. To dla odmiany nie jest do ciebie podobne.

– Tak bywa, wiesz. Jak się już tutaj nie mieszka.

Ale gdy Margido odszedł i wydawało mu się, że poczuje z tego powodu ulgę, wcale tak się nie stało. Nagle w niebezpieczny sposób został z nią sam na sam. Badał jej twarz, każdą zmarszczkę, włoski sterczące z podbródka, siwe i przyklepane włosy na głowie. Powieki jej drgały, cienkie naczynia krwionośne

pokrywały je wzdłuż i wszerz. Zaczął wyobrażać sobie, że ona tylko udaje. Bawi się tak wykrzywioną twarzą. Udaje, że ma udar. A co by było, gdyby nagle usiadła na łóżku, jak Glenn Close na końcu *Fatalnego zauroczenia*. Umarłby ze strachu na miejscu. Torunn powinna była z nim tutaj przyjechać, dlaczego jej o to nie poprosił. Mogliby być we dwójkę. Oni, którzy praktycznie przyjechali tutaj po raz pierwszy.

– Ach tak, mamo, a więc tak się to dzieje. Uznałem nawet, że muszę wybrać się tutaj. Przyleciałem samolotem z Kopenhagi dziś po południu. Samolot był rejsowy, ale żadna znajoma gęba po mnie nie wyszła. Czy jesteś przytomna? Mam cię pozdrowić od Krumme. Polubiłabyś go, chociaż nigdy pewnie nie zgodziłabyś się z nim spotkać. Akurat tego bardzo żałuję. Uważałaś, że ja tylko tak się zgrywam. Chociaż taki się urodziłem. To w gruncie rzeczy twoja wina. Coś nie tak z chromosomami twoimi i tego durnia. Gdybyś tylko wiedziała. Pamiętasz Asgeira ze spółdzielni? W wieku szesnastu lat obciągałem mu druta na zapleczu, miał czwórkę dzieci i zasiadał w radzie kościoła. Lubiłaś go bardzo, odkładał dla ciebie jedzenie z kończącą się datą ważności. I tam właśnie, siedząc w kucki, ssałem jego wątłego fiuta, aż chwiał się ze szczęścia. Jednego razu zrobiłem to też w Neshov, w stodole, a ty w tym czasie stałaś w kuchni, zaparzając dla niego kawę, przyszedł do nas kupić truskawki, wytrysnął wprost na balot słomy, nigdy mianowicie nie połykałem, nawet z Krumme nie, jedni lubią połykać, a inni nie, jesteś przytomna? Jeśli nie możesz się obudzić, podam ci jeszcze kilka smakowitych szczegółów.

Drzwi się otworzyły. Wraz z mężczyzną do środka weszły zapachy. Cała farma wtoczyła się do środka, chociaż zapach był

nieco odmienny od tego, który zapamiętał. Teraz świnie, nie krowy, powiedział Margido. Ostrzejszy zapach, ale nadal niemożliwa do pomylenia z niczym woń obory.

– Tor! – powiedział.

– Ach tak, przyjechałeś. Ależ siedź.

– Ja... Sądziłem, że się budzi. Ale wtedy...

– Nie mogę zostać tu długo. Chciałem ją tylko zobaczyć.

– I może mnie też? Wiedziałeś przecież, że przyjeżdżam.

– Tak. Torunn mi powiedziała.

Wymienili uścisk dłoni, a potem Tor usiadł na tym samym krześle, gdzie przed chwilą siedział Margido. Był brudny i zaniedbany, zszedł na psy, dzięki Bogu, że Krumme tego nie zobaczy. Jego starszy brat. Wyglądał jak menel i śmierdział zamierzchłą, dawno zapomnianą przeszłością.

– Umówiłem się z nią później.

– Z Torunn? Spotkasz się z Torunn? – zapytał Tor i spojrzał na niego ostro.

– Tak. Czy to takie dziwne?

– Ale ona miała dzisiaj wyjechać!

Czemu ten człowiek tak się nakręcał? Rozpiął gwałtownie kurtkę, aż zadrżały napy, odsłaniając poplamiony wełniany sweter. Podbródek uniesiony, brwi wysoko nad czołem.

– Nie dostała miejsca w samolocie. Tak powiedziała. Musiała odłożyć powrót do jutra. Ja w zasadzie też jadę do domu jutro.

Tor zapadł się w sobie na krześle.

– Pewnie zatem dzwoniła do mnie, jak byłem w chlewie. Żeby mi o tym powiedzieć – wymamrotał.

Pochylił głowę i zaczął uważnie przyglądać się swoim dłoniom. Od chwili wejścia do pokoju w ogóle nie zwrócił uwagi na matkę.

– Zdaje się, że ona jest bardzo chora.

– Ależ skąd – rzekł Tor, rzucając szybkie spojrzenie najpierw na nią, a potem na plastikowy worek na statywie.

– Ale Margido powiedział, że...

– Był tutaj, jak przyszedłeś?

– Tak. I powiedział, że ona...

– Margido widzi zawsze wszystko w czarnych barwach. Przecież wiesz o tym.

Nie, tego nie wiedział. Ale zważywszy, z czego się utrzymywał, na pewno było w tym trochę racji.

– Teraz chodzi o jej serce, tak chyba powiedzieli lekarze.

– Tak, tak, tak – rzekł Tor. – Marudzą ciągle o tym sercu. Ale ona poza tym jest całkiem zdrowa. Stanie na nogi. Gdyby tylko mogła się obudzić.

– Co takiego właściwie się zdarzyło? Zanim znalazła się w szpitalu?

– Nie, ona... nie czuła się zupełnie dobrze. Trochę leżała w ciągu dnia. Nie miała specjalnie apetytu. Marzła. I nagle nie mogła już mówić. Powiedziała tylko „ga ga".

– Ga ga?

– Tak, właśnie tak to brzmiało. Zupełnie jakby starała się coś powiedzieć, ale jej się to nie udawało. To było...

Tor przerwał, kilkakrotnie potrząsnął głową, składając ręce. Były brudne, choć zapewne świeżo umyte.

– Słyszałem, że hodujesz teraz świnie.

– Margido tak powiedział? Przecież on nic nie wie o moich świniach.

– Ale tak czy owak powiedział mi o tym.

– Czy Torunn wspominała coś, że przyjdzie tutaj jutro? Zamierzam wpaść tu na chwilę przed południem.

– Nic nie wiem o jej planach ponad to, że ma wyjeżdżać. W zasadzie w ogóle jej nie znam. Rozmawiałem z nią tylko przez telefon, nie wiedziałem nawet, że ona istnieje. Akurat to jest dosyć...

– Mogę do niej zadzwonić. Ona... ona kupiła mi prezenty na święta.

Siedzieli w milczeniu, przypatrując się matce. Zapach chlewu rozszedł się po pokoju, wypełniając go do granic wytrzymałości.

– Musiała poruszyć ręką! – powiedział nagle dość głośno Tor, wychylając się ze swojego krzesła. – Nie od razu to zauważyłem!

– To ja schowałem jej rękę pod kołdrę. Miała takie zimne palce.

Gdy Tor już wychodził, wziął go za rękę, życząc mu dobrych świąt, i dodał: – Na pewno nie chcesz zostać tutaj dłużej? Na wypadek, gdyby się obudziła?

– Chciałem ją tylko zobaczyć. Może jeszcze raz wpadnę przed jutrem.

– Tutaj?

– A gdzie.

Kiedy Tor już poszedł, rzucił się prosto do okna, żeby je otworzyć, ale było to niemożliwe. Zamiast tego otworzył na oścież drzwi do małej łazienki, ale nie znalazł żadnego włącznika wentylatora. Dochodziła już siódma.

– To chyba ja też muszę spadać, mamo. Umówiłem się mianowicie z twoją wnuczką. Poza tym mam kaca i rozważam, czy nie urżnąć się porządnie, żeby odroczyć zjazd. Tym zajmę się po powrocie do domu. To trzymaj się jakoś, staruszko.

Na poręczach mostu Elgeseter leżały zwały śniegu. Pospychał sporą jego ilość do czarnych wód rzeki, śnieg roztapiał się natychmiast i zlewał z otaczającą go czernią. Z zimna zdrętwiały mu palce, zapomniał zabrać ze sobą rękawiczki. Stanął przy balustradzie w miejscu, gdzie nie było śniegu, i śledził spojrzeniem nurt rzeki. Zbocze pod fortecą Kristiansten jaśniało światłami odbijającymi się od bieli. Pogoda była znośna, ale od strony fiordu nadciągały ciężkie chmury, musztardowożółtawe od miejskich świateł, z nielicznymi szczelinami, otwartymi na głęboko czarne, rozgwieżdżone niebo. Na moście był duży ruch samochodów i autobusy z reklamami. W czasach, gdy odjechał w siną dal, autobusy nie miały reklam i były ciemnoczerwone. Ale katedra Nidaros stała dokładnie taka sama, może tylko lepiej oświetlona niż kiedyś. Nadjechał ambulans na sygnale, zmierzając w stronę szpitala, samochody zjechały na prawo, torując mu drogę, dwie młode dziewczyny przeszły tuż za jego plecami, prowadząc cichą rozmowę. Wetknął ręce głęboko do kieszeni skórzanej kurtki, musiał się pospieszyć, był głodny. Nagle zastanowił się, czy w tym kraju da się zamówić alkohol do pokoju hotelowego.

---

[4] Solsiden (norw.) – słoneczna strona (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 10

Gdy rozmawiała z nim przez telefon, sądziła najpierw, że to coś, co słychać było w jego głosie, to kopenhaski akcent, ale gdy otworzył drzwi, zobaczyła wszystko od razu, kiedy uniósł ramiona teatralnym gestem w powietrze i wykrzyknął:

– Torunn!

Pozwoliła mu się uścisnąć, próbując jednocześnie ochronić torby z Burger Kinga.

– Ależ pozwól mi dokładnie ci się przyjrzeć! – rzekł, chwytając ją za ramiona i przyglądając się jej na wyciągnięcie ręki.

– Przecież ty do nikogo nie jesteś podobna! Czy jest pewne, że Tor...

– Tak twierdzą oboje. I on, i moja matka – powiedziała.

– Wejdźmy zatem! Nie stójmy tak! Umieram z głodu. Lubisz czerwone wino?

– Raczej nie. Wolę piwo.

– Dobrze. Bo mam na górze tylko dwie butelki, a jedna jest już do połowy opróżniona. Gdybym tylko zrobił zakupy w strefie wolnocłowej na lotnisku Kastrup, ale myślami byłem przy innych sprawach i w dodatku miałem dziś cały dzień takiego kaca, że

wydawało mi się, iż w życiu nie tknę już alkoholu. Widzisz, jak można się pomylić! Ale ty do piwa dostaniesz jednego malucha, lubisz starkę duńską?

– Jasne.

– To zamówię na górę półlitrówkę. Nawet coś mocniejszego można tu dostać do pokoju, sprawdzałem na wypadek, gdybym miał później chęć na koniak.

– Ale czy to nie będzie bardzo drogo?

– Przecież będziemy świętować!

– Naprawdę?

– Jasne, że tak.

Trudno było wyobrazić sobie tego faceta w Neshov, w kuchni, drepczącego jako mały chłopiec po podwórku, widzieć go obok Tora albo Margida, lub jako młodego chłopca pracującego w oborze. Włosy miał ufarbowane na czarno, prawie na niebiesko. W płatku jednego ucha tkwił kamień szlachetny, na pewno diament, bo jego ubrania też wydawały się bardzo drogie. Znalazł dla niej butelkę mocnego piwa.

Przy oknie stały dwa fotele w kolorze królewskiego błękitu, a między nimi mały stolik, otworzyli torby z Burger Kinga i wyłożyli ich zawartość na stół, wznieśli toast. Erlend jęknął i zamknął oczy, wbijając zęby w burgera. Ciągle żując, powiedział: – Nie wiem, kiedy ostatnio jadłem takie żarcie, to był genialny pomysł. Ale nie mówmy z pełnymi ustami!

– Ja jem o wiele za dużo takich rzeczy. Sporo jeżdżę, a ponieważ mieszkam sama...

– Od jak dawna?

– Dopiero od pół roku. Wyrzuciłam mojego partnera latem, po tym jak zadzwoniła do mnie jakaś dziewczyna z pytaniem, dlaczego grożę, że się zastrzelę, jeśli on mnie opuści.

– Innymi słowy, tchórzliwy gnojek. Jak długo zatem gruchał sobie z tamtą panią?

– Prawie rok.

– I dzięki tobie miał pretekst, żeby nie dokonywać wyboru. Faceci. Nawet nie wiedzą, że panie do siebie nigdy nie strzelają, tylko połykają tabletki.

– Właśnie.

– Poza tym ty nie wyglądasz na kogoś, kto miałby popełnić samobójstwo. A ja się bardzo dobrze znam na ludziach. Prawie wszyscy geje tak mają. Rentgenowskie spojrzenie, wprost do ludzkiej duszy. Na pewno jest tak dlatego, że jesteśmy wyczuleni na mowę ciała, zawoalowane komunikaty i ukryte znaczenia.

– Ja tak nie mam. A przynajmniej nie w stosunku do ludzi. Za to z psami...

– A czym się zajmujesz? Z czego żyjesz? No tak, przecież gdzieś musimy zacząć tę rozmowę, jeśli mamy się bliżej poznać! To na zdrowie, mała brataniczko! I witaj w rodzinie!

On pytał, ona odpowiadała, lubił mówić, przywoływać znaczące fakty i używać wielkich słów, zastanawiała się, czy to prawdziwe, czy też wyuczone, czy on jest powierzchowny, czy do bólu szczery, i czy w ogóle to się jakoś wyklucza. Czuła, jak nawiązał się między nimi natychmiastowy kontakt, który nie zaistniał ani z Margidem, ani z ojcem, jeśli już o tym mowa. A już na pewno nie było go z tą starą kobietą w szpitalnym łóżku.

– Margido mnie nie lubi – powiedziała.

– Na pewno tylko tak sobie wyobrażasz. On jest dosyć zamknięty w sobie, zawsze taki był. Chrześcijanin, rozumiesz. A chrześcijanie, jak wiadomo, mają monopol na definiowanie rzeczywistości.

Uśmiechnął się do niej. Byli rodziną. Dzielili sporo cząsteczek DNA. Krew jest gęstsza niż woda, a między nimi były więzy krwi. Już opróżnił pierwszą butelkę czerwonego wina. Wódka została dostarczona do pokoju, rozgrzała ją i sprawiła, że płacz podniósł się nieco wyżej w żołądku, ale nie chciała lać łez, przecież on zamierzał świętować. Tyle było rzeczy, o które chciałaby zapytać, a ten człowiek mógł jej udzielić odpowiedzi. A już jutro mieli rozjechać się każdy w swoją stronę.

– Powiedział, że gospodarstwo nigdy nie zostało przepisane na Tora, mojego ojca.

– Pewnie uznał za właściwe o tym wspomnieć, tak. Skoro matka ma umrzeć. Ale on ma rację. Gdyby gospodarstwo zostało na niego przepisane, to nawet ja bym o tym wiedział. Jest nas przecież jeszcze dwóch. Trzeba podpisać różne papiery i tak dalej.

– Co wobec tego odziedziczycie ty i Margido?

– E tam, co tu jest do dziedziczenia? Niecałe jedenaście hektarów ziemi uprawnej dwadzieścia lat temu, wątpię, żeby dziś miało to być więcej. Ale przecież to nie daje żadnego dochodu, więc jeśli Margido i ja, albo tylko jeden z nas, zażąda dziedzictwa w jakiejkolwiek formie, gospodarstwo się rozpadnie. Tor nie poradzi sobie ze spłatą jakiegokolwiek długu, jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, o ile nie wygrał w Lotto i nie chowa worka szmalu na dnie jakiejś skrzyni. Ale Tor nic mi nie zrobił i nie zamierzam

mu szkodzić. Mam dość pieniędzy. Niech chłop dopieszcza swoje świnie i niech posiada gospodarstwo przez tych kilka lat, zanim sam się zawinie.

– Ale co z Margidem? Jeżeli on...

– Chociaż jest chrześcijaninem, to nie sądzę, żeby wyrzucił Tora z gospodarstwa na zbity pysk. Gdzie oni by się podziali... tych dwóch. Jeśli gospodarstwo nie zostało na niego przepisane, to bardziej ze względu na matkę niż z jakiegoś innego powodu. Ale nie sądzę, żeby Margido zażądał swojego udziału w spadku, wiedząc jakie będą tego konsekwencje. Ma tyle, że sobie radzi. W nieboszczykach są spore możliwości.

Zachichotał i kontynuował: – Ale może czas najwyższy byłoby wspomnieć o tym i jemu, i Torowi. *Just in case* gdyby staruszka umarła. Żebyśmy byli zgodni. Bo może Tor nie śpi po nocach, sądząc, że będzie musiał wynająć sobie pokoik w Spongdal.

– Nie do końca rozumiem, że to twoja matka... i to, czy ona żyje, czy umrze... Przecież to twój ojciec jest właścicielem gospodarstwa?

– Na papierze tak, skarbie. Ale on nie ma o niczym pojęcia. Odkąd sięgnę pamięcią, szwendał się tam bez żadnego celu, wykonując tylko te prace, które mu polecono, bez szemrania.

Łyknęła spory haust wódki z kieliszka po winie.

– W ogóle go nie spotkałam, jak tam byłam – rzekła. – Nawet nie chciał kawy.

– Nie myśl o nim teraz, Torunn, przecież mamy świętować!

– Nie mam z tym wszystkim przecież nic wspólnego – powiedziała.

– Ależ tak, jak najbardziej masz. Bo gdy gospodarstwo zostanie przepisane na Tora, ty je po nim odziedziczysz. Czyż nie tak? Tak, tak właśnie sądzę. Nie do końca znam się na prawie spadkowym i tym wszystkim, ale...

– Ależ to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Jeśli mój ojciec umrze dzień po twojej matce, to niby wszystko miałoby być moje? Nie, to na pewno nie tak. Wtedy gospodarstwo trzeba by było sprzedać, a ty i Margido podzielilibyście się pieniędzmi.

– Prawa związane z dziedziczeniem gospodarstw to poważne sprawy, skarbie. I wtedy musisz przecież zdobyć wykształcenie. Wykształcić się na rolnika. Nie, nie wiem. Może masz rację. Tak czy owak teraz gospodarstwo należy przepisać na Tora. Cokolwiek innego byłoby rażącą niesprawiedliwością. On się tam męczył i pracował, i wytrzymał to przez całe życie.

– Wiem, że mama nie była dość dobra, ale dlaczego nie znalazł się nikt inny, z kim mógłby się ożenić?

– Nie wiem, co wydarzyło się w trakcie tych dwudziestu lat, ale... Matka chciała sama załatwiać sprawy. Niezależnie od tego, jakie wrażenie zrobiła na niej twoja matka, i tak powiedziałaby nie. Ona nigdy nie zgadzała się na czyjeś warunki. Chciała wszystkim sterować. No, może poza czasami, gdy żył dziadek Tallak. Jego zawsze słuchała. Wszyscy go słuchali. Umarł, gdy miałem siedemnaście lat, i to było zupełnie jak... jakby...

Oczy zrobiły mu się błyszczące, musiał obetrzeć je palcem. Potem otrząsnął się górną połową ciała jak pies i długo i dramatycznie pociągnął nosem.

– Kurna, nie chce mi się już popłakiwać! To przez to wino! Ale od czasu wylądowania na Værnes jest tak, że wszystko mi się

nagle przypomina. A ja nie mogę znieść, żeby przypominały mi się rzeczy, które ładnie popakowałem w pudełka i odstawiłem na strych. Czy uważasz, że jestem beznadziejny? Nie tak wyobrażałaś sobie wujka Erlenda? Tęsknię za Krumme. Dlaczego jego tu nie ma. To moja wina. Ale pomyśl, gdyby on zobaczył... i powąchał Tora. Do cholery, a teraz zapominam, że przecież on jest twoim ojcem. Kurwa, jak ja paplam, lepiej już pijmy.

– To opowiedz mi teraz o Krumme.

Myślała: Nigdy wcześniej nie polubiłam nikogo tak szybko jak Erlenda. Korzystała z okazji i śmiała się z czegoś, co powiedział, zdawała sobie sprawę z tego, że jest już nieźle wstawiona, ale zarazem była pewna, że jutro na trzeźwo też będzie to wiedziała: Nigdy tak szybko nikogo nie polubiła. Zdumiewające, on był prawie jak brat, taki brat, którego nigdy nie miała. On ją uznał, nie stawiał znaków zapytania ani w związku z jej istnieniem, ani w związku z jej prawami. Można było mu ufać. Tak, właśnie to. Można było na nim polegać, że jest po jej stronie, chociaż do tej pory nawet nie rozumiała, że znajduje się po jakiejś stronie, tej lub tamtej, raczej lawirowała pośrodku, odnosząc się do rzeczywistości innych ludzi, a teraz nagle siedziała tutaj, umieszczona przez Erlenda na miejscu córki Tora, w sposób nieznany jej ojcu, nawet jeśli zabrał ją ze sobą do chlewu i podzielił się z nią swoim szczęściem.

Był w połowie opowieści o skórzanym płaszczu, który Krumme miał dostać pod choinkę, gdy wyciągnęła rękę przez stół i położyła ją na jego ramieniu, umilkł w połowie zdania, a potem spojrzał na nią pytająco.

– Bardzo ci dziękuję – rzekła.

– Za co?

– Bo ty... nie wiem do końca. A, właśnie. Bo chciałeś zjeść burgera w pokoju i nie protestowałeś. Bo ja miałam obawy, żeby spotkać się z tobą pośród tłumu obcych ludzi, bałam się, że ja... nie wiem. Tyle tego było.

Podszedł do niej i ukucnął przed nią, ujmując ją za obie dłonie. – Wiesz co – powiedział cicho – od teraz... jestem twoim wujkiem. Na zawsze! I Krumme też w ten sposób zostaje kimś na kształt wujka! Wujek Krumme. Przyjedziesz do nas do Kopenhagi, nie masz pojęcia, jak świetnie będziemy się bawić! Przyjedziesz do wujków! Troszkę cię podrasujemy, ja się tym zajmę, Krumme się na tym specjalnie nie zna. Zrobimy ci nową fryzurę, kupimy ubrania i... i nikt już nigdy nie będzie posuwał kobiety przez cały rok i opowiadał, że nie może cię opuścić, bo nałykasz się pyralginy forte!

W miarę jak mówił, z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

– On powiedział, że się zastrzelę – rzekła. – Nawet nie rozumiał, że...

– Zastrzelić, nałykać. Srać na szczegóły. Rzecz w tym, że my dwoje tutaj jesteśmy normalni. A wtedy Trondheim nie jest miejscem dla ciebie. Ach, zapomniałem, że mieszkasz w Oslo. Ale Oslo to też nie jest miejsce, małe, szmatławe miasteczko. Za to Kopenhaga...

– Ja uważam, że w Byneset było cudownie. Absolutnie pięknie. I nawet jeśli gospodarstwo podupadło...

– A jest tak?

– Tak. Bardzo. Wszędzie bałagan. A w środku... tak brudno, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Puścił jej ręce i podniósł się, zaczął wyglądać przez okno.

– Nic nie byłoby inaczej, gdybym tu pozostał. Najprawdopodobniej dużo gorzej. Oni się tak strasznie mnie wstydzili. Pedała.

– Tak to nazywali?

– Ohydne słowo. W Kopenhadze jestem *bøsse,* w Trondheim gejem, w Byneset pedałem. Kochane dzieci mają wiele imion, co? A w poniedziałek wieczorem, gdy zachorowała...

Poszedł pośpiesznie do łazienki i wrócił, trzymając coś przed nią na płasko wyciągniętej dłoni.

– Zobacz.

Malutki, ostry kawałek szkła.

– Co to jest?

– Mój jednorożec stracił róg. I stał się zwykłym koniem. Wtedy zrozumiałem, że coś się wydarzy. Nic nie dzieje się przypadkiem. Poczułem to w całym ciele, nie mogłem spać w nocy i w ogóle! I miałem rację.

Skinęła głową. Nie rozumiała ani trochę. Może była już zbyt pijana, może po prostu się urżnęła. Wypiła pół butelki wódki, trzy piwa z minibaru i opróżniała właśnie butelkę piwa niskoprocentowego razem z kolejnym kieliszkiem wódki. Chodziło mu o to, że ten kawałek szkła pochodził od jednorożca?

– Dziwne słowo. Jednorożec – powiedziała.

– Nieprawdaż? Nazywa się zupełnie tak, jakby miał jeden kąt, a nie róg! Ale przecież to jest jednorożec, i już.

– I róg mu odpadł.

– Tak! Zbieram szklane figurki, mam już sto trzy, kocham je wszystkie. Uwielbiam je! Nigdy się nie tłuką, są traktowane w taki sposób, jak królewskie klejnoty w londyńskiej twierdzy Tower. A jednorożec spadł na podłogę. Prosto na ziemię! Myślałem, że umrę ze smutku, a później czułem taki straszny niepokój. To był znak, Torunn. Znak.

Ze śmiertelną powagą kilkakrotnie skinął głową, patrząc jej cały czas w oczy.

– Jestem zdania, że powinieneś wyrzucić ten róg przez okno – rzekła.

– Tak uważasz?

Wlepił wzrok w kawałek szkła.

– Tak, właśnie tak. Prosto z okna. Może twoja matka wtedy wyzdrowieje. Prawie jak voodoo, tylko odwrotnie – powiedziała.

– Boże święty! Nie, to już lepiej schowam go w skrytce bankowej! Ze względu na Tora!

Roześmiała się głośno. – Nie masz całkiem dobrze w głowie!

– Dostałem go od Krumme! Jednorożca. Ale mu o tym nie powiedziałem. Że ten głupi róg odpadł...

Załkał sucho.

– Zadzwoń do niego teraz i powiedz – rzekła.

– Nie mam odwagi! To był prezent dany z miłości! On może spocząć tylko na łonie dziewicy!

– Jednorożec?

– Tak! To był symboliczny dar!

– Ale tak czy owak zadzwoń i powiedz mu to. Kupi ci nowego.

– One nie rosną na drzewach, brataniczko.

– Tacy ludzie jak Krumme chyba też nie.

– Nie. Zdecydowanie nie. Bardzo byłoby szkoda tych drzew.

...

Zadzwonił do Krumme i szlochając w leżący na pulpicie hotelowego biurka folder reklamowy, w błękitnej okładce ze skaju ze złotym nadrukiem, opowiedział o rogu jednorożca, przyznając jednocześnie, że wypił dwie butelki czerwonego wina, inaczej nigdy nie miałby odwagi tego wyznać, poza tym to jego bratanica przekonała go, żeby zadzwonił. Otworzyła pepsi max i zauważyła, że znakomicie smakuje razem z duńską starką. Półlitrówka była już prawie pusta.

Gdy Erlend odłożył słuchawkę po wielokrotnych zapewnieniach, jak bardzo kocha Krumme, połączonych z cmokaniem w słuchawkę, odwrócił się do niej i rzekł: – Jak wygląda moja twarz? O Boże, lepiej nie odpowiadaj. Pooglądaj sobie chwilę telewizję, a ja w tym czasie obmyję się zimną wodą. Ale przecież wódka się kończy! Zamówię więcej!

– Kawa i koniak też byłyby niezłe...

Młody mężczyzna w hotelowym uniformie zapukał do drzwi w czasie, gdy Erlend ciągle jeszcze był w łazience, i wszedł do pokoju, tocząc przed sobą stolik na kółkach. Na stoliku stały: dzbanek z kawą i filiżanki, śmietanka i kostki cukru, cztery kieliszki koniaku, butelka czerwonego wina, półlitrówka duńskiej starki, dwa talerze z ciastem marcepanowym, wazon z jedną różą oraz miseczka orzeszków. Mężczyzna wyjaśnił, że Erlend musi pokwitować.

– Erlend! – zawołała.

Wypadł z łazienki z białym ręcznikiem przytkniętym do twarzy i zachichotał, gdy mokre jak szmata pokwitowanie razem z długopisem upadło na podłogę.

– Życzę miłego wieczoru – rzekł mężczyzna i zamknął za sobą drzwi.

– Ale w jaki sposób... – powiedziała.

– W łazience był telefon – rzekł, odkładając ręcznik i wciągając powietrze przez nos, a jednocześnie odchylając głowę do tyłu i zamykając oczy. – Wiedziałem, że będziesz protestować, jak usłyszysz, że tyle zamówiłem.

– Jesteś bogaty?

– Tak – powiedział. – Jesteśmy bogaci. A ty nie?

– Nie.

– Ale przecież odziedziczysz całe gospodarstwo. I do tego stadko świń.

Przesunęli stolik w pobliże foteli. Już nie czuła się pijana, właśnie zaczynała upijać się na trzeźwo. Gdy podniosła do ust kieliszek koniaku, zaszczypały ją oczy, kawa była świeżo zaparzona i odpowiednio gorąca. Znalazła pilota i włączyła telewizor.

– Czy ty kochasz Tora? Czy czujesz w jakiś sposób, że on jest twoim ojcem? – zapytał.

– Nie. Raczej jest mi go żal. On jest taki biedny i żałosny.

– On jest dobry. Tor jest o wiele za dobry. Taki jego los. Ja też jestem dobry, ale u niego przybiera to taką postać, że ludzie to wykorzystują.

– Tyle jest rzeczy, których nie rozumiem... w związku z wami.

– *In vino veritas* – rzekł, nalewając wino do kieliszka.

– Ile ty pijesz.

– Och tak, kto to widział tak się upijać! Daj spokój, Torunn, nie jestem alkoholikiem. Mam jeszcze ze sobą listek relanium, ale tego na razie nie ruszyłem. Pij kolejny koniak, moja droga. Na razie wypiłaś tylko jeden. Nie, jestem tylko trochę rozbity. Na co dzień wolę najzdrowszego na świecie Bollingera.

– Nie próbowałam. Nie lubię czerwonego wina.

– To jest szampan, skarbie! I coś naprawdę musimy zrobić z twoimi włosami. Jaki masz naturalny kolor? Jeśli mogę zapytać?

– Pospolita szarość.

– Właśnie. I w takim wypadku zawsze jest tak, że w dorosłym wieku wybiera się mahoniowy brąz. Ale są o wiele za długie! Przypominasz trochę... Barbrę Streisand. To mógłby być komplement, ale nie jest. A czaszkę masz przecież jak Nefretete! Nawet gdybyś całkiem wyłysiała, byłabyś piękna! Dlaczego nie chcesz być piękna? Skoro jesteś?

– Nie mam nawyku. Nie chce mi się. Nie mam czasu. Ale ty... dlaczego zrobiło ci się tak przykro, gdy zacząłeś opowiadać o dziadku?

– Dziadek Tallak... Nie, on... Ech, czy my musimy...

– Czy nie możemy porozmawiać trochę o prawdziwych rzeczach, skoro tak? Jutro jedziemy każdy w swoją stronę.

Skrzyżował nogi i pociągnął łyk z kieliszka, zapalił papierosa i oblizał wargi, patrząc w podłogę.

– Zapomnij o tym – powiedziała. – Możemy zamiast tego pogadać o kolorze moich włosów.

Zaśmiała się cicho, żeby myślał, że naprawdę tego chce.

– Miałem siedemnaście lat, gdy umarł, ale to już pewnie mówiłem – rzekł. – Byłem w szoku. Wszyscy byli w szoku, chociaż miał osiemdziesiąt lat. Wszędzie było go pełno, nigdy nie zdążył stać się stary. Zajmował się różnymi rzeczami od rana do wieczora. Wtedy były to truskawki i kury, i malowanie domu. Zaledwie kilka dni przed śmiercią stał na samej górze drabiny, malując szczyt stodoły. Nie sądzę, żeby Tor dalej uprawiał truskawki. Z nimi jest sporo roboty.

– Nie, to prawda, nic nie wspominał o truskawkach.

– Na pewno teraz uprawia tylko zboże.

– Teraz brzmisz całkiem inaczej. Kiedy mówisz o gospodarstwie. A co z babcią? Ile miałeś lat, gdy umarła?

– Ona zmarła na długo przed dziadkiem, ale przez trzy lata przed śmiercią leżała.

– Leżała?

– W swoim pokoju. Na górze. Matka się nią opiekowała, nie chciała iść do domu starców. Pamiętam tace, które matka wnosiła na górę, jedzenie w filiżankach do kawy. Malutkie porcje, jak dla małego dziecka. Nigdy nie chodziłem do niej na górę. Była zawsze tylko zła i niezadowolona. Człowiek pewnie taki się staje, jeśli leży przez trzy lata, gapiąc się w sufit.

– A jak umarł twój dziadek?

– Utopił się. Dostał udaru w czasie sprawdzania sieci. Boże, pomyśl, pamiętam, jak to się nazywa! Więcierz, podbierak, włok! Ale on utonął, wypadł za burtę, znaleźli go dwa kilometry od zastawionych sieci, tutaj są bardzo silne prądy. I wtedy... wtedy umarło całe gospodarstwo. To prawda. Wszystko po prostu umarło. Matka... zamknęła się w swojej sypialni na dwa dni.

A ja... ja nie miałem nikogo poza nim. Robiliśmy razem mnóstwo rzeczy. Matka tylko robiła jeść i nigdy ze mną nie rozmawiała, a ojciec... szwendał się. A Margido i Tor byli ode mnie dużo starsi, sama wiesz.

– Biedaku...

– Po jego śmierci nikt mnie już nie dostrzegał. Nagle było tak, jakbym stał całkiem nagi na jakiejś wielkiej równinie, ciągnącej się w nieskończoność w każdą stronę. Całkiem sam. Kompletnie sam. Byłem przerażony, Torunn.

Przyniósł z łazienki ręcznik i przyłożył go do ust.

– Nie mam już siły więcej płakać. Wezmę się w garść. Nagle tyle mi się przypomniało. To nawet i trochę dobrze...

– Ale co robiliście razem? Pracowaliście w gospodarstwie i tak dalej?

– No tak. Byłem dosyć niezgrabny i panicznie bałem się pająków i os, taka lekka histeria, ale dziadek tylko się śmiał i był jedną wielką cierpliwością. Jeżeli nie byłem akurat w szkole albo nie odrabiałem lekcji, chodziłem za nim. Nie miałem żadnych przyjaciół, z którymi spędzałbym czas, nie wyśmiewano mnie ani nic takiego, ale jakoś z nikim się nie przyjaźniłem. Podkochiwałem się wtedy w dwóch chłopcach... Opowiedziałem o tym dziadkowi. Nie był zszokowany, uśmiechnął się tylko i powiedział, że pewnego dnia spotkam jakąś piękną dziewczynę i wszystko stanie się jasne.

– A więc nie zrozumiał, że ty właśnie...

– Tego nie wiem. Tak czy owak, nie robił z tego wielkiej sprawy. Nie męczył mnie tym.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ciebie pielącego zagony truskawek.

– No bo i niewiele się tym zajmowałem, bo tam aż roiło się od os! Ale za to łowienie ryb w drygawicy ciągniętej za łodzią – to było najlepsze. Już wtedy prawie nikt tego nie potrafił, to był bardzo stary sposób łowienia łososi. Neshov nie miało prawa do odłowu łososi, ale dziadek pracował razem z sąsiadem, który miał takie prawo. No i ja przy nim. I gdy przylatywały ostrygojady i zakwitały grzybienie, czas było zaczynać oporządzanie sieci na plaży. Tak, dziadek siadywał przecież zimą i wiązał je. Duże oczka z grubej bawełny, pomagałem mu przeciągać... igłę do sieci przez oczka, tak się to nazywało. I wtedy ruszaliśmy na plażę między kamienie. Zgadnij, jak pachniało, gdy gotowaliśmy cały gar smoły!

– Żeby była rzadsza?

– Tak. Potem smarowaliśmy smołą łódź i beczki. Używane były razem z leżącymi na dnie kotwicami. Cała sieć się mocno trzymała, rozumiesz to! Do lądu! Wyciągaliśmy ją raz na czternaście dni, a zarzucenie jej z powrotem na miejsce stanowiło nie lada zadanie, ja wiosłowałem, a dziadek i... nie pamiętam, jak on się nazywał, chyba Oskar, oni wspólnie zarzucali sieć. Ale najlepsza praca była na lądzie, przy tym wszystkim, co należało najpierw przygotować. Gotowaliśmy wielki gar kory brzozowej, jak to parowało! Do tego też dodawaliśmy nieco smoły, potem trzeba to było odcedzić i wylać na sieci wrzucone do beczki. I jeszcze kamienie na górę.

– Żeby były odporne na słoną wodę?

– *Yes*. Impregnowaliśmy sieć, takie zabawne słowo, prawda? *Pregnant* to przecież być w ciąży, a tutaj chodziło o to, żeby coś nie wnikało do środka i nie niszczyło! Zupełnie przeciwnie! Ale przy czym byłem... ach, tak, kamienie na szczycie. I te zapachy, słuchaj! I krzyczące ostrygojady, i słońce, i plaża, i fiord. I to, że robiliśmy coś ważnego, mieliśmy łowić wielkie łososie na sprzedaż! Nie wyobrażasz sobie...

– Czyli dopiero po śmierci dziadka zacząłeś myśleć o wyjeździe.

– Tak. Sądziłem, że będę tam zawsze. Razem z nim. Niesłychana wprost głupota. Ale on taki był. Tak żywy i obecny, że wydawał się... nieśmiertelny. Ten zjazd przerobię raczej po powrocie do domu. Nie rozmawiam z Krumme o Norwegii. Tak jakbym... stał się sobą dopiero w Danii.

– Nie do końca. To też należy do całości.

– Ach, tak? Mała pani psycholog?

– Zdrowie, wujku Erlendzie.

Erlend zasnął na krześle, odchylił nagle głowę do tyłu i w tej samej sekundzie już spał. Przykryła go kocem, zgasiła światło i pojechała windą do swojego pokoju na szóstym piętrze. Włączyła komórkę, znalazła trzy SMS-y od Margrete i jedną wiadomość w poczcie głosowej. To był ojciec, mówił wolno i wyraźnie, zupełnie jak do mikrofonu, słyszał, że wyjeżdża dopiero jutro, i dlatego zakłada, że jeszcze wybierze się do szpitala następnego ranka. Zakończył informacją, że Siri rozgniotła na śmierć dwoje swoich młodych. Nic więcej, tylko te słowa, Siri rozgniotła na śmierć dwoje swoich młodych.

ROZDZIAŁ 11

Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego. Z żadnym miotem wcześniej nie obeszła się tak nieostrożnie. Sądził, że jest idealną matką.

Umył ją i oporządził, znalazł czystą słomę i trociny, i posypkę torfową, udawał, że nic się nie stało. Młode znalezione wczoraj wieczorem po prostu wyrzucił za stodołę, gdzie leżały zwęglone resztki materaca. Przyniósł kilka kawałków drewna, polał trochę parafiną i podpalił je na środku resztek materaca.

– Grzeczna dziewczynka, proszę bardzo.

Wyciągnął z kieszeni na piersi kromkę chleba i podał jej, podrapał ją za uchem i zachowywał się dokładnie tak, jak zawsze. Młode wyciągnął jej spod zadu bez żadnej reakcji z jej strony. Po prostu je usunął. Świnie raczej nie potrafią liczyć.

Nie czuł się dobrze. Ciało było takie ciężkie, i głowa też. Co będzie, jeśli on również zachoruje, trudno było to sobie wyobrazić. Gdyby tylko matka siedziała teraz w kuchni i czekała ze śniadaniem. Nie o to chodzi, żeby obrządzała za niego chlew, gdyby zachorował, ale wystarczyłaby sama świadomość, że tam jest, już ona wiedziałaby, co należy zrobić. Nigdy nie korzystali

z pomocników, on przecież zawsze był zdrowy. Ale ona dałaby radę załatwić wszystko w ten czy inny sposób, gdyby zachorował.

Sprzątał i mył długo i dokładnie, porządkował pomieszczenie gospodarcze, zdjął kwitki za paszę treściwą z gwoździa, gdzie miał zwyczaj je przechowywać, musiał dzisiaj popchnąć trochę spraw papierowych po tych kilku dniach spędzonych w szpitalu. Może powinien spróbować znów zadzwonić do Torunn, nie do końca wierzył, że na pewno odsłuchała wiadomość od niego.

Ojciec siedział w salonie z telewizorem. Najwyraźniej był to teraz jego codzienny zwyczaj. Wiadro trocin i szufelka stały nieoczekiwanie przy piecu na drewno w kuchni, tutaj też było napalone. Podszedł i przyjrzał się wiadru dokładniej, poczuł zapach parafiny. Trociny i parafina. Wrzasnął w stronę salonu:

– Nawet nie chce ci się napalić porządnie? Parafina kosztuje, jeśli tego nie wiesz!

Z impetem zamknął za sobą drzwi. Listonosza jeszcze nie było, nie miał żadnej nowej gazety, przyniósł starą i nastawił dzbanek z kawą, ukroił sobie kromkę chleba. W lodówce stała miseczka z konfiturami truskawkowymi, lekko wysuszonymi, dolał do nich odrobinę wrzątku i zamieszał. Konfitury zrobiły się jak nowe. Nikt nie mógłby powiedzieć, że sobie nie radził. W kuchni było czysto i schludnie, talerze i kubki się nie gromadziły, zaczął nawet lubić mycie kubków, te czyste ręce. Zadzwonił telefon. To na pewno Torunn, za godzinę miał jechać do szpitala, było na co czekać, nie brał przecież pod uwagę tego, że więcej jej nie zobaczy.

Dzwonili ze szpitala. Matce się pogorszyło i musieli podać jej tlen. Woda w płucach, powiedział kobiecy głos, to z powodu serca.

Sądzili też, że wdało się zapalenie płuc, bo dostała gorączki.

Skinął głową, chrząknął. – Aha.

Powinien przyjechać. Czy jest synem?

– Tak.

Jej mąż też powinien przyjechać.

– Ale on jest chory. Grypa.

To wobec tego reszta rodziny, rzekła.

– Tak – odrzekł i odłożył słuchawkę. Coś szumiało, jakiś dźwięk wdzierał mu się do uszu. Kawa. Wykipiała. Pośpiesznie podniósł dzbanek. Przyniósł szmatkę i wytarł trochę wokół, ale nie zamierzał podnosić całej płyty i sprzątać dokładnie, nie teraz, zrobi to innym razem, co płuca miały wspólnego z sercem? Woda w płucach? Zerknął na zamknięte drzwi do pokoju, gdzie siedział ojciec. Nie. Nie ma mowy. Ale trzeba... musiał zadzwonić do Torunn. A Erlend? Torunn go powiadomi. I trzeba zadzwonić do Margida, a może szpital sam już dał mu znać? Na wszelki wypadek powinien zadzwonić.

Zanim odebrała telefon, minęła dłuższa chwila. Głos miała schrypnięty i prawie nie do poznania, przestraszył się.

– Jesteś chora? Leżysz?

Zakaszlała. Odpowiedziała tylko, że ależ nie, ależ tak, nie jest chora, tylko leży, bo jeszcze spała, tylko tyle. Jeszcze raz kaszlnęła i rzekła, że to okropne, to z Siri i jej dwójką młodych.

– To się dość często zdarza. Że maciora zagniecie młode na śmierć. Badają to zjawisko, w Norsvin. Używają do hodowli tych macior, które tego nie robią.

Powiedziała, że to interesujące, zakaszlała ponownie.

– Matce się pogorszyło. Twojej babci.

Zapytała, w jakim sensie.

– Coś z wodą w płucach. I tlenem. Serce. To na pewno tylko drobiazg, ale dzwonili. Teraz chyba tam pojadę. Od razu. Tak, tak zrobię. Czy możesz... Spotkałaś wczoraj Erlenda?

Potwierdziła. Było bardzo miło, powiedziała, to bardzo sympatyczny chłopak.

– On ma prawie czterdzieści lat – rzekł.

Nie to miała na myśli. Da znać Erlendowi, na pewno razem przyjadą do szpitala. Zadzwonił do Margido.

– Twierdzą, że jej się pogorszyło. Woda w płucach. Dostaje tlen.

– To już niewiele jej pozostało – rzekł Margido.

– Chcę to sam zobaczyć, zanim uwierzę – odpowiedział. – Ale teraz kawa mi się tu gotuje, wypiję tylko łyk i jadę. To widzimy się w szpitalu.

Nie, to niemożliwe, bo Margido był w drodze na pogrzeb do kościoła w Bakke, a dwie panie, które zatrudniał, już były na innych pogrzebach, dzisiaj mieli aż trzy, piątek był ulubionym dniem na pogrzeby, zupełnie nie był w stanie się wyrwać, teraz była jedenasta, i najwcześniej o drugiej mógłby tam być. Przyjedzie w każdym razie tak szybko, jak tylko da radę, i powtórzył raz jeszcze, że teraz już jej długo nie zostało.

Margido zawsze mówił rzeczy wprost, jeśli były złe, ale nigdy poza tym, dobrze, że wpadł na ten wybieg z kawą i że się nie rozzłościł. Od siedmiu lat nigdy nie zrobił niczego dobrego dla swojej matki, nie odwiedził jej, nie przysłał kwiatka ani kartki, albo cokolwiek, co się robi, kiedy się nie mieszka razem. Erlend też nie, oczywiście, ale Erlend to był osobny rozdział. Ostatnim

razem, gdy Margido był tutaj, pokłócili się okropnie z matką, on poszedł w tym czasie do obory.

Do krów. Tęsknił za nimi, nagle tęsknił za nimi wprost okropnie. W tym momencie nawet chętnie myłby wymiona, czuł słodki zapach ciepłego mleka, patrzyłby, jak machają ogonami. Ich dźwięki, bezpieczne dźwięki, zawsze obecne, rano i wieczorem, świnie to nie to samo, nigdy w całym życiu nie zdarzyło mu się, żeby krowa zagniotła na śmierć cielaka. Nalał sobie pół kubka kawy i zjadł chleb z letnimi konfiturami.

Twarz miała czerwoną, to pewnie od gorączki. Tak bardzo chciałby zobaczyć jej oczy, napotkać spojrzenie. Od tych powiek można było zwariować, ale teraz, na szczęście, większa część krzywizny twarzy przykryta była maską tlenową. Maszyna, do której była podłączona, wydawała świszczący dźwięk. W środku były dwie pielęgniarki, ale wyszły, gdy tylko usiadł na krześle. Jedna z nich przed odejściem poklepała go po ramieniu i posłała mu szybki uśmiech.

Wziął w dłoń starą rękę, dobrze znaną, spracowaną rękę. Ileż ona zrobiła, była wszędzie obecna, w wiadrach z wodą do mycia podłóg, przy robieniu jedzenia, dzierganiu na drutach, w owocach zbieranych z krzaka za stodołą. Przyłożył tę rękę do policzka i poczuł zimno. Skóra wydzielała ostry zapach, podobny do zapachu spod paska od zegarka.

Gdy otworzyły się drzwi, gwałtownie podniósł głowę. Oboje byli bladzi i wymęczeni, wyglądali prawie jak chorzy.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało – rzekł Erlend, opadając na krzesło.

– Co mówią lekarze? – zapytała Torunn.

– Nie rozmawiałem z nimi. Ona teraz po prostu leży i choruje. To na pewno jej przejdzie. Jakiś wirus. Dużo tego obecnie.

– Skorzystam z łazienki – powiedział Erlend i zamknął się w niej. Woda była odkręcona najmocniej jak można, ale i tak przez dźwięk szumiącej wody słyszeli wyraźnie, jak Erlend wymiotuje.

Torunn uśmiechnęła się ostrożnie i rzekła: – Wczoraj długo siedzieliśmy. Mieliśmy dużo tematów. Było trochę wina. I koniaku...

– Jesteście przecież dorosłymi ludźmi. Nie musisz mi się tłumaczyć.

Mieli kaca, widocznie uznali za stosowne urżnąć się w luksusowym hotelu, podczas gdy ona leżała tutaj samotnie w szpitalu. Erlend po wyjściu z łazienki był kredowobiały na twarzy.

– Muszę wypić trochę soku – powiedział. – Podnieść poziom cukru we krwi.

– Ja również – rzekła Torunn. – Wiem, gdzie stoi.

Oboje zniknęli za drzwiami, a on znów spojrzał na trzymaną dłoń. A potem na maszynę, gdzie jej serce widać było jako zieloną linię z małymi górkami po każdym uderzeniu. Nagle wszystko się zatrzymało, linia stała się płaska, lampa zaczęła migotać, chyba rozległ się też jakiś głośny dźwięk, podniósł się i zerwał z niej maskę, szczypiąc ją w policzki.

– Mamo! Mamo!

Wbiegła pielęgniarka, podniosła dłoń matki i ścisnęła ją dwoma palcami.

– Czy coś nie tak z maszyną? Przecież ona ma puls? – wykrzyknął.

Pielęgniarka powoli położyła dłoń na kołdrze.

– Chyba właśnie odeszła – powiedziała. – Bardzo mi przykro. Była taka chora, nie można było spodziewać się niczego innego. I do tego takie pogorszenie w całej sytuacji. Proszę usiąść teraz tutaj, przyniosę gromnicę.

Skinął głową i usiadł. Jej twarz. Stała się gładsza. Usta lekko się rozchyliły. Wyciągnął rękę i podniósł jej jedną powiekę. Ukazała się żółtawa, gładka kula ze spojrzeniem pośrodku, spojrzeniem, którego nie rozpoznawał. Przyciągnął ku sobie jej dłoń, a powieka wróciła na swoje miejsce. Pielęgniarka weszła, niosąc lichtarz z białą świecą, postawiła go na nocnym stoliku i odłączyła matkę od całej aparatury, a potem zapaliła świecę.

– Czy z panem wszystko w porządku? – wyszeptała. – Proszę pomyśleć, że nie cierpiała. Zasnęła po prostu, całkowicie bez bólu.

Ktoś się zaśmiał. To Erlend i Torunn wracali, niosąc każde po szklance soku. Usłyszał dźwięk szczękających kostek lodu. Zatrzymali się i tak stali.

– Czy ona... – powiedziała Torunn.

– Tak – rzekła pielęgniarka.

Erlend podszedł do łóżka, odstawił swoją szklankę na nocny stolik i pogłaskał matkę po policzku.

– Jest ciepła – powiedział.

– Bo ma gorączkę – odrzekł Tor. – Miała.

Nie, to było niemożliwe. Nie był w stanie się w tym odnaleźć.

C Z Ę Ś Ć 3

ROZDZIAŁ 12

Ojciec spadł z krzesła i leżał na podłodze. Pielęgniarka pośpiesznie przyniosła z łazienki ręcznik, zanurzyła go w zimnej wodzie, a potem ukucnęła i przetarła nim jego czoło.

– Mieszkał z nią przez całe swoje życie – rzekł Erlend. – Powinna była pochorować trochę dłużej, żeby miał czas oswoić się z tą myślą.

Otworzył oczy. Leżał na boku z rozpiętą kurtką. Zobaczyła, że koszula pod swetrem ma kołnierzyk po wewnętrznej stronie żółty od brudu, i poczuła dla niego nagłe, spóźnione współczucie.

– On zaraz dojdzie do siebie – powiedziała pielęgniarka. – Przyniosę wam trochę kawy i po kawałku ciasta. Może w dodatku nic nie jadł.

Ukucnęła przy ojcu. – Czy wszystko w porządku? Zemdlałeś.

– Zemdlałem?

– Spadłeś z krzesła prosto na podłogę. Ale zdaje się, że nie uderzyłeś się w głowę, upadłeś tak jakoś... bokiem. Niosą nam teraz kawę. Chcesz wstać?

Erlend pomógł, posadzili go z powrotem na krześle. Wtedy jakby na nowo zauważył staruszkę leżącą w łóżku. Zamknął oczy

i wydał dziwny krzyk przez zaciśnięte wargi. Weszła pielęgniarka, niosąc na tacy kawę, trzy plastikowe kubki i kilka kawałków ciasta Mor Monsen.

– On używa też cukru w kostkach – rzekła. Pielęgniarka skinęła głową i ponownie znikła.

Ojciec siedział pochylony na krześle, złożone dłonie przyciskał do brzucha. Wymieniła spojrzenie z Erlendem.

– Margido wie, jak... – powiedział ojciec. – Będzie tutaj o drugiej. Nie mógł przyjechać wcześniej. On ma... on ma...

Wyprowadziła Erlenda na korytarz.

– Nie możemy go tutaj zostawić – rzekła. – Trzeba go odwieźć do domu.

– Na litość boską, Torunn!

– Sam to powiedziałeś! Mieszkał z nią przez całe swoje życie! Ktoś musi przecież...

– Ja nie dam rady! W poniedziałek jest wigilia! Chcę wracać do domu, do mojego życia!

– Ależ jak najbardziej, dasz radę. A ja to co? Mam niby sama to... Przecież on jest twoim bratem! I twój ojciec siedzi tam w domu i... i...

Zaczęła płakać, objął ją ramionami.

– Spróbuję – wyszeptał. – W końcu mam ze sobą relanium. Tor też może dostać jedno, ale wtedy musimy zajechać do hotelu, żeby je zabrać. I muszę zadzwonić do Krumme.

Przełknęła jakoś łzy, teraz trzeba było myśleć racjonalnie, wysunęła się z jego objęć.

– Wymeldуję się z pokoju w Royal Garden – rzekła. – I przenocuję w Neshov.

– No, tego to ja nie zrobię! – odparł – w końcu wszystko ma swoje granice!

– Bardzo cię proszę. Ja nawet nie znam dobrze domu. Nie wiem przecież, gdzie... Czy nie możesz teraz przez chwilę pobyć moim wujkiem, przede wszystkim? Nawet jeśli nie...

Przez kilka sekund stał całkiem cicho z wzrokiem wbitym w podłogę, potem wolno skinął głową.

Ojciec nie chciał czekać na Margida, gdy go o to spytali, potrząsnął tylko głową.

– Do domu – rzekł.

Sprawę kontaktu z Margidem pozostawiła szpitalowi, Erlend dał im jego numer telefonu komórkowego. Gdy wyszli, padał śnieg. Szli, prowadząc między sobą ojca Torunn, nie pamiętał, gdzie zostawił samochód, ale ona go zauważyła.

– Ja prowadzę – powiedziała.

– Ja i tak nie mam prawa jazdy – rzekł Erlend. Musiał usunąć trochę śmieci z tylnego siedzenia. Miał na sobie jasne spodnie, będzie brudny od siedzenia tam – pomyślała. Nie wspomniał ani słowem o zapachu. Samochód odpalił za pierwszym razem, ale sporo namęczyła się z biegami, zanim udało jej się wrzucić wsteczny. Sprzęgło działało dopiero maksymalnie wciśnięte. I nie było wspomagania.

– Gdzie są wycieraczki?

Ojciec nie odpowiedział, siedział ze zwieszoną głową i rękami złożonymi na kolanach.

– No cóż, ja tego nie wiem! – rzekł Erlend, wychylając się między siedzeniami do przodu i studiując nerwowo wszystkie przyciski na tablicy rozdzielczej.

W końcu udało jej się jakoś dogrzebać zarówno do wycieraczek, jak i do ogrzewania, ale całą sobą czuła, że tego nie chce. Nie chce, ale musi. Jechać do tego rozpadającego się gospodarstwa, z ojcem na granicy załamania nerwowego. Nie miała żadnego doświadczenia z ludźmi pogrążonymi w smutku. Dobrze, że Erlend miał relanium, chemiczne spłaszczenie myśli będzie teraz dla ojca najlepszym rozwiązaniem. Ale co z chlewem?

Wyjechali z terenu szpitala i ruszyli w stronę hotelu. Gdy samochód stanął przed głównym wejściem, ojciec podniósł głowę.

– Do domu – powiedział. – Nie tutaj.

– Weźmiemy tylko nasze rzeczy i się wymeldujemy, zostawię samochód włączony i na luzie, żeby było ciepło, okej? Dasz radę posiedzieć tu i poczekać?

Nic nie odpowiedział.

Erlend zapłacił za nich oboje, a ona nie protestowała.

– To tylko kawałek plastiku – rzekł – nie prawdziwe pieniądze. Idź lepiej do Tora, a ja to załatwię.

Siedział tak samo jak wcześniej. W samochodzie było gorąco, szyby odparowały. Nie udało jej się otworzyć bagażnika, musiała wczołgać się przez tylne siedzenie i przerzucić swoją torbę od tej strony. Na tylnym siedzeniu leżał wielki przyrząd, były to, jak sądziła, wnyki.

– Trzymasz tutaj wnyki? Przecież chyba tego nie używasz?

Potrząsnął głową. – Znalazłem je. Na polu. Zamierzałem... dać je komuś.

Dalej już nie pytała, usiadła za kierownicą, zapaliła papierosa i uchyliła odrobinę okno.

Erlend zadzwonił z samochodu do Krumme. Mówił krótko i rzeczowo, matka nie żyje, jadą z Torem do domu, nie zdąży na samolot dzisiaj, nie wie, kiedy będzie.

– Kieruj się drogowskazami na Flakk – rzekł ojciec.

Jechali przez świątecznie przyozdobione miasto. Na chodnikach było pełno ludzi, a wszystkie wystawy konkurowały ze sobą o palmę pierwszeństwa.

– *Less is more* – mruknął Erlend.

– Co?

– Nic. Tylko mówiłem do siebie.

Do samego Flakk nikt już nic nie powiedział. Za nimi widniała ściana chmur, a tutaj niebo było bladobłękitne, dwa promy mijały się właśnie na środku fiordu.

– To chore, że tutaj jestem – odezwał się Erlend.

Spojrzała na niego w lusterku.

– Miałem przecież tylko się z nią pożegnać. Chociaż ona nigdy nie powiedziała mi nawet do widzenia.

– Daj spokój – rzekł ojciec.

Erlend powiedział jej, gdzie ma skręcić, nie pamiętała drogi, rozpoznała okolicę dopiero wtedy, gdy znaleźli się w pompatycznej alei.

Gdy tylko zaparkowała na podwórku, ojciec natychmiast wysiadł z samochodu i skierował kroki do chlewu.

– Tato! – zawołała. Po raz pierwszy w życiu tak go nazwała. Nie zatrzymał się.

– Ale najpierw musimy przecież wejść do domu! Powiedzieć to!

Zamknął za sobą drzwi do chlewu.

– To dopiero czeka nas ładna zabawa – rzekł Erlend. – Czy nie lepiej po prostu stąd pojechać? Na stopa z powrotem do miasta. Tutaj słabo to jakoś wygląda. Mimo że gówno przykryte jest akurat półmetrowym śniegiem...

– Przestań. Nawet go jeszcze nie poznałam.

Stary człowiek siedział w pokoju z telewizorem. Jej dziadek. Gdy przeszli przez kuchnię i weszli do środka, podniósł głowę. Był zarośnięty i zaniedbany, miał na sobie dziurawe i poplamione ubrania i mnóstwo łupieżu na ramionach. Na kolanach trzymał grubą książkę, a w lewej ręce szkło powiększające. W książce były zdjęcia, zdążyła zobaczyć wśród nich portret Hitlera, rozpoznała go nawet w pozycji do góry nogami. Dla starych ludzi wojna najwyraźniej nigdy się nie kończy – pomyślała.

– Cześć – powiedział Erlend, opierając się o framugę drzwi. – Jestem tutaj.

Podeszła, wyciągając do dziadka rękę. Przyjął ją bardzo powoli, z wielkim zdumieniem malującym się na twarzy. Paznokcie miał długie, w żółtawym kolorze musztardy, z czarnymi obwódkami.

– Jestem Torunn, córka Tora.

– Córka?

– Tak. Byłam tutaj w środę, ale ty chyba byłeś czymś zajęty.

– Ale ja nigdy...

– Ona nie żyje – powiedział Erlend.

Stary człowiek spojrzał na niego, nic nie mówiąc.

Erlend wsadził ręce do kieszeni.

– To się właśnie teraz stało – rzekła. – I mój ojciec jest w szoku, zemdlał w szpitalu, a teraz poszedł prosto do chlewu. Nie był

w stanie prowadzić samochodu, dlatego przyjechaliśmy razem z nim i zostaniemy na noc.

Erlend poszedł z powrotem do kuchni.

– Czy Anna już nie żyje? – zapytał dziadek. Miał zęby tylko w górnej szczęce, teraz to zauważyła, jak jego dolna warga sznuruje się wokół nagich dziąseł na dole, powodując że podbródek wystaje do przodu w ostry i starczy sposób.

– Tak. Odeszła zupełnie spokojnie. Pojawiła się u niej woda w płucach, to od serca. I gorączka, prawdopodobnie zaczynało się już zapalenie płuc. Nic więcej nie mogli zrobić. Nie cierpiała.

– Ach, tak. Nie. To jasne. A ty... jesteś Torunn. No tak. Kiedy...

– Teraz, przed południem. Przed chwilą.

– Nie, mam na myśli... że ty, że Tor...

– Ach, o to chodzi. Poznał moją matkę, służąc w wojsku. Ona tu też była jeden raz z wizytą. Zjadła pasztet.

– Właśnie. To pamiętam. To akurat pamiętam bardzo dokładnie. Ale że była w ciąży...

– Była. Ale to najwyraźniej nic nie pomogło. Muszę chyba pójść sprawdzić, jak się czuje mój ojciec.

W kuchni szepnęła do Erlenda: – On nawet nie wiedział o moim istnieniu. On też nie. To jest kompletnie chore.

Ojciec zamknął się od środka w chlewie. Nie znalazła żadnej dziurki od klucza.

– Od wewnątrz jest rygiel – powiedział Erlend. Przyszedł za nią i właśnie zapalił papierosa. – Kurwa, jak tam jest brudno. Znów o mało co się nie porzygałem.

– Czy nie ma innego wejścia do chlewu?

– Przez stryszek, mogę ci pokazać. Ale musisz wleźć tam sama, nie zamierzam zniszczyć sobie ubrań. Ta wycieczka samochodowa wystarczyła, żeby...

– Ależ tak, wejdę sama.

Nie zdążył upić zbyt dużo z butelki whisky, prawdopodobnie nie więcej, niż było mu rzeczywiście potrzebne. Siedział na jutowym worku w boksie Siri, na tyle blisko niej, że powinien był przebrać się w kombinezon i robocze buty. Siri leżała obok, a jej dzieci spały pod czerwoną lampą grzewczą. Odstawione młode prosięta w pozostałych boksach kwiczały na jej widok i wyrywały się do niej, a maciory spoglądały spod oka, potrząsając uszami.

– Chcę być sam – powiedział i mocniej schwycił szyjkę butelki z whisky. Kupiona w radosnej, świątecznej szczodrości, stała teraz na słomie i trocinach i miała ukoić smutek.

– Jasne. Chciałam się tylko upewnić, że nie...

– Nic sobie nie zrobię. Nie jestem taki. Muszę pilnować świń.

– Pomogę ci, zostaniemy tutaj, Erlend i ja, pomogę ci w chlewie. Damy sobie radę razem, przenocujemy tu dziś, najważniejsze to przeżyć jakoś dzisiejszy dzień.

Skinął głową.

– Czy mogę otworzyć od wewnątrz drzwi chlewu? Tylko na wszelki wypadek? Obiecuję, że nie będziemy ci przeszkadzać.

Ponownie skinął głową.

– Jesteś dobra – powiedział.

Erlend nadal stał na podwórku, akurat wdeptywał w śnieg niedopałek.

– Tak sobie myślałem – rzekł – że coś tu trzeba przedsięwziąć. W tej kuchni nie da się przebywać, jeśli czegoś tam najpierw nie zrobimy. Proponuję *full action*, tak po prostu, żeby przetrwać. Chodź, jesteś kierowcą.

W sklepie w Spongdal napełnili kosz po same brzegi. Erlend wybrał dwa plastikowe wiadra, wziął gumowe rękawice, spory zestaw ścierek, płyn do podłóg, amoniak, pastę do szorowania, gąbki, odplamiacz Bio-tex, papierowe ręczniki, a także chleb i coś do chleba, puszki z zupą mięsną, masło, kawę i czekoladę, piwo i napoje gazowane, jak również gazety oraz rolkę czarnych worków. Zapłacił kartą Visa, wkurzywszy się najpierw, że nie przyjmują karty Diners. Rolkę worków otworzył natychmiast i spakował do nich wszystkie zakupy.

– Zakręcimy je dobrze, żeby nie przedostał się do wszystkiego zapach samochodu. Nie jestem w stanie go znieść. Wszystkie środki czyszczące pakuję tu do jednego worka, a jedzenie postawimy póki co na podwórku, do czasu aż w środku będzie w miarę czysto. Czysto to pojęcie względne, kwiatuszku. Na początek skupmy się na kuchni. I na łazience na górze. Chyba muszę wziąć relanium, zanim tam wejdę.

W skrzyni stojącej w korytarzu znalazł dla nich obojga fartuchy, były czyste i wyprasowane, starannie złożone na kant.

– Na pewno leżą tutaj od dziesięcioleci, pamiętam je, to jej fartuchy niedzielne. W gospodarstwie jest mianowicie tak, że ma się odświętny fartuch na niedzielę i brzydki na co dzień. Wolisz w zieloną kratkę czy czerwony z białymi kwiatuszkami wzdłuż brzegu. Sądzę, że mnie będzie do twarzy w zielonym.

– Erlendzie, czy nie jest ci smutno?

– Bo ona nie żyje czy dlatego, że musiałem przyjechać tutaj?

– Bo ona nie żyje.

– Nie, nie jest. Ale to wszystko razem stanowi niezły bigos. I z tego powodu jest mi przykro. Tęsknię za Krumme i staram się o nim nie myśleć. Ale gdy jest mi smutno, muszę coś robić. To pewnie ta robotna chłopska dusza się we mnie odzywa.

Dziadka nie było już w salonie.

– Poszukamy go?

– On lubi wałęsać się w samotności. Pewnie też musi przetrawić nowiny. Teraz będziemy tu sprzątać, brataniczko.

Założyli fartuchy, obydwa miały troczki do wiązania zarówno na karku, jak i z tyłu na plecach. Z rękami w żółtych gumowych rękawicach spojrzeli na siebie, roześmiali się. Trudno było zdecydować, od czego zacząć. Erlend otworzył nowy worek na śmieci, wrzucił do niego ścierkę i ręczniki, szczotkę do naczyń oraz kilka łapek kuchennych, których koloru nie można było określić, a także parę brudnych fartuchów wiszących na haku przy drzwiach. Napełnił miskę wodą z proszkiem, zdjął firanki i zamoczył je w wodzie. Torunn zaczęła opróżniać lodówkę. Dobrze było pracować w rękawicach i fartuchu, czuła się chroniona, ale i to nie zapobiegło mdłościom, w środku leżało stare, zeschnięte jedzenie, spodeczki z resztkami czegoś, czego nie można było zidentyfikować, za wyjątkiem talerza z odrobiną owsianki, która tak się przykleiła, że Torunn musiała odskrobywać ją nożem. Napełniła zlew wodą i zanurzyła w niej naczynia.

– Wyrzuć wszystko z tej lodówki – powiedział Erlend. – Wszystko! Najwyżej pojedziemy jeszcze raz do sklepu. I odłącz ją od prądu, żeby się odmroziła.

– Nie będę przecież wyrzucała nieotwartego kartonu z mlekiem?

– Ależ tak! Po tych wiekach, jakie przestał w tej lodówce, tak.

– W gruncie rzeczy mamy kaca. Nie wyobrażam sobie gorszego dnia na kaca.

– Tak, to jest ponad wszelkie wyobrażenie. Ja przynajmniej trochę sobie rzygnąłem. To był prawdopodobnie ostatni dźwięk, jaki usłyszała. Syn homoseksualista rzygający winem i koniakiem.

Zachichotała, to wszystko było całkowicie surrealistyczne, zaledwie parę dni wcześniej stała przy mównicy w Asker i prowadziła wykład o porządku hierarchicznym wśród zwierząt stadnych.

– My za to, kurwa, żywcem do nieba pójdziemy – rzekł Erlend. – Dostaniemy tam czerwony dywanik i barek do dyspozycji.

– Tak strasznie się cieszę, że przyjechałeś tu ze mną, wujku.

– Dobra, dobra, to ja jestem w gruncie rzeczy synem marnotrawnym. Może Tor zarżnie coś młodego i kruchego na moje przybycie.

Mały bojler kuchenny szybko się opróżnił, nastawili więc dwa pełne garnki wody do podgrzania. To nie było takie sprzątanie, gdzie ledwie widać różnicę między stanem poprzednim a obecnym, to było sprzątanie rodem z reklam telewizyjnych, gdzie ścierka zostawia jasne smugi na czarnej powierzchni.

– W łazience też jest bojler – powiedział Erlend. – Pójdę do góry i przyniosę pełne wiadro, tyle chyba dam radę zrobić bez relanium.

– Może twój ojciec się położył, jak sądzisz?

– Niewykluczone. Starzy ludzie kładą się, gdy życie w stanie siedzącym akurat im się nie podoba.

Margido zadzwonił w chwili, gdy stojąc, myła sufit nad kuchenką za pomocą zmoczonej w wodzie z amoniakiem ścierki owiniętej wokół miotły na długim kiju. Nad kuchenką nie było żadnego wyciągu, tłuszcz spływał ze ściany czarno-pomarańczowymi paskami. Odebrała telefon, nie zdejmując gumowych rękawic, dziurki na dole słuchawki też były ciemnobrązowe i prawie obrośnięte brudem. Erlend akurat opróżniał szafki, wkładając do worka na śmieci puste pudełka po śmietanie, butelki i inne opakowania oraz sporą ilość produktów suchych i prawie pustych torebek z mąką.

Margido dzwonił ze szpitala i musiał jeszcze raz upewnić się, że połączył się z Neshov.

– Tak, tutaj Torunn, przecież już powiedziałam.

Ach tak, a więc tam była. Chciał tylko ustalić z Torem, jak to wszystko załatwią.

– On jest teraz w chlewie. Nie czuje się najlepiej. Czy mam poprosić, żeby do ciebie oddzwonił?

Nie było pośpiechu. Oczywiście trudno byłoby zorganizować pogrzeb jeszcze przed świętami, będzie zadowolony, jeśli uda się to zrobić w czwartek, pierwszego dnia po świętach, to nie będzie nic kosztować, musi powiedzieć to Torowi, bo Tor ma obawy przed

wydawaniem pieniędzy, a teraz zasiłek pogrzebowy został zlikwidowany, a on o tym na pewno jeszcze nie wie. Koszty, jakie wynikną z zewnątrz, Margido pokryje w całości. A sprawę nekrologu załatwi w taki sposób, żeby już jutro pojawił się w gazecie, zna kogoś w redakcji. Czy sądzi, że Tor albo Erlend mają tu jakieś preferencje?

– W jakim sensie?

W kwestii nekrologu. Wiersz i tak dalej.

– Sądzę, że prawie na pewno zdają się w tym na ciebie.

A co z czuwaniem przy zmarłej, dziś wieczorem w kaplicy szpitalnej, czy Tor tego chce?

– Poproszę, żeby do ciebie zadzwonił.

Stała tam z rękawicą gumową przyciśniętą do ucha i myślała o tym, co wcześniej powiedział, że nie będzie się dobrze czuła w tej rodzinie. Zamiast zakończyć rozmowę, powiedziała: – Sprzątamy. Erlend i ja.

Czy Erlend też tam był?

– Tutaj okropnie wygląda – rzekła. – Ktoś musi przecież...

Przerwał jej, pytając, na ile zostaną.

– Skąd mam to wiedzieć? – krzyknęła. – Wszystko jest tu po prostu... Ona przecież właśnie umarła! A może ty mógłbyś tu przyjechać, co?

Nie mógł. Nie dzisiaj. Ale to jasne, że muszą któregoś dnia usiąść wspólnie i zaplanować uroczystości kościelne.

– A więc się tutaj nie wybierasz. Twoja matka nie żyje, a twój brat... I gdy ludzie... z którymi w zasadzie stanowi się rodzinę, padają na pyski, to wtedy chyba trzeba w gruncie rzeczy...

Miała się uspokoić. Nic nie rozumiała. A on nie miał czasu teraz dłużej rozmawiać.

– Ja też nie! – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Erlend klęczał przed lodówką i się śmiał.

– Ten telefon jest taki brudny – powiedziała – że trzeba go rozłożyć na części i wyszorować.

ROZDZIAŁ 13

Najgorsze było nie to, że odeszła, tylko że go do tego w żaden sposób nie przygotowała. Mogła powiedzieć coś o tym, że czuje się już stara i niedołężna. Gospodarstwo nie było jego, co teraz z tym wszystkim się stanie. Trzeba będzie wysłać wszystkie świnie do rzeźni Eidsmo zaraz po nowym roku. Sprzedać. Co on ze sobą zrobi, gdzie będzie mieszkał. I Torunn chciała przenocować, teraz chciała, a on nie czuł już z tego powodu żadnej radości. Co ona o tym wszystkim sobie myślała. I Erlend. Co tu po nim.

Nie chciał już więcej pić. Musi porozmawiać z Margidem. Nie przebierając się, w roboczym kombinezonie i butach wyszedł z chlewu i wszedł do domu, żeby zadzwonić.

Stał w drzwiach kuchennych i nie wierzył własnym oczom. Krzątali się i sprzątali, w odświętnych fartuchach matki. Dwa wielkie worki ze śmieciami stały na środku podłogi, pełne po brzegi, dojrzał w jednym z nich torebki z mąką i opakowania po śmietanie, firanek nie było, po szybach spływała wilgoć.

– Ale co wy robicie? Nie wolno wam w żadnym wypadku wyrzucać tego, co matka...

– Właśnie, że tak – powiedział Erlend. – Musimy. Tutaj okropnie wygląda. Jak w slumsach.

– Przecież myśmy tutaj utrzymywali taki porządek! Ja też, jak tylko matka poszła do szpitala!

– To wobec tego potrzebujesz okularów – rzekł Erlend.

– Ona przecież... dopiero co umarła!

– Ale my tutaj musimy przebywać – powiedziała Torunn. – A skoro tak, to trzeba trochę...

– To możecie wobec tego tutaj nie przebywać.

Przeszedł do biura, Torunn ruszyła za nim, usiadł ciężko na krześle przy biurku, a ona stała przed nim, trzymając ociekającą wodą ścierkę.

– Dzwonił Margido.

Streściła mu, co powiedział, że pokryje wszystkie koszty i że zastanawiał się, czy chcą zrobić czuwanie przy zmarłej w kaplicy szpitalnej.

– Nie. Wszyscy już ją widzieliśmy. Zadzwonię do niego i mu to powiem.

– Twój ojciec jej nie widział.

– On nie musi.

– Ale nawet go nie zapytasz? Żeby mógł zdecydować sam?

– Nie. On nie da rady. To byłoby dla niego zbyt wiele.

Zrozumiał, że akceptuje to kłamstwo, gdy kontynuowała: – Posłuchaj... teraz tutaj będzie ładnie. Nie wyrzucamy żadnych porządnych rzeczy, tylko te bardzo stare. Kupimy nowe, a Erlend mówi, że w szafie, o której wie, pełno jest czystych ręczników, ściereczek i takich rzeczy. Będziemy tutaj i chcemy ci pomóc.

– Ale nie musicie w związku z tym zmieniać wszystkiego. A firanki, one... Zawsze tutaj wisiały. Ona przecież właśnie...

– Są zamoczone. Zaraz po praniu znów je powiesimy. Wyprasujemy i powiesimy. Wszystko będzie takie samo, tylko czyste. I kupiliśmy jedzenie.

– Ach tak. A firanki, więc one nie...

– Ależ nie, zostaną znów powieszone. Czyste i ładne.

Słyszał jej głos, jak mówi do niego jak do małego dziecka, a ona była tą dorosłą osobą, powtarzającą uspokajające słowa.

– Ale dlaczego one akurat tak bardzo cię obchodzą?

– Nie, ja tylko...

Jak jej wyjaśnić, że to przy tych firankach zawsze siadywali, on i matka, rozmawiając o wszystkim i o niczym, odsłaniając czasami brzeg tiulowego materiału, żeby spojrzeć na termometr albo na podwórko, na padający śnieg lub deszcz, na wieczorne cienie kładące się wśród drzew w obejściu, pijąc kawę i pogryzając czymś słodkim. Widzieć to okno takie jak teraz, nagie i prostokątne... Zawsze tam wisiały.

– Często tam siadywaliśmy. Matka i ja – powiedział.

– Przy stole koło okna?

– Tak.

– Rozmawialiście sobie i było wam miło?

Nagle miał dosyć jej protekcjonalnego tonu, poczuł ohydną chęć wytrącenia jej z tej roli, znalezienia się znów na wierzchu. To była jego żałoba.

– Rozmawialiśmy o wielu różnych rzeczach. Matka nigdy nie rozstała się z tematem wojny – rzekł.

– Tak, pewnie tak się zawsze dzieje, jeśli samemu się ją przeżyło. Dobrze to rozumiem.

Znów ją lubił, mogła powiedzieć coś w tym stylu, że starzy ludzie nigdy nie mają dosyć wojny, ale nie zrobiła tego.

– Dużo wiedziała, wszystko śledziła. Hitler chciał tutaj zbudować wielkie miasto. Ponad pięćdziesiąt tysięcy tarasowych domów i największą na świecie bazę mariny – powiedział.

– Tutaj? Teraz chyba sobie żartujesz.

– Ależ skąd, nie żartuję. Niemcy sadzili tu nawet drzewa. Berlińskie topole, które przywieźli ze swojej ojczyzny. Żeby nie tęsknić zbyt mocno za domem. Posadzili je głęboko i starannie. I nic to nie pomogło.

– Zginęły?

– Nie. Dzisiaj są ogromne. Po odjeździe Niemców zrobiło się bardzo ciepło.

– I o tym właśnie rozmawialiście – rzekła.

– Tak. Ona powiedziała... zawsze mówiła, że to, co zdoła urosnąć, przetrwa. Bardzo interesowały ją te drzewa...

Przerwał i zatrzymał wzrok na szmacianym dywaniku. Był brudny. Trudno było dostrzec, z jakich kolorów został kiedyś utkany. Mogła coś teraz powiedzieć, że bredzi, że pewnie wypił za dużo whisky, skoro siedzi tutaj jak jakiś głupek i ględzi o firankach i bazach mariny, i niemieckich drzewach, ale zamiast tego skinęła tylko kilkakrotnie głową, zupełnie jakby rozumiała, co ma na myśli, i z powrotem poszła do kuchni. Zostawiła za sobą otwarte drzwi, w radiu w programie pierwszym zaczął się właśnie cykliczny program rozrywkowy, słychać było zagraniczną kolędę.

Rozejrzał się po biurku, pogrzebał chwilę w papierach, w stosie etykiet z paszy treściwej, wkrótce rozliczenie roczne, najgorsza robota na świecie, którą musiał wykonać całkiem sam. Matka słuchała go, gdy się skarżył, odciągała go od papierów w chwili, gdy miał ich już więcej niż dosyć, wołała na kawę i czasem coś świeżo upieczonego. Kupili jedzenie, Torunn i Erlend. Przecież zamrażarki stały pełne. Mnóstwo jagód, które leżały tam od wielu lat, ale na pewno też jakieś mięso, no i ryby. Trudno było pozbierać myśli, whisky nie nadawała się do niczego, paliło go w gardle i bolał brzuch. Na szczęście nie wypił zbyt dużo. Nie trzeba było opowiadać jej o tych Niemcach i ich drzewach, to było coś prywatnego, jego i matki.

– To ruszam do góry – usłyszał głos Erlenda. – Trzymaj za mnie kciuki, *I'm going in*.

– Nie! – zerwał się z krzesła i wyskoczył na korytarz. – Nie – powtórzył.

Erlend trzymał w ręce wiadro z parującą wodą, nieotwartą plastikową torebkę ze szmatką w środku oraz butelkę środka do szorowania.

– Nie... Nie możesz, nie wolno ci – powiedział.

– Nie wolno mi czego? – zapytał Erlend.

– Nie ruszaj jej pokoju.

– Nie zamierzam ruszać jej pokoju, sprzątnę łazienkę. Wydaje mi się, że pamiętam, jak ta wanna była swego czasu jasnoniebieska. I teraz zamierzam sprawdzić, czy to się zgadza.

– Mamy w domu żałobę. A wy tylko... wy tylko...

– Słuchaj no. Nie musisz już więcej o wszystkim myśleć. Skup się na tym, co jest ważne. Twoje świnie nie mają pojęcia, że matka

nie żyje. Dla nich to jest całkiem zwyczajny dzień.

Czy Erlend uważał, że on nie zajmuje się swoimi zwierzętami?

– Ależ one mają się dobrze!

– Nie to miałem na myśli – rzekł Erlend. – Rozumiem, że to dla ciebie jest okropne. Próbujemy tylko trochę pomóc. A widziałeś, jak wygląda podłoga po tych twoich butach? I kombinezon prosto z chlewu, matce by się to nie podobało. Ona w takim samym stopniu nie lubiła w domu zapachu chlewu, jak ja.

Słowa uspokoiły go, był w nich jakiś cień normalności. Matce faktycznie by się to nie podobało, Erlend miał rację.

– Poza tym w kuchni skończyło się drewno, może mógłbyś przynieść trochę.

Erlend poszedł schodami do góry. Czarne spodnie i czarny sweter, i po dwie zielone kokardki, na karku i na pośladkach. Nigdy nie sądził, że jeszcze kiedyś ujrzy go w tym domu, a teraz szedł tam po schodach na górę z wiadrem pełnym parującej wody i piany. Fartuszek i kolczyk w uchu, dorosły mężczyzna.

Wziął z kuchni cynkową balię.

– Czy już lepiej? – zapytała Torunn. Stała przed kuchenką, płyta była podniesiona. Stała tam i skrobała kuchenkę łyżką, czyżby fusy naprawdę tak mocno przywarły, gdy wykipiała mu dzisiaj kawa?

– Przyniosę drewna – powiedział.

– Kiedy idziesz zacząć robotę w chlewie?

– Tam nie ma początku ani końca pracy – rzekł i uważał sam, że to dobra odpowiedź. Co oni oboje o tym wiedzieli.

ROZDZIAŁ 14

Nie chciał spać w swoim dawnym pokoju, ale Torunn, proszę bardzo, mogła się tam położyć. Uśmiała się szczerze widząc, że wszystkie trzy plakaty na ścianach jego pokoju przedstawiają Davida Bowiego w okresie hermafrodytyzmu, mocno umalowanego i z nastroszonymi włosami.

Wielki tradycyjny dom w okolicach Trondheim miał zazwyczaj kilka sypialni na piętrze, tutaj było ich osiem. Przeszli je wszystkie w poszukiwaniu kołder, poduszek i pościeli. Czuł, jak przepocone ubranie przykleja mu się do ciała, a mdłości po myciu łazienki jeszcze stoją mu w gardle. Otwierał i zamykał drzwi, rozmawiał z Torunn, myśląc o Krumme i o tym, że będzie musiał spać tutaj w Neshov zamiast u siebie w domu. Kupili piwo, miał ze sobą relanium, może jakoś da radę. Nie znaleźli ani jednej porządnej kołdry, tylko ciężkie pierzyny, które znieśli do kuchni i rozwiesili między krzesłami do ogrzania, były bowiem sztywne od zimna. On sam zamierzał spać w dawnym pokoju dziadka Tallaka, Torunn poszła na górę z wiadrem wody, żeby zdjąć pajęczyny z nocnego stolika i karniszy oraz grzejników w obu pokojach. Gdy przypomniał jej, jak okropnie boi się pająków i że

w związku z tym musi sprawdzić wyjątkowo dokładnie okolice jego łóżka, stwierdziła autorytatywnie, że żadne pająki nie żyją w środku zimy, bo zapadają w sen. Ale jakiś szczególny kozak mógł przecież zawsze wypełznąć i śmiertelnie go przerazić.

W kuchni pachniało czystością. Dwa nowiuteńkie garnki z wodą były ciepłe, wymieszał jeszcze jedną porcję wody z płynem do mycia i zabrał do salonu, gdzie stał telewizor. Wyrzucił wszystkie rośliny poza jedną, która żyła. Puszki po jedzeniu owinięte folią aluminiową i okręcone wełną, Krumme nie uwierzyłby, gdyby mu o tym opowiedział. Parapety świeciły pustką, Tor prawdopodobnie będzie się tym nakręcał, ale na próżno. Umył stół, poręcze foteli, wyniósł poduszki i wyrzucił je na śnieg, gdzie leżały już szmaciane dywaniki. Najchętniej też by je wywalił, ale nie mógł przecież spakować do worka i pozbyć się całego gospodarstwa.

Nie miał odwagi zadzwonić do Krumme. Załamie się, jeśli usłyszy jego głos, i do tego nie potrafił powiedzieć, kiedy wraca do domu. Ale może gdyby Tor dawał sobie jakoś radę i gdyby kupili mu mnóstwo jedzenia, on i staruszek mogliby spokojnie spędzić święta sami. Zapomniał zadzwonić do linii lotniczych, Torunn, zdaje się, też o tym zapomniała. Wstawił wodę w dzbanku na kawę. Dzbanek był wyszorowany wełną stalową zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Puszka z kawą stała czysta. Przyniósł worek z jedzeniem i porozkładał wszystko na swoje miejsce w lodówce. Przycisk na uchwycie nadal miał brunatną plamę, przyniósł szmatkę i zaczął go szorować. W radiu debatowali nad sytuacją na Środkowym Wschodzie i zamachami samobójczymi.

Torunn zeszła ze schodów.

– Ten twój ojciec, on ma po prostu tak leżeć?

– Jasne. Wypijemy teraz kawę, a potem wybierzemy się na jeszcze jedną wycieczkę do sklepu. Czy Tor jest w chlewie?

– A niby gdzie. Mogę podejść na górę i zanieść kawę twojemu ojcu.

– Kawę do łóżka? Zdaje się, że tego to on nigdy nie zaznał.

– Na pewno tak. Każdy kiedyś tego zaznał.

Ukroili sobie kilka kromek chleba na desce z wypalonym wizerunkiem świni, deska została przedtem wyparzona wrzątkiem. Kupili wcześniej masło orzechowe, ser i wędlinę. Torunn zaniosła na górę kubek kawy, kostki cukru i dwie kromki chleba. Szybko zeszła z powrotem na dół.

– Ucieszył się?

– Był bardzo zaskoczony – powiedziała. – Ale tam też kiepsko wygląda. Ta pościel jest używana chyba od dłuższego czasu. I ten zapach! Leży i czyta. Trochę dziwne zważywszy, że właśnie umarła mu żona.

Stali przy blacie i jedli, krzesła zajęte były suszącymi się pierzynami.

– Poza tym uważam za dosyć okropne, że Margido dziś tu nie przyjechał – rzekła. – Żeby być razem z tobą i moim ojcem. Przecież jesteście braćmi, którzy stracili matkę. A tutaj jakoś w ogóle się nie czuje, żeby ktoś umarł. W takiej sytuacji w domu są kwiaty, krewni i...

– Chóry żałobników? Nikt przecież o tym nie wie. Gdyby sąsiedzi się dowiedzieli, na pewno przyszliby tu z kwiatkiem. To taka zwykła uprzejmość, nawet jeśli nie przyjaźnili się z matką. Po śmierci dziadka skończyły się wszelkie kontakty z sąsiadami.

Ustały w jedną noc. Umarły. Ale my kupimy sami trochę kwiatów, na pewno kilka roślin pokojowych, wyrzuciłem wszystkie poza jedną. I musimy się zastanowić, czy jeszcze czegoś potrzebujemy.

– Chleba chrupkiego do zupy mięsnej. I kilku dodatkowych parówek, żeby je do niej wrzucić, w tych puszkach jest tylko kilka nędznych kulek mięsnych. I mleko. Co zrobimy ze śmieciami?

– Spalimy. Zawsze spalaliśmy wszystko za stodołą. Wystarczy polać odrobiną parafiny.

W sklepie wybrał sześć roślin doniczkowych, unikając gwiazd betlejemskich i innych świątecznych. Mimo że w ofercie sklepu było tylko kilka nieprawdopodobnie brzydkich, plastikowych doniczek, kupił sześć zielonych. Torunn zamierzała wziąć świeczki-podgrzewacze. Żeby było trochę przyjemniej, powiedziała. On sam, idąc, myślał o ojcu, w jaki sposób skłonić go, żeby się umył. Po włożeniu do koszyka skarpet i bokserek, gdyż zabrał ze sobą o wiele za mało bielizny na zmianę, po namyśle dołożył dodatkowy zestaw dla ojca. Ale do łazienki musiał dotrzeć przed nim, póki jeszcze była czysta. Dlaczego ojciec chodził bez zębów w dolnej szczęce? Przecież musiało mu być trudno gryźć. Żeby tak wsysać w siebie jedzenie.

Kiedy wrócili, zabrał dywaniki i poduszki za róg domu i poświęcił im sporo czasu. Nakopał śniegu na chodniki, trzepał i ubijał poduszki, jednocześnie podziwiając widok. Zaczęło się ściemniać, niebo było czyste, a fiord rozpościerał się przed nim czarny, niezmącony najmniejszą falą. Pewnie, że było tu pięknie, jak powiedziała Torunn. Wiele razy w Kopenhadze wyobrażał sobie właśnie ten widok, jego czystość, ten otwarty, rozległy krajobraz.

Tym powietrzem tak dobrze się oddychało, było zupełnie inne niż atmosfera w domu, pełna spalin. Połacie lasów od ostatniego razu stały się wyższe i szersze. Sto lat temu w ogóle nie było tutaj drzew, opowiadał o tym dziadek Tallak. A lawina w dwudziestym ósmym zabrała prawie hektar ziemi uprawnej, pozostała tylko czysta glina. Strome zbocza zbiegały w stronę fiordu, prawie nie było tu płaskiego kawałka ziemi, wszystko schodziło w dół, ku wodzie. Nagle poczuł znów gwałtowną tęsknotę za dziadkiem, wyraźną i świeżą. To dopiero był smutek! Wtedy w gospodarstwie zapanowała prawdziwa żałoba, wszystkie pokoje pełne były ludzi w ten wieczór, gdy to się stało, wszyscy przynieśli ze sobą różne rodzaje potraw, bardziej nawet jedzenie niż kwiaty. Jeśli tak na to spojrzeć, to on i Torunn działali najzupełniej właściwie, kupili jedzenie, napełnili lodówkę, a teraz mieli gotować zupę mięsną. Torunn zamierzała tylko najpierw opłukać wszystkie talerze i sztućce.

Poukładał chodniki i poduszki na miejsce, Torunn zajęła się roślinami. Wziął prysznic, woda była ledwo letnia, ubrał się w czyste rzeczy i zapukał do pokoju ojca. W odpowiedzi rozległo się chrząknięcie, otworzył drzwi, a potem wciągnął głęboko powietrze i zatkał nos.

– Musisz się umyć – powiedział. – Tu masz nowe gatki i skarpetki. Resztę znajdziesz pewnie czystą gdzieś w szafie. Koszulę i spodnie, i tym podobne rzeczy, jakiś inny sweter też. Woda jeszcze się nie nagrzała, ale nastawiłem bojler na trójkę. Mógłbyś też obciąć sobie paznokcie, położyłem obcinacz na brzegu umywalki.

Ojciec spojrzał na niego z przerażeniem.

– Czy tu przyjdą jacyś ludzie?

– Nie. Tylko my, ale od ciebie brzydko pachnie. Torunn nie nawykła do czegoś takiego. A gdzie masz resztę swoich zębów?

– Zgubiłem.

– Wkrótce będzie zupa mięsna.

Tor siedział w pokoju z telewizorem. Odbiornik nie był włączony. Tkwił skulony w fotelu z wysokim oparciem i patrzył w przestrzeń, ubrany był w zwykłe domowe ubrania i miał wełniane skarpety na nogach obutych w drewniane chodaki.

Garnek z zupą mięsną stał na piecu.

– Rozmawiałaś z liniami lotniczymi? – zapytał Torunn.

– Zapomniałam o tym. Będę zmuszona kupić sobie nowy bilet. To mnie zrujnuje.

– Ja też o tym zapomniałem. Ale nie myśl o pieniądzach, ja to załatwię. Długoterminowa pożyczka. Bardzo długoterminowa.

Wziął z lodówki trzy piwa i otworzył je, jedno podał Torunn, poszedł do salonu i drugie wręczył Torowi. Musiał szturchnąć go w ramię, żeby w ogóle zwrócić na siebie jego uwagę. Tor drgnął i obojętnie przyjął butelkę, bez podziękowania.

– Teraz zrobiło się tu ładnie, nieprawdaż?

– Matka bardzo się starała z tymi puszkami – rzekł Tor. – Uważam, że były ładne.

– Były zardzewiałe. A rośliny martwe. Poza tym jedna została.

– No to niech sobie stoi, skoro tak.

– Tak, niech zostanie.

Położyli pierzyny w salonie na czas jedzenia. Były tylko trzy krzesła, Tor przyniósł stołek z korytarza. Ojciec cuchnął, trudno

było jeść. Widział, że Torunn to źle znosi, choć stara się tego nie okazywać, stół był mały i siedzieli blisko siebie.

Poczuł, jak śladowe współczucie dla ojca ustąpiło miejsca dawnemu obrzydzeniu, chociaż człowiek ten był mu tak obojętny, że nie poświęcił mu żadnej myśli przez dwadzieścia lat. Tor poruszał się jak robot, podszedł i usiadł przy stole. Teraz gapił się na jedzenie, a lewy łokieć oparł o róg stołu.

Nikt nic nie mówił. Zupa była znośna, Torunn dosoliła ją nieco, ale pomysł, żeby zrobiło się miło dzięki świeczkom, można było włożyć między bajki. Wszyscy unikali nawzajem swoich spojrzeń, skupiając uwagę na łyżce, talerzu i chlebie. Oglądał uważnie wzór na składanym stole z tworzywa, pamiętał, jak go kupili, jak męczyli się z rozłożeniem go. Kupił go dziadek Tallak, pewnego dnia po powrocie z miasta wszedł triumfująco do domu z wielkim pudłem, to był ostatni krzyk mody, jak utrzymywał, przypominający do złudzenia marmur. Teraz laminat znów był w modzie. Płyty na ścianach łazienki były z tego samego tworzywa, zrobienie tej łazienki kosztowało wówczas majątek, to było trzydzieści lat temu. Toaleta ze spłuczką i wanna, nad umywalką kran z ciepłą i zimną wodą. Wtedy w Neshov było nowocześnie. Przy ścianach rosły róże, uprawiali truskawki i hodowali kury, a w noc świętojańską na kamienistej plaży palili ognisko. No i ten świąteczny nastrój. Kolba z ziaren dla ptaków na drzewie na podwórku i owsianka dla duszka domowego w stodole, on i dziadek zanosili ją tam, nigdy nie przestał być na tyle dziecinny, żeby nie wierzyć w domowego duszka. Dziadek opowiadał, że duszek chodzi ubrany w szary kaftan i czerwoną

czapeczkę i mieszka pod drzewem na podwórku. A jeśli nie było się dla niego dobrym, to w gospodarstwie źle się wiodło.

Nie sądził, aby ktokolwiek zanosił świąteczną owsiankę duszkowi do stodoły przez minione dwadzieścia lat.

Torunn poszła z ojcem do chlewu. Nie było ich przez prawie dwie godziny. Powinien był zadzwonić do Krumme, ale tego nie zrobił. Telefon komórkowy leżał wyłączony w kieszeni kurtki. Sprzątnął w kuchni, pozmywał i usiadł przed telewizorem. Ojciec miotał się po łazience na górze, jak można było zgubić połowę uzębienia, pomyślał. Co za głupek.

Gdy Torunn wróciła z chlewu, po wzięciu prysznica powiedziała: – Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak strasznie zmęczona. Pierzyny chyba są już suche, muszę się zaraz położyć.

– Pościelę ci łóżko. Wszystko w porządku w chlewie?

– Byłam tak zmęczona, że nawet nie miałam siły się ich bać.

– Bać? Przecież chyba nie boisz się świń?

– Gdy ważą ćwierć tony, to tak. Ale on nie dałby rady zrobić wszystkiego sam, łaził tam tylko dookoła bez celu i nie był w stanie skończyć pracy. I nic nie mówi. Zawsze lubił opowiadać o swoich świniach. Jedna z macior zagniotła wczoraj na śmierć dwoje swoich młodych, ta maciora, którą on najbardziej lubi. Chyba mocno go to ruszyło. Jakby jeszcze wszystkiego było mało.

Godzinę później on też wpełznął pod swoją własną pierzynę, na prześcieradło, wetknięte krzywo i niedbale pomiędzy materac a ramę łóżka, zwinął się w kłębek na boku, obejmując rękoma kolana, nie mając siły rozprostować w tym zimnie palców u stóp.

Rozpoznawał zapach pościeli, to była woń tego domu, stary zapach, który dobrze pamiętał.

Leżał spokojnie, oddychał i czekał, aż tabletka zacznie działać. Tutaj kiedyś sypiał dziadek, ze wszystkim, co było jego, z całym swoim jestestwem, taki jak był, z tym, co potrafił, ze wszystkim, co myślał. Zapach pościeli wyzwolił w nim napływ obrazów, dziadek na łące w zielonej koszuli, z kosą, którą posługiwał się z taką łatwością i precyzją, że wyglądało, jakby stał tam i po prostu przerzucał sobie kawałek sznura z boku na bok, coś wołał, może że zaraz będzie głodny, i gdzie podziała się Anna z jedzeniem, i jego kroki w bruzdach, długie i zamaszyste kroki w wysokich butach, ten człowiek nigdy nie próżnował, w każdym jego ruchu była energia, nawet jeśli akurat tylko ocierał pot z czoła, inni ludzie wokół niego sprawiali wrażenie ślimaków na deszczu, może z wyjątkiem matki, często śmiała się razem z nim, rozumiała, co ma na myśli, jeszcze zanim skończył zdanie, i zawsze uśmiechała się, gdy jadł, jadł z taką żarłocznością i zadowoleniem, najwyraźniej lubiła na to patrzeć. Pamiętał, jak kiedyś dziadek Tallak podrzucił ją wysoko w powietrze, wtedy on sam był jeszcze dosyć mały, pewnie nie wiedzieli, że ktoś ich widzi. Nikt nie robił takich rzeczy w połowie ciężkiego dnia pracy, nie stał i nie wygłupiał się, podrzucając ludzi w powietrze. Ale zobaczył ich wtedy przez deski wychodka, dziadek schwycił ją wpół i podrzucił prosto do góry, głośno krzyknęła, opadając z powrotem na ziemię, i udawała, że chce go uderzyć. Skulił się mocniej pod kołdrą i myślał dokładnie o tym obrazie, matka w żółtej sukni i białym fartuszku z plamami po truskawkach, dziadek przed nią wielki i silny, pamiętał, że poczuł zazdrość,

i wyskoczył z wychodka bez podcierania się, pobiegł do nich i zażądał, żeby dziadek zrobił z nim dokładnie to samo. Podrzuć mnie, dziadku, podrzuć mnie też! Matka powiedziała, żeby przestał się wygłupiać, i poszła, zostawiając ich samych.

Teraz czuł, że tabletka już działa, jak gładka wstęga rozwija się powoli, krążąc dookoła w ciele, w takim dobrostanie nie można było zmarznąć, wyciągnął się na całą długość i palcami u stóp oraz dłońmi pozatykał wszystkie otwory, przez które mogło przeniknąć do niego lodowate powietrze.

Zasłony były przezroczyste, okno uchylone. Było tak cicho. W Kopenhadze zawsze panował hałas, nawet w środku nocy. Usłyszał, jak ktoś spuszcza wodę w ubikacji, i pod wpływem tego przyjaznego dźwięku poczuł mocne i przyjemne uderzenie ulgi w sam brzuch. W poniedziałek jest wigilia. Jutro rano zadzwoni do Krumme i zapewne będzie już wiedział, co chce mu powiedzieć.

ROZDZIAŁ 15

Użyła telefonu komórkowego jako budzika. Mieli iść do chlewu o siódmej, nastawiła więc budzenie na szóstą czterdzieści pięć. Gdy w egipskich ciemnościach rozbłysnął zielony wyświetlacz i zapiszczał dźwięk, zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie mogła znaleźć wyłącznika lampki nocnej i przez chwilę macała przestrzeń wzdłuż wezgłowia, zanim w końcu udało jej się zapalić światło, a jej wzrok trafił prosto na Davida Bowiego z okładki albumu *Aladdin Sane*, z błękitną i czerwoną błyskawicą przecinającą mu twarz.

Świnie. Ojciec.

Podłoga była lodowata, schwyciła ubrania i kosmetyczkę i pobiegła do łazienki. W domu panowała cisza. Wiedziała teraz, gdzie jest położony pokój ojca, a gdzie dziadka. Drzwi były zamknięte. Ojciec na pewno nie zaspał, chłopi nie mogli sobie na coś takiego pozwolić. Do chlewu nie można było zadzwonić i powiedzieć, że się zaspało i że w związku z tym wykorzysta się parę odrobionych godzin. Ruchomy czas pracy był tu zupełnie nieprzydatny.

Siedział już w kuchni, pachniało kawą, a z wylotu dzbanka unosiła się para, ale przed nim nie stał jeszcze kubek. Jego twarz sprawiała wrażenie ociężałej, siedział z rozchylonymi ustami, gapiąc się w przestrzeń przed sobą, ledwie na nią spojrzał, gdy wślizgnęła się przez uchylone drzwi. Lampka adwentowa stała niezapalona na parapecie, zobaczyła, że przewód jest w kontakcie, podeszła, próbując dokręcić żarówki, i gdy dotarła do środkowej, najwyższej, zapaliło się wszystkie siedem. Za oknem panowała całkowita ciemność, przyklejała się do szyby, przemieniając ją w lustro. Termometr zewnętrzny wskazywał minus siedem.

– Nie mogłeś pewnie spać?

Powoli potrząsnął głową.

– Jakoś wydaje mi się, że ona ciągle jeszcze leży w szpitalu. Że zaraz tam pojadę. Doglądnąć jej. Zobaczyć, czy się obudziła i znów stała sobą.

Głos nieco mu się załamał, ale zaraz odzyskał go z powrotem, chrząkając lekko.

Położyła mu dłoń na ramieniu, uścisnęła je.

– Biedaku. To musi być okropne stracić matkę.

Nad zazdrostką zawieszoną w oknie zobaczyła własną twarz, bladą, okoloną ciemnymi włosami, odbitą w grudniowym mroku.

– Nie znałaś jej. Szkoda.

– Tak. Szkoda – odrzekła.

– Teraz jest tu naprawdę ładnie, Torunn. Te kwiaty to też był dobry pomysł. Ale Erlend przecież nie musi tu być. Czy nie wystarczy, że ty…

Poczuła lekkie ukłucie irytacji, ojciec nie miał pojęcia, ile to kosztowało Erlenda, ona pewnie też nie do końca i w pełni

zdawała sobie z tego sprawę. Ale odpowiedziała spokojnie, nie wypuszczając jego ramienia:

– Nie. Może i nie. Ale gdy coś takiego się zdarza... I nie zapominaj, że przyjechał natychmiast, prosto z Kopenhagi, gdy tylko zachorowała. To przecież ma znaczenie.

– Ale jemu nie jest nawet przykro.

– Każdy odczuwa smutek na swój sposób – rzekła, zdejmując rękę z jego ramienia, i usiadła.

– On odczuwa smutek? – zapytał i podniósł znad stołu twarz w jej stronę, wąską twarz, w której nie rozpoznawała siebie, ale w której była i istniała.

Skinęła głową, uciekła ze spojrzeniem, udając, że zrobiło jej się przykro na samą myśl o tym.

Dobrze było wejść do chlewu. Brudny kombinezon nie robił już na niej żadnego wrażenia, podobnie jak ostry świński zapach. Cieszyła się, że zobaczy młode, nie można się było na nie dosyć napatrzeć, nawet w tej całej sytuacji. Świnie kwiczały i pochrząkiwały, wiercąc się niecierpliwie, gdy tylko świetlówki pod sufitem zostały zapalone. Najpierw trzeba było wyrzucić gnój, na pewno rano było go trochę mniej, pomyślała, świnie przecież spały w nocy i chyba nie zajmowały się w tym czasie robieniem kup.

To ona pierwsza zauważyła martwe młode. Tym razem nie od Siri, to było młode Sary. Leżało na środku boksu, a cztery pozostałe spały pod lampą grzewczą. Sara stała obudzona i nieporuszona, z ryjem wciśniętym między metalowe pręty boksu, wąchając w jej stronę, wielki ryj poruszał się przy tym jak radar.

– Zobacz – powiedziała, wskazując palcem. – To prosię tak po prostu tam leży.

Podszedł do niej te kilka kroków i stał z rękoma zwieszonymi ciężko, wpatrując się w młode, a potem wszedł do boksu i podniósł je za skórę na karku. Świńska skóra ułożyła się między jego palcami jak cienki materiał.

– Czy on został zagnieciony na śmierć? – zapytała.

Nie odpowiedział, wyszedł z boksu i wyniósł młode do pomieszczenia gospodarczego. Usłyszała charakterystyczny dźwięk, gdy małe ciałko spadło na betonową podłogę. Potem zrobiło się cicho. Stała, przyglądając się Sarze.

– Co ty zrobiłaś – wyszeptała. – I to akurat teraz.

Sara nie odwracała spojrzenia. Było pełne głodu i ciekawości, beztroskie, miała jeszcze czworo młodych, to był jej pierwszy miot, co mogła wiedzieć o byciu dobrą matką.

– Takie jak ty badają naukowcy – rzekła. – A ty jesteś szczególnym przypadkiem.

Uderzyła Sarę mocno w ryj trzymaną płasko dłonią. Sara cofnęła się o pół metra, musiała usiąść, jej spojrzenie wydawało się zaskoczone i niepewne. Ojciec nie wyszedł jeszcze z pomieszczenia gospodarczego, nadal panowała tam cisza. Poszła za nim.

Siedział w kucki nad prosięciem, trzymając się za głowę obiema rękami. Kępki włosów wystawały mu spomiędzy palców, był odwrócony do niej plecami, młode leżało nienaturalnie wygięte pod ścianą, było teraz bardziej jasnoniebieskie niż różowe.

– Tato – powiedziała, słysząc nadal, że to nie brzmi do końca naturalnie.

– Nie dam temu rady – odrzekł. Jego głos był wilgotny i gardłowy.

– Powiedziałeś, że to się zdarza – rzekła.

– Nie teraz. Nie teraz.

Zaczął kołysać się na stopach.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedziała.

Nie odpowiedział. Kołysał się coraz szybciej i po kilku sekundach przewrócił się na bok, leżał tak, z rękoma we włosach, z kolanami przyciągniętymi do piersi. W chlewie znów dało się słyszeć poruszenie, najpierw jedna – dwie – trzy świnie, potem coraz więcej, jak zgraja wilków. Były głodne, chciały dostać śniadanie, za długo to trwało. Pochyliła się nad nim, spróbowała wyjąć mu jedną rękę z włosów, ale się nie udało. Szlochał, krople łez spadały mu prosto z nosa na podłogę. Było tu strasznie zimno, poczuła to nagle, czy woda w kranach aby nie zamarznie. Świnie wydzierały się, maciory basowym, nieco gardłowym głosem, odstawione prosięta cienkim falsetem. Dźwięki przyczepiały jej się do pleców, karku, wdzierały się w tył głowy, do uszu, to były żywe stworzenia, uzależnione od stałych, codziennych obyczajów.

– Muszę... Ja to wszystko załatwię. Będzie dobrze. Będzie dobrze. Możesz po prostu... A potem pójdziemy razem do domu i zjemy śniadanie.

Zostawiła go tam, próbując sobie przypomnieć, ile karmy trafiło do poszczególnych boksów wczoraj. Gnój wyrzuci później w ciągu dnia, to nie było aż tak ważne, teraz trzeba było przywrócić im spokój, zaspokoić ich potrzebę.

Po chwili poszukiwań odnalazła włącznik w paszarni. Z sufitu zwisała ciężka, wypchana rura silosu. Podstawiła wiadro,

zwalniając jednocześnie mechanizm zamykający. Pasza wysypała się z otworu, rozsiewając pył, zasunęła szyber z powrotem, stawiał opór, musiała docisnąć, w wiadrze przepełniło się nieco, pasza rozsypała się na podłogę. Erlend miał relanium, jeżeli ojciec nie zechce sam wziąć, będzie musiała rozgnieść tabletkę i dodać mu do jedzenia. O ile w ogóle uda jej się wcisnąć w niego jakieś jedzenie. Albo może doda mu do kawy.

Dobrze byłoby samej odpowiadać za sprawy w chlewie, gdyby tylko ojciec nie leżał tam na podłodze, zupełnie nagle poczuła to bardzo wyraźnie, przechodząc pospiesznie od boksu do boksu, że tak byłoby bardzo dobrze, nigdy wcześniej nie obrządzała chlewu sama, tylko jako obserwator, a teraz chodziła tutaj, przynosząc paszę, podając ją zgłodniałym zwierzętom, była im absolutnie niezbędna. Nikt inny nie mógł tego zrobić, skoro ojciec leżał tam skulony na podłodze w pomieszczeniu gospodarczym. Pomyślała o reportażach w „Dagbladet" i „VG", relacjach organizacji zajmujących się ochroną zwierząt, które odkrywały straszne warunki, zwierzęta brodzące w gnoju po kolana, zjadające siebie nawzajem, czy to tak właśnie się zaczynało. Mogło równie dobrze zacząć się właśnie w ten sposób. Ważna osoba w gospodarstwie umiera, potem maciora, która staje się przyczyną rozczarowania, i cała radość z pracy się kończy, pozostają tylko bezgłośne oskarżenia i poczucie porażki.

Leżał tak jak wcześniej.

– Idziemy do środka – rzekła. – Chodź już.

Wyglądał tak, jakby spał. Może lepiej będzie zadzwonić po lekarza. Nagle przyszło jej do głowy, że może powinni byli

porozmawiać z lekarzem w szpitalu przed odjazdem, tylko o czym? Jak poradzić sobie ze smutkiem i szokiem? Wydawało jej się, że jeśli tylko ona i Erlend pojadą z nim do Neshov, wszystko jakoś się ułoży. Młody niech tam sobie po prostu leży. Nawet ludziom zdarzało się zgnieść na śmierć własne dzieci, jeśli były karmione piersią w nocy, a matka zasnęła, czytała o takich przypadkach, to była okropna myśl, wiązano to zjawisko z brakiem instynktu macierzyńskiego, przecież nawet we śnie matka chyba chroni swoje potomstwo.

– Chodź już.

Otworzył oczy, powoli skierował na nią spojrzenie.

– Zemdlałem?

– Nie wiem do końca. To okropne, z tym młodym. Ale teraz musisz...

– Zemdlałem?

– Tak. Zemdlałeś. Chodź teraz.

ROZDZIAŁ 16

Zaczął dzwonić do Krumme około dziewiątej, lecz ten nie odebrał. Po siedmiu próbach i zostawieniu trzech wiadomości, co do których sam czuł, że brzmią dość histerycznie, zadzwonił do redakcji. Nie wiedzieli, gdzie był Krumme, dzisiaj miał mieć dyżur wieczorny. Jeszcze raz spróbował na komórkę. Bez odpowiedzi. Tylko głos Krumme, który w monotonnym, służbowym tonie poprosił go o pozostawienie wiadomości.

To była kara. Krumme nie chciał mieć z nim więcej do czynienia. Wiedział aż nadto dobrze, że poprzedniego wieczoru, gdy zadzwonił powiedzieć, że nie wraca do domu, był zbyt zamknięty w sobie i odpychający. Ale jak inaczej mógł rozmawiać, skoro wszystko, co mówił, słyszeli i Tor, i Torunn. Tą rozmową wykluczył Krumme ze swojego życia, to wszystko zaczęło się od jednorożca, od kłamstwa, gdy udawał, że śpi, kiedy Krumme przyszedł go dotknąć. Że też czegoś nie powiedział, wtedy właśnie! Dopiero w trzy dni później, gdy dzwonił pijany z pokoju hotelowego, stało się, dla Krumme na pewno wszystko było skończone, a on był tylko kłamliwą królową dramatu, ot, czym był.

Usiadł przy kuchennym oknie, pozwalając, aby czas płynął. Stadko wróbli i sikorek szalało w karmniku, przy okruszkach i kulce czegoś, co zwisało tam na sznurku. Pomyślał ponownie o duszku domowym, który prawdopodobnie leżał martwy, jak kamień pod podwórkowym drzewem. Popijając letnią kawę, starał się wypełnić świadomość ptakami w karmniku, ich zajętą, pracowitą codziennością. Tor spał na górze, po połknięciu relanium, które Torunn wetknęła mu do ust wcześnie rano, to ona go obudziła, okropnie było otworzyć oczy i zrozumieć, gdzie się znajduje i że zaraz musi zadzwonić. Minęła godzina, zanim zabrał się do telefonowania po raz pierwszy, czując w sobie przerażenie na myśl o tym, co musi powiedzieć, teraz kiedy Tor ewidentnie naprawdę się załamał, a Torunn była kompletnie zrozpaczona. Musiał tutaj zostać, nie było siły, nawet jeśli w gruncie rzeczy nie rozumiał, na co może się przydać, oprócz tego, że tu przebywa, że jest wujkiem, nie wiedział, jak to jest być wujkiem, ale teraz najwyraźniej przyjdzie mu się tego nauczyć. Usłyszał ich w łazience, jak Torunn prawie wmusiła w niego tabletkę, płakała, błagała i prosiła, zanim zgodził się ją połknąć. Że też on tak rozpaczał nad tą matką, tylko że z Torem matka zawsze miała inny kontakt niż z nim albo z Margidem. Zauważała Tora, odnosiła się do jego obecności.

Torunn znów była w chlewie. Ojciec właśnie przed chwilą zszedł na dół, ukroił sobie kromkę chleba i zabrał ją ze sobą na górę. Nie zamienili ani jednego słowa. Dochodziło wpół do dwunastej, na dworze na liliowym niebie świeciło nisko miodowozłote, zimowe słońce, na dolnych rogach szyb w oknie kuchennym mróz

namalował kwiaty, wielokrotnie podnosił zazdrostkę, żeby na nie spojrzeć, starając się nie dopuszczać do siebie tak do końca ich piękna, własny przepis natury na kryształy Swarovskiego, na oknach w domu nigdy nie zdarzały się takie kwiaty. W domu... Tutaj, tam, w domu.

Palił jednego papierosa po drugim, korzystając z talerza jako popielniczki, i zanim zorientował się, co robi, ogryzł sobie większość paznokci, dużo czasu minęło już od chwili, gdy ostatni raz ogryzał paznokcie. Chciał dołożyć drewna do pieca, ale zauważył, że jest już go w balii bardzo mało. Czy naprawdę będzie musiał złazić do drewutni. Zapalił jeszcze jednego papierosa i sprawdził zawartość dzbanka, zostały w nim już tylko fusy. Wszystko tutaj zbliżało się do dna.

Zerwał skórzaną kurtkę z kołka w korytarzu, była lodowata, korytarz też był mroźny i całkowicie pozbawiony ogrzewania, jego wysokie buty były równie zimne. Z balią w rękach przeszedł przez podwórko do schowka na drewno, chyba było wiele stopni mrozu, ale na swój sposób to czyste, błękitnie zamarznięte powietrze wypełniające mu płuca dobrze na niego wpływało.

Drewno leżało w ogromnym schowku, większe kawałki po lewej stronie, drobne, na rozpałkę, po prawej. Na pieńku do rąbania leżała w poprzek siekiera. Podłoga była miękka od starych trocin i pyłu drzewnego, panował tu silny, przyjemny zapach. Ocenił w myślach wielkość drzwiczek od pieca i napełnił balię porąbanymi szczapami, myśląc jednocześnie o kominku gazowym w domu i trzygodzinnym nagraniu wideo przedstawiającym ogień płonący w prawdziwym kominku, przy którym grzał się jako młody człowiek w Kopenhadze. Do salonu z telewizorem zabrał

kilka większych klocków drewna, tam jeszcze w ogóle nie było napalone. Zauważył coś na podłodze drewutni, w samym rogu, wygrzebał to, sztuczna szczęka, wetknął ją do kieszeni, chętnie roześmiałby się głośno z powodu tego znaleziska, ale nie miał na to teraz siły. Może uda mu się z tego pośmiać, gdy pokaże szczękę Torunn, ona na pewno za chwilę skończy obrządek w chlewie.

Po powrocie do kuchni wrzucił szczękę do szklanki, napełnił ją wodą i postawił na blacie. Na wierzch wypłynęły trociny, układając się w warstwę. Napalił w piecu w salonie z telewizorem, opłukał dzbanek do kawy i postawił w nim świeżą wodę, usłyszał Torunn w drzwiach, teraz zrobi im obojgu śniadanie, znajdzie te świeczki, o których zapomnieli wczoraj, nie był głodny, to tylko ze względu na nią. Wyjął chleb z pojemnika zrobionego z jasnożółtego plastiku i nóż do chleba, w tej samej chwili usłyszał warkot silnika na podjeździe. Z okna widać było białego golfa, który z niedużym podskokiem zatrzymał się przy podwórkowym drzewie. Na samochodzie widniał napis: Wynajem samochodów Europcar.

Stał i patrzył, trzymając się mocno rozkładanego stołu ze sztucznego marmuru, natychmiast dostrzegł, kto przyjechał. Torunn znów wyszła, powoli idąc na spotkanie Krumme, wyciągnęła dłoń, Krumme ją uścisnął, nieprawdopodobne stało się właśnie rzeczywistością, chciał się ukryć, jak najgłębiej, do ciemnej komórki, umrzeć, zginąć ze wstydu. Zwyciężyła jednak ulga, nie został opuszczony, przeciwnie, Krumme przebył całą tę długą drogę, żeby go odszukać, będąc takim okropnym kierowcą, jakim był, nigdy nigdzie samochodem nie jeździli, i do tego po

zimowej nawierzchni, ale miał za to dobrą orientację w terenie, umiał zapytać o drogę, słuchać i notować, korzystać z mapy, którą musiał mieć. Ale przecież Krumme miał wieczorny dyżur w redakcji! I to były pierwsze słowa, które skierował do Krumme, gdy ten kilka sekund później pośpiesznie wszedł do kuchni i zastał go przy oknie:

– Ale przecież ty masz wieczorny dyżur w redakcji!

– Erlend. Tutaj jesteś.

Ulga z powodu jego zapachu, objęcia go, przytulenia policzka do jego czoła. Ale spojrzenie wędrowało od szczęki zanurzonej w szklance, poprzez kalendarz firmy Coop, zasłonki, zapachy, aż do rozpadu widocznego nawet po dokładnym sprzątanięciu.

– Ruszamy natychmiast, Krumme. Dobrze, że wypożyczyłeś samochód.

– Ale tego przecież nie możemy zrobić. Inaczej dawno byś już sam pojechał.

ROZDZIAŁ 17

W kuchni siedział obcy mężczyzna, stał w drzwiach wejściowych, trzymając się mocno framugi i klamki.

– Wejdź do środka, bo ciągnie – powiedziała Torunn.

Zrobił, jak mu kazała. Pomyślał: chlew. I powiedział: – Chlew.

– Wszystko tam w porządku, jest jedzenie i picie, i czysta podłoga. Słoma i torf też. Chodź tu, usiądź i zjedz, spałeś tyle godzin, że musisz być naprawdę głodny.

Zmuszony był jej wierzyć, głowa zwisała mu jakoś dziwnie na przekrzywionej szyi i miał uczucie, jakby ta szyja była przytwierdzona do ramion za pomocą gumki. Wtedy nagle coś mu się przypomniało. Potem myśl znikła równie szybko, i znów się pojawiła.

– Światło – powiedział. – Musi być włączone.

– U świń w ciągu dnia?

– Tak. Ciemno może być tylko w nocy. Muszą mieć... rytm dobowy.

– Tego nie wiedziałam. Pójdę i włączę je od razu.

Spojrzał znów na obcego mężczyznę. Mimo iż gość siedział na kuchennym krześle, łatwo było dostrzec, że jest niewysoki i gruby. Przypominał trochę Karlssona z Dachu[5]. Torunn minęła go w drzwiach i poszła do chlewu. Mężczyzna miał w uchu taki sam kolczyk jak Erlend. Dłoń Erlenda spoczywała na kolanie obcego. Na stole leżał obrus. I stało jedzenie. Pokrojony chleb, coś do chleba i masło. Oraz wysoka, ciemnobrązowa butelka z żółto-czerwoną etykietą. I filiżanki do kawy, te najlepsze, których matka nigdy nie używała.

– Czy wzięliście świąteczne filiżanki matki? – zapytał.

– Musieliśmy – powiedział Erlend. – Tutaj w szafkach nie było przecież ani jednej filiżanki ani talerza do kompletu.

– Do kompletu?

– Tak. Do kompletu. Poznaj Krumme.

– Krumme?

– Mój partner z Kopenhagi. Właśnie przyjechał.

– Tutaj?

– Przecież tu siedzi, chyba widzisz!

Erlend odwrócił się do mężczyzny i coś wyszeptał, usłyszał w tym słowo relanium.

– Nie chciałem tego brać – rzekł. – To Torunn.

– Usiądź, Tor, naleję ci kawy. Te tabletki działają przez wiele godzin, to dlatego czujesz się nieco dziwnie.

Po mocnym dodatkowym uścisku i kilku szybkich klapsach Erlend puścił kolano mężczyzny.

– Nie – powiedział.

– Nie co? Że nie chcesz kawy czy że nie czujesz się dziwnie?

– Nie.

– A więc że nie przywitasz się z Krumme?

– Nie. Nigdy nie sprawiłeś matce niczego oprócz bólu. Gdyby ona to widziała... Dobrze, że już nie żyje.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – wykrzyknął głośno Erlend, o wiele za głośno i za piskliwie, w całej kuchni nie było miejsca na jego głos, na szybie kuchennej mróz namalował kwiaty.

– Ty świnio – rzekł. – Przyjechać tutaj i... i siedzieć tak i się obmacywać. Możesz już wracać.

Erlend podszedł do niego, stanął z nim twarzą w twarz, czuł męską wodę po goleniu i zapach orzeszków ziemnych.

– Zamknij dziób! – powiedział. – Nie jestem tutaj ze względu na ciebie, tylko dla Torunn!

– Nie drzyj się. Nigdy nie przyniosłeś matce niczego oprócz cierpienia.

Policzek zabolał, przewrócił się na blat kuchenny, rozrzucając ramiona, żeby się czegoś przytrzymać, twarz paliła jak ogień w zetknięciu z zimną powierzchnią, próbował podnieść głowę, ale nie chciała go słuchać. Wtedy otworzyły się drzwi i usłyszał głos Torunn, jej ręce na jego ramionach, ucho też go bolało, teraz dopiero to czuł. Torunn podniosła go do góry.

– Co wy tutaj wyprawiacie? – krzyknęła.

Czy ona teraz też będzie się wydzierać. Rozmawiali za jego plecami, nie odwracał się. Słyszał, jak powtarzają wszystko, co powiedział, i co powiedział Erlend, za wyjątkiem tego, że jest tutaj dla Torunn, a nie dla niego. Torunn popchnęła go w stronę drzwi.

– Lepiej, jak jeszcze trochę sobie poleżysz – powiedziała. – Pójdę z tobą na górę, a potem przyniosę ci trochę kawy i coś do jedzenia.

Łóżko nadal było ciepłe, leżał w nim teraz całkowicie ubrany. Deski w suficie były takie same. Wszystko było inaczej, ale deski w suficie ciągle były takie same. Czuł za to głęboką wdzięczność, postanowił, że będzie badał je teraz długo i uważnie. Drzwi się otworzyły i kątem oka zauważył Torunn, która przyniosła różne rzeczy i postawiła je na nocnym stoliku.

– Oni się kochają – powiedziała. – Są razem od dwunastu lat.

– Matka by...

– Twoja matka nie żyje. I byłaby zadowolona, wiedząc że Erlend jest szczęśliwy i bezpieczny, będąc z dobrym mężczyzną.

– Nie.

– Więc daj sobie spokój i już!

Zatrzasnęła za sobą drzwi i zeszła na dół.

Dać sobie spokój z czym? Spojrzał na filiżankę, to na szczęście była jedna z tych starych. Zapomniała o kostkach cukru. Rozlał trochę kawy, podnosząc się na łokciu i unosząc filiżankę. Dwie kromki z serem i jedna z... Ugryzł kawałek, to była polędwica. Tego nie smakował już od lat, kupowali tylko mielonkę albo salami. Ale nie przepadał za salami, robiło się je z wysłużonych, starych macior hodowlanych.

Chleb był domowy, pieczony przez matkę, ten Duńczyk siedział tam na dole i żarł chleb upieczony przez nieżyjącą już kobietę, która by go nienawidziła. Policzek piekł okropnie, położył głowę na poduszce, cały czas żując, przyłożył do niego rękę. Paliły go nawet palce, skóra pulsowała. Przyjechać tutaj i bić. Siedzieć i obmacywać się z facetem pod stołem kuchennym, a potem

jeszcze uderzyć. Najlepiej będzie sprzedać wszystkie świnie do rzeźni Eidsmo, a potem się zastrzelić.

---

[5] Bohater książki Astrid Lindgren (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 18

Musiał przyjechać równocześnie z księdzem, wtedy będzie w tym coś profesjonalnego, po siedmiu latach nieobecności. Miał sprawę do załatwienia. Trzeba było przygotować pogrzeb, wszystko ułożyć i zaplanować. Udało mu się złapać telefonicznie księdza Fosse i umówić, że go odbierze, wtedy nie będzie musiał długo siedzieć, księdza trzeba będzie przecież odwieźć do domu.

Było ciemne popołudnie, gdy podjechali w górę aleją. Na podwórku stał obcy samochód, z wypożyczalni. Zaparkował citroena tuż za nim. Telefon zostawił na siedzeniu pasażera. Był zadowolony, że nie musi mieć go przy sobie, Selma Vanvik wydzwaniała do niego jak szalona, przysłała mu też kartkę świąteczną, na adres prywatny. A on przecież nie mógł być bez przerwy niedostępny przez telefon, ludzie nie umierali tylko w ściśle określonych godzinach pracy.

W ciemnościach gospodarstwo wyglądało tak jak zawsze. Okna kuchenne jaśniały budzącym zaufanie światłem, od wewnątrz pokrywała je rosa.

– No cóż, zobaczymy, jak to wszystko pójdzie – powiedział do księdza Fosse, oczekującego na ganku, żeby przepuścić go przodem. Słychać było muzykę.

...

Obcy mężczyzna w czarnym golfie i zielonym fartuszku stał przed kuchenką, pochylony nad patelnią, wokół roznosił się intensywny zapach przypraw i smażonego mięsa. Mężczyzna był mały i gruby i kołysał się w takt dobiegającej z radia popularnej piosenki. W dwóch garnkach ustawionych na tylnych płytkach coś się gotowało, wszystkie szyby były zaparowane, okno przy świeczniku adwentowym zostało uchylone, ale nie przyniosło to widocznego efektu. Torunn i Erlend siedzieli przy kuchennym stole, trzymając każdy swoją butelkę piwa, chyba pili prosto z butelki, nie widział przed nimi żadnych szklanek. Na podłodze stało kilka jeszcze nierozpakowanych toreb z City Syd, na kuchennym stole leżała gazeta otwarta na stronie z nekrologiem. Zdążył jeszcze zauważyć kolana ojca przez uchylone drzwi do salonu. Erlend i Torunn podnieśli się na widok mężczyzny idącego za nim i jego białej koloratki wystającej spod kurtki. Torunn podeszła szybko do radia i je ściszyła, mały człowiek stojący przed kuchenką odwrócił się. W kuchni zrobiło się bardzo cicho, tylko z salonu dobiegał głos podnieconego komentatora sportowego.

– Czy to ty – rzekł Erlend. – Wy.

Ksiądz Fosse wyciągnął do niego rękę. – Czy to ty jesteś Erlend?

– Tak.

– Moje kondolencje. Jestem Per Fosse. Tutejszy ksiądz.

– Dziękuję – powiedział Erlend, przyjmując podaną dłoń, wydawał się zakłopotany, obrzucił spojrzeniem butelki po piwie stojące na stole.

– Nie ma powodów, żeby nie posiedzieć razem i nie zrobić sobie przyjemności, nawet jeśli w domu panuje żałoba – rzekł ksiądz, uśmiechając się.

– To jest... Carl – powiedział Erlend. – Carl, to jest Margido, mój brat.

Przywitali się z księdzem, podając sobie ręce, Torunn i ten Carl też. Mężczyzna był Duńczykiem.

– Przyjechał dzisiaj – rzekł Erlend.

Ksiądz Fosse wszedł do salonu.

– Usiądź – powiedziała Torunn. – Erlend i... Carl właśnie byli po zakupy. Kupili też gazetę. Ładny nekrolog. Przysłano też dwie duże wiązanki kwiatów z sąsiednich gospodarstw, są w salonie.

– Gdzie jest Tor?

– Przeszedł dzisiaj coś w rodzaju załamania nerwowego, daliśmy mu tabletkę – rzekł Erlend. – Leży. Ale usiądź. Skoro prowadzisz, to pewnie nie chcesz piwa. Ale akurat teraz nie ma miejsca na płytce na postawienie dzbanka z kawą. Może coś gazowanego?

Skinął głową. – To nie zajmie dużo czasu. Ale Tor musi również...

– Czy nie możesz po prostu podejść do niego na górę? – powiedział szybko Erlend. – Ja nie muszę o niczym decydować.

– Chodzi o wybór psalmów i muzyki, i jak ma wyglądać śpiewnik.

– Zdecydujcie wy – rzekł Erlend.

Tor leżał z zamkniętymi oczami, ale chrząkał. Człowiek nie chrząka, kiedy śpi, pomyślał Margido. Leżał całkowicie ubrany, przy zapalonej lampce do czytania.

– A więc tutaj leżysz?

– Wmusili we mnie tabletkę – powiedział Tor, otwierając oczy. – Nie chciałem jej brać. Tak tylko żebyś wiedział.

– Na pewno jej potrzebowałeś. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

– Duńczyk Erlenda przyjechał, nie mogę zejść na dół. A zaraz muszę iść do chlewu. Torunn zrobiła dziś co trzeba wcześnie rano, ale muszę zobaczyć, czy wszystko tam w porządku.

– Spotkałem go. Stoi teraz i gotuje obiad.

– Naprawdę?

– Tak.

– To nie do wytrzymania... ta myśl. Erlend śpi w pokoju dziadka. Będą pewnie... spać tam razem.

Usiadł na stołku tuż przy drzwiach. W rękach trzymał śpiewnik z psalmami oraz bloczek kartek i długopis. Był tutaj, żeby przygotować wszystko do pogrzebu.

– Ale mimo wszystko, Tor, musisz jednak...

– Co muszę?

– Zejść na dół. Być obecny. Nie możesz tak po prostu leżeć i...

Tor zakrył oczy ramieniem, nie odpowiedział od razu, mocno pociągnął nosem.

– Siedzieli i obmacywali się. Pod stołem – wyszeptał.

– Obmacywali się? W jakim sensie...

– Głaskali się. Po udach.

– Porozmawiam z Erlendem.

– I ciekawe, co mu powiesz?

– Porozmawiam z nim, Tor. Ale pogrzeb... Pierwszego dnia po świętach o godzinie pierwszej. Widziałeś nekrolog?

– Nie. Nie mam siły nawet o nim myśleć.

– Musimy wybrać psalmy i muzykę. Myślałem, że może...

– Zdecyduj ty sam. Przecież to twoja praca. Wiesz najlepiej.

– Ksiądz tu jest. Chcesz z nim porozmawiać? Mam poprosić, żeby przyszedł do ciebie na górę? Ksiądz Fosse to miły i mądry człowiek, który...

– Jezus Maria! Spotkał Duńczyka? – wykrzyknął Tor, unosząc się na łokciu.

– Zapewne tak. Ale księża są przyzwyczajeni do tak różnych rzeczy. Uspokój się. Mam poprosić, żeby przyszedł do ciebie tu na górę?

– Nie! Wstydzę się! Księża nie lubią czegoś takiego! – powiedział Tor, opadając z powrotem na plecy.

– Akurat z tym różnie bywa. I wcale nie jest oczywiste, że on zrozumiał...

– Przecież po Erlendzie widać to gołym okiem! I mają takie same kolczyki.

– Ale będziesz i tak zmuszony zejść na dół i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Nie dam rady.

– Ze względu na matkę. Musisz pilnować gospodarstwa. To twoja praca, gospodarstwo to twoja odpowiedzialność.

Po zejściu na dół Margido wyciągnął Erlenda do korytarza.

– Tor sobie z tym nie radzi – wyszeptał bez żadnych wstępów.

– Z wybraniem psalmów? To chyba możesz ty...

– Że wy... się dotykacie.

Erlend odwrócił się, żeby z powrotem wejść do środka, złapał za klamkę, Margido schwycił go za ramię i wysyczał: – Erlend! Posłuchaj mnie.

Do odwróconych pleców powiedział: – Chodzi o gospodarstwo i zwierzęta. Torunn nie jest przecież w stanie... Tor musi funkcjonować, rozumiesz to? Jeśli macie tu być, to przecież możecie, tylko przez kilka dni, dać sobie spokój z... z...

– Z okazywaniem sobie uczuć?

– Nie. Ale niech Tor tego nie widzi.

– Mamy się nienawidzić, jak Tor na nas patrzy?

– Usiłujesz mnie sprowokować, ale tu chodzi o Tora. Musi móc poruszać się po domu bez...

– Rozumiem, co masz na myśli. W porządku. Wyjaśnię Krumme, że przyjechał do ubiegłego stulecia.

– Krumme?

– Tak go nazywam. To takie pieszczotliwe zdrobnienie. Mogę go używać?

– Ależ Erlend, nie sądź, że ja... Chodzi tylko o to, że Tor...

Erlend otworzył drzwi kuchenne, Margido wszedł za nim do środka.

Torunn nalała dwie szklanki napoju gazowanego, dla niego i dla księdza Fosse. Siedział już, trzymając swoją w ręce, i uśmiechnął się do Margida: – Poszło szybko?

– Musimy sami ustalić psalmy i muzykę, my dwaj. Zostawiają to mnie.

Chętnie już by stąd pojechał, opróżnił szklankę z napojem.

– Musimy o czymś porozmawiać – rzekła Torunn. – Wigilia. Będziemy tu przecież wszyscy troje aż do pogrzebu.

– Ach tak.

– Rozmawialiśmy o tym właśnie tuż przed waszym przyjściem. Erlend pokazał mi ten ogromny salon z kominkiem za pokojem z telewizorem, jest przecież fantastyczny. Byłoby miło, gdybyś ty też przyszedł. Nie będziemy robić sobie prezentów i tak dalej.

– Przyjść tutaj na Wigilię? To masz na myśli?

– Nie będziemy mieli prezentów? – zapytał Erlend. – O tym nic nie słyszałem.

– Nie – rzekła Torunn. – Prezentami nie będziemy sobie zawracać głowy. Ale ze względu na twojego brata, Margido. Skoro już jest Wigilia. Możemy chyba być razem.

– Chyba nie mnie masz na myśli – powiedział Erlend. – Że to ze względu na mnie Margido ma być tutaj.

– Nie, teraz akurat mam na myśli Tora. Ty nie jesteś przecież na granicy załamania nerwowego, Erlendzie.

– Dobrze to ukrywam.

Obchodzić Wigilię w Neshov. Ledwie pamiętał, jak wygląda salon z kominkiem. To była maskarada, ale cóż mógł odpowiedzieć.

– Powiedziałeś, że nie będę się dobrze czuła w tej rodzinie, więc rozumiem, że ten pomysł ci się nie podoba – rzekła.

I powiedzieć coś takiego w obecności księdza. Co też on sobie pomyśli.

– Ale skoro już jest Wigilia – dodała.

– Jakieś wielkie obchody świąteczne nie byłyby i tak na miejscu, skoro matka nie żyje. Tak mi się wydaje – powiedział.

– Nie będzie wielkich obchodów, tylko wspólny posiłek – rzekła Torunn. – Nie zamierzamy ozdabiać alei lampkami i Mikołajami, jeśli to masz na myśli.

– To brzmi słusznie, Margido – powiedział ksiądz Fosse. – Zjeść razem, być razem zarówno z tą pustką, jak i ze świątecznym czasem.

Selma Vanvik dzwoniła w czasie, gdy był w środku, w domu. Wiadomość zostawiona na automatycznej sekretarce dowodziła, że się nie poddaje, chciała, żeby przyjechał do niej w Wigilię, a gdyby mógł kupić i przywieźć okowitę, byłoby znakomicie. O reszcie nie musiał myśleć. Zadzwonił do niej natychmiast po wysadzeniu księdza Fosse na podjeździe jego domu.

– Moja matka zmarła wczoraj – powiedział. – Tak więc raczej nie mogę przyjechać.

Zaczęła płakać, ale wyjąkała tyle, że teraz oboje noszą wielki smutek i wiedzą, jak czuje się to drugie.

– Możliwe – rzekł.

Co miał na myśli, mówiąc to?

– Mam na myśli tylko tyle, że... W każdym razie nie mogę przyjechać.

A co z sylwestrem, to też przecież przyjemny wieczór i mogliby coś wspólnie zaplanować.

– Zobaczymy.

Margido głęboko wciągnął powietrze do płuc, otworzył okno i pozwolił zimnemu podmuchowi wpłynąć do środka. Dlaczego nie umiał jej zdecydowanie odsunąć, przecież nie był nią zainteresowany. Ale z drugiej strony, przecież nie wiedział nic

o sprawach, z których rezygnował. Może by mu się to spodobało, bycie dla kogoś mężczyzną. A może był jak Erlend. Niezdolny do tego, by zapragnąć kobiety. Nagle poczuł gwałtowną potrzebę posiedzenia samotnie w saunie, zamknięcia oczu pod strugami słonego potu, ogrzania się aż do kości, wciągania do płuc parzącego powietrza, niemyślenia, niezajmowania stanowiska w żadnej sprawie.

Wypocić się i spać, to jedyne, na co miał ochotę, wypocić się do samego końca i potem zasnąć.

ROZDZIAŁ 19

Zaczęli przygotowania w salonie kominkowym w niedzielę po śniadaniu, ona i Erlend. Krumme pojechał po zakupy, wszystkie sklepy w Trondheim były w niedzielę otwarte.

Pokój był duży i wystawny, z długim stołem pośrodku i stojącymi wokół niego ośmioma krzesłami ze skórzanymi siedziskami i wysokimi oparciami. Ściany pokryte były surową, pomalowaną na jasnozielony kolor boazerią, podłogę stanowiły szerokie, oheblowane deski. Ściany zdobiło kilka tkanych bieżników, a w wielkim, otwartym kominku na grubym łańcuchu wisiał ogromny, żeliwny garnek. Zasłony w dwóch wysokich oknach na końcu pokoju też były tkane, zwisały jak grube portiery aż do samej podłogi. Kontrast z zużytymi meblami z lat sześćdziesiątych stojącymi w pokoju z telewizorem był jaskrawy. To pomieszczenie sygnalizowało potęgę i tradycję.

W pokoju było lodowato. Erlend napalił w kominku. Było to jedyne źródło ciepła w całym pomieszczeniu, otwarcie drzwi pomiędzy salonami nic by nie dało, nie nagrzałoby się tutaj. Pajęczyny zwisały ze wszystkich ścian, pod sufitem, we framugach

okiennych i przy podłodze. Przynieśli wodę i zaczęli sprzątanie, trzymając się jak najbliżej ciepła.

– Gdzieś tutaj są jakieś ozdoby świąteczne, w skrzyni – powiedział. – Ale może nie będziemy przesadzać.

Opowiedział o przyjęciu świątecznym, jakie on i Krumme wydali ostatnio w domu w Kopenhadze, jak wyglądał stół i co podali do jedzenia. Erlend był lekki i miał zwinne ciało, przeskakiwał zręcznie z miejsca na miejsce ze ścierką w dłoni i nawet nie histeryzował zbytnio w kwestii pajęczyn, były nadto stare, żeby stanowić jakiekolwiek zagrożenie. Miała wielką nadzieję, że kolację świąteczną uda się zjeść w miłej atmosferze. Żeby tylko ojciec znów nie stanął okoniem. Poprzedniego wieczoru, po tym, jak pomogła mu w chlewie, poszedł prosto do biura i usiadł tam.

– Jest obiad – powiedziała. – Gulasz.

– To nie obiad – rzekł. – Jest wieczór.

– Musisz przecież coś zjeść.

– Nie jestem głodny.

– Nie czujesz, jak ładnie pachnie?

– Mam mnóstwo zaległości w pracy biurowej, wkrótce jest rozliczenie roczne.

Zaczął szukać czegoś w stosie brudnych kartek z dziurkami.

– W sobotni wieczór – rzekła. – Ale okej, rób jak chcesz.

Nie zareagował, gdy powiedziała mu, że Margido przyjedzie na Wigilię. Ale gdy dzisiaj po obrządzeniu chlewu zgodził się zjeść niedzielne śniadanie wspólnie w kuchni, Erlend wyszeptał do niej w korytarzu: – Już nie boi się przebywać w środku. Obiecałem, że Krumme i ja nie będziemy się dotykać, kiedy on patrzy. Margido

błagał mnie na kolanach, żebym to obiecał. Więc Tor może być zupełnie spokojny.

– Ale co na to powiedział Krumme? On musi sądzić, że...

– To Krumme mnie przekonał, kiedy to usłyszał. Ja bym wolał raczej zrobić pełny show na środku pokoju, przy księdzu, a co tam!

– To akurat jest dosyć dziecinne.

– Dziecinne, ale wyzwalające. Lecz coś mi się zdaje, że akurat ten ksiądz nie zareagowałby szczególnie histerycznie, wydawał się normalnym człowiekiem, a w takim wypadku tego rodzaju przedstawienie traci nieco na wartości, niestety.

W długim kredensie w salonie kominkowym stały talerze obiadowe i kieliszki. To stąd przynieśli filiżanki do kawy po przyjeździe Krumme.

– Ale czy dobrze się stało? – zapytała, podnosząc stertę głębokich talerzy z wąskim złoconym paskiem wzdłuż brzegu. – Że Krumme przyjechał? Mimo że nie możecie się oficjalnie przytulać?

– To przerażające i cudowne. Ale on uważa, że to trudne widzieć mnie tutaj. Postrzegać mnie jako chłopca ze wsi. Snuje teraz o mnie wyobrażenia, jak stoję w ogrodniczkach, boso, żując źdźbło słomy. Obiecałem, że go zaprowadzę do obory, ale jest tak piekielnie zimno. Równie zimno jak tutaj. Słuchaj, zróbmy przerwę, poszukajmy obrusów.

Wyglądało to tak, jakby wszystko ukrywało się za fasadą rozpadu, nie tylko ten piękny salon. Szafy na górze pełne były obrusów i starannie poskładanych zasłon, bieżników, wełnianych koców.

Wszystko, co znaleźli, było czystsze i ładniejsze od rzeczy, które były w użyciu. Zauważyli też całą szafę pełną szmacianych dywaników, całkiem nowych, Erlend nabrał ich naręcze i zniósł na dół, a ona zabrała obrusy, chcieli zobaczyć, czy ich długość będzie odpowiednia. Wyrzucili stare dywaniki i położyli nowe we wszystkich pokojach, znaleźli też kremowobiały, adamaszkowy obrus o długości, która pasowała do stołu. Obrus rozjaśnił pokój swoim blaskiem, miał ostre zagięcia od prasowania. Kiedyś tam Anna na pewno musiała trzymać w domu pewien poziom.

– Jutro kupię trochę pięknych serwetek i świece, tego nie można pozostawić Krumme, on zna się tylko na jedzeniu, tak już ma.

Uzgodnili, że zrobią schab zapiekany w boczku, z czerwoną kapustą, brukselką i śliwkami.

Erlend wyśledził skrzynię z ozdobami świątecznymi, stała w jednej z nieużywanych sypialni.

– To tutaj babcia leżała przez lata – powiedział.

Stała i patrzyła na wiekowe skrzyniowe łóżko, próbując wyobrazić sobie starą kobietę, która przez trzy lata leżała tu i jadła z filiżanek do kawy.

– Nie zostały żadne zdjęcia? – zapytała.

– Nigdy ich nie robiliśmy. Tak więc gdy ktoś umierał w naszej rodzinie, to umierał naprawdę na zawsze. Spójrz tutaj.

Podniósł wielkiego Mikołaja trzymającego dziadka do orzechów.

– Tego dobrze pamiętam. A tutaj są świąteczne lichtarze na stół.

Były zrobione z pomalowanych na czerwono kul, pamiętała też takie ze swojego dzieciństwa.

– I musimy znaleźć jałowiec, żeby włożyć go do tego żeliwnego garnka. Wtedy tak ładnie pachnie, jak się pali w kominku. À propos palenia, trzeba spalić te chodniki i śmieci za stodołą, zanim Tor to zauważy i zacznie stroić fochy.

Erlend znalazł pojemnik z parafiną w miejscu, gdzie stał traktor. Zachmurzyło się i kilka drobnych płatków śniegu spadło swobodnie i niezamierzenie, początek zamieci śnieżnej. Ojciec był w chlewie, poszedł tam zaraz po śniadaniu.

Ciągnęli worki ze śmieciami i dywaniki. Martwego prosiaka włożyła wcześniej do torby po zakupach i schowała za jakimś złomem przy stodole, teraz przyniosła i jego.

– To jest stałe miejsce na palenie rzeczy – rzekł Erlend. – Obudowane dookoła wielkimi kamieniami.

Na śniegu widać było stare ślady, częściowo pokryte świeżym śniegiem. Śnieg wpadał jej do butów, był bardzo głęboki, ale worki ze śmieciami lekko ślizgały się po powierzchni.

Regularny czworokąt tworzył w śnieżnej bieli czarną dziurę, wielkie, roztopione zagłębienie.

– Tutaj są jakieś sprężyny – wyszeptał Erlend, wskazując palcem.

– To chyba był materac. Te sprężyny to resztki materaca.

– Świeżo spalony. Na pewno matki – rzekł.

– Ale dlaczego on go spalił?

– Może dlatego, żeby nikt inny na nim nie spał – powiedział.

– I są tu resztki kości.

– Resztki kości? Jesteś pewna? – zawołał Erlend, chwytając ją mocno za ramię.

– Uspokój się. To młode Siri. Tej maciory, którą on tak kocha.

– Biedny Tor. To po prostu cmentarzysko. Dla tak wielu.

Podpalili worki i dywaniki oraz torbę z prosięciem, stali obok siebie, wpatrując się w płomienie, czuli ich ciepło na twarzach.

– Musimy tak zrobić, żeby jutrzejszy wieczór był przyjemny – powiedziała.

ROZDZIAŁ 20

Margido chciał pójść do kościoła w Byneset przed kolacją i zadzwonił w Wigilię rano, żeby o tym powiedzieć. Odebrała Torunn. Erlend siedział, przyglądając się Krumme, nie mógł jeszcze do końca pojąć, że on tu naprawdę stoi, na środku tej brzydkiej kuchni, zupełnie tym nieporuszony.

– I tak nie możemy zacząć jeść, zanim nie oporządzimy w chlewie – powiedziała do słuchawki. – Pomogę ojcu, żeby szło trochę szybciej, więc, powiedzmy, o siódmej?

Siedzieli przy stole kuchennym, pijąc kawę i starkę duńską. Krumme już zaczął robić czerwoną kapustę, po kuchni rozchodziły się świąteczne zapachy, a w radiu na wszystkich programach nadawano kolędy. Drzwi pomiędzy salonami były otwarte, w kominku palił się ogień, pilnowali, żeby cały czas dokładać do paleniska nowe polana. Stół był nakryty, stały na nim świeżo umyte talerze i kieliszki, ale nie znaleźli srebrnych sztućców, co do których był przekonany, że gdzieś tu są. Zapytał Tora, a Tor wyjaśnił, że zostały sprzedane wiele lat temu komuś, kto skupował takie rzeczy na sprzedaż, gdzieś w mieście. Serwetki były utrzymane w czerwieni i złocie, a świece miały kolor

czerwony. Wiązanki kwiatowe przysłane przez sąsiadów stały po jednej na każdym końcu stołu, całe w bieli, zieleni i srebrze, naprawdę ładne. To był prosty i zwyczajny stół, chociaż wyglądałby zapewne nieco inaczej, gdyby tylko okoliczności były inne, a on mógł się popisać. Dwa krzesła zostały ustawione pod ścianą, chcieli siedzieć wygodnie, mając jak najwięcej miejsca. Nikt nie miał zasiąść na krótszych bokach, Torunn zastanawiała się, dlaczego, ale tego nie był jej w stanie do końca wyjaśnić. Chodziło o coś w rodzaju tradycji, gospodarz i jego żona zasiadali po przeciwnych stronach, stary obyczaj, a tutaj to nie wychodziło. Brakowało niektórych osób, a role nie były do końca jasne. Trzeba było grzecznie usiąść razem przy dłuższych bokach.

Wieczorem zamierzał to jasno powiedzieć, że gospodarstwo musi być przepisane na Tora. Nie wyobrażał sobie, żeby Margido miał się temu sprzeciwić, on też musiał przecież rozumieć, że w obecnej sytuacji nie mogą żądać żadnego spadku, a papiery trzeba jakoś uporządkować. Najwyższy czas, żeby Tor został pełnoprawnym gospodarzem w Neshov.

Cieszył się na tę chwilę, w której to powie, okaże szczodrość względem Tora, z własnej inicjatywy rozpocznie ten temat i doprowadzi go do końca. To na pewno pozwoli Torowi wyprostować się trochę, spojrzeć w przyszłość. To będzie taki swoisty prezent świąteczny, dla nich wszystkich. A w spółdzielni kupił plastikowe opakowanie z gotową owsianką, chciał z nią pobiec do stodoły w czasie, gdy Tor i Torunn będą w chlewie. Nie zamierzał jej podgrzewać. Owsianka była prezentem dla dziadka Tallaka i już z góry zaplanował sobie, że będzie płakał, otwierając

opakowanie, pozwoli sobie na głęboki sentyment, a obok owsianki położy mały róg jednorożca.

Tor odśnieżał właśnie podwórko i aleję. Był na nogach, ale nic nie mówił. Poprzedniego wieczoru, gdy wrócił z chlewu, pachniał alkoholem. Siedział tam w chlewie i pił, przykro było o tym myśleć. Wiedział, że gdzieś tam stoi butelka whisky, którą dała mu Torunn. Ale nie do pomyślenia było, żeby Tor stale odwiedzał sklep monopolowy, skąd miałby brać na to pieniądze. Ale może powinni dać mu trochę pieniędzy, on i Krumme, gdyby tylko chciał je w ogóle przyjąć. Nie ma pewności, że wziąłby czystą gotówkę. Powinni raczej kupić jakieś dwieście litrów czerwonej i białej farby i dać mu przed odjazdem.

Krumme obiecał, że po powrocie do domu zrobią sobie drugą Wigilię. Wszystko wydawało się teraz takie odległe, szachy, które chciał dostać, mieszkanie, choinka z gwiazdą Georga Jensena na szczycie i sztuczny śnieg w koszyczkach. To wszystko było tam w domu samo, a dziś w Kopenhadze naprawdę świętowano Wigilię. Całe miasto połyskiwało, błyszczało, radowało się świętami, a gdyby teraz wyłączył radio, traktor Tora byłby prawdopodobnie jedynym dźwiękiem, jaki by usłyszał. I nawet nie mogli się ładnie ubrać, nie miał ze sobą żadnego garnituru. Krumme zabrał ze sobą swój czarny, na pogrzeb, on nawet o tym pomyślał przed odjazdem. Ale dziś wieczorem Krumme nie mógł wystąpić w czarnym garniturze, to byłoby dziwne, prawie makabryczne.

– Muszę kupić sobie czarny garnitur pierwszego dnia po świętach, rano pojechać do miasta – rzekł.

– Chyba pojedziemy do domu następnego dnia po pogrzebie? – powiedział Krumme.

– Tak. Musimy przecież.

– Ja też nie mogę się tutaj przeprowadzić – dodała Torunn. – Jak tylko mój ojciec upora się z najgorszym, ja...

– I wszystko będzie teraz zupełnie inaczej. Zobaczymy się wkrótce, będziemy w kontakcie, przyjedziesz do nas do Kopenhagi.

– Tak, przyjedziesz – rzekł Krumme, głaszcząc ją po policzku.

– Jakie to dziwne – powiedziała Torunn. – Gdyby ktoś powiedział mi tydzień temu...

– Zdaje się, że wszyscy mamy dokładnie takie samo uczucie – rzekł Krumme.

Ojciec siedział w salonie i oglądał kreskówki. Podszedł i stanął w drzwiach, opierając się o framugę, przyglądał się staremu człowiekowi.

– Nie zamierzasz się ogolić?

Ojciec spojrzał na niego.

– Skoro już masz zęby i tak dalej. Musisz wyglądać porządnie, pomyśl, że to urodziny Jezusa.

Ojciec odwrócił się do ekranu i rzekł: – No tak, może i mógłbym... Ale to taki kłopot. Te majtki, które dostałem, są dobre.

– Tęsknisz za nią?

Nie zareagował.

– Nie była dla ciebie szczególnie miła. Rządziła tobą od rana do wieczora.

To niewidzialny człowiek, pomyślał, niewidzialny człowiek, który chodzi po ziemi od osiemdziesięciu lat. Siedzi tutaj w nowych gaciach za czterdzieści osiem koron i usiłuje za nie podziękować.

Bambi w oszołomieniu kręcił się po lodzie, wkrótce będą śpiewać *When you wish upon a star*. Tego za żadną cenę nie mógł usłyszeć dzisiaj, wylewał wtedy zawsze morze łez, a to mogłoby śmiertelnie przerazić ojca.

– Mogę ci pomóc, tato. Znaczy z goleniem. Chodź, pójdziemy do łazienki.

Posadził go na stołku naprzeciwko zlewu i owinął mu ręcznik wokół szyi, jak śliniak, mocując go na karku spinaczem do bielizny. Po generalnym sprzątaniu wiedział, że w szafce leży paczka nowych żyletek. Wyrzucił starą i założył nową. Nigdzie nie było pianki do golenia.

– Używasz zawsze zwykłego mydła?

Ojciec skinął poważnie głową, gapiąc się na swoje odbicie w lustrze.

– Poczekaj chwilę.

Przyniósł swoją kosmetyczkę i piankę do golenia Chanel w sztyfcie, użył małego ręcznika do zmoczenia ojcu twarzy, a potem natarł mu sztyftem zarost aż do uzyskania gęstej, białej piany. Starał się nie myśleć o niczym, robiąc to. Ojciec siedział z zamkniętymi oczami i sztywnym karkiem, w uroczysty sposób.

Powoli i ostrożnie przesuwał ostrzem po starej twarzy, tworząc w białej pianie ślady o kolorze skóry. Na koniec podniósł ręcznik i oklepał nim twarz ojca do sucha.

– Teraz jesteś elegancki. Naprawdę świąteczny.

– Bardzo dziękuję.

– A gdy zaświeci pierwsza gwiazdka, dostaniesz ode mnie kielonka. To cię chyba ucieszy.

Ojciec kilkakrotnie skinął głową, dotykając policzka palcami.

Wtedy Tor wszedł po schodach i stanął prosto w drzwiach łazienki.

– Co...

– Ogoliłem ojca. Czyż nie jest elegancki?

– Świat chyba, kurwa, nie dotrwa do Wielkanocy – powiedział Tor, odwrócił się i zszedł z powrotem na dół.

– I jeszcze odrobina kremu nawilżającego, żeby skóra nie wysychała.

Ojciec złożył ręce na kolanach i pozwolił mu wcierać krem, cały czas mając zamknięte oczy.

ROZDZIAŁ 21

Margido miał rację, musiał wziąć się w garść, pomyśleć o gospodarstwie, o swoich zwierzętach. Jedną sprawą była wizyta w chlewie i pokazanie córce swoich świń, a zupełnie inną to, żeby rozklejać się na tyle, że już nie mógł poradzić sobie sam i nie był w stanie zostać tam bez pomocy. Ale ona wszystko potrafiła, teraz nosiła słomę i rozsypywała ją w boksach, wchodziła do macior i wychodziła stamtąd jak gdyby nigdy nic, już teraz ją znały. A odstawione prosięta po prostu za nią szalały, plątały jej się wokół nóg, gdy tylko była w boksie.

Kiedy skończyli i mieli już iść do środka na świąteczną kolację, powiedziała:

– Możesz je po prostu wypakować teraz. Przecież nie będziemy mieli prezentów, a wtedy byłoby trochę niesprawiedliwie otwierać je przy wszystkich. Widziałam, że stoją w pomieszczeniu gospodarczym.

A więc widziała. Pewnie zobaczyła też butelki w szafce, okowitę i sherry. Byłoby pewnie dziwne, gdyby nie przyniósł tej okowity. Erlend narzekał dzisiaj głośno, że monopolowy był zamknięty i że jedyne, co mają, to piwo, butelka czerwonego wina i odrobina

duńskiej wódki. W jego uszach to było bardzo dużo, na ganku stały dwie skrzynki piwa, no, ale ta okowita, że bez tego nie ma świąt, jak powiedział Erlend.

To była wełniana bielizna pierwszej jakości. Starannie składał świąteczny papier, studiując zarazem uważnie młodego, wysportowanego mężczyznę na zdjęciu umieszczonym na pudełku.

– To naprawdę... bardzo miłe. Ale nie musiałaś...

– Teraz resztę.

Kawa i brązowy cukier na patyczkach, kubek w kształcie świni. Uchwyt stanowił świński ogon, podniósł kubek do ust, udając, że pije, uśmiechała się bez przerwy, właściwie to mógłby ją teraz uścisnąć, pomyślał, skoro już stali tutaj razem w identycznych kombinezonach z magazynu zboża w Trondheim.

– Dziękuję. Ale ja nie mam nic dla ciebie – powiedział i przytulił ją szybko. Za zapachem chlewu krył się zapach mydła.

– Daj spokój, najlepszym prezentem dla mnie będzie, jak pozwolisz mi pójść pierwszej do łazienki!

Dzięki temu miał kilka minut na zebranie się. Wyciągnął butelkę okowity i postawił ją na blacie, otworzył jedną butelkę sherry, wypił kilka dużych łyków. Whisky już się skończyła, dalej tak nie mógł tego ciągnąć. Jak tylko ona spocznie w ziemi i będzie po pogrzebie, wszystko wróci do dawnego stanu. A póki co mógł równie dobrze pić, skoro już miał co.

Sherry rozgrzała go, rozchodziła się w piersiach jak płomień, kolacja w salonie z kominkiem, ojciec golony przez Erlenda ze śliniakiem na szyi. Duńczyk z kolczykiem w uchu nad garnkami, gdyby matka to zobaczyła. I do tego to wszystko w salonie

kominkowym. Srebrne sztućce musieli sprzedać, żeby starczyło pieniędzy w czasie, gdy płacił na Torunn.

Na podwórku stał citroen Margida. Spotkał go w korytarzu, Margido zdejmował wierzchnie ubranie, właśnie przyjechał. Z kuchni dochodziły kuszące zapachy. Drzwi były otwarte, tego wieczoru nawet w korytarzu było ciepło.

– Leży już w kostnicy – rzekł Margido.

– Już?

– Zawiozłem ją tam dzisiaj, w szpitalu nie ma miejsca.

To tylko kilkaset metrów dalej. Gdy dzwony rozdzwoniły się dzisiaj rano na mszę wigilijną, biły też dla niej. Próbował zobaczyć ją oczyma wyobraźni. W bieli, na pewno była ubrana w coś białego, jak wszyscy, ze złożonymi rękami. Zdecydował, że będzie chciał ją zobaczyć w kostnicy przed pogrzebem i na tę myśl poczuł nagły spokój.

– Weź ją do środka – powiedział, wręczając Margidowi małą butelkę okowity.

– Ale ja nie mogę nic pić, na wypadek gdybym został nagle wezwany.

– Będzie musiała zatem wejść na własnych nogach.

Wziął czyste ubrania i umył całe ciało. To było jak oczyszczenie. Wiedzieć, że jest gdzieś niedaleko i że jeszcze ją zobaczy. I to tutaj przecież miała leżeć! Na zawsze! Nie w tym okropnym szpitalu, chyba to go tak bardzo bolało, myślenie o niej tam. Tutaj był jej dom, prawie w Neshov. I za każdym razem, gdy dzwony znów biły... Czuł, jak płyną mu z oczu łzy, ale ich nie wycierał, to były dobre łzy, mieszały się z wodą spod prysznica.

Koszula była niewyprasowana, ale czysta. Tyle musiało wystarczyć.

Schodząc w dół po schodach, usłyszał głos ojca dobiegający z kuchni. Zatrzymał się w połowie schodów, żeby posłuchać. Siedzieli i rozmawiali o nim, Erlend i Torunn, i Duńczyk.

Nie słyszał głosu Margida. Musieli dać ojcu coś mocnego do picia, jemu, który nigdy nie spróbował ani kropli, na pewno nieźle uderzy mu do głowy.

– Ale całe miasto! Podejrzewałam nawet, że mój ojciec sobie ze mnie żartuje – rzekła Torunn.

– Ponad pięćdziesiąt tysięcy domów tarasowych – powiedział ojciec.

– Z trudem zostałoby tu trochę miejsca na gospodarstwa – stwierdził Erlend.

– Neu-Drontheim – rzekł ojciec.

– Miasto miało się tak nazywać? – zapytał Duńczyk.

Ojciec nie odpowiedział od razu, zapewne zamiast tego skinął głową. A potem kontynuował: – Albert Speer wykonał makietę. Dwadzieścia pięć metrów kwadratowych. Z gipsu. Wszystkiego.

– Ty sporo wiesz – powiedział Duńczyk.

– O, trochę sobie czytam.

– Ale gdzie ta makieta jest teraz? – zapytała Torunn.

– Stała w Berlinie – rzekł ojciec. – Została zbombardowana w drobny mak razem z całą resztą.

– Ale drzewa ciągle tu są – powiedział Erlend. – Pamiętam je dobrze. Dziadek Tallak pokazał mi je, gdy byłem mały. Rosną

tutaj, jakby to była najnaturalniejsza sprawa na świecie, jakby tu był ich dom.

– Po pewnym czasie w końcu tak jest – rzekł ojciec. – To przecież sześćdziesiąt lat.

– Ostatecznie nie za bardzo też można je wyrwać i wysłać do Niemiec! – powiedział Erlend i zaśmiał się lekko. – Tak po prostu, halo! Zapomnieliście tutaj paru drobiazgów! Zwiędłyby przed minięciem Støren.

Pośpiesznie zszedł po schodach i wszedł do kuchni. Ojciec faktycznie siedział z pustym kieliszkiem do likieru przed sobą, na stole stała brązowa butelka, każdy miał przed sobą mały kieliszek oprócz Margida, który stał z założonymi rękami, opierając się o blat kuchenny.

– Trochę starki duńskiej, Tor? – zapytał Erlend, wyciągając kieliszek w jego kierunku.

Ach tak, to była właśnie ta brązowa butelka. Słyszał o tym napitku, ale nigdy nie miał okazji go spróbować. Spodziewał się czegoś słodkiego, ale to był gorzki, obcy smak.

– To chyba możemy już siadać do stołu – rzekła Torunn.

Na obu parapetach stały świece, w kominku palił się ogień. Na stole zobaczył wysokie czerwone świece oraz wiązanki kwiatów, które przysłano z Hovstad i Snarli, gdzie matka miała krewnych.

Stanął w zadziwieniu tuż po przekroczeniu progu drzwi. To był jakiś inny czas. Duńczyk wnosił i wynosił półmiski.

– Jak miło, że miałeś w schowku trochę okowity – rzekł Erlend. – To dopiero była niespodzianka.

Ojciec siedział tam cały błyszczący czystością, wszystko w nim świeciło, skóra, oczy, włosy zaczesane do tyłu. Zastanawiał się, ile takich kielonków już w niego wlali, nie myśląc o tym, że ten człowiek nigdy nie pił.

Usiadł po przeciwnej stronie, na drugim końcu stołu, możliwie najdalej. Torunn nalała piwa do wszystkich szklanek, omijając Margida, a potem obeszła wszystkich z butelką okowity. W pokojach panowała cisza, radio było wyłączone, ekran telewizora czarny. Duńczyk przyniósł sos, w sosjerce, która też pochodziła z innych czasów, pamiętał ją dobrze, matka zawsze robiła dobre sosy, a pyszne sosy to była jedna z jego ulubionych rzeczy.

– Mamy wodę mineralną i napoje gazowane – rzekła Torunn do Margida.

– Woda mineralna wystarczy – odpowiedział Margido.

Od dawna już nie jadł tak dobrego jedzenia, dokładał sobie trzy razy. Bekon był usmażony na krucho, a sos tak dobry, że zapomniał się przez chwilę i rozgniótł w nim starannie ziemniaki. Na kredensie zauważył Mikołaja z dziadkiem do orzechów. Stała tam również miseczka z orzechami, leżała paczka fig oraz naczynie pełne różowych i zielonych kulek marcepanowych. Piwo i okowita, i świeczki, i to pyszne jedzenie, wszystko razem napełniło go wdzięcznością i życzliwością. Nikt jeszcze nie wzniósł toastu, może on więc się teraz ośmieli. Podniósł kieliszek z likierem.

– Za... matkę.

Nie słyszał, kto jeszcze przyłączył się do toastu, musiał zamknąć oczy i mocno, w skupieniu przełknąć ślinę, zanim pociągnął łyk z kieliszka. Nikt nic nie powiedział, wszyscy jak jeden mąż pochylili twarze nad jedzeniem i sztućcami. Zostało to powiedziane, wyrzekł to, nie wiedział, dlaczego te słowa były takie ważne, ale tak było. Będzie mógł zastanowić się nad tym dogłębnie pewnego dnia w chlewie, gdy będzie sam na sam ze zwierzętami.

– I za zdrowie kucharza – powiedział Erlend, przełamując ciszę.

Wzniósł kieliszek już bez oporu w stronę Duńczyka. Musiało przecież być w nim coś dobrego, skoro potrafił przyrządzić takie jedzenie. Dwanaście lat, pomyślał, dwanaście lat to szmat czasu.

– Na zdrowie – rzekł i poczuł na sobie spojrzenie Margida.

Torunn przygotowała krem z górskich jeżyn, znalazła je w zamrażarce.

– Czy to może ty sam je zbierałeś? – zapytała go.

Skinął głową. To było co prawda kilka lat temu, ale tego już nie musiał mówić głośno. Jeżyny mogły długo leżeć w zamrażarce. A matka zawsze przecież oszczędzała to, co było dobre. Duńczyk przyszedł z dzbankiem z kawą i postawił go na rogu kominka, Torunn rozstawiła eleganckie filiżanki matki. Ostrożnie ustawiała je na spodeczkach, doceniał to.

– A do kawy pasuje chyba odrobina starki duńskiej – powiedział Erlend, obchodząc wokoło stół i napełniając wszystkim kieliszki.

Rzucił szybkie spojrzenie ojcu, siedział z mocno pochylonym karkiem i w oszołomieniu gapił się w czeluście swojej filiżanki

oraz małego kieliszka z ciemną zawartością. Wyglądało to prawie tak, jakby zasnął.

– Jest coś, co chciałbym powiedzieć – rzekł Erlend. – Skoro jesteśmy już tutaj wszyscy razem.

Ciekawe, o co tym razem mogło chodzić. Przecież wypił toast z jego kochankiem, Erlend musiał zrozumieć, że oni starają się, jak mogą, że wznoszenie takich toastów to ostatnia rzecz, jaką wielu przy tym stole miałoby ochotę robić, oni, którzy nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie byli w stanie wyobrazić sobie, że dwóch dorosłych facetów może...

– Gospodarstwo trzeba przepisać na Tora. To przecież nigdy nie zostało załatwione – rzekł Erlend.

Zaczęło mu szumieć w uszach, złapał swoją filiżankę, uniósł ją lekko do ust, a potem z trzaskiem postawił znowu. Nie mieli pojęcia, jak tutaj źle się działo, i do tego teraz jeszcze bez emerytury matki. Będzie zmuszony wszystko sprzedać, nie miał możliwości wykupienia Erlenda i Margida. I akurat teraz, gdy siedział tutaj i w zasadzie...

– Nie – powiedział.

– Ale ty chyba chciałbyś, żeby to zostało załatwione? – zapytał Erlend ze zdumieniem w głosie.

– Nie – rzekł ponownie. – Wtedy gospodarstwo się rozpadnie. Nic tu więcej się nie udaje, jak ledwo związać koniec z końcem.

– Ale my przecież niczego nie chcemy. Prawda, Margido, że my posiadamy dość, żeby dawać sobie radę?

– To przyszło trochę nagle – powiedział Margido.

– Nagle? Powiedziałeś nagle? Tor ma pięćdziesiąt sześć lat! – rzekł Erlend.

– Ależ Erlendzie, czy nie mieliśmy... dziś wieczorem... – powiedziała Torunn.

– To jest ważne – odparł Erlend. – I to teraz, kiedy siedzimy tutaj wszyscy razem. Sądziłem, że się ucieszycie.

– A co z Torunn – rzekł Margido.

– Właśnie. Co z Torunn? – zapytał Erlend. – Jeżeli Tor nagle umrze, to wyjdzie na to, że ona wszystko dostanie. Trzeba zrobić to na piśmie, że dopiero wtedy podzielimy dziedzictwo, a Torunn sama zdecyduje, co ona chce zrobić. Nic gorszego stać się nie może.

– Nie do końca o to mi chodziło – powiedział powoli Margido. – Gospodarstwo w końcu jest... A ja też chciałbym, żeby...

– Ty też raczej zbyt często tu nie bywałeś – rzekł Erlend.

– Przestań już – przerwała Torunn.

– Ale jeśli zrobimy to wszystko na piśmie, tak jak mówisz – powiedział Margido spokojnie. – Że podzielimy dziedzictwo dopiero wtedy. Jeżeli da się tak zrobić. I jeżeli będzie co dzielić. Jeśli będziemy tego potrzebować.

– Przecież to będzie zależało od ciebie i ode mnie, Margido – rzekł Erlend. – Zrezygnować z dziedzictwa teraz, dać Torowi robić dalej to, co robi od tak wielu lat, nie posiadając w gruncie rzeczy niczego! Okropnie jest o tym pomyśleć. Ja też tutaj nie bywałem i...

– Jeśli tylko to jest takie proste – powiedział Margido.

– Możemy prawdopodobnie umówić się, jak tylko chcemy, jeśli wszyscy trzej będziemy zgodni i podpiszemy, co trzeba. Przy świadkach, z adwokatem i całym tym pakietem, nie wiem za dużo o takich sprawach, ale mimo że Dania to coś innego niż Norwegia,

to w każdym razie Krumme uważa, że możemy na pewno sporządzić własną umowę. A Krumme wie wszystko.

– W takim razie tak zrobimy. Tak będzie, Tor – rzekł Margido. – Porozmawiamy z adwokatem, jak to najlepiej przeprowadzić, wszystko musi zostać porządnie załatwione.

Zdołał unieść filiżankę do ust, ale zaraz ją opuścił. Czy to mogło być takie proste, to nad czym zastanawiał się przez wiele lat, że po prostu oni mogą zrezygnować z dziedzictwa, póki co?

– Co ty na to, Tor? Czyż tak nie będzie dobrze? – zapytał Erlend.

– A co ze mną? – odezwała się Torunn. – Uważacie, że ja tylko... Jestem po prostu w szoku.

– To jest gospodarstwo rodzinne – powiedział Margido. – A po Torze ty jesteś jedyną osobą, która może je przejąć. Jeśli nie będziesz chciała, zostanie sprzedane.

– Będziesz też mogła na przykład sprzedać część – dodał Erlend. – I zajmować się tu czymś innym niż świnie. Albo zainwestować i rozszerzyć działalność! Przecież ty już żyjesz ze zwierząt. Psy w Trondheim zachowują się na pewno równie niesfornie jak te w Oslo. Albo możesz też robić coś zupełnie innego. Wydzierżawić ziemie uprawne i założyć mleczarnię! Możesz robić, co tylko zechcesz! Sama powiedziałaś, że uważasz, że tu jest pięknie! Gdy Tor przejmie gospodarstwo, ty zostaniesz dziedziczką! Czyż to nie przyjemna myśl?

– Erlend. Ona musi chyba mieć trochę czasu na przetrawienie tego wszystkiego – powiedział Duńczyk.

– Tak, chyba tak – rzekła cicho Torunn. – Ja jakoś w ogóle nie pomyślałam dotąd o tych sprawach. Wszystko stało się tak szybko.

– Nie bierz tego do siebie, ale akurat w tym momencie wcale nie chodzi o ciebie. Chodzi o Tora – powiedział Erlend. – I o to, że trzeba posprzątać różne sprawy. I o to, że Margido i ja odstąpimy póki co od prawa do dziedzictwa, na którego spłacanie Tora nie stać. Akurat teraz. Jeśli o mnie chodzi, to chętnie zabrałbym ze sobą cały stos tych starych łóżek skrzyniowych i byłbym w pełni zadowolony, prawda, Krumme, że te łóżka są naprawdę piękne? To wobec tego jesteśmy dogadani, prawda?

– Na to wygląda – rzekł Margido.

Wypił kolejny łyczek kawy, starał się oddychać spokojnie, czy naprawdę gospodarstwo miało być w końcu jego własne, tylko jego, miał stać na podwórku jako gospodarz w Neshov i naprawdę nim być, nie będzie musiał już mieć karykatury podpisu ojca na wszystkich urzędowych papierach. Rzucił mu szybkie spojrzenie. Ojciec nie siedział już w swojej na pół śpiącej pozycji, ale z usztywnionym karkiem patrzył na nich wszystkich płonącymi oczami, zupełnie niepodobny do siebie, podniósł teraz drżącą ręką kieliszek do ust i opróżnił go jednym haustem, przełknął kilkakrotnie ślinę i powiedział:

– Nie.

– Nie co? – zapytał Erlend.

– Nie jesteśmy dogadani. Ja też chcę...

– Ty? – zapytał Erlend. – Ty przecież nie musisz się do tego w żaden sposób odnosić. Dla ciebie nic się nie zmieni. Tor przecież nie ma zamiaru wyrzucać własnego ojca z gospodarstwa. No tak,

od strony czysto prawnej wyglądać to będzie tak, że Tor przejmie gospodarstwo po tobie. Ale ty tylko musisz to podpisać i na zawsze będziesz mieć to z głowy!

– Ja nie jestem jego ojcem.

Siedział i wpatrywał się w swoją filiżankę, co ten człowiek powiedział, co jego ojciec takiego powiedział.

Ojciec spojrzał prosto na niego.

– Nie jestem twoim ojcem – rzekł. – Jestem twoim bratem.

– Przyrodnim bratem – dodał Margido.

– Dla całej waszej trójki – powiedział ojciec – Przyrodnim bratem.

– Ja o tym wiem – rzekł Margido. – Ale teraz może więcej nic nie mów, ona przecież dopiero co umarła.

W pokoju zapadła całkowita cisza, usłyszał, jak polano w kominku przewraca się, ale nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy iskry nie spadły na drewnianą podłogę. Co tutaj się działo, podniósł twarz w stronę Margida, o co chodziło z tym przyrodnim bratem.

– Nigdy nie zbliżyłem się do Anny – kontynuował ojciec zaskakująco donośnym głosem, prostując się. – Ani razu w życiu nie byłem z twoją matką! Ja się z nią tylko ożeniłem.

Ojciec znów zapadł się w sobie. Skóra na policzkach zwisała, zmarszczki przypominały czarne linie.

– Jak ty dawałeś radę tak żyć – powiedział cicho Margido. – Wiedzieć o tym. Nie jestem w stanie tego pojąć.

– Powiedziałeś, żebym nic więcej nie mówił.

– Ale żeby się z nią ożenić.

– Lepiej nie mówić nic więcej.

– Ale ty musiałeś być... – rzekł Margido.

– Być kim? – powiedział ojciec, ponownie prostując szyję, ale oczy miał zamknięte, tak jakby chciał uważnie słuchać, dłonie ułożył przed sobą płasko na obrusie.

– Bardzo posłusznym synem – rzekł cicho Margido. – Zbyt posłusznym.

– Tak. Ale to nie odgrywało żadnej roli.

– Ożenić się z nią. Czyżby to nie miało żadnego znaczenia? – zapytał Margido.

– Nie. Bo ja tego specjalnie nie lubiłem.

– Czego nie lubiłeś – powiedział Margido.

– Tych spraw z dziewczynami – rzekł ojciec i natychmiast rzucił szybkie spojrzenie na Erlenda.

– Jesteś pijany.

– Tak – powiedział ojciec i zachichotał. – Jestem pijany.

Erlend schował twarz w dłoniach, osunął się na stół. Jeden z kieliszków stojących przed nim przewrócił się.

Wyszedł jakoś o własnych siłach do chlewu, trzasnął drzwiami od wewnątrz, odszukał butelkę sherry, w środku było lodowato, stał w samej koszuli, wyrwał korek z butelki i zaraz wsadził go z powrotem, nie upiwszy ani łyka, ojciec nigdy nie był z matką, to nie trzymało się kupy, facet musiał zwariować, i to z tymi sprawami z dziewczynami, to jakiś obłęd, stary człowiek w wieku osiemdziesięciu lat, przecież on dla odmiany chyba nigdy...

Poszedł do świń, nie zapalając górnego światła, przez otwarte drzwi wpadała wąska smuga światła, wyglądała jak białe łóżko

na betonowej podłodze, źdźbła słomy rzucały długie cienie, zwierzęta spały, nie poruszyła ich ta drobna inwazja światła, dla nich panowała noc, leżały blisko obok siebie, oddychając i wypoczywając, najedzone, w oczekiwaniu nowego dnia, usłyszał, jak Margido kilkakrotnie woła go po imieniu, że ma otworzyć, a teraz dołączył też głos Torunn, wołający to samo. Tak bardzo pragnął położyć się obok świń, nie wiedzieć niczego, być tylko zwierzęciem, niemyślącym o niczym poza jedzeniem, ciepłem i odpoczynkiem, mieć spokój. Ale nagle białe łóżko światła zostało zburzone, poruszało się, stali tam oboje, tuż za nim. Usłyszał, że Torunn płacze. Odszedł od nich, głębiej w ciemność, w stronę czerwonych plam i kłębków śpiącego życia.

– W życiu nie sądziłem, że on sam to powie – rzekł cicho Margido. – A matka raczej nigdy nie zamierzała o tym opowiedzieć.

Niektóre świnie zaczęły cicho chrząkać, spokojne i senne chrząknięcia, rozpoznawał je, każdy niuans w tym dźwięku, ojciec nie był tutaj ani razu od czasu, gdy przeszli z krów na świnie, Margido też nie.

– Nie rozumiem. Co się tutaj dzieje – wyszeptał, czując jak ślina napływa mu do ust, najchętniej by teraz zwymiotował. Kątem oka dostrzegł kontur maciory, którą miał wkrótce kryć, była jak ciemnoszara góra na tle absolutnej czerni.

– Przecież on nigdy nie pije – rzekł Margido. – Chciał tylko, żebyśmy zwrócili na niego uwagę, żeby był bardziej z nami. I został podany jako nasz ojciec, w rejestrze ludności i w księgach kościelnych. Ale on nie będzie już dalej nic robił z tym tematem.

Gdy wytrzeźwieje, wtedy po prostu... Chodź z nami z powrotem do środka, Tor. On na pewno już poszedł spać.

– Ale skoro on nigdy z nią nie był. W jaki sposób... Przecież my jesteśmy na świecie, nasza trójka.

Margido gwałtownie odchrząknął, a potem powiedział: – Widziałem ich razem. Przyszedłem wcześniej ze szkoły do domu, bo byłem wtedy chory.

– Dziadek Tallak? – wyszeptał. To było zupełnie tak, jakby stać i rozmawiać w środku snu, w samym środku najciemniejszego snu, z nierzeczywistymi głosami dobiegającymi z tyłu. Dziadek Tallak. Matka zamknęła się w swoim pokoju na dwa dni po jego śmierci. Jej teść.

– Tak, dziadek Tallak – rzekł Margido. – Ale oni mnie nie widzieli. Pamiętasz, jak pokłóciłem się z matką? Ostatnim razem, gdy tu byłem? Uważałem, że jesteście zbyt okropni dla ojca. Są przecież jakieś granice, powiedziałem wtedy to matce.

– Ale on jest... On jest przecież durniem.

– Tak, Tor, ale dlaczego jest taki?

– Bo... Bo on nigdy... Nie wiem. Od zawsze tak było. Sam przecież powiedział, że to nie odgrywało żadnej roli.

– Matka nie odczuwała do niego nic poza obrzydzeniem, może właśnie dlatego. Bo nigdy nie protestował. Zdaje mi się, że naprawdę źle zrobiło się dopiero po śmierci babci. Wtedy pomiędzy nimi był już tylko ojciec. I tym bardziej się nim brzydziła po śmierci dziadka. Może nawet jeszcze bardziej po śmierci dziadka.

– Ale babcia...

– Nie sądzę, żeby o tym wiedziała. Może dopiero na samym końcu. Kiedy leżała latami, matka się nią opiekowała, i nie chciała iść do domu opieki. Może to było coś na kształt zemsty, to też. Ale ja... Nawet ja nie wiedziałem, że ojciec nigdy nie był cieleśnie z matką. Po raz pierwszy powiedziała mi to tego dnia siedem lat temu.

Oparł się o boks i osunął na kolana, pozostał tak na podłodze, nagle zapaliło się światło. Torunn podeszła i ukucnęła tuż przed nim, siedzieli przy boksie Sary, Sara nawet się nie podniosła, zamrugała tylko w ich stronę oczami, prawie niewidzącymi oczami, zakłócono jej rytm, za nią leżały młode, te kilka, które jej pozostały.

– Kiedy jej powiedziałeś, że przecież są jakieś granice? – wyszeptał.

– Odpowiedziała mi, że nie mam pojęcia, o czym mówię. I wtedy przyznałem, że ich widziałem razem. Jak robili to na górze. Nie wstydzę się niczego, odparła na to, zawsze byliśmy dla siebie, tylko Tallak i ja, razem. Tak to jest, Tor. A gdy ojciec wytrzeźwieje...

– Ale przecież to już nie jest nasz ojciec! On jest przecież... To on jest dziedzicem tutaj! Najstarszy syn Tallaka! My pozostali jesteśmy tylko... młodszymi braćmi. Młodszymi półbraćmi. Nie, to ponad moje siły. Nie dam rady się...

Sara podniosła się, przydreptała w jego stronę, wetknęła ryj pomiędzy stalowe pręty i w jego włosy, pozwolił jej na to.

– Weź się w garść, Tor! Na papierze to on jest naszym ojcem! Będziemy po prostu udawali, że to wszystko się nie wydarzyło. Że

o tym nie rozmawialiśmy. Gospodarstwo zostanie przepisane na ciebie.

Margido mówił zdecydowanym głosem, jak nauczyciel w szkole.

– Ale on przecież będzie tu mieszkał! Razem ze mną! Ty sobie zaraz potem pojedziesz do domu!

– Może teraz będzie właśnie łatwiej. Łatwiej dla ciebie.

Margido podszedł i stanął tuż przy nim, to było nie do wytrzymania, że tak na niego napierali. Margido w eleganckich butach i ciemnobrązowym garniturze, będzie zmuszony to wszystko wyrzucić, nigdy nie pozbędzie się tego zapachu.

– Ale ty nie zamierzałeś mi tego powiedzieć. Nie miałeś zamiaru.

– Przeciwnie, Tor. Za jakąś chwilę, tak. Gdy nie sądziłbyś... gdy nie sądziłbyś już, że mówię to, żeby oczerniać matkę. Zamierzałem powiedzieć to dopiero wówczas. W taki sposób, abyś raczej zaczął żałować ojca, zamiast bez przerwy się na niego irytować.

– A więc tak zamierzałeś.

– Tak. Bo jego szkoda – rzekł Margido. – Pomyśl, że jest tutaj obecny przez te wszystkie lata. A po śmierci dziadka został z nią sam, z kimś, z kim na niby był żonaty.

– Wasza matka musiała być wiedźmą – powiedziała Torunn, podnosząc się.

– Nieprawda! – krzyknął, wciskając ryj Sary z powrotem między stalowe pręty, usiłowała go ugryźć, ale tylko żuła powietrze, wilgotno i gwałtownie.

– Nie, nie była wiedźmą – rzekł Margido. – Ale dużo złego nam zrobiła, Tor. To prawda. Pamiętasz, jak zadzwoniłeś tego

wieczoru, gdy znalazła się w szpitalu?

– Nie chciałeś przyjechać, póki on tam jest. Sądziłem... że myślisz to samo co ja. O nim.

– Nie mogłem znieść myśli, że miałbym zobaczyć ich razem. Nigdy więcej nie chciałem zobaczyć ich razem, tak sobie przysiągłem te siedem lat temu. Oglądać go siedzącego przy jej łożu boleści i mieć świadomość, co znosił z jej strony. I nie mógł nic zrobić.

– Ale co ja mam wobec tego zrobić? Zarżnę wszystkie świnie i...

– Nie! – powiedziała Torunn. – Tego na pewno nie zrobisz. Rozejrzyj się. Tego po prostu nie zrobisz. Nie pozwalam ci. Ja ci nie pozwalam.

– Porozmawiasz z nim – rzekł Margido. – Potraktujesz go jak człowieka. To ci dobrze zrobi. Wtedy życie tutaj w gospodarstwie znów będzie możliwe. Dla mnie też. Mógłbym w zasadzie tu przyjeżdżać i... Piękne masz te swoje świnie, Tor.

– Byłem zawsze po jej stronie. Nas dwoje przeciwko niemu – wyszeptał.

– Wiem o tym. Ale teraz już nie musisz tego robić.

– Ale ona leży jeszcze tuż obok! O, mamo...

Zaczął sucho łkać. Margido pochylił się i położył mu dłoń na ramieniu.

– Chodź, pójdziemy do środka, Tor.

Erlend siedział przy stole i trzymał Duńczyka za rękę. Kiedy ich zauważył, pociągnął nosem, twarz miał napuchniętą od płaczu. Duńczyk gładził go po ręce.

– Boże święty, jak od was wali chlewem – powiedział Erlend, uśmiechając się słabo i ocierając policzki.

Ojciec siedział u szczytu stołu z głową schowaną w dłoniach, stary, osiemdziesięcioletni człowiek ze świeżo ogolonym podbródkiem i odnalezionym garniturem zębów.

– Teraz chyba należy nam się wszystkim kawa i po kieliszku – rzekł Duńczyk.

Usiadł. Kawa parowała z filiżanki, Duńczyk napełnił mu mały kieliszek, musiał coś teraz powiedzieć.

– Tato?

Stary człowiek podniósł ku nim twarz, jego spojrzenie błądziło, nie zatrzymując się na nikim.

– Nie, dziękuję, ja już nie chcę więcej. Pójdę teraz się położyć.

Nikt nie powiedział ani słowa w czasie potrzebnym na to, aby mozolnie stanął na nogach i powoli wyszedł z salonu kominkowego, przytrzymując się jedną ręką ściany. Dopiero gdy minął próg, Torunn powiedziała: – Pomóc ci wejść po schodach?

– Ależ nie – odrzekł. – Dam radę. Dobranoc i dziękuję za jedzenie. Bardzo dziękuję.

EPILOG

Miał pracować sam przy niemieckich domach, teraz była jego kolej. Na początku wszyscy w Øysand, Leinstrand i w Byneset chcieli zburzyć te domy. Były dowodami wstydu, świadectwem wielkiej woli Niemców, żeby zapuścić tutaj korzenie, w obcym kraju, budować i mieszkać, wyobrażając sobie, że są u siebie. Domy zostały zbudowane dla oficerów niemieckiej marynarki wojennej. I były wygodne, małe, żal byłoby je burzyć, tak uważało wielu, między innymi Tallak. Lepiej je wyremontować, używać ich do tego lub owego w dalszej perspektywie. Może jako domy modlitwy albo miejsca spotkań dla młodzieży.

Ludzie z gospodarstw pracowali tutaj na zmianę. W soboty i niedziele wielu mężczyzn często działało razem, a gdy o zachodzie słońca przychodziły kobiety z jedzeniem i piciem, rozlegał się śmiech i w powietrzu czuło się życie.

Już od wielu godzin pracowała w zagonie ziemniaków, pod wpływem ciepła chwasty rosły szybciej niż krzaczki ziemniaczane, a ziemię trzeba było zrywać motyką, żeby woda nie odpływała, gdyby nadszedł deszcz. Ale Tallak musiał przecież coś zjeść,

wszyscy to rozumieli, więc to dobrze, że weźmie na siebie ten kłopot i tam pójdzie.

Do przejścia był spory kawałek, ale nie miało to dla niej znaczenia. Niebo było szare, chociaż nie wyglądało, żeby zanosiło się na deszcz. Musiała iść drogą, pola były świeżo zaorane i trudno było się po nich poruszać. Poza tym nie bardzo wypadało tak deptać po cudzej uprawnej ziemi.

Gdy w końcu znalazła się na szczycie Bråliene, zatrzymała się tam, jak zawsze. Koryto rzeki rozpościerało się szerokie i potężne, tak jak uformowała je rzeka Gaula. Skrawki lasu i krzaki stanowiły jasnozielone plamy pomiędzy małymi zatoczkami, wypłukanymi przez wodę.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie wiedziała, czy to dlatego, że idzie do niego, czy dlatego, że wkrótce wszystko się zmieni, a ona nie była jeszcze pewna, w jaki sposób ta zmiana się dokona.

Wzięła oddech i ruszyła w dół zbocza, pozwalając ciału opadać po każdym kroku, czuła, jakby w ogóle nie używała żadnego mięśnia, jak gdyby tylko prześlizgiwała się ciepła i leniwa w kierunku niemieckich domów, ku niemu.

Stał na stołku, robiąc coś przy suficie w kuchni. Gdy tylko weszła do środka, zeskoczył, podbiegł i zamknął za nią drzwi. Z ust wystawał mu rząd gwoździ, które wypluł prosto na podłogę w tej samej sekundzie, gdy klucz w zamku obrócił się z ostrym westchnieniem. Zabrał od niej koszyk i przyciągnął ją do siebie.

– Moja Anna.

Całowanie Tallaka było jak umieranie. A po jednej śmierci następowała kolejna, węższa i głębsza, gdy zdejmował z niej ubranie, dysząc jej do ucha i opowiadając, kim ona jest i dlaczego tym jest, że po to żyje, tylko po to i dla niczego innego, tylko dlatego, że jest jego. I gdy tym razem powróciła do siebie, siedziała na blacie kuchennym. On stał tam, uśmiechając się lśniącą bielą, z czubkiem języka wystającym spomiędzy zębów, stał tam, przyglądając się jej, z przekrzywioną głową. Jego dłonie opierały się na jej biodrach, siedziała tam na niemieckim blacie kuchennym w samych butach i skarpetkach i jak zwykle nie odwracała oczu od jego spojrzenia, nie wstydziła się nigdy swojej nagości, nagość była w całości dla niego, zawsze gdy byli razem. Pochylił głowę i uniósł jej jedną pierś swoją potężną dłonią, pocałował ją wargami tak miękkimi, że znów mogłaby umrzeć.

– Boli cię tak siedzieć? – wyszeptał w stronę wilgotnej piersi, skóra pokryła się gęsią skórką, a ona uderzyła obcasami w szafkę poniżej.

– Ależ skąd – skłamała, przyciągając bliżej do siebie jego głowę.

– Przyniosę trochę wody ze studni – rzekł. – Żebyś mogła się oporządzić.

– Nie chodź.

Uwolnił się z jej objęć, pocałował ją szybko w usta.

– Zaraz wracam.

Otworzył drzwi kluczem, a ona ubrała się pośpiesznie. Ktoś mógł przyjść, drzwi stały teraz otwarte na oścież. Na ten raz to był koniec.

– Jest coś – rzekła. – Coś, co muszę ci powiedzieć.

– Ach tak?

Stali na dworze. Zjadł kanapki, które mu przyniosła, wypił zimny sok porzeczkowy, zmieszany z wodą ze studni. Dzieliło ich od siebie kilka metrów, ona stała z pustym koszykiem pod pachą, tak aby wszyscy ciekawscy mogli zrozumieć, w jakiej sprawie tu przyszła. Byli teraz dobrze widoczni z okolicznych gospodarstw i z drogi też.

– Będę miała dziecko.

Nie poruszył się, nie podszedł do niej, lepiej nie.

– Moja Anna. Wejdźmy jeszcze do środka.

– Nie! Wtedy będzie tylko... Muszę wiedzieć, co ty myślisz. Nie rozmawiamy za wiele ze sobą. My tylko...

– Tak. To prawda.

– Ale co on na to powie, Tallak?

– Chłopiec?

– Chłopiec... Właściwie ma tyle samo lat, co ja. I jest moim mężem.

Nagle musiała się roześmiać na cały głos, sama usłyszała, że to był dziwny i okropny śmiech, urwał się równie nagle, jak zaczął, ale tak rzadko w ogóle o tym myślała. Miała to już teraz we krwi, że wszystko trzeba ukrywać, nikt nie może o niczym wiedzieć, a jednak istniał ktoś, kto wiedział wszystko, wiedział dlatego, bo się na to godził. Ale że z tego będzie dziecko, że urodzi się dziecko, żywy mały człowiek, który będzie biegał wokół i nigdy nie dowie się, że...

– On nic nie powie – rzekł Tallak.

– Ale...

– Przecież wiesz, że on ciebie nie chce. Przecież to nie jest tak, że krąży wokół i chciałby cię mieć.

Pomyślała o ślubie. O tym dziwnym dniu, w którym wszystko było nie tak, a jednak słusznie, bo miała zostać w Neshov. Jaka była szczęśliwa, że ze względu na dopiero co zakończoną wojnę nikt nie oczekiwał niczego wielkiego. Wszyscy mieli dość własnych zmartwień i niedostatków. A poza tym tego samego dnia Henrik z Landstad żenił się z Guri, a tam był przepych, w tym również zalew widocznego szczęścia, więc większość ludzi wolała tam pójść w gościnę.

– A jak wobec tego dziecko będzie go nazywać?

– Ojcem – rzekł Tallak.

– Ojcem? Dziecko ma nazywać go ojcem?

– Nie może nazywać go inaczej.

Poprawiła sukienkę, poczuła tam w dole ciepło, żar pozostały po nim. Nie zamierzała mówić tego dzisiaj, chciała poczekać, żeby nic nowego nie zakłóciło świata wokół nich, już dosyć było tego, nad czym musieli zapanować.

– A co z... nią?

– Ona nigdy niczego nie pojęła. Nawet tego, że jej syn nigdy nie będzie miał dziewczyny. Nie myśl o niej.

– Ale ja się boję, Tallak.

– Nie bój się. Jest za późno, żeby się bać. Jesteś teraz panią w Neshov.

– Nie wiem...

Nagle zaczął szarpać jedną z topoli. Popatrzyła na niego przerażona.

– Co ty robisz? Przestań!

Nie puścił, lecz małe drzewko też nie puściło ziemi. Listki jednak mu drżały, ich srebrzyste spody odwracały się ku nim, jakby w poddaniu.

– Widzisz? Trzyma się mocno – rzekł. – Nie rośnie tu długo, a mimo to trzyma się bardzo mocno. Nawet Tallak Neshov nie dał rady go wyrwać.

Odsunął się od małego drzewka. Ona podeszła, ujęła jedną bazię w palce, kwiatowy pyłek rozsypał jej się w dłoni jak okruchy nadziei.

– A ci, którzy je posadzili, zostali wygnani z tego kraju – powiedział. – A jednak one tu stoją i cieszą się na nadejście lata.

Nie odpowiedziała.

– Pewnego dnia mnie też nie będzie – rzekł Tallak.

– Nie! – krzyknęła i puściła drzewko, robiąc krok w jego stronę, i zatrzymała się.

– Jestem o tyle starszy od ciebie, pewnego dnia mnie zabraknie, a wtedy musisz mi coś obiecać. Bo będziesz miała dziecko i od teraz wszystko już będzie inaczej.

Oddychała tylko i czekała, nie odrywając oczu od jego twarzy, ta twarz była poważna i sztywna, oczy ciemne, nie patrzyły wprost na nią.

– Musisz mi obiecać, że nigdy nie będziesz nim pogardzać – powiedział cicho. – To nie jest wina chłopca.

– Wina?

– Tak. To nie jest jego wina, że nie jest gospodarzem, że nie jest taki, jak trzeba.

– Ja go nie znam – wyszeptała. – I nie wiem, co on sobie o tym wszystkim będzie myślał.

– Nie. A któż to wie. On pewnie sam tego nie wie. Ale gdyby pozostawić to jemu, nie byłoby nikogo, kto mógłby przejąć gospodarstwo.

– Dlaczego on nie lubi dziewcząt? – zapytała odważnie, nigdy nie zadawała Tallakowi takich pytań.

Nie odpowiedział od razu, spojrzał w dal, stojąc, udeptywał dookoła trawę jednym drewniakiem.

– Tak po prostu jest. Nie wszystko da się nazwać słowami – powiedział w końcu.

– Ale nie dlatego mnie pragnąłeś, że gospodarstwo potrzebuje innego chłopca?

– Nie.

Mówiąc to, spojrzał jej prosto w oczy, a ona opuściła wzrok. Tak bardzo pragnęła, żeby właśnie teraz ją objął.

– Anno. Jesteś moja. A gdyby nawet gospodarstwo wymarło... To i tak byłabyś moja. Ale teraz ono nie umrze. Bo będziesz miała dziecko. Ale nigdy nie wolno ci nim pogardzać. Musisz mi to obiecać.

Słuchała jego słów, pozwalała im zapadać się w siebie pojedynczo, słyszała je. Słyszała je zupełnie wyraźnie. Wyprostowała się, poprawiła na ramieniu koszyk i odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Dobrze – powiedziała. – Obiecuję. Ale wtedy ty musisz mi obiecać, że nigdy mnie nie opuścisz.

Ziemia kłamstw

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
PROLOG
C Z Ę Ś Ć 1
ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
C Z Ę Ś Ć 2
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
C Z Ę Ś Ć 3
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
EPILOG
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Berlinerpoplene*

Copyright © 2004 Forlaget Oktober A/S

Copyright © 2010 for the Polish edition by SAW Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Ewa M. Bilińska

This translation has been published with the financial
support of NORLA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska
Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz
Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska
Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska
Zdjęcie wykorzystane na okładce: © shutterstock.com / almgren

ISBN 978-8365731-03-6

Smak Słowa
ul. Sobieskiego 26/4
81-781 Sopot
tel. 507 030 045

Szukaj nas także na

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl